

John i Sara księstwo Marlborough

Bidwell George



calibre 0.9.43

GEORGE BIDWELL

**JOHN I SARA KSIĘSTWO
MARLBOROUGH**

Część pierwsza
MŁODZIEŃCZE AMBICJE

Rozdział 1

MONARCHA I JEGO DWÓR

Oparty o balustradę na galerii otaczającej wielką salę balową londyńskiego Whitehall Palace piętnastoletni paż książęcy stał i spoglądał na dół. Patrzył i słuchał. Był to wieczór roku 1665, a po galerii kręciło się wielu innych paziów, ale ten stał opodal, sam, na wpół ukryty za filarem. Dopiero niedawno przybył na dwór, jeszcze się nie zaznajomił z przyszłymi kompanami. I nie tyle powodowała nim nieśmiałość, ile czujna przezorność, bo już w tych młodocianych latach miał zwyczaj ostrożnie nawiązywać przyjaźnie i znajomości, upewniając się najpierw czy mogą mu być przydatne na przyszłość.

Do tej pory chłopiec żył w rodzinnym domu w południowo-zachodniej Anglii, w warunkach bardzo skromnych, wychowywany w rygorystycznej dyscyplinie. Toteż miał co podziwiać na królewskim balu: zdumiewał się jego wzrok, słuch, później także podniebienie.

Pod galerią muzykanci kończyli strojenie instrumentów; pobrzękiwały struny, popiskiwały flety, smarowano smyczki. Wypolerowana posadzka odbijała jak lustro postacie, z wolna wypełniające salę. Ciemne oczy, szare oczy, błękitne zerkają czasem śmiało, czasem zalotnie, przez otwory, wycięte w czarnych i czerwonych maskach. Zmieszany szum rozmów przerywał chwilami głośniejszy wybuch wesołości spowodowany pojawieniem się kostiumu oryginalniejszego od najczęściej spotykanych satyrów, odzianych w skóry, diabłów z rogami i ogonem albo nimf w zwiewnych szatkach, z obnażonymi ramionami i głębokim dekoltem.

Dźwięk trąb. Lord szambelan z białą laską zakrzętnął się po sali, odsuwając gości pod ściany. Z szerokich schodów, wyłożonych bogatymi dywanami, zeszedli ich królewskie moście - jedyna para, której na dzisiejszym balu wolno było pojawić się bez masek.

W roku 1660 naród angielski - który przed jedenastu laty zaprowadził na szafot Karola I, później ze zwykłą ludzką niekonsekwencją obżałowywał jego śmierć, a znenawidził Olivera Cromwella i jego „Okragłogłowych” - powitał radośnie w Londynie powrót Karola II z dynastii Stuartów, starszego syna ścietego monarchy.

Patrząc po raz pierwszy na swego suwerena, młodociany John Churchill ujrzał mężczyznę trzydziestopięcioletniego, bardzo przystojnego, o smagłej cerze, bystrych oczach, wydatnym nosie, dużych zmysłowych wargach i czarnych włosach, skręcających się naturalnie w bujne pukle. Chłopak znał oczywiście romantyczne opowieści o przygodach Karola: jak w roku pięćdziesiątym porwał się przeciw cromwellowskiej republice, jak poniósł klęskę w bitwie pod Worcesterem, jak później uciekał w przebraniu, jak siedział ukryty wysoko w gałęziach dębu, skąd obserwował „Okragłogłowych” żołnierzy, przeszukujących las; jak ostatecznie zdołał umknąć poprzez południowe hrabstwa Anglii - a za jego głowę wyznaczono wysoką nagrodę - aż do przystani, gdzie pewien szypier zgodził się go przewieźć na francuski brzeg.

Młody John słyszał, że cały Londyn świętował i wiwatował na cześć powracającego do ojczyzny Karola II. Jeszcze nigdy tak nikogo nie witano w historii miasta. Dwadzieścia tysięcy pieszych i

konnych wyległo po obu stronach wysypanej kwiatami drogi wrzeszcząc i wymachując szpadami; kamienice udekorowano dywanami, fontanny tryskały winem, dzwony z każdej kościelnej wieży głosiły radość. Lord Mayor i londyńscy rajcowie, reprezentanci gildii i cechów w tradycyjnych barwnych kostiumach, panowie i szlachta w strojach mieniących Się od złota i srebra szli witać powracającego monarchę: przed nimi muzykanci bębny, trąby i fanfary, za nimi niepolicone tłumy. Znany pamiętni-karz John Evelyn zanotował o tym wydarzeniu:

„Boska ręka w tym była, bo o podobnej radości nie słyszano w historii, starożytnej ani też współczesnej, od kiedy Żydzi powrócili z niewoli babilońskiej”.

Wszystko nadzwyczajne, jedna tylko rzecz była zwykła: sposób, w jaki król ów dzień zakończył. Karol wymknął się z uroczystości, by spędzić noc w objęciach swojej głównej kochanki, Barbary Palmer, która razem z nim przyjechała z francuskiego dworu.

John Churchill ze zdziwieniem spostrzegł, jak mało efektowna, wręcz nieładna W porównaniu z innymi damami na sali balowej, była królowa Katarzyna. Jeszcze nie wiedział, że monarchowie rzadko kiedy wybierają narzeczone ze względu na ich powaby osobiste. Katarzyna, księżniczka Braganzy, w dzień swego ślubu w roku 1662 wniosła tytułem wiana trzysta tysięcy funtów szterlingów gotówką - panu młodemu na gwałt potrzebnych! - prócz tego Bombaj na wybrzeżu Indii i Tanger przy cieśninie Gibraltarskiej. W zamian Karol zobowiązał się wspierać Portugalie w jej konflikcie z Hiszpanią.

Na powitanie narzeczonej - miał ją wtedy zobaczyć po raz pierwszy - Karol wyjechał konno z Londynu do Portsmouth. Następnego dnia pisał do swego przyjaciela i doradcy, hrabiego Clarendon:

„Trudno byłoby nazwać ją pięknnością, chociaż oczy ma prześliczne... wyraz twarzy miły, pogodny... O ile znam się na fizjonomiach, to musi z niej być naprawdę najzaciejsza niewiasta... Na szczęście dla honoru naszego narodu protokół nie przewidywał konsumpcji małżeństwa wczorajszej nocy: w ciągu podróży przespałem tylko dwie godziny, dojechałem z utrudzeniem i obawiam się, że byłbym bardzo śpiący...”

Katarzyna z Braganzy była rzeczywiście dobra i prostoduszna - pod pewnymi względami za dobra dla swego męża. Zakonnice, wychowujące ją w klasztorze, zaszczepiły jej pogląd, iż w małżeńskim łożu nie zazna rozkoszy: to przykry obowiązek. W rezultacie i swemu mężowi niewiele dawała przyjemności i nie mogła rywalizować w kunszcie miłosnym z bardzo licznymi kochankami, z którymi jej mąż się zadawał. Jego majestat słynął z rozwiązłych obyczajów tak dalece, że przezywano go „jurnym Rowleyem” od imienia ogiera w królewskiej stajni.

W ślad za królewską parą na salę balową wszedł orszak dam dworu, zamaskowanych i lekkimi ruchami wachlarzy osłaniających piersi, mało czym innym zakryte. Za czasów Cromwella kobiece piersi służyły wyłącznie do karmienia niemowląt; niczyje inne oczy ich nie oglądały, inne palce nie dotykały prócz niemowlęcych. Ale król Karol przepędził wiele lat na francuskim dworze i życzył sobie dekoltów, odsłaniających do połowy piersi, które miały być ozdobą i zabawką dla mężczyzn, innym celom nie służąc, bo arystokratyczne damy z zasady najmowały mamki do karmienia swych dzieci.

Taniec szedł za tańcem: pawany, sarabandy, także rodzaj gonionego, zwany kurantem, popularny na francuskim dworze. Przelotne pocałunki, dotknięcia i pieszczoty odgrywały w nich wszystkich niemalą rolę. Przyglądając się z galerii balowaniu młody John nagle się zorientował, że ktoś za nim stoi.

- I cóż, chłopcze, którą z dam ogłosiłbyś za najpiękniejszą?

Był to głos Jakuba, księcia Yorku, młodszego brata królewskiego i domniemanego następcy tronu - dopóki królowa Katarzyna nie urodzi dziecka, a do tej pory, w ciągu trzech lat małżeństwa, miała tylko kilka poronień. On to właśnie przyjął Johna Churchilla do swojej służby jako pazią. Na dole muzykanci przerwali na chwilę i głos chłopca zabrzmiał w odpowiedzi czysto i jasno, chociaż z pewną nieśmiałością w obliczu tak dostojnej osoby:

- Wasza dostojność, z pewnością ta... która stoi właśnie przed jego królewską mością!

Księżę zachichotał.

- Byłoby taktowniej z twojej strony wymienić moją księżnę. Ale różne są upodobania. Twój gust jest w każdym razie królewski. Ta dama to Barbara Palmer, hrabina Castlemaine. Ale nawet bardzo młodemu niezdrowo w tę stronę wzrok kierować, bo ona należy do króla, który nie lubi, gdy ktoś na jego pastwisku chciałby trawkę szczypać!

„Królewskie pastwisko” rzeczywiście było bardzo urodziwe: bujne, wspaniałe w kształtach, jaśniejące radością. Wielu spoglądało na nią z pożądlivym zachwytem, włącznie ze znawcą kobiecej urody Samuelem Pepysem, urzędnikiem admiralicji, autorem słynnych później pamiętników. „Syciłem wzrok patrzeniem na nią” pisał na kartach diariusza, którego jego żona nigdy nie miała odczytać. I znowu: „Lady Castlemaine, którą wielbię z całego serca”; i jeszcze: „Miałem najprzyjemniejszy sen, jaki się mężczyźnie przyśnić może, a to że trzymałem Lady Castlemaine w moich objęciach”.

Księżę Yorku opowiadał paziowi:

- Prawdę mówiąc, nie jest to żadnym sekretem, że lady Castlemaine ma teraz niebezpieczną rywalkę. Widzisz ją? Mój brat ujął właśnie jej rękę... To Frances Stewart, zwana „La Belle Stewart”, a pisownia jej nazwiska dowodzi, że nie spowinowacana z dynastią. Ale... i to będzie pierwsza tajemnica stanu, jakiej się dowiadujesz, mój chłopcze...

- Będę ją z pewnością tak właśnie traktował, wasza księżęca mość - pośpieszył zapewnić John.

- ...otóż „La Belle Stewart” niczego nie da mężczyźnie, o ile nie dostanie obrączki i tronu. A tego nie dostanie, bo mój brat wprawdzie fruwa tu i tam, igra z pięknie upierzonymi ptaszkami, ale zawsze wraca do własnego gniazdka, do szarej wróbliczki z Portugalii...

Miłości króla bolały Katarzynę. Ale królowa matka, Henrietta Maria, wdowa po Karolu I, przestrzegła synową:

- Nie mówię tego jako matka mego syna, ale tak, jak mogłaby mówić do ciebie twoja własna matka. Mężczyźni miewają swoje słabości, a królewskich małżeństw nie zawiera się między kobietą a mężczyzną, tylko między dwoma państwami, dla dobra obydwóch. Ty poślubiłaś Anglię dla dobra Portugalii. Jeżeli pokłócisz się z moim synem, jeżeli go rozgniewasz - choćbyś miała rację - co stanie się z twoją ojczyzną? Czyż nie straci na tym?

Pierwsza to była rzecz, jakiej młody paź dowiedział się o swoim suwerenie; król folgował sobie bez żadnych hamulców. Ludzka skłonność do upraszczania i zamiłowanie do pikantnych plotek sprawiły, że często tylko to jedno - prócz ucieczki z Worcester - powszechnie wiadano w ciągu stuleci o Karolu II; podobnie fakt, że Henryk VIII miał sześć żon, często przesłania jego talenty i zasługi jako władcy, polityka, dyplomaty.

Uważano ogólnie, że króla cechowało lenistwo w sprawach państwowych. Ale jego ociąganie się było często świadomie stosowaną taktyką. Odkładaniem decyzji udawało mu się znużyć tych, którzy przeciwstawiali się jego woli. Miał skłonność do despotyzmu, nie żywił zbytnich skrupułów, ale unikał zadrażnień i konfrontacji i ścierał się skuteczniej, niż niegdyś jego ojciec z parlamentem,

dążącym do ograniczenia królewskich prerogatyw.

Uprawiał z zamiłowaniem sporty i rozrywki na świeżym powietrzu: przed śniadaniem wiosłował po Tamizie albo chodził na dalekie spacery; polował, jeździł konno, grał w tenisa. Lubił zwierzęta, zwłaszcza konie i psy. Pewien par królestwa, potrafiwszy jednego ze spanielów Karola i w zamian zapoznawszy się z ostrymi zębami psa, wykrzyknął: „Niech Bóg zachowa wasz majestat, ale do diabła z królewskimi psami!” Król lubował się też w powszechnej naówczas w sferach arystokratycznych rozrywce - grał w karty, i to o wysokie stawki. Nie stronił również od kieliszka.

Ogromna popularność króla wywodziła się głównie stąd, że miał przystępny sposób bycia, potrafił odrzucić - jeśli chciał - ceremoniał majestatu w stosunku zarówno do najskromniejszych, jak i najdosłojniejszych poddanych. Kiedyś posłyszawszy służącą, jak śpiewała przy pracy balladę „O jurnym Rowleyu”, zastukał do drzwi. „Kto tam?” spytała dziewczyna i nieomal zemdląła usłyszawszy znajomy głos: „Jurny Rowley, do twoich usług!” Co więcej, Karol doskonale wyczuwał, kiedy należy ustąpić wobec powszechnych, zdecydowanie wyrażonych żądań.

Takie postępowanie, które dziś można by nazwać zbliżonym do demokratycznego, zdumiewało cudzoziemców. Większość z nich uważała kontynentalne połączenie katolicyzmu i despotyzmu za ideał polityki, a podział władzy między koronę a parlament za prowadzący prosto do anarchii. Gaston de Cominge, ambasador francuski, pisał do Ludwika: „Członkom parlamentu nie tylko wolno swobodnie wypowiadać własne zdanie, ale także posiadają władzę czynienia zdumiewających rzeczy, na przykład wzywania najwyższych dygnitarzy, by zdali sprawę ze swoich postępów”. Dziwiło też gości zagranicznych - bo we Francji, Austrii i państwach niemieckich nie spotykali się z niczym podobnym - gdy słyszeli, jak ludzie różnego stanu dyskutowali o sprawach państwowych „jakby to ich dotyczyło”. Wioślarze na Tamizie, pisał de Cominge, „rozprawiali w najnaturalniejszy sposób o polityce z lordami, gdy ich przewozili przez rzekę”.

Wyższe sfery angielskie w okresie po restauracji nie przejawiały patriotyzmu, rycerskości ani podniosłych ideałów. Ci, którzy popierali niegdyś Karola I, zwykle nazywani Torysami, teraz oczywiście spodziewali się, że ich lojalność zostanie wynagrodzona dochodowymi synekurami i dygnitariatami. Natomiast szlachta o poglądach purytańskich, która walczyła w szeregach armii Cromwella i stanowiła załazek przyszłego stronnictwa Wigów, niechętnie przyjmowała odsunięcie od udziału w rządach, utratę pozycji w społeczeństwie. Wypierała się więc własnej ideologii, dostosowywała do zasad i praktyki kościoła anglikańskiego i szła na służbę monarchii. Te dwa ugrupowania współdziałały ze sobą nieufnie, a król wygrywał jednych przeciw drugim dla własnych celów, a przynajmniej dla obrócenia wniwecz ich zamierzeń.

Dworzanie chcieli tylko używać przyjemności i wzbogacać się najmniejszym wysiłkiem. Korupcja kwitła. Sprzedawano swoją lojalność nie tylko wigom i torysom, ale także obcym rządóm, które życzyły sobie, aby Anglia podjęła taką czy inną decyzję. Na żołdzie Ludwika XIV była połowa królewskich doradców i wielu członków parlamentu. Gdy pewnego razu król Francji zaoferował hrabiemu Arran pięćset gwinei, jego lordowska mość nie przyjął początkowo, ponieważ „chciał najpierw uczciwie odrzucić ofertę księcia holenderskiego”. Tego rodzaju „uczciwość” uchodziła za honorową. Zdrada króla i ojczyzny była czymś błahym i powszednim.

Obaj, Karol i Jakub - jeden zdeklarowany katolik, drugi katolik w głębi serca - przyjmowali, a nawet napraszali się o subsydia z Francji; jednocześnie Ludwik opłacał angielskich protestantów, aby wszczynali zamieszki, podburzali ludność przeciw królowi i osłabiali jego autorytet. Karol miał pewne usprawiedliwienie. Prywatna kiesa królewska i skarb państwowy stanowiły wówczas

niepodzielną całość. Miłujący poddam oczekiwali, że król będzie utrzymywał dwór, opłacał wojsko i flotę wojenną, wypełniał różne inne monarsze zobowiązania, a wszystko za niewiele więcej, niż pół miliona funtów rocznie. Prawda, że podarunki, apanaże i pensje, którymi Karol obdarowywał hojną ręką swoje kochanki i bastardów, obciążały poważnie jego finanse, ale i bez tego był w kłopotach. Zredukował liczbę służby na swoim dworze, po-wyganiał różnych pieczeniarzy, którzy zwykle wieszali się przy nim i żyli na jego koszt, i zarządził, że tylko królowi, królowej i księstwu Yorku wolno jeść posiłki z dziesięciu lub więcej dań. Zbyt przezorny, by ściągać podatki bez sankcji parlamentu - takie właśnie nielegalne poczynania kosztowały jego ojca Karola I utratę głowy - król zamiast tego przyjmował subsydia od Francji i jednocześnie od jej politycznego przeciwnika, Stanów Generalnych Holandii: zaiste, przyjąłby pieniądze od każdego rządu, któremu się wydaje, że coś za nie uzyska.

Miłość nie była jedyną sztuką, której Karol patronował. Opiekował się literaturą i literatami - włącznie z antyrojalistycznie nastawionymi purytanami, Johnem Miltonem i Johnem Bunyanem - muzyką, wprowadzając do Anglii operę, malarstwem, architekturą, zwłaszcza Sir Christopherem Wrenem. Podróżny z Francji zanotuje, że „ludzie z najwyższych sfer zajmują się chemią, mechaniką, matematyką i filozofią... a król osobiście posiada taką wiedzę, że mnie zadziwił podczas audiencji”. Główny ogrodnik królewski, pan Rose, ofiarował monarsze rezultat swego niezwykle osobistego osiągnięcia: pierwszy ananas wyhodowany w chłodnym i wilgotnym klimacie Anglii.

Karol nadał królewski przywilej nielicznej grupce ludzi, nazwanych z czasem królewskimi akademikami. Takie były początki jednego z najważniejszych dzisiaj towarzystw naukowych na świecie: Royal Society. Do członków założycieli, oprócz króla, należeli: Sir Robert Boyle, zwany „ojcem chemii”, Sir Isaac Newton, najślawniejszy uczonej epoki, pa-miętnikarze: John Evelyn i Samuel Pepys.

Trąby zabrzmiały na sali balowej w Whitehallu. Księżę York położył opiekuńczo rękę na ramieniu swego pazia.

- Chodź, musimy pośpieszyć na kolację, inaczej ta szarańcza wszystko pochłonie i wylize do czysta, zanim dojdziemy do jadalni.

Trzymając się pół kroku za księciem, paż zeszedł po szerokich schodach, między białymi i złotymi ścianami, między posągami z brązu, unoszącymi wysoko pochodnie na każdym narożniku. Zebrawszy się na odwagę, John zapytał:

- Ale czy wasza księżęca mość nie tańczy?

- I owszem. Czasem tańczę. Wszelako mnie to nudzi. - Jakub wcale się nie zawahał ze względu na niedojrzały wiek Johna, lecz mówił dalej: - Taniec to tylko rozgrzewka zanim się człowiek z niewiastą nie położy. Może komuś to i przydatne, ale księżę krwi królewskiej bierze sobie każdą, którą zechce, i nie potrzebuje się do nikogo zalecać, ani jej sztuczkami rozgrzewać. Nie jestem w tym do mego brata podobny, bo jego bawi polowanie tak samo jak chwila, gdy już dopadnie upatrzonego łupu. Lubi zalecanki, jak i rzecz samą.

John nie miał szczególnie powodu się gorszyć lub dziwić. Jego własna siostra, Arabella, była jedną z wielu kochanek księcia i miała mu wkrótce urodzić syna, który otrzyma tytuł księcia Berwick, a później zostanie marszałkiem Francji, ustępując pod względem geniuszu militarnego jedynie swemu wujowi oraz księciu Eugeniuszowi Sabaudzkiemu.

Księżę Yorku różnił się bardzo charakterem od swego królewskiego brata. Był wprawdzie dobrym dowódcą floty wojennej i człowiekiem dużej odwagi osobistej, jednakże nie zyskał sobie

popularności u poddanych. Cechowało go okrucieństwo, mściwość i upór, a pomimo rozwiązłości był zarazem fanatykiem katolicyzmu, w której to wierze wychowała go matka, Henrietta Maria. Uprzejmy i miły tylko wtedy, gdy mu na tym zależało, na ogół był niedostępny i wyniosły w stosunkach z ludźmi skromniejszego urodzenia. Wymawiał też bratu, iż jeździ po kraju z nazbyt małą eskortą, że wymyka się nocami z pałacu i powierza swoją osobę zwykłemu wioślarzowi, który go wozi do kochanki. Karol, podówczas bezdzielny, odparł mu bez ogródek:

- Najpewniejszą dla mnie ochroną jest niechęć moich poddanych wobec następcy tronu. Nikt w całej Anglii, mój bracie, nie zabije mnie, by uczynić królem ciebie.

Takiego to człowieka paziem został John Churchill w roku 1665. Taki był dwór, taki król panował. W otoczeniu takich przykładów zaczął pełnić swoje obowiązki. Niebawem miał lepiej poznać ludzi, którzy swoją pracą utrzymywali zbytkowną rozwiązłość „lepszych od siebie”, których życie było twarde i ciężkie, ale którzy nie podlegali despotycznej dominacji kleru, jak na kontynencie, nie znali „papiz-mu i drewnianych sabotów”, według popularnego określenia. Byli wolni, przedsiębiorczy, nieustraszeni i zdaniem cudzoziemców „barbarzyńscy”. Tak dalece, że de Cominge nauczył się przyjmować jako rzecz normalną periodyczne wybijanie szyb we francuskiej ambasadzie przez rozgorzałe patriotyzmem i politykierstwem londyńskie tłumy.

U wejścia do sali biesiadnej powitał ich niski mężczyzna o okrągłej twarzy, w bujnej peruce, jaskrawo wystrojony - pokłonem tak unizonym, że nieomal zamiótł posadzkę koronkową chusteczką, założoną za pierścień na palcu.

- Ach, moja prawa ręka w Admiralicji! - powiedział książę do Johna i dodał, zwracając się do strojnego mężczyzny: - Zacny panie Pepys, weźcie tego chłopca pod swoją osobistą pieczę. Nowy paź. Bez pańskiej pomocy nie przeciśnie się przez ten żarłoczny tłum do stołów i nic do zjedzenia nie zdobędzie. - Książę śmiał się głośno, arogancko. - Niech się tak naje, jak widywałem ciebie, panie Pepys, najadającego się przy takich okazjach, a nie będę go potrzebował żywić w moim domu przez tydzień!

Pepys udawał, że go bawi niewybredny humor księcia, który machnął ręką i odszedł. John odezwał się nieśmiało do swego nowego kompana:

- Wcale nie oczekiwałem, że jego książęca mość okaże mi tyle łaskawości...

- Pod tym jednym względem podobny do króla jegomości, chociaż mało czym go przypomina - odrzekł Pepys. - Pamiętaj o tych, którzy jak twój ojciec, wiele ryzykowali walcząc o głowę króla i o tron Stuartów.

Nagle chwycił chłopca za ramię i odciągnął go pod ścianę. Król Karol podchodził do wejścia do sali biesiadnej, prowadząc za rękę piękną pannę Stewart, o białym czole, małym prostym nosku i oczach spoglądających żywo spod maski. Miała na sobie kostium, w którym później pozowała artyście do modelu Brytanii, wygrawerowanym na angielskich monetach. Widnieje na nich hełm ze strusimi piórami, wokół szyi pukle jej własnych bujnych czarnych włosów: napierśnik ze złotej blachy wysadzany perłami, wartości książęcego okupu: płaszcz, spięty na ramieniu broszą z rubinów, błyszcząca klejnotami bransoleta nad łokciem. Król pożądlivym wzrokiem obejmował tę niedostępną piękność. A Samuel Pepys, który musiał dbać i o własne pieniądze, i o pieniądze skarbu, mruknął tak cicho, że John go ledwie dosłyszał:

- Królewska hojność dla kobiet zrujnuje nas wszystkich.

John Churchill rozglądał się po sali biesiadnej, jarzącej setkami świec, aż wzrok jego spoczął na wysokich oknach, wychodzących na ulicę Whitehall. Przez jedno z tych okien w styczniu 1649 roku

Karol I wyszedł na szafot, zbudowany do egzekucji. Chłopca poruszyło to wspomnienie i dziwił się, jak synowie króla męczennika mogli pod tym tragicznym oknem weselić się i ucztować.

Pepys ujął swego pupila za łokieć i pilotując go zręcznie a stanowczo poprzez cisnący się dookoła tłum, doprowadził aż do końca jednego ze stołów zastawionych najwykwintniejszymi potrawami, jakie francuski szef dworskiej kuchni mógł wymyśleć; ogromne łososie i turboty, z barwnymi owocami wetkniętymi w paszcze; zimne pieczenie ze zwierzyny rozmaitej; półmiski z wołowiną i głowami dzików; wymyślne konstrukcje z cukru i marcepanu; wielkie salaterki z owocami, osobiście wybranymi z królewskich ogrodów przez pana Rose; i na jednym końcu głównego stołu upieczony w całości paw z rozpostartym ogonem.

Pan Pepys przepychał się za dwóch i naładował chłopcu na złocisty talerz solidną porcję bażanta. Trzydziestodwuletni urzędnik Admiralicji - obserwujący pilnie, by później notować wszystko w swym dzienniku - i piętnastoletni paź wspólnie korzystali z hojnej uczy. Chłopcu jadło wydawało się wyborne; jego dotychczasowy oszczędny, żeby nie powiedzieć ubogi tryb życia czynił go mniej wybrednym od jego kompana, który zauważył:

- Wyborna wieczerza, zaiste, chociaż w tym pasztecie z dziczyzny czuć zwykłą wołowinę, co źle świadczy o królewskiej kuchni...

Rozdział 2

KŁOPOTY FAMILII CHURCHILLÓW

Wysoki na swój wiek, dobrze zbudowany, o jasnych włosach i niebieskich oczach z długimi rzęsami - tak wyglądał John Churchill, gdy po raz pierwszy pojawił się na dworze. Pewna nieśmiałość w połączeniu z naturalnym wdziękiem i układne maniery sprawiały, że niejedna dama dworu zapamiętywała sobie tę postać, jako zasługującą na jej uwagę za parę krótkich lat. Mawiano później, że John Churchill potrafił odmówić z takim wdziękiem, iż proszący ledwie zdawał sobie sprawę z własnego rozczarowania. Ale chociaż osobisty urok był zapewne wrodzony i za dni młodości naturalny, dość prędko stał się starannie kalkulowanym orężem. Kiedyś Churchill napisze w liście do swojej żony:

„Lepiej, by mnie mile witano niż w gniewie, bo niejedyn, co mi nawet niczym się nigdy nie przysłuży, może mi jednak zaszkodzić”.

W parze z wdziękiem szła postawa męska i opanowana. Koledzy paziowie bardzo szybko się przekonali, że z Johnem Churchillem nie można sobie bezkarnie na familiarność żadną pozwalać.

Kiedy chłopiec przyszedł na świat - w roku 1650, w rok po ścięciu Karola I - naczelnym wodzem wojsk angielskich był Oliver Cromwell, który stłumił powstanie Irlandczyków z taką bezwzględnością i okrucieństwem, iż na zawsze splamił swoje imię.

Matka wydała na świat Johna, jako trzecie z dwanaściorga dzieci - czworo zmarło w niemowlęctwie, dalszych troje w dzieciństwie -: w tak przezwanym „boleściwym krześle”. Wszystko, co wiązało się z narodzinami i świętowaniem urodzin, przyozdabiano w rodzinie tym samym przymiotnikiem: boleściwy tort, boleściwe piwo. John urodził się w pięćdziesiąt osiem i ćwierć minuty po północy, pod sprzyjającą gwiazdą, jak twierdzili astrologowie. Jeden z nich, układając mu później horoskop, doszedł do przekonania, że gdyby urodził się tylko o jedną godzinę później, przegrałby najważniejszą bitwę w swoim życiu!

W chwili urodzin syna jego ojciec, Winston Churchill, miał trzydzieści lat. Lojalny rojalista, walczył jako kapitan jazdy w kilku bitwach wojny domowej, głównie w południowo-zachodniej Anglii. Wykupił się później od surowszej kary, płacąc rządowi „Okrągłogłowych” grzywnę w sumie ponad czterystu funtów. Była to na owe czasy olbrzymia kwota, a dodana do kontrybucji, ściągniętych poprzednio na wojska królewskie, doprowadziła Churchillów, dawniej zamożny ród szlachecki, na skraj nędzy. Z tego powodu Winston przyjął jako motto rodowe z lekka melodramatyczne zawołanie: „Niefortunny w wierności”. Być może młodemu Johnowi przyszło do głowy, że fortuna chętniej sprzyja tym, którzy własny interes kładą przed wiernością. W ówczesnej Anglii niejedyn tytuł wraz z bogactwem zdobyto zdradą, krzywoprzysięstwem i korupcją.

Winston Churchill kochał się w książkach. W okresie protektoratu zajmował się wychowywaniem dzieci oraz pisaniem „Divi Britannica” - dzieła, które można by nazwać panegirycznym na cześć monarchii. Opublikowano je po restauracji.

Elżbieta, matka Johna, była córką innego jeszcze rojalistycznego stronnika, Sir Johna Drake’a,

również zubożonego po kontrybucjach na rzecz Karola I i grzywnach, zapłaconych Cromwellowi. Przodkiem jej był Sir Bernard Drake, który w XVI wieku wszczął zapalczywą kłótnię z Francisem Drakiem, sławnym elżbietańskim korsarzem i admirałem. Po opłynięciu kuli ziemskiej nadano Francisowi tytuł szlachecki: korsarz przybrał sobie w herbie trzy latające jaszczurki. Otóż te trzy jaszczurki figurowały w tarczy herbowej Sir Bernarda, który wyparł się wszelkiego pokrewieństwa z ojcem Sir Francisem, ubogim farmerem i wędrownym kaznodzieją. Gdy po raz pierwszy stary rycerz spotkał nowo upieczonogo, zapytał z wielką furją, jakim prawem przywłaszcza sobie cudzy herb rodowy, a nie czekając na żadną odpowiedź, rąbnął go w ucho. Jednakże Sir Francis nie ustąpił tak łatwo: on nie zwykł ustępować. Zaapelował do królowej. Elżbiecie I nie brak było złośliwego humoru, więc nadała swemu ulubionemu korsarzowi kunsztowną tarczę herbową ze statkiem, z którego masztu zwisała do góry nogami jaszczurka. W każdym razie praszczur Elżbiety Churchill, Sir Bernard, mógł się pochwalić, że był zapewne jedynym na świecie człowiekiem, który wytargał za uszy żeglarza będącego postrachem całego, olbrzymiego podówczas, hiszpańskiego imperium.

Matka Johna była kobietą rozumną, ale po swym zapalczywym przodku odziedziczyła co najmniej dwie cechy: nieposkromiony język i porywczosć usposobienia.

Jej sławnego później syna te cechy widocznie nie zraziły, gdyż kobieta, którą wybrał za żonę i którą głęboko kochał do końca swoich dni - miała podobny charakter.

Z pozostałego przy życiu potomstwa Churchillów najstarszą była Arabella. Po Johnie w kolejności starszeństwa szedł George, późniejszy żeglarz i admirał, następnie Charles - żołnierz i generał - oraz Theobald, pastor anglikański, który do żadnych wyższych stanowisk w kościele nie doszedł.

Siedzibą rodu był dwór Ashe w pobliżu miasteczka Axminster, o jakieś 250 kilometrów gościńcem na południowy zachód od Londynu. Właściwie jedyne, co Churchillom ocalało po nieszczęsnych latach wojny domowej, to ów dwór, obszerny, dostatnio urządzone i umeblowane. Na jedzeniu oszczędzano, pieniądze na odzież z trudem zbierano, o żadnych luksusach nie było mowy. Dzieciństwo i wczesna młodość w takich warunkach ukształtowały w szczególny sposób charakter Johna. Uczyniły go oszczędnym, nieomal skąpym. Przez całe życie miał przywiązywać wielką wagę do spraw pieniężnych, cenił wysoko finansową niezależność, dążył do zgromadzenia fortuny, która by zabezpieczyła jego rodzinę, zapewniła jej dostatek i spokój.

Pod koniec życia, przeglądając osobiste dokumenty w towarzystwie swego dawnego szefa sztabu, hrabiego Cadogana, Churchill, wówczas już księżę Marlborough, wyjął z szuflady zieloną sakiewkę i wysypał z niej na biurko srebrne monety.

- Przyjrzyj się im - powiedział. - Jest ich równo czterdzieści: to pierwsze pieniądze, jakie w moim życiu zarobiłem, i zachowałem tę sumę nienaruszoną od tamtego czasu.

A pewnej nocy, podczas wojny o sukcesję hiszpańską, do głównego sztabu Churchilla przybył z pilnymi wiadomościami adiutant. Zastał wodza w łóżku. Ordynans zapalił dwie świece. Churchill od razu zgasił jedną, mówiąc:

- Nie ma potrzeby palić dwóch świec, gdy jedna wystarczy. Kiedy indziej w uzdrowisku Bath, gdzie nabierał sił po przebytej chorobie, Churchill zasiedział się do późnego wieczoru u przyjaciół. Gdy wychodził, gospodarz koniecznie chciał przywołać dla niego lektykę, by nie wracał pieszo do siebie, jako że zamieszkał dość daleko.

- Wyszedłem bez pieniędzy - odpowiedział Churchill. - Ale to nic nie szkodzi, już teraz chodzę bez trudu.

Gospodarz natychmiast wyjął sześciopensówkę, którą odchodzący gość przyjął. Po jego wyjściu, jeden z pozostałych gości zauważył, że gotów by się założyć o to, iż moneta pozostanie w kieszeni Churchilla. Tak też się stało. Choć pogoda była zimna i deszczowa, rekonwalescent wolał zaoszczędzić tę drobną sumkę idąc pieszo.

Kutwą może bywał, a jego żona, pisząc o nim po jego śmierci, przyznała, że „nigdy nie szastał pieniędzmi”, ale dodała: „Komuś, kogo dawno znał, dawał w potrzebie hojnie z własnej kieszeni, polecał mi bowiem wypłacać pensję takim osobom, kiedy wyjeżdżał na dłużej za granicę”.

Dzieciństwo Johna upłynęło w sielankowym otoczeniu. Dwór Ashe leżał między wioską Musbury a rzeką Axe, która płynęła kamienistym korytem wzdłuż głębokiej, urodzajnej doliny. Zatoki i mielizny rzeki obfitowały w łososie i pstrągi. Pierwsze przechadzki Churchilla prowadziły po miękkich, bujnych łąkach, gdzie pasły się stada bydła, a nad nimi w powietrzu przelatywały rybitwy i kuliki wydając przenikliwe krzyki.

Okolice dworu Ashe obfitowały również w ślady dawnych obozowisk, a w wielkiej sieni i bawialni - podobnie jak w innych pobliskich dworach - wisiały na ścianach poszczerbione pałasze i miecze, napierśniki i półbroje. Za młodu John wysłuchiwał opowieści ojcowskich o zaciętych, długotrwałych bitwach i krwawych potyczkach wojny domowej.

Ledwie tylko dzieci odrastały od ziemi, sadzano je oczywiście na konie. Szlachcic wiejski mógł ubogo jadać, i tylko z rzadka pojawiały się lepsze potrawy na stole z racji gości, ale konie pod wierzch i do powozu musiały być. Inaczej nikt z Churchillów nie mógłby ruszyć się z domu dalej, niż do wioski Musbury. Ucząc się konnej jazdy, John przywykł jechać lewą stroną drogi, by w każdej chwili mógł łatwo prawą ręką dobyć broni przeciwko komuś nadjeżdżającemu z przeciwka. Takie są praktyczne, dawnych czasów sięgające powody obecnie obowiązującego w Anglii lewostronnego ruchu.

Bardziej intelektualną naukę dzieci Churchillów pobierały od ojca i od pastora z parafii Musbury, wilebnego Richarda Farranta, człowieka pobożnego i wykształconego, który główną uwagę poświęcał uczeniu pupilów teorii i praktyki zasad kościoła anglikańskiego. Toteż zostawiły one niezatarty ślad.

Olbrzymia większość Anglików wyznawała zasady Marcina Lutera, ale również przesiąkła poglądami Kalwina i uważała purytanizm za obronę przed królewską tyranią. W ich oczach rzymskokatolicka religia - to były prześladowania, które cierpieli ich dziadowie w poprzednim stuleciu, za panowania katolickiej córki reformatora Henryka VIII, zwanej Krwawą Marią; to inkwizycja i tortury; to rozpacz francuskich hugonotów, tysiącami uciekających do Anglii po niedawnym odwołaniu Edyktu nantejskiego, z opowieściami mrozącymi krew w żyłach; to absolutyzm francuskiego Ludwika XIV i władza monarsza „z Jaski Bożej” - zaprzeczenie wolności myśli i uczynku; to wreszcie interwencja obcej potęgi, Watykanu i jego duchownych przedstawicieli, w sprawy Anglii i sprawy prywatnego życia Anglików.

W czasie kiedy John miał lat dziesięć, we dworze Holywell pod St. Albans - daleko od Musbury - żona Richarda Jenningsa urodziła mu córeczkę. Jeszcze nikt nie odgadywał, że temu niemowlęciu, które na chrzcie otrzymało imię Sara, przeznaczone było odegrać główną, a nawet dominującą rolę w życiu Johna, Jenningsowie byli również rodem szlacheckim, zubożałym po wojowaniu o tron i życie króla Karola. „Okragłogłowi” wzięli Richarda do niewoli, z której się wykupił nieomal ostatkiem swej ojcowizny.

Sara namiętnie kochała ojca i nigdy nie miała dość jego” opowiadań o tym, co nazywał

nieprawościami i zdradzieckimi poczynaniami Olivera Cromwella. Po przedwczesnej śmierci ojca dziecko przez długi czas nie mogło znaleźć ukojenia.

Od matki Sara nauczyła się prowadzić dom gospodarnie i zapobiegliwie, co się jej miało w późniejszym życiu bardzo przydać. Damy królewskiego dworu bywały rozpróżniane i leniwe, ale pani na szlacheckim dworze nie mogła sobie na to pozwolić. Przede wszystkim musiała być sama dobrą kucharką i rządzą gospodynią, by przyuczać i pilnować służbę. Prócz tego w jej zawiadywaniu były: runa owcze, zbiory lnu i konopi.

Wzięła się skądś pogłoska, że pani Jennings jest czarownicą, która, zdaniem ówczesnej pisarki żerującej na sensacjach, pani Manley, umieściła córki na królewskim dworze „mocą swych czarnoksięskich sztuczek”. Nie wnikając w tajniki tych plotek, trzeba jedno przyznać: bez wątpienia pani Jennings miała niebywale porywcze usposobienie, a wybuchy jej gwałtownego gniewu były słynne w okolicy. Te cechy, wraz z zapobiegliwą umiejętnością gospodarowania, Sara po niej odziedziczyła.

Kiedy John Churchill skończył dwanaście lat, jego ojciec przyjął w Dublinie dość pośledni urząd państwowy. John chodził do bezpłatnej szkoły w stolicy Irlandii. Dyrektor szkoły, dr W. Hall, był słynnym hellenistą, ale temu uczniowi nie przekazał własnego umiłowania starożytnej kultury. Polityczni wrogowie Johna będą mu później zarzucali, że nie ma żadnego pojęcia o poecie greckim Anakreonie. Ponoć nawet sam chełpił się tym, iż jego znajomość historii zaczerpnięta jest wyłącznie z szekspirowskich sztuk. Szekspira istotnie nie można zaliczać do najpewniejszych źródeł wiedzy historycznej, bo wielki bard zajmował się dramatem, tragedią i komedią ludzką, a nie historią. Profesor G.M. Trevelyan pisał ironicznie, że to doprawdy wstyd dla Anglii, iż jej bitwy wygrywał człowiek, który nie znał poezji greckiej i nie poświęcał czasu na studiowanie historii starożytnej.

Powróciwszy do kraju w roku 1663, John uczęszczał przez dwa lata do szkoły im. św. Pawła w Londynie, dopóki gwałtowny pożar, który strawił prawie wszystkie budynki szkolne, nie położył kresu jego naukowej karierze.

Winston Churchill, chociaż pasowany na rycerza w roku 1664, nadal nie mógł się wygrzebać z trudności finansowych. Nie było za co posłać Johna na uniwersytet. Tak ominęła młodzika ostatnia szansa bliższego poznania greckiej poezji i poprawienia błędnych pojęć historycznych, zapożyczonych od Szekspira. Wątpliwe, czy rodzaj umysłowości i talentu Johna pozwoliłyby mu właściwie wykorzystać akademickie nauki, chociaż w owych czasach uniwersytety dążyły raczej do ukształcenia światopoglądu niż wydania dyplomu, pozwalającego zarabiać na życie w określonym zawodzie.

Na służbę przy osobie księcia Yorku młody John dostał się zapewne dzięki protekcji swojej siostry Arabelli, jednej z dam dworu księżnej Yorku i kochanki księcia. Księżna, urodzona Anna Hyde, córka hrabiego Clarendon towarzyszyła Stuartom na wygnaniu we Francji i uwiodła niezbyt opornego Jakuba. Gdy zaszła w ciążę, młody książę uniósł się honorem i poślubił ją potajemnie. Hrabia Clarendon, któremu nadano jego tytuł nie z powodu szlacheckiego urodzenia, lecz jego talentów jako adwokata, zgorszył się tym małżeństwem. Na co sobie jego córka pozwala! Oznajmił, iż wolałby widzieć córkę nałożnicą, niż żoną Jakuba. Ale żoną już została. I dała Anglii dwie panujące królowe.

Młodej kobiecie ze szlacheckiej rodziny nie przynosiło hańby, jeżeli została nałożnicą króla lub jego brata. Przeciwnie: zadroszczono jej, starano się o jej protekcję, płacąc klejnotami lub Żywą gotówką. Miała możliwość uzyskania dla swoich bliskich łask i faworów królewskich, urzędów,

dobrze płatnych stanowisk. Prędzej czy później dzięki zdobytej różnymi metodami fortunie trafiała się propozycja mariażu i legalnego wejścia w sfery wyższe od tych, w jakich się urodziła. Jeśli chodzi o Arabellę, to urodziwszy księciu Jakubowi pięcioro dzieci, poślubiła w końcu pewnego pułkownika. Jeden z doradców Karola II, Lord Arlington, pisząc do królewskiej kochanki, mówi o jej pozycji „na którą wyniosła ciebie łaska Boga i twoje cnoty”. Szlachetny lord nie był odosobniony w takiej ocenie, bo Arabella została pochowana w opactwie westminsterskim, angielskim panteonie, do którego jej brata zaprowadziła jego wyjątkowa sława.

W tym samym roku, kiedy pierworodny syn Sir Winstona wstąpił na służbę przy osobie królewskiego brata, księżna Yorku powiła drugą córkę, nazwaną po matce Anną. Po dojściu do pełnoletności, miała ona być zdumiewająco kapryśna, czasami hojna i wspaniałomyślna w stosunku do swych faworytów, jak wróżka z bajki, kiedy indziej złośliwie odbierająca swe fawory. Z chwilą jej urodzenia, na politycznej scenie znalazły się już prawie wszystkie główne osoby, z których lojalnością, przyjaźnią, wrogością i zdradami związały się losy Johna i Sary Churchillów.

Przychylność, z jaką księżę Yorku odniósł się do swego nowego pazią podczas balu w Whitehallu, pogłębiała się jeszcze, może dzięki dyskretnemu wpływowi Arabelli. W każdym razie wydawało się, że Jakub polubił chłopca, miłego i skromnego w obejściu, uprzedzającego księżęce życzenia i z wyraźną radością towarzyszącego swemu panu w pełnieniu jego obowiązków jako księcia i wodza.

Za czasów feudalnych paziowie ćwiczyli się w sztuce wojennej i awansowali na giermków, a później na rycerzy. Pod koniec XVII wieku paź miał już funkcje tylko dworskie. Asystował przy ceremonii ubierania w sypialni, stał za krzesłem swego pana przy posiłkach, podając mił półmiski i dolewając do kielicha, przynosząc serwety do obcierania ust i palców. Wszystko, co mogło być ciekawsze, zależało od dobrej woli czy też kaprysu pana. Paziowie często hałasowali i wszczynali sprzeczki między sobą, wcześniej też zazwyczaj zabierali się do kielicha i kości. John stronił od tego. Był poważnym młodzieńcem, a najchętniej służył księciu - żołnierzowi i marynarzowi - w jego wojskowych zajęciach.

W parę miesięcy po objęciu służby przez Johna księżę zabrał go ze sobą na przegląd dwóch brygad gwardii pieszej. Księcia uderzyło niezwykle zainteresowanie pazią manewrami. Gdy popełniono nieznaczny błąd, chłopiec zachnął się mimo woli i wykrzyknął:

- Nie, ależ nie! Nie tak!

Ubawiony i zarazem uderzony słuszością reakcji, księżę zaczął rozpytywać pazią i ze zdumieniem przekonał się, że chłopiec opanował prawie do perfekcji teorię marszruty wojskowej.

- Nie będziesz długo paziem - powiedział księżę. - Jaki zawód chciałbyś praktykować?

- Zawód wojskowy, wasza księżęca mość. - Zapewne niejeden sprytny chłopiec w wieku Johna mógłby uznać, że w danej chwili będzie to najstosowniejsza odpowiedź, zresztą do niczego nie zobowiązująca. Ale John mówił dalej, przyklękając przed księciem: - Ośmielam się błagać waszą księżęcą mość, bym mógł zostać oficerem jednego z tych dwóch regimentów, których ćwiczenia teraz widziałem!

W niedługim czasie, mając zaledwie szesnaście lat, paź księcia otrzymał nominację na chorążego gwardii pieszej. John Churchill postawił pierwszy krok w zawodzie, który miał mu dać sławę, naczelné dowództwo nie tylko nad wojskami angielskimi, ale europejskimi i tytuł księżęcy. Rozpoczął karierę, którą jego potomek w XX wieku, jeszcze jeden Sir Winston Churchill, miał nazwać „drogą niezwykłego geniusza wojny”.

Rozdział 3

DWORZANIN, ŻOŁNIERZ, KOCHANEK

Krzyż czerwona farbą koślawo namalowany na drzwiach i na następnych obok, i jeszcze na następnych. Dzień był duszny, upalny, w początku czerwca tego samego roku, kiedy John zaczął służyć przy dworze. Wysłany z poleceniem od księcia, szedł ulicami śródmieścia Londynu. Przystanął jak wryty, chwycił oddech w piersi: czerwone krzyże! Do Londynu nadciągnął nieprzyjaciel wielokroć straszniejszy, bezwzględniejszy od wrogiej armii; nadciągnął ukradkiem, jego obecności najpierw prawie nie zauważono; nawet medycy ledwie się spostrzegli a już nagle wtargnął wszędzie, rozpościerając śmiertelne macki: dzuma.

Londyn był idealną ofiarą dla takiego wroga. Zasadniczo stolica zamykała się w obrębie dawnych, średniowiecznych murów miejskich. Ale w murach i poza murami żyło już blisko pół miliona ludzi, dziesięciokrotnie więcej, niż w jakimkolwiek innym mieście królestwa. Rozmnożyła się biedota, mieszkająca w nędzy i brudzie. Tłumy co i rusz wylęgały w desperacji na ulice, hałasujące, zbrojne w pałki i kije, groźne. Dzisiejsze wielkomiejskie dzielnice, jak Kensington i Hampstead, były jeszcze ubogimi wioskami. W śródmieściu budynki były drewniane! nad wąskimi ulicami wystawały werandy i balkony, w zakątkach wieczorami czatowali w ciemnościach rabusie, złodziejaszki, czasem bandyci najęci przez jakiegoś magnata dla pomsty.

Środkiem ulic, zwłaszcza w deszczową porę, płynęły otwartymi rynsztokami cuchnące strumienie. John szybko się nauczył, że trzeba się bacznie wystrzegać gospodyń energicznym chluśnięciem wylewających z drzwi lub okien zawartość wiader i nocników. Browary, mydlarnie i farbiarnie napępniały powietrze, jak pisze w swych diariuszach Evelyn, „wstrętnym odorem i kłębami dymu, zaciemniającego nasze kościoły i pałace, brudzącego naszą odzież, zatruwającego wodę”. Nie istniały publiczne ustępy, a Samuel Pepys opisuje, jak jego żona „tutaj w kątku pod murem załatwiła swoją potrzebę”.

Na szerszych, brukowanych kocimi łbami ulicach bywało rojno. Johna bawiły nawoływania przekupniów, zachwalających swoje towary - sery, ryby, garnki, pułapki na szczury. Nocami stróże miejscy przechodzili, obwołując: „Godzina pierwsza, ciepła, deszczowa noc!”

Sklepiki były małe, ciasne, o wąskich oknach wystawowych, na których osiadał brud i sadze, nie pozwalając dostrzec wyłożonych towarów. Blaszane szyldy ze znakami, głoszącymi rodzaj rzemiosła czy handlu, wywieszane nad wejściem, skrzypiały i kołysały się na wietrze, nierzadko spadając na głowę przechodnia. Poza śródmieściem gnieździli się najubożsi, mieszkający w istnych norach i byle jak skleconych drewnianych barakach.

Od chwili gdy John po raz pierwszy zobaczył przerażające krzyże, dzuma zagarniała coraz więcej ofiar. Trzystu pogrzebano pierwszego tygodnia, potem siedmiuset, a we wrześniu wozy zabierające zmarłych nie mogły nadążyć z wywożeniem zwłok, które zalegały ulice. Londyn« umierał. Wszelkie hałasy i nawoływania na rojnych dawniej ulicach ustały; jedynie do wtóru pogrzebowych, bez ustanku bijących dzwonów, rozlegał się posępny, monotony okrzyk: „Wynoście zmarłych!” Zwłoki

do otwartych dołów wrzucali grabarze, osłonięci dziwną odzieżą, przygotowani do swych czynności pić alkoholu. W przekonaniu, powszechnym podówczas, że zarazę można wypalić, mieszkańcy rozpalali ogniska przed wejściami do domów. Mężczyźni oblegali burdele wierząc, że syfilis chroni przed zakażeniem dżumą.

Kto mógł, opuszczał miasto śmierci. Ale wiele okolicznych miast pozamykało bramy i nie wpuszczało londyńczyków. Do pierwszych, którzy wyjeżdżali ze stolicy, należeli ci najbardziej potrzebni: lekarze i wyższy kler. Chroniono ich, by mogli kurować wapory dam dworu lub ozdabiać strojnymi szatami ceremonie i uroczystości. John Churchill pracował bez tchu, pomagając przy przeprowadzce dworu księcia Yorku na zachód, do Hampton Court - pałacu, wybudowanego niegdyś przez kardynała Wolseya u szczytu jego kariery i władzy. Później zamieszkiwał tu król Henryk VIII, z kolei królowa Elżbieta. Król Karol pozostał w Whitehallu tak długo, jak to było możliwe, wreszcie przeniósł się do Oksfordu z całym dworem, królową i lady Castlemaine, właśnie oczekującą rozwiązania: miała obdarzyć swego królewskiego kochanka trzecim potomkiem.

Z wiosną roku 1666 dżuma zaczęła wreszcie ustępować i z wolna odeszła z opustoszałego miasta, z łaski opatrności i po wymarciu mieszkańców raczej, niż dzięki jakimkolwiek środkom prewencyjnym. Dwór powrócił do stolicy, a razem z nim i John Churchill. I niebawem spadła nowa klęska na Londyn, krócej trwająca, ale niosąca nie mniejszy ładunek nieszczęścia.

Nocą w niedzielę drugiego czerwca 1667 roku John spał, jak zazwyczaj, w swoim łóżku przed drzwiami sypialni księcia Yorku. Obok stało łóżko, jeszcze nie zajęte, szambelana sypialni. Chłopak obudził się i usiadł, z nozdrzami pełnymi swądu i dymu. Przez korytarze pałacowe biegł szambelan, krzycząc:

- Londyn się pali! Londyn się pali!

Samuel Pepys, cały czarny od sadzy, z osmalonymi brwiami i peruką, przyniósł wiadomości królowi:

- Pożar wybuchł na Petticoat, w piekarni dworskiej. Jakiś dureń czeladnik zapomniał wygarnąć popiół, spod pieców chlebowych. Tuż obok piekarni jest... to znaczy był skład drewna i smoły. A teraz silny wiatr wschodni niesie ogień do śródmieścia, gdzie domy zapalają się jak hubka... całe ulice płoną...

Oboje królestwo z księciem Yorku i Johnem opodal przyglądali się z okien pożodze.

- Co na to rajcowie miejscy? - pytał król.

- Nic, wasza królewska mość, nic. Burmistrz stoi i/ęce załamuje! Mieszkańcy, jak kto może, ratują własny dobytek z narażeniem zdrowia i życia. Na rzece widziałem barki załadowane wszelkimi dobrami z domu hrabiego Clarendona, a i inni poszli za jego przykładem. Każdy się troszczy o swoje, nikt o gaszeniu pożaru nie myśli.

Jakub chwycił brata za ramię, mówiąc:

- Proch. To jedyny sposób. Wysadzić w powietrze wszystkie domy na drodze ognia.

Obaj królewscy bracia z poczem dworzan, włącznie z młodym Johnem, wyjechali na miasto. Płomienie pożerały ulicę za ulicą. Pałace bogatych kupców otaczała zieleń i trawniki, ale ogrodzenia były przeważnie drewniane, najwyżej pokryte tynkiem. Ulice zatarasowały wozy, wózki, konie obciążone dobytkiem uciekających. Służba szła przed królewskim poczem, wołaniem i płazowaniem robiąc wolne przejście. Pochodni nie potrzebowano: było widno jak w dzień.

Przez cały poniedziałek ogień szalał. Karol stanął osobiście na czele walki z żywiołem. Zebrano robotników do burzenia i wysadzania w powietrze budynków, by przeciwstawić pożarowi pustą

przestrzeń. Król wydawał rozkazy, zachęcał, rzucał pracującym garściami monety, wołał:

- Jestem waszym dowódcą! Na wroga!

Zeskoczył z konia, chwycił łopatę i wiadro do ręki. W ślad za nim Jakub i dworzanie.

John Churchill, zawsze płodny epistolograf, chociaż na bakier z ortografią, opisywał te zdarzenia w liście do Arabelli, która naówczas przebywała na wsi:

„Po krótkiej chwili całego mnie pokryły sadze, oczy łzawiły od dymu. Król i księżę wyglądali tak samo. Ich zapał wszystkim się udzielał. Postanowiłem udowodnić com wart, idąc za takim przykładem. Na rozkaz księcia przynoszono proch. Ale niesione wicherem płomienie wciąż przeskakiwały uczynioną lukę i dalej czyniły dzieło zniszczenia. Nagle posłyszeliśmy nowy okrzyk: „Święty Paweł!” Płomienie lizwały wieże katedry. Roztopiony ołów z dachu spływał na ulicę. Podobny był do krwi. Wprędce cały gmach stanął w ogniu... Pożar strawił dziesięć tysięcy budynków w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin. Jednak każdy trudził się z ochotą. Wszyscyśmy stali, jego królewska mość i księżę» po kolana w wodzie, a gruzy leciały wokół nas. Gdybyśmy nie byli tak zaciętrzewieni w robocie, spoceni, z poparzonymi rękoma, toby nas przeraził widok dookoła. Syk płomieni, rumor walącego się drewna, brzęk szkła, lamenty ludzi bez dachu nad głową, starych i młodych. Ale królewscy bracia tak nam przewodzili, że nie było kiedy się rozejrzeć ani poczuć strachu...”

Wichura nie ustała aż do czwartku, kiedy nareszcie można było opanować pożogę. Gruzy wciąż dymiły, pod nieostrożną stopą parzyły jeszcze miesiącami. Cudem prawdziwym podobno nikt życia nie stracił. Ale dziesiątki tysięcy koczowało pod gołym niebem, wlokąc za sobą żalosne szczątki dobytku, które ocalili.

„Nigdy nie zapomnę, jak się zachowywali jego królewska mość i księżę - pisał dalej John. - Jak się narażali, jak bardzo są przywiązani do stolicy i jej mieszkańców...przysiągłem sobie wówczas, że cokolwiek by się ze mną stało, będę im zawsze wierny...”

Młodzieńczy entuzjazm, szczery podówczas. Nikt nie mógł przewidzieć, na jaką próbę będzie wystawiona jego wierność.

„Stałem tuż za nimi... nasze ręce w bandażach... razem z królową i księżną na dachu Whitehallu, który ocalał, jak opactwo westminsterskie i Tower, z racji swego położenia na wschód od ulicy Pudding Lane. W powietrzu wciąż jeszcze fruwały sadze i zwęglone pyły. Dawne wspaniałe gmachy zmienione w czarne kadłuby. Król ze smutkiem potrząsał głową. Potem twarz rozjaśnił i rzekł: No cóż, może teraz Christopher Wren i ja będziemy mogli zbudować takie miasto, o jakim często wspólnie marzyliśmy...”

Król z dworzanami znowu wyszli, by w nieszczęściu być razem z mieszkańcami Londynu. John słyszał, jak król powtarzał dookoła:

- Żywność i odzież są już w drodze. I pieniądze także. Będziecie, dostawać pomoc, jak długo zajdzie potrzeba. Ani też nie wybuchnie nigdy więcej taki pożar. Odbudujemy miasto z cegły i kamienia... piękniejsze miasto, lepiej rozplanowane.

Król rozdał osobiście wszystko, co miał, i później oznajmił parlamentowi:

- Jeśli zajdzie konieczność, zastawimy nasze okręty. Ludzi trzeba nakarmić.

Patriarchalizm. Ale dobre, wspaniałomyślne serce. Podczas wielkiego pożaru i po tej klęsce Karol i Jakub - pierwszy ponoć rozleniwiony i folgujący sobie we wszystkim, drugi znany z bezwzględności i samowoli - ukazali się z lepszej strony. Więcej też podówczas troszczyli się, nie dbając o własne bezpieczeństwo i własne sakiewki, o swoich rodaków, niż kiedykolwiek wcześniej

czy później w ich życiu.

Ale pomimo tego ludność, bezdomna i głodująca, w obliczu wielkich strapień, wobec gwałtownego wzrostu cen, narzekała i szemrała. Pierwszy poryw wdzięczności dla królewskich braci minął. Nieszczęście pozbawiało ludzi zdrowego rozsądku. Rzucano oszczerstwa, szukano kozła ofiarnego.

- To obcokrajowcy...

- I papiści...

- Oni rzucali ogniste kule... - Złośliwie, zbrodniczo...

- Ale król był z nami...

- Jednak on osłania obcych i papistów, ma portugalską, katolicką królową z całym dworem zakonnic i klechów...

- A pamiętacie, jak się król uśmiechał, kiedy nam wiadra podawał? Bo on się cieszył. Chciał się zabawiać budowaniem, a teraz, dzięki pożarowi ma sposobność...

- c A mnie się wydaje, że on się radował, kiedy pożar trawił miasto, które ścięło głowę jego ojcu...

Gdy donoszono królowi o podobnych rozmowach, toczących się w karczmach, zajazdach i na ulicach, Karol słuchał z niezmaconym spokojem:

- Puste żołądki zaćmiewają umysł - powiedział. - A nieszczęście rozwiązuje złośliwe języki. Muszą kogoś obwiniać.

Gdy wywożono gruzy i zrównywano wypalone kadłuby, król i Christopher Wren - mianowany „Pierwszym nadzorcą i głównym architektem dla odbudowy” - ślęczeli nad planami miasta. Nowe, szerokie, celowo zaplanowane ulice, wspaniałe gmachy. Karol chciał wszystko od początku zbudować po nowemu. Powstrzymały go chłodniejsze, bardziej realistyczne umysły królowej i Wrena.

- Skąd się weźmie na to pieniądze? - pytali.

Katarzyna może by i miała ochotę zaproponować, by ująć królewskim nałożnicom co nieco z ich różnymi metodami zdobywanych fortun. Ale wiedziała, kiedy trzymać język za zębami, chociaż sama nie miała pieniędzy nawet na nową suknię z okazji ceremonialnej uroczystości.

- Wszędzie tam, gdzie dawne fundamenty były murowane, więc ocalały, musimy je wykorzystać i zużytkować - nalegał Wren. - Inaczej za długo by to trwało. Handel by zamarł, kraj doszedł do ruiny. Ludzie nie mogą czekać na domy.

Marzenia króla trzeba było przykroić na miarę rzeczywistości. W rezultacie uboższe, peryferyjne dzielnice podnosiły się z ruin mniej więcej według dawnych wzorów i dalej szerzyły brud i zarazę, chociaż epidemia dżumy na taką skalę już nie wróciła. Natomiast powstała nowa dzielnica centralna, stosunkowo przestrzenna, o ulicach szerokich, bez wyższych pięter wystających nad głowami przechodniów. I nowa katedra św. Pawła: nie gotycka, lecz w szlachtetnym stylu klasycznym, jak w starożytnej Rzymie. To arcydzieło sztuki Christophera Wrena miało trwać nietknięte aż do chwili, w dwa i pół wieku później, gdy zdruzgocą je pociski lecące z nieba.

Karol II i jego poddani niedługoj zaznali chwili wytchnienia. Spadła na nich nowa katastrofa. W rok po wielkim pożarze Holendrzy, wiedząc, że Anglia jest osłabiona, że nie ma ludzi ani pieniędzy - wysłali flotę wojenną do ujścia Tamizy. Między Anglią a Holandią nieustannie wybuchały konflikty, zrodzone z rywalizacji o posiadłości zamorskie i szlaki handlowe. Okręty angielskie - nieliczne, załogi uszczuplone głodem, żołd z dawna nie wypłacany - wyszły na morze pod wodzą księcia

Yorku, by stawić czoła potężnej armadzie najeźdźców, nierównie liczniejszej, z załogami dobrze odżywionymi, przygotowanymi do walki.

John Churchill błagał i zaklinał swego pana, by wziął go ze sobą na pokład. Książę odmówił. Ocaliło to może życie młodzieńca, gdyż Holendrzy rozerwali żelazne łańcuchy, przeciągnięte dla obrony od brzegu do brzegu przez rzekę, z salw armatnich zbombardowali wybrzeża, terroryzując mieszkańców, spalili angielskie statki handlowe, przycumowane przy molach, zdruzgotali wszelką obronę i odpłynęli, holując za sobą - ostateczna zniewaga! - najnowszy, najpiękniejszy okręt królewski „Royal Charles”. Anglicy zwiesili głowy we wstydzie i hańbie.

Z trudem sklecono angielsko-holenderski traktat pokojowy. Ale niejednemu zdawało się, że Bóg zaiste odwrócił oblicze od wyspiarskiego królestwa. Morowa zaraza, wielki pożar, a teraz haniebna klęska na morzu - wszystko w ciągu zaledwie trzech lat. Król, rozpoczynając wymarzoną odbudowę Londynu, której końca nie miał zresztą za życia oglądać, nie przejawiał żadnych oznak strapienia. Folgował sobie po dawnemu. Tym razem z aktorkami. Moll Davies i...

John wyjechał odwiedzić ojca, złożonego ciężką chorobą. Po powrocie zobaczył pewnego wieczoru młodą kobietę, która weszła do komnat królewskich tuż za Lady Castlemaine, zabawnie naśladowując jej wyniosłe maniery i uniesioną w górę głowę, jakby niosła na niej koronę. Wyborna imitacja. Nawet król przyłączył się do ogólnego wybuchu śmiechu, którego powodu Lady Castlemaine była w pierwszej chwili nieświadoma. John zerknął pytająco na Samuela Pepysa. Sławny pamiętnikarz od czasu rekomendacji księcia Yorku wziął młodzika pod swoje skrzydła, a teraz odprowadził go opodal.

- Najświeższa u jego królewskiej mości - zaszeptał. - Neli Gwynn. Śliczniutka, nie uważasz? Ma ciepły, niski głos, lekką nóżkę, kształtną pierś, a na dokładkę serce ze złota. Jeszcze dwór nie widział królewskiej kochanki tak szczerej, naturalnej, wdzięcznej... Cały Londyn szaleje za nią!

Galanci wielkomiejscy znali dobrze Neli Gwynn, choć od czasu, gdy Karol wziął ją do swego łóżka, z nikim innym nie miała do czynienia i żartami każdego zbywała. Ale znali ją też stróże, znali żebracy, znało wielu; których spotkało nieszczęście.

- Trzyma króla przy sobie - szeptał dalej Pepys - wesołością i dobrocią tyle samo, co i ciałem... a cudne to musi być ciało! - Tu Pepys westchnął, głową pokiwał w rozmarzeniu.

Neli Gwynn urodziła się w suterynie, jako dziecko roznosiła ryby na handel. Później sprzedawała pomarańcze w kramie na rynku warzywno-owocowym w Covent Garden. Swoją niewinność, długo bronioną, wymieniła wreszcie za rolę aktorki; na scenie cieszyła się takim samym powodzeniem jak wszędzie. Otwarcie nazywała króla swoim Karolem Trzecim, ponieważ miała poprzednio dwóch kochanków tego imienia.

Królowa Katarzyna jeszcze raz poroniła - mówiono, że z powodu utrapień, jakich jej przyczyniały miłostki królewskiego małżonka, którego mimo jego wad, zawsze głęboko kochała. Pozycja księcia Yorku, u którego służył John Churchill, wzmocniła się jeszcze, jako domniemanego następcy tronu.

Któregoś dnia młody Churchill zwrócił się do Pepysa z nieśmiałą skargą:

- Nużę mnie dworskie rozrywki. Jako oficer wojsk królewskich powinien bym chyba mieć więcej musztry, ćwiczeń... Bardzo chciałbym zaznać czynnej służby wojskowej.

- Słusznie mówisz, chłopcze - zgodził się Pepys. - Za wiele dworskiego życia w młodych latach czyni mężczyznę gnuśnym i próżnym. Pomówię z księciem. Chciałbyś pojechać do Tangeru?

- Nie mam żadnych preferencji. Chcę tylko zmiany, ruchu, czynnej służby... może przygód...

Tak więc rzecz załatwiono. Churchill pojechał do Tangeru, portu na wybrzeżu afrykańskim naprzeciwko Gibraltaru. Było to miasto egzotyczne i piękne, zbudowane na kształt amfiteatru nad zatoką, z cytadelą i zamkiem u szczytu, z rojną od statków przystanią i wybiegającym w głąb morza nabrzeżem. Na stromych uliczkach cisnął się barwny tłum Arabów, sprzedających najróżniejsze towary; owoce i żywność, naczynia wypalane z różnokolorowej glinki, tkaniny i przedmioty ze skóry i z metali, małe arcydziełka sztuki rękodzielniczej. Tanger stanowił część posagu, jaki Katarzyna z Braganzy wniosła Karolowi II. Posługiwano się portem jako ośrodkiem ćwiczeń wojska i floty, urządzając wyprawy przeciw piratom, którzy plądrowali wybrzeża Barbarii. Nad morzem klimat był łagodny, ale w głębi lądu suchy i gorący. Żołnierstwo niechętnie wyjeżdżało do Tangeru, dokąd żołd dochodził nieregularnie i gdzie musztry, manewry, a nierzadko i krwawe utarczki odbywały się w upalnym, prawie podzwrotnikowym słońcu. Pepys miał odpowiednie kontakty, by umieścić tam młodego Churchilla, ponieważ zawarł prywatną umowę o dostawę żywności dla garnizonu i zbijał na tym małą fortunę.

Należy przypuszczać, że John pisywał do rodziny, jak zwykle sążniste listy: ale nic się nie zachowało z tej korespondencji. Mało więc wiadomo o tych dwóch pierwszych latach jego czynnej służby wojskowej. Przybył do Tangeru z listem polecającym do gubernatora. Być może przyczyniło się to do gorących pochwał, z jakimi komendant garnizonu raportował o służbie młodego oficera, którego ranga wojskowa ani pochodzenie nie usprawiedliwiały wyróżnienia. Maurowie często napadali na miasto. Zachowanie Churchilla przy takich okazjach, jak i zawsze, było ponoć wzorowe. Jego zwierzchnik pisał:

„Mogę z całą szczerością stwierdzić, że spośród stacjonujących tutaj chorążych nie ma żadnego, który by pod względem rozumu, dyscypliny i energii Churchillowi dorównywał. Stanowczy wobec podwładnych, zarazem zyskał sobie ich zaufanie. Prowadził samodzielnie kilka wycieczek na Maurów, obmyślając zręczne zasadzki. Nie dba o niebezpieczeństwa, ale nie hazarduje się lekkomyślnie. Ciężki trud podejmuje z chęcią i jest jednym z niewielu, którzy nie narzekają, gdy, jak to się nierzadko zdarza, żywność jest monotonna i w podłym gatunku”.

W Anglii król podpisał z Ludwikiem XIV traktat w Dover, utrzymywany w takiej tajemnicy, że nawet angielscy ministrowie nie znali głównych punktów ani obligacji, nałożonych na sygnatariuszy. Karol otrzymał poważne subsydia z Francji, a w zamian miał oficjalnie ogłosić się katolikiem i uczynić wszystko, co możliwe, by Anglia powróciła do papieskiej owczarni. Król z pewnością skłaniał się ku wierze katolickiej. Jednakże otrzymawszy pieniądze, pod różnymi pretekstami zwlekał z decyzją, która, jak wiedział, za jednym zamachem przekreśli popularność, jaką się cieszył u poddanych. Był oportunistą, zawsze podchwytywał trafiającą się szansę, zawsze odkładał i wykrecał się od realizowania postanowień, podjętych na dalszą metę. Traktat przewidywał również, że gdy Ludwik będzie gotowy do wypowiedzenia wojny Holendrom - na których ziemie od dawna miał chrapkę - Anglia przyłączy się do niego z pomocą militarną.

Ludwik XIV wyekspediował do Londynu słynną na wersalskim dworze piękność, Luizę de Keroualle, ze szczególnymi instrukcjami, jak daleko ma się posunąć - bez ograniczeń - by zdobyć zaufanie Karola i poznać jego najtajniejsze zamysły. Charles de Saint-Everemond człowiek wykształcony i światowy, Francuz przebywający od dawna na angielskim dworze zachęcał ją radami, być może zbędnymi:

„Szczęśliwa ta kobieta, która postępuje z dyskrecją, nie kładąc tamy swym inklinacjom! Bo chociaż skandalem jest miłować bez hamulców, to jednak dla kobiety upokarzającym wyrzeczeniem

jest przejść przez życie bez miłości. Nie odrzucaj więc nadto surowo pokusy... ulegnij jej ^słodczy, miast radzić się własnej pychy...”

Kiedy John Churchill’ powrócił z Tangeru, Luiza de Keroualle zastąpiła lady Castlemaine w roli głównej - co wcale nie znaczy jedynej - kochanki królewskiej. Miała urodę o wyglądzie niewinnym, opisywanym przez Evelynę jako „dziecięcy”, i bujne kształty. Nie brak jej było sprytu, ekstrawagancji i rozrzutności. Nieco później otrzymała tytuł księżnej Portsmouth z apanażami, wynoszącymi £ 8.600 rocznie. Pomimo tego i pomimo sporych sum, przesyłanych jej przez tego mistrza kukiełek, Ludwika XIV z Francji, Luiza wciąż zwracała się do Karola, by popłacił jej długi. Jednego razu wyniosły one £ 30.000. Była to kochanka równie despotyczna i nienaturalna, jak poprzednio Barbara Castlemaine. Na dworze jedna jedyna Neli Gwynn - zawsze w łaskach, niezmiennie aż do śmierci króla - umiała sobie z nią poradzić, a nawet ją przechytryć.

Wkrótce po powrocie Churchilla do kraju zmarł we Francji najstarszy z de Rohanów, głowa tego słynnego arystokratycznego rodu francuskiego. Następnego dnia John był wśród tych, którzy ujrzeli Luizę de Keroualle - nie spokrewnioną z tym rodem: nie była nawet szlacheckiego pochodzenia - jak weszła na komnaty dworskie, obleczone cała w żałobne welony, niczym wdowa. Minął dzień i oto Neli Gwynn zjawia się również cała w czerni. Zapytana przez Karola, co jest powodem tej żałoby, Neli uniosła z twarzy ciężki welon i głosem donośnym a patetycznym, przerywanym łkaniem, odpowiedziała:

- Och, najjaśniejszy panie! Wielki chan Tatarów... zmarł wczoraj! Król odrzucił wszelkie protesty rozwścieczonej Luizy. Pokładał się ze śmiechu, razem z całym dworem.

Neli Gwynn urodziła królowi zdrowego, pięknego chłopca, o którym bez ceremonii mówiła do ojca: „Twój mały bękart!”

- Nie możesz go tak nazywać - upomniał ją Karol.

- Najjaśniejszy panie, on nie ma innego miana.

- Więc będziesz go zwała księciem St. Albans. Każę w kancelarii wygotować dokumenty. - I tak się stało.

Londyńczycy nienawidzili Luizy de Keroualle -> cudzoziemki, papistki, chciwej i pysznej. Ale kochali Neli. Pewnego dnia ulicami jechał bogaty, poślaczony ekwipaż dworski, wioząc zawołowaną młodą damę w strojnych szatach. John Churchill był właśnie na mieście i zobaczył, jak wrogie tłumy zaczęły się cisnąć wokół powozu, obrzucając szyderstwami i obelgami damę, którą przyjęto za „Mademoiselle” z Francji. Groźne ręce ujmowały kije i kamienie. John ze swym towarzyszem przeciskali się przez gniewny tłum, spiesząc na ratunek, kiedy nagle okna karety się otworzyły, dama zrzuciła woale i tłumom ukazała się Neli Gwynn, wołając ze śmiechem:

- Zacni ludzie, to ja, protestancka kurwa, nie katolicka! Dajcie mi przejechać!

Johną tłum, cisnął teraz wstecz: ze śmiechem i wiwatami ludzie cofali się, zostawiając wolną drogę. Usłyszał, jak któraś kobieta powiedziała:

- Może i kurwa, ale o złotym sercu i ciętym języku! Nasza Neli! Podchorąży Churchill stał się niebawem faworytem dam dworu.

Urodziwy, pięknej postawy, „nie zbywało mu na żadnym wdzięku” jak to określił ktoś, kto go skądinąd nie lubił. Był też ambitny. Postanowił sobie zdobyć sławę i fortunę, gotów był wiele poświęcić, by” te cele osiągnąć - mawiali później niektórzy, że nawet honor. Teraz zyskiwał sobie względy sposobami znanymi od wieków przedstawicielom obu płci - spędzając noce we właściwych łóżkach.

Hrabina Castlemaine pieniała się z gniewu na króla¹, który chociaż sypiał z nią od czasu do czasu, jednakże umieścił ją na trzecim miejscu, po Luizie de Keroualle i Neli Gwynn. Przychylnym okiem spojrziała więc na młodziutkiego oficera, który jako paź zachwycał się nią na balu dworskim i mówił o niej do księcia Yorku jako o najpiękniejszej ze wszystkich. Pewnego wieczoru pochyliła się ku Johnowi i za wachlarzem wyszeptowała doń kilka słów. Nie było to błahostką dla dworzanina niskiej rangi zaryzykować nocną wizytę u jednej z królewskich kochanek. Ale lady Castlemaine nadal była godna pożądania - i nadal miała wpływy, które mogły wynieść go na zawrotne wyżyny, lub pograżyć. Podchorąży, który dzielnie stawiał czoła piratom Barbarii, nie uląkł się i tego wyzwania. Na moment wzrok ich skrzyżował się - i John schylił głowę w ledwo dostrzegalnym ukłonie.

Pokojówka, widać uprzedzona o jego nadejściu, wpuściła Johna bocznymi drzwiami do pałacu lady Castlemaine, zaprowadziła schodami na górę, do komnaty, zamknęła za sobą drzwi. Czekając na panią domu, John rozglądał się ciekawie. Apartamenty Barbary słynęły jako najwspanialej urządzone - prócz królewskich - w całym Londynie: cuda opowiadano o bezcennych makatach, malowidłach, marmurowych rzeźbach; szczerozłota zastawa stołowa, kryształowe kielichy z Wiednia. A sypialnia, w której teraz John się znalazł: ściany i sufit pokryte zwierciadłami, dywany grubości kilku centymetrów, nagie figurynki z francuskiej porcelany w wyuzdanych pozach i wielkie łoże pod baldachimem, zasłane puchowymi materacami i jedwabiami. A jednak ani lady Castlemaine, ani nawet Luiza de Keroualle nie mogły się poszczycić luksusem, którym dysponowała królowa: łazienką z marmurową wanną, do której za pokręceniem srebrnego kurka leciała ciepła woda, grzana w kuchniach Whitehallu.

Podniecony, ciekawy, trochę zdenerwowany, John podszedł do okna, zerknął przez szparę między ciężkimi adamaszkowymi firankami: ogród w blasku księżyca, drzewa i srebrna poświata na Tamizie.

Za nim otworzyły się drzwi - nie te, przez które go wpuszczono. John odwrócił się szybkim ruchem. Barbara Palmer, hrabina Castlemaine, kochanka króla, matka czworga jego bastardów. Z wysoko uniesioną głową, dumna ze wszystkiego czym była, ofiarowała oczom młodego oficera - postać zupełnie naga, wyzywająco wyprostowaną, o kształtach bujnych, zmysłowych, piersiach pełnych, lecz kształtnych.

Nieco później para leżała w uspokojeniu na rozrzuconej pościeli wielkiego łoża, spoglądając na własne odbicia w zwierciadłach wokół nich i nad nimi.

- Czy jestem godna być królewską kochanką? - spytała Barbara.

- Nawet Venus sama nie dorównałaby tobie - odrzekł John. Klucz obrócony ostrożnie w zamku.

Drzwi, przez które wszedł Churchill, uchyliły się odrobinę. Przez szparę szeptał:

- Milady... jego królewska mość zbliża się do pałacu...

Drzwi się zamknęły. Klucz obrócił się w zamku. Ale nie tylko pokojówka Barbary miała ten klucz.

Znikły od razu wyniosłe maniery, duma z własnej, nagiej piękności. Barbara usiadła z wytrzeszczonymi oczyma, szczeka jej opadła, ręką chwyciła się za gardło, sparaliżowana strachem.

- Zabije nas oboje! - wykrztusiła.

Książę Buckingham, jeden z głównych ministrów królewskich, od kilku już tygodni pocieszał lady Castlemaine po częściowej utracie kapryśnych królewskich faworów. Byстрыm okiem doświadczonego dworaka dostrzegł konspiracyjne zмовy hrabiny i Johna Churchilla.

Z uniesionymi w górę brwiami, a ściągniętymi ustami doradził jego królewskiej mości, by

zechciał się udać do pałacu Castlemaine tej nocy, a być może znajdzie tam coś, co go zainteresuje.

John Churchill nie stracił głowy. Energicznym ruchem wypchnął kurtyzanę z łóżka.

- Do buduaru! - zawołał rozkazująco.

Pośpiesznie uporządkował łożę, chwycił z podłogi swoje odzienie, wciągnął spodnie i skoczył do okna. Zsunąwszy za sobą zasłony, wyrzucił przez okno do ogrodu buty, koszulę, surdut. Zsunął się zręcznie po gałęziach pnączy, obrastających ścianę, na podmurówkę i ubrał się w zaroślach wysokich krzewów, osłaniających go od strony okien.

Gdy król przeszedł przez sypialnię do buduaru Barbary, zastał ją - już spokojną, i opanowaną - siedzącą w peniuarze przed toaletką i szczotkującą włosy w wielkim zamyśleniu. Ucieszona, podbiegła do Karola, zarzuciła mu ramiona na szyję:

- Nareszcie! Jak ja czekałam... tęskniłam...

Bodaj tylko ten jeden raz w życiu - nie zanotowano innego przykładu - John postąpił pochopnie, lekkomyślnie, bez zastanowienia i dokładnego obliczenia ewentualnych konsekwencji. I dzięki temu właśnie wydarzeniu położył podwaliny swej fortuny pod względem finansowym. Jakikolwiek hrabina miała wady, potrafiła być wdzięczna. Szybka decyzja i zręczność przypadkowego kochanka ocaliły jej pozycję na dworze, która, chociaż ostatnio pomniejszona, była tym niemniej bardzo lukratywna. Namówiła więc księcia Yorku, by mianował Johna szambelanem swojej sypialni, co było stanowiskiem pożądanym i dobrze płatnym; a sama dała mu w prezencie niebłahą sumę pięciu tysięcy funtów szterlingów. Obyczaje ówczesne, nie na najwyższym poziomie moralności, zezwalały bogatym kobietom Ofiarowywać kochankom kosztowne podarunki i pieniądze.

Mało kto rozważniej od Churchilla użył tej manny z nieba. Ubóstwo jego rodzinnego domu sprawiło, że Churchill nade wszystko pragnął zabezpieczyć się finansowo. „Wierny a niefortunny” - to rodzinne motto jego ojca bynajmniej mu nie odpowiadało. Za pieniądze otrzymane od Barbary, zapewnił sobie stały roczny dochód w wysokości pięciuset funtów, co mu wystarczało, niezależnie od jego dalszych losów, żyć w warunkach wygodnych, jeśli nie zbyt wygodnych.

Podczas chwilowych wyjazdów jego królewskiej mości z Londynu John miał sposobność znowu cieszyć się faworami hrabiny. Czy wiedział, że te fawory dzielił z nim jej własny stajenny i pewien akrobata - nie wiadomo. Jednakże powszechnie się przypuszcza, że John Churchill był ojcem piątego z kolei dziecka lady Castlemaine. Nawet król żywił pewne podejrzenia, ale jako człowiek honoru, nie mając dowodów, uznał dziecko za swoje, a jeśli do kogo powziął urazę, to wyładował ją na lady Castlemaine. Churchillowi Karol nawet okazywał przychylność i często brał go za partnera w tenisie, grając przeciw Jakubowi i księciu Buckingham.

Rozdział 4

„URODZIWIY ANGLIK” MARSZAŁKA TURENNE

- Twój świetny kunszt miłosny jako kochanka zasługuje na wyższy stopień wojskowy - powiedziała pewnej nocy, a właściwie już nad ranem, hrabina Castlemaine do Johna Churchilla. - Kupię ci promocję na kapitana.

- Przyjąłbym ze szczerą wdzięcznością - odrzekł jej partner. Dzięki temu można by snuć rozważania na temat, jak to w łóżku Barbary Castlemaine wzięła początek jedna z najświetniejszych karier wojskowych.

Kupno było zwyczajnym sposobem, za pomocą którego oficerowie uzyskiwali awanse, chociaż zapewne nie tak często się zdarzało, by pieniądze na ten cel wyłożyła królewska kochanka w nagrodę za wcale nie militarną sprawność.

Wkrótce kapitana Churchilla wraz z angielskimi oddziałami wysłano do Francji, gdzie wyróżnił się w oblężeniu holenderskiej fortecy Maastricht, we Flandrii. Ludwik XIV osobiście dowodził jedną ze swoich armii. Druga armia walczyła z elektorem brandenburskim w Alzacji, a trzecia przeciw Hiszpanom. Anglia przysłała na pomoc sześć tysięcy żołnierzy pod wodzą księcia Monmoutha, przy czym wszelkie koszty pokrywał Ludwik, który prócz tego zapłacił Karolowi gotówką £ 200.000 i przyrzekł wypłacać corocznie dalszych £ 240.000 dopóty, dopóki wojna będzie trwała. Księżę Yorku dowodził połączonymi anglo-francuskimi flotami, więc Churchill oszczędził od swego dawnego opiekuna. Niebawem jednak znalazł innych protektorów.

Poprzedniego roku, po zawarciu traktatu w Dover, wysunięto błahy fikcyjny powód do wypowiedzenia wojny Niderlandom i powiadomiono papieża o zamiarze narzucenia wiary katolickiej protestanckim Holendrom. Rzym przejawiał mniejsze zadowolenie, niż można się było spodziewać. W Watykanie obawiano się potęgi i ekspansjonistycznych zakusów Francji tak samo, jak obawiał się ich cesarz Leopold w Wiedniu. Gdyby Ludwik osiągnął swoje ambitne cele i opanował świat katolicki, potraktowałby wówczas papieża jedynie jako użyteczny w dyplomacji pionek, potrzebny do udzielania błogosławieństw nielegalnym procedurom międzynarodowym.

Do Maastricht razem z królem Francji wyprawiła się królowa oraz jego kochanka, Madame de Montespan, która w tym mieście urodziła mu córkę. Zaproszony również przez Ludwika księżę Monmouth przyjechał podziwiać splendory królewskie z grupą starannie dobranych o Cicerów, ze służbą i małym poczem żołnierzy. Prawdę rzekłszy, jeśli chodzi o oblężenie, to wszystko tam działało się głową Sebastiana de Vauban, głównego inżyniera, mistrza zarówno we wznoszeniu, jak i zdobywaniu fortec.

Wojnie zawdzięczał swoje wyniesienie w Holandii księżę Wilhelm Orański, którego obrano stadhouderem, czyli regentem, wszelako władzę jego bardzo ograniczały Stany Generalne. Holandia była krajem bogatym, handel zamorski przynosił wielkie dochody, miała-też silną flotę wojenną dla obrony swych oceanicznych szlaków. Pobudowano cały system tam i rowów, by zapobiegać zalewaniu przez morze niżej położonych ziem, natomiast fortyfikacje od strony granic lądowych

uległy zaniedbaniu, a wojska lądowe były nieliczne. W pierwszym roku wojny Wilhelm, nie mogąc sobie poradzić z naciskającym nieprzyjacielem, musiał wydać rozkaz otworzenia śluz i zalania kraju, by powstrzymać pochód Francuzów. Z przygranicznych fortec pozostał mu jeszcze tylko Maastricht.

Sympatie Anglików kierowały się raczej ku protestanckim Holendrom, niż katolickim Francuzom. Ludwikowi XIV nie ufano. Gdyby podbił Niderlandy, mógłby z kolei pomyśleć o inwazji na Anglię i o przymusowym nawracaniu jej na katolicyzm. Ambasador Courtin donosił Ludwikowi: „Anglicy nas nienawidzą i tylko szukają pretekstu, by jawnie swą wrogość okazać”.

Obleganie twierdz było najważniejszym elementem wojen na kontynencie w owych czasach. Bitwy rozgrywano przede wszystkim między oblegającymi, a spieszącymi na odsiecz. Dowódcy starali się raczej unikać walnej bitwy, w której brałyby udział wielkie ilości żołnierzy. Jedna decydująca klęska mogła znaczyć unicestwienie całej armii” a kariera wojskowa niefortunnego generała byłaby przekreślona raz na zawsze.

Oblężenie bywało uciążliwe i długotrwałe, jeśli miasto broniło się z uporem. Oblegający musieli sprowadzić ciężkie działa w liczbie dostatecznej, by siłą ognia przeważać artylerię obrońców. Z kolei należało umieścić armaty na pozycjach, z których można by bombardować i druzgotać mury, by uczynić wyłom jako przygotowanie do ataku. Kopano rowy, wznoszono nasypy, chroniące oblegających przed wycieczkami z twierdzy i umożliwiające gromadzenie wojsk. Czasem udany szturm kończył się wzięciem miasta, ale zwykle była jeszcze wewnętrzna cytadela, a ta, o ile była dobrze zaopatrzona w amunicję i żywność, mogła się jeszcze bronić przez długie tygodnie.

Najgorszym niebezpieczeństwem dla oblężonych było powszechnie uznawane prawo zdobywców wycięcia w pień zdobytego garnizonu i wielu mieszkańców, a następnie złupienie całego miasta. Toteż mieszczanie po krótkim oporze skłonni bywali do pertraktacji o poddanie miasta na warunkach, które by zaoszczędziły im życie i mienie, a żołnierzom garnizonu pozwoliły wymaszerować „z wojskowymi honorami”.

Książę Monmouth był człowiekiem odważnym i dobrym żołnierzem. Ale w ciągu tej kampanii holenderskiej kapitan Churchill nauczył się. najwięcej od Francuzów, ich króla i generałów. Wchłaniał dobre przykłady, obserwował, jak unikać błędów. Ludwik miał raczej cechy ministra wojny, niż wodza na froncie. Zamiłowany i na ogół szczęśliwy reorganizator sił militarnych, od swoich żołnierzy wymagał sprawności bojowej. Eksperymentował z różnymi wynalazkami i propozycjami w sprawach broni, strategii i taktyki. W kampanii roku 1672 Francuzi byli pierwszymi żołnierzami, uzbrojonymi w bagnety. Wprawdzie groźne dla wrogów, którzy musieli rzucać muszkiety i chwytać za dzidy lub szpady, te pierwsze bagnety były nieporęczne, ponieważ umieszczano je w lufie zamiast, jak później, przymocowywać na zewnątrz lufy.

Dyscyplina w wojsku francuskim panowała bardzo surowa i egzekwowano ją z całą bezwzględnością. Gdy pewnego francuskiego podpalacza przyłapano na próbie skrzeszenia ognia w pobliżu jaszczy z prochem, obcięto mu prawą rękę i spalono ją na jego oczach. Następnie jego samego spalono na stosie. Obecny kapelan oznajmił, że ofiara poniosła „zasłużoną karę”. A scena ta, dla zbawiennego przykładu, odbywała się przy całej armii.

Żołnierze Ludwika, jak i Napoleona w sto lat później, żywili się przeważnie z grabieży. Ziemię nieprzyjacielskie objadano do szczytu, zagarniano bydło, rabowano spichlerze, na polach wypasano konie. Jeżeli okolica była uboga albo już splądrowana, francuscy żołnierze i ich konie głodowali. Churchill uznał, że ten sposób wojowania jest mało sprawny. Później, gdy będzie miał odpowiednią szarżę i władzę, nie zostawi swych żołnierzy na łaskę przypadkowego - furazu. Będzie pierwszym

wodzem tej epoki, który zorganizuje regularny system zaopatrywania w prowiant.

We francuskiej armii awanse opierały się na zasłudze. W przeciwieństwie do innych władców Ludwik, mianując dowódców, nie dawał pierwszeństwa szlachebnemu urodzeniu, o ile się nie łączyło z wojskowymi talentami i doświadczeniem. Jak o żołnierzach napoleońskich można było o jego żołnierzach powiedzieć, że najskromniejszy piechur niósł w swym plecaku marszałkowską buławę.

Pod Maastricht Churchill postanowił sobie nauczyć się wszystkiego, co tylko możliwe, od króla Ludwika, Vaubana i innych wodzów. A nauczył się dobrze. Mawiano o nim, iż od Francuzów się dowiedział, jak Francuzów zwyciężać.

„Chciałbym wybić się ponad moje otoczenie” - pisał do Arabelli. „Wyróżnić się, ale nie jakimś głupim hazardem”.

Okoliczności i książę Monmouth dostarczyli mu okazji, i to nie jednej. Monmouth był najstarszym z bastardów króla Karola II, którego mu w roku 1648, jeszcze na wygnaniu, urodziła Lucy Walter, opisywana przez współczesnych jako: „ciemnowłose, piękne, odważne stworzenie”. Chłopiec znalazł się na angielskim dworze w roku 1662 i wydał się wówczas Pepysowi „żywym jak iskra i bardzo urodziwym”. Nie upłynęło wiele czasu, a ojciec nadał mu tytuł księżęcy, potem mianował wodzem naczelnym wojsk królewskich i członkiem tajnej rady dworu.

Karol głęboko kochał tego przystojnego junaka - za bardzo go kochał. Młodziak szastał pieniędzmi, nabrał wygórowanego mniemania o własnej ważności. Zwany „postrachem kochanków i mężów”, młody książę, chociaż spłodził sześcioro dzieci z poślubioną sobie żoną, ze szczególnym zamiłowaniem odbierał kobiety innym mężczyznom, a zwłaszcza upodobał sobie kochanki stryja Jakuba. Bywał w swoich wyczynach gwałtowny i brutalny. Jeśli kobieta, której zapragnął, odtrącała jego awanse, kazał ją porywać z lektyki, gdy wracała wieczorem do domu z teatru czy z balu. Poczynania młodego księcia spowodowały tyle skarg, że król musiał podjąć nadzwyczajne, nawet w owych czasach, kroki. Wydał mianowicie dekret, mocą którego udzielił najmilszemu synowi „naszego łaskawego przebaczenia... za wszelkie zabójstwa i zbrodnie... popełnione przez niego samego lub wspólnie z innymi osobami...”

Mimo wszystko Monmouth cieszył się niejaką popularnością w kraju. W oczach pospólstwa wybryki złotego młodzieńca nie były niczym niezwykłym. Wbrew jego nielegalnemu pochodzeniu wielu wolałoby widzieć na tronie Monmoutha, jako zdeklarowanego protestanta, niż księcia Yorku, jawnego katolika. Król nie chciał o tym słyszeć.

- Chociaż go kocham bardzo, wolałbym go widzieć powieszzonego na najwyższej gałęzi, niżbym go uznał moim następcą!

Lucy Walter nie była ulepiona z takiej gliny, z jakiej mogą być królowe Anglii, a w sprawach dynastycznych Karol był legitymistą.

W dziesięć dni po rozpoczęciu oblężenia Maastrichtu wszystko było gotowe do pierwszego szturm.

- Jutro moja kolej dowodzenia - powiedział Monmouth swoim oficerom. - O dziesiątej godzinie poprowadzę szturm.

Wyznaczonego dnia król Ludwik osobiście zajął stanowisko przy okopach, położonych najdalej od armat miejskich, i dał sygnał do szturm. Monmouth ze szpadą w ręku szedł na czele atakującego oddziału. Churchill tuż za nim. Nieprzyjaciel wzmógł ogień. Z murów rzucono granaty i wybuchające kule wprost w twarze atakujących. Ale kto przeżył, parł naprzód i wkrótce wdarto się na mury. Holendrzy urządzili wycieczkę i walcząc z zacięłością, odrzucili atakujących z powrotem:

Monmouth poprowadził swoich ludzi jeszcze raz i odzyskał straconą pozycję. Odpierani, wracali znowu i znowu. Wreszcie król Ludwik zobaczył francuski sztandar, łopoczący z holenderskiego bastionu.

Churchill, zdyszany, ale nietknięty omal się nie przewrócił od silnego ciosu w plecy. Odzyskując równowagę i odwracając się, ujrzał Monmoutha, który waląc go po ramieniu wołał:

- Dobra-robota! Doskonała robotą! Ich królewskie moście, francuski i angielski, będą wiedzieć, że to angielski kapitan zatknął flagę!

Zdobyty bastion trzeba było umocnić, rannych opatrzyć, pod osłoną ciemności nasypy i rowy wykopać bliżej murów. O świcie nadciągnęły oddziały świeżych żołnierzy, a Monmouth odprowadził swoich ludzi na tyły, do namiotów, na zasłużony odpoczynek, tym przyjemniejszy, że w poczuciu dobrze wykonanego trudnego zadania. Ale wielu ich towarzyszy nie miało już nigdy cieszyć się z nimi: wiele żon i rodzin przeklinało ambicje jego katolickiej mości, za które ginęli ich mężowie.

Nazajutrz, właśnie gdy Anglicy zabierali się do popołudniowego posiłku, usłyszano silną detonację, a następnie ostrą strzelaninę.

- Holendrzy kontratakują! - zawołał Monmouth, wybiegając z namiotu. I w chwilę później: - Naszą flagę zerwano z bastionu!

Spiesząc wykopanymi aprosami, natknął się na kompanię muszkieterów, dowodzonych przez oficera nazwiskiem d'Artagnan, podówczas sześćdziesięcioletniego weterana wielu walk, dobrze później znanego milionom czytelników powieści Aleksandra Dumasa.

- Mój przyjacielu - zawołał Monmouth. - Zaklinam cię, chodź z nami i weź swoich ludzi. Musimy odzyskać ten bastion, z którego Holendrzy wyparli, jak się zdaje, twoich rodaków.

- Niemożliwe - zaprotestował d'Artagnan. - Jest nas o wiele za mało do takiego przedsięwzięcia! Monmouth odwrócił się do Churchilla i nadbiegających towarzyszy.

- W takim razie musimy iść sami - rzekł. - Naprzód!

- Nie pójdziecie sami! - oznajmił d'Artagnan i zawróciwszy swych muszkieterów, szedł na ich czele. W parę chwil później padł od nieprzyjacielskiej kuli. Tak zginął jeden z najsłynniejszych francuskich oficerów.

Monmouth parł niepowstrzymanie naprzód" a muszkieterów śmierć ich dowódcy rozpałała chęcią zemsty. Bastion, na którym poprzednio zatknęto flagę, był z powrotem w rękach Holendrów. Churchill dostrzegł, jak jeden z obrońców podnosi rękę z granatem w dłoni: gwałtownym ruchem pchnął mocno od siebie Monmoutha, a sam padł na ziemię w drugą stronę. Granat eksplodował w miejscu, gdzie obaj stali.

Podnosząc się i otrzepując, książę powiedział:

- Uratowałeś mi życie. Nie zapomnę tego.

Monmouth wysoko cenił Churchilla, ale nie zawsze mieli walczyć po tej samej stronie.

Wściekłość ataku księcia wyparła znowu Holendrów z bastionu. De Fariaux, który chociaż Francuz, był gubernatorem Maastrichtu, zbierał siły do nowego kontraktu. Ale gdy Ludwik posłał do bastionu pięciuset nowych żołnierzy, Holendrzy się wycofali. W tych walkach John odniósł niezbyt ciężką ranę w ramię. Odtąd bastion utrzymywały wciąż nadchodzące nowe siły, rozszerzające przyczółek w prawą i lewą stronę. Jednakże armia Ludwika poniosła przy tym stosunkowo duże straty: półtora tysiąca ludzi zabitych i rannych.

W trzynastcie dni później de Fariaux skapitulował. Jemu samemu i jego dzielnym żołnierzom pozwolono wymaszerować, jak opisuje naoczny świadek: „z taborem i łupami, przy dźwięku

bębnow, z podniesionymi sztandarami, z naładowaną bronią, z kilku armatami i dwoma moździerzami”.

Monmouth zasłużył sobie na wszelkie pochwały, jakimi go obsypywał Ludwik XIV, który również Churchillowi ofiarował piękny dar: szpadę z wysadzaną diamentami rękojeścią. Przyrzekł też polecić młodego kapitana łasce jego własnego suwerena.

Francuskie i angielskie wojska udały się na kwatery zimowe, a księżę Monmouth, zabierając ze sobą Johna, wrócił do Londynu. Na podstawie raportów zarówno księcia, jak i Ludwika, młody kapitan przeskoczył rangę majora i otrzymał nominację od razu na podpułkownika: nie wiadomo, ozy tym razem również z finansową pomocą hrabiny Castlemaine.

W czasie gdy sześć tysięcy Anglików walczyło za Francję w różnych teatrach wojny, w kraju szerzyły się właśnie religijne. Aby przygotować grunt pod swoje własne przyszłe nawrócenie na katolicyzm, król Karol ogłosił „Deklarację o tolerancji”, zezwalającą katolikom wśród jego poddanych swobodnie odprawiać msze i jawnie wyznawać swoją wiarę. W nadziei zyskania wystarczającego poparcia dla tego posunięcia, kreft włączył do „Deklaracji” także innych odstępców od kościoła anglikańskiego, to znaczy tych, co podjęli spuściznę po purytanach. Ale parlament się uparł. Nawet tacy ministrowie, jak hrabia Shaftesbury i księżę Buckingham, gotowi nadać równouprawnienie wszystkim wyznaniom protestanckim, nie zechcieli wkroczyć na drogę, która mogła zaprowadzić Anglię do stóp Watykanu.

- Rozprawię się z wami - powiedział król wrogo usposobionemu parlamentowi. - Nie odstąpię od mojej „Deklaracji”.

Król Ludwik wywierał presję na niego, a Luiza de Keroualle wszeptowała mu do ucha w intymnych momentach rady i ostrzeżenia, że może utracić subsydia francuskie. Jednakże parlament miał w ręku broń definitywną.

- Wycofaj „Deklarację”, najjaśniejszy panie, inaczej nie przyznamy ci żadnych podatków ani danin.

Subsydia od Ludwika bardzo się przydały, ale nie mogły wystarczyć na wszystkie potrzeby rządu. Miały ustać po zakończeniu wojny, a z pewnością ustałyby, gdyby Karol nie zdobył się wkrótce na oficjalne ogłoszenie własnego nawrócenia na katolicyzm. Król nie zdołał „rozprawić się” z parlamentem. Co gorsza, musiał podpisać tak zwany, „Akt Próby”, ustawę wykluczającą z wszelkich urzędów koronnych i patentów oficerskich każdego, kto by odmówił przyjmowania sakramentów w kościele anglikańskim i według obowiązującego rytuału. Katolikom nie wolno było posiadać broni. Jezuitów wygnano z kraju. W sprawach religijnych - misja Luizy de Keroualle skończyła się fiaskiem. Nie mogła sypiać z każdym członkiem parlamentu. Ta ustawa była upokorzeniem dla króla, który szczerze skłaniał się ku katolicyzmowi, a popychały go na tej drodze zarówno jego żona, jak i jego francuska kochanka.

Dla większości dworzan religia nie miała szczególnego znaczenia, chyba że stanowiła oręż polityczny. Sara Churchill kiedyś napisze:

„Chodzi się do kościoła, bo taka jest moda. Trzeba pokazać nowe stroje, trochę poflirtować, panowie drzemią sobie... Eanek szybciej mija”., i drugiej strony ludność Anglii w olbrzymiej większości bała się czegoś, co zwała „papizmem”. Nawet dysydenci popierali ustawę, która ich samych wykluczała od urzędów, byle tylko nie dopuścić katolików. Pamfleciści, tacy jak autor „Podróży Guliwera”, jeszcze podżegali tłumy, i okrzyk „Precz z papizmem” wciąż rozlegał się po ulicach Londynu. Jak twierdził Daniel Defoe, ten który zyskał sławę dzięki „Robinsonowi Crusoe” i

„Moll Flanders”, sto tysięcy Anglików gotowych było chwycić za broń przeciw papieżowi nie wiedząc wcale, czy papież to imię człowieka czy też konia.

Pierwszą ofiarą „Aktu Próby” padł książę Yorku, przeciw któremu może i była ta ustawa pomyślana, jako domniemanemu następcy tronu. Jego żona - matka księżniczek Marii i Anny - zmarła w roku 1671, a on sam mając czterdzieści lat, poślubił w roku 1672 drugą żonę katoliczkę, Marię z Modeny. Musiał teraz ustąpić i ze stanowiska wodza naczelnego marynarki wojennej, i z innych dygnitariatów.

John Churchill powrócił spod Maastricht, by się dowiedzieć, że chociaż był nadal szambelanem książęcej sypialni, nie miał komu podawać koszuli przy porannym wstawaniu. Książę Yorku wyjechał za granicę. Młody podpułkownik, wychowany od młodości w duchu protestanckim, pisał do swego brata George'a, który już służył w marynarce wojennej:

„Zatroskało mnie niepomału, iż książę odwraca się od wiary tych, którzy według wszelkiego spodziewania będą pewnego dnia jego poddanymi. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł, a książęta chcą zbawiać swe dusze na własny sposób, jak każdy inny. Bądź co bądź nic nie umniejsza mego do niego przywiązania i ufam, że i ty w tej materii myślisz podobnie”.

Przywiązanie Johna, choć je może uważał za szczere, do tej pory służyło dobrze jego własnym interesom, a i perspektywy na przyszłość były nie najgorsze. Kto w owych czasach nie chciałby być prawą ręką następcy tronu? Wprawdzie łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a na królewskich faworytów czyhało wiele niebezpieczeństw, ale Churchilla nigdy niebezpieczeństwa nie zrażały. Na razie nie chciał myśleć o tym, iż gdyby Jakub wstąpił na tron, mógłby odwrócić reformację w Anglii.

Churchillowi niedługo dano próżnować i obżalowywać nieobecność księcia Yorku. W kampanii następnego roku, na wyraźne życzenie króla Ludwika, został dowódcą regimentu angielskiej piechoty. Ludwik tym razem nie wyprawił się osobiście. Wysłał przeciwko sprzymierzonym z Holendrami wojskom cesarskim w górnej Nadrenii Henryka de la Tour

Auvergne, księcia de Turenne i marszałka Francji, który słynął jako świetny strategik i taktyk, a także człowiek o nieposzlakowanej uczciwości. Pod takim wodzem Churchill spodziewał się wydoskonalenia w kunszcie wojennym.

Nie zachowały się szczegóły operacji wojskowych angielskiego pułkownika z tej kampanii. W czerwcu brał udział w zwycięskiej bitwie, odniesionej przez Turenne'a pod Sinzheim, po której Francuzi złupili i zniszczyli Palatynat - część Bawarii położoną na zachód od Renu. A o udziale Churchilla w październiku w bitwie pod Enzheim - jednej z mniejszych bitew w tej kampanii, ale stosunkowo ważnej - świadczy jego własny opis, przesłany księciu Monmouthowi, który walczył wówczas we Flandrii.

Turenne, na czele około dziesięciu tysięcy jazdy i dwunastu tysięcy piechoty znalazł się w obliczu dwakroć liczniejszego nieprzyjaciela po przeciwnej stronie małej rzeki Breusch. Marszałek Francji; wiedział, że słabością wojsk cesarskich był brak organizacji. Złożone z oddziałów ściągniętych z różnych niemieckich elektoratów i prowincji, każdy pod własnym samodzielnym dowódcą, nie zawsze chętnie podporządkowywały się rozkazom nominalnego naczelnego wodza. Turenne postanowił przeprowadzić się przez rzekę i zaatakować, co było nie lada ryzykiem zważywszy, o ile mniej miał żołnierzy. Wojska cesarskie zajmowały pozycje za miasteczkiem Enzheim: na lewo rozciągał się las.

- Zajęcie tego lasu będzie kluczem do zwycięstwa - orzekł Turenne.

Zadanie to powierzył pułkownikowi Bouffiers z silnym oddziałem dragonu. Ale nieprzyjaciel nie

przepuścił Francuzów. Turenne posłał na pomoc regiment irlandzki i jeden batalion angielski - wszystkich odparto. Przegrupowani, wzmocnieni regimentem Churchilla, ruszyli jeszcze raz do ataku. Żołnierze szli naprzód po stosach zabitych i konających. Z raportu Johna do księcia Monmouth:

„Nieprzyjaciel dysponował baterią z pięciu armat, którą sforsowaliśmy i zabrali działa: z kolei wyparliśmy ich piechotę spod lasu, aby uczynić swobodne miejsce dla naszej jazdy, która gdy do nas dołączyła, ruszyliśmy naprzód i wyparliśmy cesarskich z ich pozycji. Rów posłużył nam za bardzo dobre maskowanie... jeden z naszych generałów w tym momencie nadesłał nam rozkaz, by trzymać tę pozycję i dalej nie napierać...”

Walka przeniosła się na lewe skrzydło i ku środkowi szyku Francuzów, gdzie wojska cesarskie przypuściły atak. Bitwa trwała od dziewiątej rano aż do zmierzchu, kiedy Turenne, zamierzając wznowić walki o świcie, odwołał swych żołnierzy, kazał im przeprowić się z powrotem przez rzeczkę i rozbić obóz na noc. Ale nieprzyjaciel miał dosyć. Uszedł pod osłoną ciemności, przejściem pomiędzy lasem a miasteczkiem, zostawiając armaty i trzy tysiące nie pogrzebanych trupów.

Wprawdzie Turenne przypisał sobie świetne zwycięstwo, odniesione nad przeważającymi siłami, jednakże Churchill w raporcie określił bitwę, jako właściwie nie rozstrzygniętą. Pozwolił też sobie na krytykę sławnego francuskiego wodza:

„Połowa naszej piechoty na takich była pozycjach, iż nie mogła w ogóle brać udziału w bitwie”.

Louis Duras, Francuz, który później otrzymał parostwo angielskie i tytuł lorda Feversham, pisał po bitwie do jednego z ministrów króla Karola:

„Nikt na świecie nie mógłby lepiej się spisywać niż pułkownik Churchill w tej bitwie, a marszałek Turenne bardzo jest rad i z niego i ze wszystkich Anglików”. Turenne miał do zadowolenia istotne powody.

Irlandzka i angielska piechota, która zdobyła lasek, oraz angielska jazda, która powstrzymała atak nieprzyjaciela na lewe skrzydło i centrum, poniosły olbrzymie straty. Wspomina o tym sir Winston Churchill w swoim, dziele pt. „Życie księcia Marlborough”, dodając z niezasłużonym sarkazmem, że Francuzi nigdy nie oszczędzą krwi swych sprzymierzeńców. Podobne uwagi czyniono też niejednokrotnie o wodzach i politykach angielskich. Rzeczywiście, regiment Jolina Churchilla stracił w tej bitwie pięciu oficerów, a sześciu zostało ranach z ogólnej liczby dwudziestu dwóch. Straty żołnierzy były na podobną skalę.

Wbrew utartemu zwyczajowi Turenne kontynuował działania wojenne zimą, aż do Bożego Narodzenia. Przez ten czas Churchill dołożył niemało do wzorowej reputacji, jaką sobie już zdobył. Wykorzystał w pełni sposobności wykazania się determinacją i odwagą, zwrócił na siebie wzrok zwierzchników. Wybierano go też nieustannie do najtrudniejszych zadań, nagłych wypadków, szturmowania umocnień nieprzyjaciela. Pewnego razu pułkownik francuski opuścił posterunek, który kazano za wszelką cenę utrzymać. Gdy wiadomość przyniesiono marszałkowi Turenne, ten wykrzyknął:

- Dureń! Tchórz! Odesłać go z powrotem do Paryża. Umie się tylko za spódniczkami uganiać. - Marszałek westchnął, ściągnął wargi, wzruszył ramionami i zwrócił się do adiutanta: - Założyłbym się o kolację z pół tuzinem butelek wina, że mój urodziwy Anglik odzyskałby posterunek dysponując o połowę mniejszą liczbą żołnierzy, niż miał ten dureń, który go stracił!

Gdy adiutant powtórzył Churchillowi w jego namiocie słowa marszałka, „urodziwy Anglik” wstał z polowego krzesła i zapytał:

- Naprawdę tak powiedział?

- Klnę się na Boga, że dokładnie takie były jego słowa! Churchill włożył pas i powiedział zwięźle:

- Więc niech tak będzie. I tak się stało.

Rozdział 5

BURZLIWE ZALOTY

- Dwór jest rozwiązły, nie nadaje się dla młodej dziewczyny w twoich latach. Nie chcę, byś stamtąd wyjeżdżała jak tyle innych, z grubym brzuchem, a bez męża! Masz pojechać do twego stryja, do hrabstwa Hertford. Zgodził się zaopiekować tobą.

- Nie pojedę do mego stryja. I nie opuszczę dworu. Frances oparła się pokusom, a pewno się do niej więcej zalecano niż do mnie. Potrafi sama ustrzec mojej cnoty, bez wysyłania mnie jak zakonnicy do klasztoru!

- Zrobisz, jak ci każe! Ja, twoja matka...

- Nic podobnego. Zrobię to, czego chce księżniczka. A ja wiem, czego ona chce!

- Gdyby żył twój ojciec, nigdy by...

- Gdyby żył mój ojciec, spełniłby moje życzenia, jak to zawsze robił!

- Jesteś niewdzięcznym dzieckiem, nieusłuchanym, niedobrym! Pomówię o tobie z guwernerem księżniczki i szambelanem.

- A ja pogadam z samą księżniczką i z jej ojcem, księciem Yorku! A wtedy to mama, nie ja, będzie musiała opuścić dwór!

Tak się zaczęła ostra kłótnia między lady Jennings, o której mawiano, że jest ponoć czarownicą, a jej samowolną córką, piętnastoletnią Sarą.

Pierwsza z rodziny Jenningsów przyjechała na dwór najstarsza córka, Frances. Mianowana damą dworu pierwszej księżnej Yorku, została później przy drugiej. Frances zasłynęła jako piękność, ale harda i dumna, odtrącała wszelkie niewłaściwe propozycje, włącznie z awansami samego księcia, którego namiętne liściki wyśmiewała i pokazywała innym dworkom. Lady Jennings po śmierci męża zabrnęła po uszy w długi, więc Frances załatwiła dla niej apartamenty w Pałacu św. Jakuba - bezpieczne sanktuarium przed komornikami.

Jako dziecko Sara bawiła się z Anną, młodszą córką księcia Yorku. Zostały gorącymi przyjaciółkami. Anna, o miłej twarzy i melodyjnym głosie, nie była piękną za młodu ani później. Młodsza od Sary, łatwo jej ulegała, co miało trwać przez trzydzieści lat.

Młodsza córka Jenningsów miała bardzo bujne, jasne włosy, ciemne oczy, olśniewającą cerę i powabne kształty. Żywego usposobienia, złośliwa i psotna jak chochlik, czasem robiła wrażenie rozdokazywanego chłopaka, kiedy indziej potrafiła się zachować z wyniosłą godnością. Z matką kłóciły się zawsze. Zresztą, Sara przez całe życie wciąż z kimś wojowała, co wynikało po części z jej może nadmiernego zamiłowania do szczerości. Zwykle rąbała prawdę prosto z mostu, bez osłonek i bez taktu, a gdy się rozzłościła, chwytła za lichtarz albo inny przedmiot pod ręką i ciskała nim bez ceregieli.

Sprzeczka z matką zakończyła się w sposób łatwy do przewidzenia. Księżniczka Anna nie zgodziła się rozstać z przyjaciółką, a szambelan dworski popłacił długi Lady Jennings i zρέcznie wyprosił ją z dworskich apartamentów. Wyjechała w gniewie. Sara została.

Gwałtowny opór tego „enfant terrible” nie był spowodowany jedynie przywiązaniem do księżniczki, chociaż już wówczas Sara zdawała sobie sprawę, jak cenna jest taka przyjaciółka. Ostatnio parokrotnie na balach Sara spotykała partnera, który tańczył doprawdy bardzo dobrze. Młody, bardzo urodziwy, cieszył się już reputacją dzielnego żołnierza. Prócz tego - odnosił się do niej mile, nie traktował jej jak dziecka, uważnie słuchał, co mówiła, odpowiadał rozsądnie i bez przedrzeźniań ani szyderstw. Sara wyczuwała, że chociaż o dziesięć lat od niej starszy, pułkownik John Churchill wyraźnie się nią interesuje.

Bystra osóbką miała rację. Wpadła w oko młodemu pułkownikowi. Książę Yorku powrócił do Anglii, chociaż żadnych funkcji nie pełnił i publicznie się nie pokazywał, a Churchill był przy nim. Dwór lubował się w przedstawieniach teatralnych, często odgrywanych przez dworzan i damy dworu, a wśród nich takie młodociane amatorki jak córki księcia, Maria i Anna, lady Henrietta Wentworth, późniejsza kochanka Jakuba, i Sara Jennings.

Wdzięki młodej czarodziejki wywarły wrażenie na Johnie, to nie ulegało wątpliwości, ale nie był jeszcze gotów poświęcać jej całego wolnego czasu. Niekiedy wymawiał się, że nie może jej widzieć, gdy życzyła sobie jego kompanii, ponieważ wybierał się na przejażdżkę konną albo spotykał się z przyjaciółmi, albo szedł do teatru - zawodowego - albo bolała go głowa. Sara już się zakochała i pragnęła jego całkowitego oddania, a nie krótkich dorywczych spotkań. Pisała do niego z irytacją:

„O czwartej mogłam zobaczyć się z Tobą, ale to by Ci przeszkodziło w pójściu do teatru, co byłoby wielkim utrapieniem dla Ciebie i jeszcze gorzej by Cię rozboleła głowa, bo tego bólu głowy nic usmierzyć nie zdoła aż do następnego nowego przedstawienia. Zastanów się więc, proszę, i bez zbędnych komplementów przyślij słówko, czy możesz przyjść zobaczyć się ze mną bez szkody dla Twego zdrowia”.

John trwał przy swojej niezależności przez jakiś czas, asystując jej na tyle, by mogła żywić nadzieję, ale nie dosyć, by zaspokoić jej egoizm. Chwilami czarowała go swoim urokiem, kiedy indziej - wymyślała mu. Jednakże czar wziął górę, bo w parę miesięcy później John pisał:

„Ponieważ wyżej cenię Twoją szczęśliwość nad moją własną, przeto ufam, iż pomyślisz czasem, jak bardzo Cię kocham... kocham Ciebie, któraś mnie podbiła i do niewoli wzięła... Zaklinam, daj mi znać, abym wiedział, czy dziś wieczorem zaznam szczęścia ujrzenia Ciebie...”

To powinno było wystarczyć nawet najbardziej egoistycznej i wymagającej młodej damie. W głębi serca Sara może i wierzyła mu, ale wbrew ciągłym zapewnieniom Johna o najgłębszym oddaniu - sprzeczki nie ustawały. Zjawisko dość powszechne w początkowych stadiach miłości, zwłaszcza, gdy z jednej strony tyle było namiętności i tyle dumy. Doświadczenia Johna z innymi kobietami nie sięgały poza sypialnie i trudno, mu było zrozumieć dziewczynę o tak zmiennym temperamencie, tak nieomal wyjątkową, jaką była Sara. Miał ją dopiero poznać; nie zabraknie mu ani czasu, ani sposobności.

Wprawdzie król Ludwik XIV nie zaniechał swoich ambitnych planów przeciw rozległemu cesarstwu Leopolda i Niderlandom, jednakże chwilowo w zachodniej Europie zapanował pokój. Książę Monmouth zabrawszy ze sobą grupę przyjaciół i stronników, wyprawił się w objazd południowo-zachodnich hrabstw angielskich. Tu były wielkie ośrodki manufaktury, tu słynni rzemieślnicy, przeważnie wywodzący się z rodzin purytańskich, prześladowani za swoją religię, produkowali sukna. Księcia przyjmowano entuzjastycznie. Kamienice w miastach, przez które przejeżdżał, dekorowano dywanami i flagami, pod kopyta jego wierzchowca sypano kwiaty. Tłumy wylęgały na ulice, a nawet po wsiach witały go napisy: „Niech Bóg zachowa króla Karola i

protestanckiego księcia”.

Monmoutha radowały łatwe do wysnucia wnioski, iż wielu wolałoby jego widzieć następcą tronu, niż królewskiego brata, jawnego katolika.

- Jeśli kiedyś taki dzień nadejdzie - mówił do przyjaciół - tu do tych prowincji przyjechałbym szukać stronników.

Jakub odgadywał aspiracje bratanka, wiedział o jego popularności i nienawidził go całym sercem. Nienawiść była odwzajemniona, i dla podobnych powodów. Monmouth udał się w dalszy objazd do północnych prowincji, wyraźnie zabiegając o względy szerokich mas ludności.

Finanse królewskie były jak zwykle, w opłakanym stanie. W Londynie nowa gwiazda weszła na dworskim firmamencie: hrabia Danby, bezkompromisowy anglikanin, człowiek zdolny i energiczny. Przywrócił nieco ładu w chaosie spraw skarbowych, w czym dopomógł mu rozwijający się handel. Panujący chwilowo pokój podwyższył wpływy z ceł, jedyne źródła dochodów - prócz subsydiów od króla Ludwika - którym Karol dysponował, nie potrzebując się uciekać do uchwał parlamentu. Danby zawiesił wypłacanie apanaży wyższym dygnitarzom i królewskim kochankom do chwili, dopóki się nie ureguluje zaległych żołdów: żołnierzom, marynarzom, dokerom. Zarządzenie konieczne, ponieważ parlament miał jakby węża w kieszeni. W każdym prawie przemówieniu posłowie przypominali, w ledwie zamaskowany sposób, o królewskiej ekstrawagancji, zwłaszcza w odniesieniu do różnych dam. Nawet dla swoich kochanek Karol nie miał teraz za co kupować kosztownych podarunków. Luiza de Keroualle wypłakiwała się na królewskim ramieniu:

- Obiecałeś mi ten diamentowy naszyjnik... tak tanio, nigdy więcej się taka okazja nie trafi...

Tym razem Karol nie dał się ubłagać.

- Pójdź płakać do Danbyego - powiedział jej.

Fanatyczny protestant hrabia Shaftesbury wciąż podżegał parlament przeciw papistom i wraz z licznymi poplecznikami rozpalał również religijną bigoterię londyńczyków.

- Wciąż do siebie sprasza burmistrza i rajców miejskich - opowiadał swojej małżonce król. - Gości ich, karmi, poi, nagaduje im łgarstw, podnieca ich obawy. Powiada, że stolica roi się od poukrywanych papistów, którzy tylko czekają sygnału, by zacząć mordować, palić i gwałcić. Co za głupstwa! A żąda, by wszystkich katolików wyprawić precz z Londynu, rozproszyć po kraju, by się nie mogli zorganizować. - Król westchnął i dodał z melancholijnym spojrzeniem: - Głównym obiektem tych intryg jest oczywiście mój brat Jakub.

Królowa szybko się orientowała.

- I ja - powiedziała.

- Ty nigdy, Katarzyno! Nie pozwolę na to!

Królowa została, ale król musiał obesać z powrotem do Portugalii jej katolicką służbę, zakonnice, kapelanów.

W sferach politycznych aż cuchnęło od korupcji.

„Zwieszam głowę ze wstydem - pisał John Churchill do brata George’a. - Król, jak mi wiadomo z całą pewnością, pobiera kwartalną pensję od króla Francji. Tak samo mój patron, książę Yorku. Nie wiem, czy Londyn naprawdę roi się od papistów, jak powiadają, ale na pewno roi się od francuskich i holenderskich agentów, z których każdy chciałby nas przeciągnąć na swoją stronę, gdy wybuchnie nowa wojna. Członkowie parlamentu biorą pieniądze jednocześnie od Ludwika francuskiego i od Wilhelma Orańskiego, od hrabiego Danby i od hrabiego Shaftesbury. Słusznie ich przezywają parlamentem na żołdzie”.

Ale sytuacja nieco się zmieniła, a to za dość dziwną przyczyną. Holendrzy, zapożyczony pomysł od Francji, przysłali do Anglii słynną kurtyzanę - Hortensję Mancini, najmłodszą z grona pięknych siostrzenic kardynała Mazarin. Trzydziestoletnia, już parokrotna matka, uciekła z Francji przed wymyślnymi pokutami, nakładanymi na nią przez jej męża, katolika i bigota. Miała też o coś żal do króla Ludwika, udała się więc do Holandii, gdzie cały szereg kochanków zapewnił jej środki utrzymania.

- Przyjechała w wytwornym, męskim stroju podróżnym - opowiadały królowej Katarzynie jej damy dworu. - I z pół tuzinem zgrabnych paziów, a także małym Murzynkiem, by jej białoróżowa cera wydała się przy nim jeszcze jaśniejsza.

- Tak, z pewnością, białoróżowa i delikatna, jak cacko z porcelany! - powiedziała Katarzyna z szyderczym uśmiechem, ale i z westchnieniem.

- Owszem, białoróżowa - brzmiała odpowiedź. - Ale nie taka delikatna. Twarda, jak but z cholewą!

Przyjazd ten zaalarmował francuskiego ambasadora, który pisał do Ludwika: „Cały kraj i hrabia Shaftesbury są nam przeciwni. Jeśli jeszcze będziemy mieć przeciw nam kochankę, to strach pomyśleć o przyszłości”.

Wkrótce Karol dzielił noce między Luizę de Keroualle a Hortensję Mancini. Londyn przyglądał się z ciekawością rywalizacji szpiega francuskiego z holenderskim. Zakładano się o duże sumy. Co prawda, byli i tacy, którzy twierdzili, że Karol nie pozwala swoim kochankom mieszać się do polityki. Zostawiając tę kwestię otwartą, powiedzieć trzeba, że niebawem z Holandii przybył następny gość do Anglii: ni mniej, ni więcej, jak sam stadhouder - w poszukiwaniu oblubienicy dla siebie. Niskiego wzrostu, nieco ułomny z powodu lekkiego wykrzywienia kręgosłupa, o surowej twarzy, rozjaśnionej tylko mądrymi, błyszczącymi oczyma - Wilhelm Orański nie wywierał w pierwszej chwili pociągającego wrażenia. Ubierał się z dyskretną powściągliwością - jak pułkownik Churchill. Po angielsku mówił słabo. Ale był przywódcą europejskich protestantów, upartą przeszkodą, o którą rozbijały się wszelkie zakusy Francuzów, wielkim patriotą holenderskim. Był również synem córki Karola I, czyli siostrzeńcem króla i księcia Yorku.

Wybrano mu na żonę starszą córkę Jakuba, Marię: o głowę wyższą od ewentualnego pana młodego, ładną i pełną wdzięku, no i pobożną protestantkę. Jej ojcu nie przypadł do gustu ten mariaż, który by utwierdził Marię w religii zreformowanej, gdy on ufał, że zdoła córkę przeciągnąć na stronę katolicyzmu. Królowej Katarzynie też się projekt nie podobał. Jeżeli młoda księżna Yorku urodzi syna, będzie to katolicki Stuart. Ale jeśliby żona Wilhelma dała mu syna, byłby to Stuart protestancki. Katarzyna dobrze, wiedziała, z kim sympatyzowałiby Anglicy, gdyby przyszło wybierać między tymi dwoma kandydatami do tronu. J nawet jeszcze wcześniej, bo po śmierci Karola, czy ten antypapistyczny kraj nie zechciałby powołać Wilhelma i Marii raczej, niż zgodzić się na Jakuba? Prócz tego Katarzyna wysunęła inne skrupuły:

- Czy jej się będzie podobać ten mariaż? - spytała Karola.

- Czy ciebie pytano o to, gdy miałaś mnie poślubić? - odparł pytaniem król.

- Nie. Nie pytano.

- To małżeństwo - tłumaczył Karol - dopomoże mi zrzucić więzy, jakie mi nałożył Ludwik. - Pochylił się nad nią, pocałował jej włosy i rzekł: - Mimo wszystkich moich wad, jakoś godzisz się ze mną.

- Tak i chociaż to głupie może, ale kocham ciebie, pomimo tych... tych wszystkich spanielek! -

Tak Katarzyna nazywała-królewskie kochanki.

- Więc jeśli Wilhelm będzie dobry dla niej - powiedział Karol - to i Maria może się do niego przywiąże.

Oboje królestwo mieli rację. Maria aż zamarła ze zgrozy, gdy ujrzała niewydarzoną postać tego, któremu miała oddać swoją osobę i całe życie. Płakała przez półtora dnia. Ale później nauczyła się cenić, podziwiać i wreszcie kochać Wilhelma, chociaż nie potrafiła obudzić w nim wzajemnego gorętszego uczucia. Miał dziwnie złośliwą kochankę, a powiadano też o nim, że lubował się w chłopcach.

„Londyńczycy cieszą się z tego mariażu - pisał John Churchill. - Zabezpiecza ono, jak wolno przypuszczać, pokój i przyjaźń z protestanckimi Niderlandami. Mancini, jak się zdaje, zręcznie przekonywać potrafi niż de Keroualle”.

Holendrzy żywili różne zastrzeżenia. Chętnie przyjmowali perspektywę wzmocnienia własnych sił przymierzem z Anglią, ale z drugiej strony lękali się, że będą musieli grać drugie skrzypce w związku dwóch morskich potęg protestanckich. A pałac Wilhelma niebawem zaroił się od Anglików, spiskujących, jak wykluczyć Jakuba od tronu.

Król Ludwik przyjął wieść o projektowanym mariażu, według słów angielskiego ambasadora, „jakby się dowiedział o pogromie własnej armii”. Zawiodły pieniądze, zawiodły tajne traktaty, zawiodła uwodzicielska moc Luizy de Keroualle. Ludwik nie tylko utracił sprzymierzeńca i źródło nowych żołnierzy dla jego niekończących się wojen; w zamian miał wroga, którego wartość bojową nauczył się respektować. Karol oszukał go: nigdy teraz nie zostanie katolikiem ani nie sprowadzi Anglii na łono katolicyzmu. Ludwik mógł jeszcze tylko z Jakubem wiązać nadzieje, o ile by ten odziedziczył tron po bracie.

John Churchill był obecny na uroczystościach weselnych, odprawionych ceremonialnie, acz bez ostentacji w listopadzie 1677 roku. Sara Jennings asystowała siostrze panny młodej, Annie, która była jedną z druhen. Panna młoda wyglądała smutno, pan młody surowo - żołnierz i patriota, wypełniający swój obowiązek wobec ojczyzny. Ojciec Marii tak się zachowywał, jakby był na pogrzebie. Królowa Katarzyna przypatrywała się w napięciu. Jeden tylko król Karol starał się o wprowadzenie odrobiny choćby wesołości, odpowiedniej do takiej okazji. Churchill następnego dnia donosił Arabelli:

„O godzinie jedenastej przed północą młodą parę uroczyście zaprowadziliśmy do łoża. Król sam zaciągnął kotary, potem odchylił je na moment jeszcze raz i zawołał do strwożonej Marii: «Nie pozwól, by twoja macocha pierwsza urodziła chłopca!» A do księcia: «Teraz chłopcze, do roboty!» I jeszcze dorzucił okrzyk bitewny Henryka Piątego, Franciszka Drake'a i jego korsarzy: «Święty Jerzy i Anglia!».

Kiedy w dwa miesiące później zebrał się parlament, w dowód aprobaty reorientacji w polityce zagranicznej króla przyznał mu sumę miliona funtów szterlingów, „by jego majestat mógł rozpocząć działania wojenne przeciwko królowi Francji”. Przegłosowano również zwiększenie liczby żołnierzy stałej armii. W kraju, który zawsze wolał zbierać pieniądze, niż je wydawać, i który lękał się stałych wojsk jako zagrożenia dla swobód obywatelskich, były to zaiste nadzwyczajne uchwały jak na czas pokoju.

John i Sara nadal zapewniali się o wzajemnej miłości: on spokojnie, ona z namiętymi wybuchami. Sprzeczki, kłótnie, oskarżenia, zarzuty, zaprzeczenia, przeprosiny, ugłaskiwanie nastroszonych piórek - wszystko to wciąż trwało i trwać miało. Uczucia Sary zawsze były gwałtowne

i zaborcze, Johna - troskliwie, przyjmujące jej wybuchy złości z uśmiechniętą cierpliwością. Może jego agresywność zaspokajały działania zawodowe, natomiast agresywność Sary wyładowywała się na otoczeniu; a im więcej żywiła uczucia, tym gwałtowniej się zachowywała.

Sara chciała pobrać się z Johnem zaraz, bez żadnej zwłoki. John widział trudności, które uważał za nie do pokonania; młoda kobieta gotowa była je odtrącić jako niefortunne, ale w zasadzie mało ważne. Oboje mieli teraz oficjalne dochody; niestety, niewielkie w stosunku do potrzeb życia na taką skalę, do jakiej zobowiązywała ich pozycja. Żadne z dwojga nie miało zaoszczędzonych sum, które by pozwoliły im założyć własny dom.

Sara irytowała się i dokuczała Johnowi, a on, zawsze pamiętając o zabezpieczeniu się materialnym, roztrząsał problem. Tymczasem jego ojciec, Sir Winston, zabrnął po uszy w długi. Dwór Ashe House i majątek stanowiły majorat, Sir Winston trzymał je tylko w dożywotnim użytkowaniu. Nie mógł ich sprzedać: stanowiły dziedzictwo najstarszego syna. Sir Winston zwrócił się więc do Johna, by ten zrzekł się swych praw do dziedziczenia i w ten sposób dopomógł ojcu wydostać się z trudnej sytuacji. John zdecydował, że musi się na to zgodzić. Nie mógł nawet marzyć o przyszłym szczęściu z Sarą, gdyby je budował na fundamencie bankructwa, zadłużenia i kompromitacji społecznej własnego ojca.

Nie ma dowodów na to, iżby Sara protestowała przeciw rezygnacji z dziedzicznego majątku, który jak mogła się spodziewać, stałby się kiedyś także i jej domem. Ale John stracił wszelką nadzieję przezwyciężenia trudności stojących na drodze do ich małżeństwa. I zachował się tak, że mógłby doprowadzić do furii nawet bardzo spokojną i opanowaną młodą dziewczynę, cóż dopiero Sarę.

Około godziny drugiej pewnego popołudnia, John wszedł do apartamentów Sary w pałacu. Przywitała go sucho:

- Spodziewałam się ciebie wcześniej. Gdzie byłeś?
- Spacerowałem po parku, moja droga. Bardzo piękny dzień.
- Sam?
- Otóż... to znaczy... nie.
- Czy zechcesz mi powiedzieć, z kim?
- Nie podoba mi się to śledztwo. Ale skoro pytasz... z Katarzyną Sedley.
- Tak. Córka hrabiego Dorchester. Bogata i niegłupia. W twoich oczach zapewne równoważy to jej brzydotę.
- Jej ojciec i mój są przyjaciółmi. Ramię w ramię walczyli w wojnie domowej.
- Twój ojciec sobie życzy, byś się z nią ożenił, czy tak?
- No cóż... tak. Nawet nalega.
- Aby i on, prócz ciebie, mógł skorzystać z jej posagu, nieprawdaż?
- Nie chciałbym tak myśleć.
- Byłbyś głupcem, gdybyś tak nie myślał!

Sara podeszła do sekretarzyka, nadal nie patrząc na Johna, który stał przy kominku, łokciem wsparty o marmurowy blat, jedna noga na żelaznej kracie, osłaniającej płonące drwa.

- I co? - spytała Sara. - Czy mnie porzucisz i ożenisz się z posagiem Dqrchesterow?
- Trzeba wiele wziąć pod uwagę.
- Bardzo wiele. Wiesz, że ciebie kocham. Ty sam udawałeś, że mnie kochasz. Tak twierdziłeś. Ale chcesz „wziąć pod uwagę”, że nie mam arystokratycznej krwi w żyłach, pieniędzy ani nadziei na

spadek.

- Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Małżeństwo jest sprawą poważną i należy rozważyć wszystko, co może wpłynąć na przyszłe szczęście...

- Więc i ja muszę rozważyć. Jeśli ty choć przez jedną chwilę możesz pomyśleć o możliwości małżeństwa z inną, to nie jesteś tym, za którego ciebie miałam!

- Saro, jesteś nadto popędliwa...

- A ty jesteś fałszywym wiarołomcą!

Jej palce zacisnęły się - na wazonie, stojącym na sekretarzyku. Rzuciła nim w Johna. Chybiła o włos: wazon roztrzaskał się o ścianę nad kominkiem. Nie pierwszy raz John był celem jakiegoś pocisku z jej rąk. Klękawszy, by pozbierać skorupy, młody człowiek powiedział spokojnie:

- Nie nabierasz wprawdy w celniejszym rzucaniu... szczęściem dla mnie.

Z pasją przebiegła przez pokój, odwróciła się jeszcze raz z ręką na klamce, by zawołać:

- Idź sobie do twojej posażnej dziedziczki o płaskiej piersi i twarzy jak zakalec w cieście! Nie chcę cię więcej widzieć na oczy!

I zatrasnęła za sobą drzwi.

John był człowiekiem praktycznym, obliczającym każdy krok. Dylemat wydawał mu się trudny. Z jednej strony - miłość w ubóstwie. Z drugiej - bogactwo, stosunki, umożliwiające mu nie tylko życie w komforcie, ale także na pewno pomocne w jego karierze. Wchodziło w grę również jego głębokie przywiązanie do rodziców, którzy niechętnie patrzyli na porywczą Sarę. Wydaje się, że John Churchill przynajmniej chwilowo odkładał decyzję, gdyż ambasador Courtin doniósł Ludwikowi, iż na balu wydanym przez księżnę Yorku:

„Sara Jennings więcej zdradzała ochoty do płaczu, niż do tańca. Jej ukochany John Churchill powiada, iż zaniemógł na płuca i by zmienić klimat, zamierza wyjechać do Francji. Chciałbym być w takim zdrowiu jak on. W rzeczywistości próbuje się tylko wykręcić od zobowiązań tego romansu. Jego ojciec życzy sobie, by poślubił inną, bardzo bogatą i bardzo brzydką, a nie daje zezwolenia na jego małżeństwo z Mademoiselle Jennings”.

Takie plotki powtarzano na dworze, a nie były one całkowicie wysane z palca. John czuł być może, że potrzebuje wytchnienia, by się zastanowić w spokojniejszej atmosferze, z dala od wybuchów Sary. Prócz tego, w jego późniejszej korespondencji często powraca obawa przed suchotami. Był po trochu chorym z urojenia i niekiedy podczas kampanii, nawet zwycięskiej i błyskotliwej, pisywał o wyczerpaniu, słabości i o tym, że chce jak najprędzej wrócić do domu i zająć się swoim zdrowiem.

Sara czuła się głęboko upokorzona, w miłości i dumie. Wierzyła całym sercem, że John Churchill jest jedynym dla niej mężczyzną, nie chciała znać innych i już odrzuciła, ku rozgoryczeniu jej matki, kilka bardzo korzystnych deklaracji małżeńskich; między innymi odmówiła Lordowi Lindseyowi. Po owej gwałtownej rozmowie i rozbiciu wazonu Sara pisała do Johna w charakterystycznym dla niej stylu: „

„Gdybyś naprawdę tak mnie kochał, jak mówisz, znalazłbyś jakieś rozwiązanie, które i Tobie dałoby szczęście. Nie nalegaj więcej na spotkanie się ze mną, bo ja nie mogę tego czynić zgodnie z moją czią, a jeśli kiedy uczyniła zbyt wiele, przypomnij sobie, kto był tego powodem.. Musisz sam przyznać, iż okazałeś się wobec mnie najfałszywszym obłudnikiem, jaki chodził po ziemi. Wyznaję, że będę cierpieć, ale zniosę to z łaską Boga, chociaż za późno dostrzegłam swój błąd”.

Współcześni, na podstawie zachowania Sary, uznali ją za arogancką i nieznośną. W kołach

dworskich i arystokratycznych rzadko kiedy pobierano się z miłości; częściej małżeństwo było rezultatem rodzinnych układów i finansowych przetargów. Z aprobatą mówiono o takim związku, który produkował potomstwo, a obie strony cieszyły się pozamałżeńską swobodą bez dawania powodów do skandalu. Łóżko do płodzenia potomstwa i łóżko do rozkoszy były dwoma różnymi meblami, gdzie indziej usytuowanymi. Ale takie małżeństwo nie mogło zaspokoić Sary. Jej mąż musi być kochankiem, a kochanek mężem. Wiek dwudziesty, mniej obłudny, łatwiej zrozumie Sarę Jennings.

Jednakże i John ją zrozumiał. A może tylko nie mógł pogodzić się z bardzo wyraźnym faktem, że jeśli Sara nie zostanie jego żoną, nie będzie też jego kochanką. Nie uciekł na kontynent. Wykluczył Katarzynę Sedley ze swoich kalkulacji, narażając się na niechęć rodziców. I zaczął znowu asystować Sarze. Najpierw ubiegał się o odzyskanie jej Względów listownie, bo Sara zupełnie słusznie nie chciała się z nim teraz widywać, dopóki ostatecznie i definitywnie nie przekonała się - jak tego całym sercem pragnęła - o szczerości jego uczuć i o jego absolutnym oddaniu.

Sytuacja materialna się nie zmieniła i nadal pozostawała ciężką przeszkodą dla młodej pary. Rozwiązanie nadeszło nagle i z zupełnie nieoczekiwanej strony. Księżna Yorku, Maria z Modeny, obserwowała miłość i rozpacz dwojga młodych.

Była młoda, romantyczna; wzruszyła się. Czy dwoje kochanków musi pozostawać z dala od siebie, ich miłość nie spełniona, z powodu braku takiej sumy, którą księżna mogłaby lekką ręką wydać na nowe klejnoty dla siebie? Maria z Modeny zawezwała Sarę i oznajmiła jej, że osobiście podejmuje się wyłożyć taką sumę, jaka młodej parze będzie na początek potrzebna. A rodzicom powie się o wszystkim dopiero po zawarciu ceremonii, która odbędzie się we własnych apartamentach księżny.

Burzliwe zaloty, które poprzedziły ślub młodych Churchillów, były tylko dowodem, jak głęboko i prawdziwie się kochali. I kochać się mieli zawsze. Sara popędliwa, gwałtowna, John zawsze spokojny, opanowany - razem stanowili pod wielu względami dobraną parę. Oboje ambitni, żądni sławy - żona dla męża więcej niż dla siebie. Oboje pożądliwie zbijali fortunę, chcąc zabezpieczyć własną przyszłość i przyszłość swoich dzieci, by nie zabrakło im tego, co oni zdobyli tylko dzięki nieoczekiwanej łaskawości księżny Yorku. I oboje mieli nieprzeciętne zdolności do zręcznej dyplomacji, do sprawowania władzy w roli szarej eminencji na scenie politycznej.

Pod jednym co najmniej względem Sara i John byli nieprzeciętni, można powiedzieć wyjątkowi. Żyjąc na dworze słynącym, z rozpusty, oboje znajdowali szczęście i zaspokojenie fizyczne w pożyciu małżeńskim. Wbrew swoim wcześniejszym miłosnym awanturkom John nie był z natury rozwiązły. Za granicą, podczas kampanii, unikał sposobności, z których inni pożądliwie korzystali. Sara starała się, gdy tylko to było możliwe, nie dopuszczać do zbyt długotrwałej ascezy. Wielokrotnie przyjeżdżała do niego na kontynent, gdy zajmował się dowodzeniem i żył w namiocie. Kiedyś przy takiej sposobności napisała do swej przyjaciółki, księżny Anny:

„Mój pan i władca zaszczycił mnie dzisiaj trzykrotnie - i to w butach”.

Rozdział 6

KATASTROFA NA MORZU

„O niczym innym tutaj się nie myśli ani nie mówi, jak tylko o panu Oates, o tym, kogo oskarżył i kogo jeszcze oskarży... Cała ludność w gniewie i trwodze o życie króla... prócz niego samego”.

Tak w roku 1678 pisał hrabia Sutherland z Anglii do przyjaciela w Szkocji.

Angielskim antypapistom zdawało się, że pod postacią Titusa Oatesa los im zesłał atutową kartę. Nie dbali o to, że człowiek ten był potworem, odstręczał samym swym widokiem: wielka łysa głowa wystawała prawie bez szyi nad zgarbionymi ramionami, ziemista cera, małe świńskie oczki, usta skąpe, złe. Oates złożył zeznanie, składające się z osiemdziesięciu jeden artykułów, przed sędzią londyńskim Sir Edmundem Godfreyem, w sprawie rzekomego spisku katolickiego w celu zamordowania króla Karola. Do spiskowców miał też należeć niejaki Coleman, sekretarz młodej księżny Yorku, katoliczki. W jego papierach znaleziono korespondencję z nuncjuszem papieskim we Francji i ze spowiednikiem króla Ludwika, ojcem Pierrem de la Chaise. Listy zawierały takie ustępy:

„Powodzenie stanowiłoby największy cios zadany protestanckiej religii od jej powstania... potężne dzieło, nie mniejsze jak nawrócenie tych królestw, a być może również całkowite wykorzenienie protestanckiej herezji...”

Sir Edmund Godfrey uprzedził księcia Yorku o zarzutach Oatesa, którego postawiono przed tajną radą królewską, gdzie powtarzał i jeszcze upiększał swoje pierwotne zeznania, usiłując wciągnąć do oskarżeń również księcia Yorku. Król Karol osobiście kilku trafnymi pytaniami zdemaskował Oatesa jako zwykłego kłamcę. Ale za tym człowiekiem stał hrabia Shaftesbury, a w oczach łatwowiernych tłumów listy Colemana zdawały się potwierdzać wymyśloną fikcję. W Londynie zapanowała masowa histeria, szerząc się tak gwałtownie jak morowa zaraza. Barykadowano domy przed grożącą lada chwila rebelią katolików. Damy nosiły przy sobie naładowane pistolety. Urządzano rewizje w mieszkaniach katolików, znalezione relikwie, obrazki, książki treści religijnej - palono. Ulicami przeciągały dniem i nocą tłumne pochody, napełniając miasto okrzykami: „Precz z papizmem!”

Sir Edmunda Godfreya znaleziono zamordowanego. Prawdopodobnie zginął za to, że nie chciał dać wiary ukartowanym zeznaniom i ostrzegł księcia Yorku. Katolickich parów, rzekomo wmieszanych w fikcyjny spisek wtrącano do Tower, słynnego z grozy londyńskiego więzienia stanu; chwilowo siedział tam także Samuel Pepys, na podstawie jakiejś niedyskretnej uwagi jego służącego. Oates wciągał w swoje zeznania coraz więcej osób - arystokrację, członków parlamentu, urzędników państwowych i zwykłych plebejuszy. W całym kraju skazywano tuzinami niewinnych ludzi. Król nigdy w spisek nie uwierzył, dostrzegał jego wyraźne cele, ale był bezsilny. Nikt nie mógł powstrzymać terroru i paniki, jakie się rozszalały za poduszczeniem Oatesa i jego popleczników, podżeganych jeszcze przez lorda Shaftesbury, w parlamencie i poza parlamentem.

Terror trwał przez cały rok. Kulminacyjnym punktem była chwila, gdy triumfujący Oates oskarżył królową o spiskowanie z jej nadwornym lekarzem, Wakemanem, w celu otrucia króla, jej męża. Izba Gmin przegłosowała usunięcie Katarzyny ze dworu, ale Izba Lordów - chociaż nie zasiadał w niej

ani jeden katolik - raz przynajmniej okazała zdrowy rozsądek i odrzuciła wnioszek.

Nagle Oates, Shaftesbury i cała zbrodnicza klika spotkała się z oporem. Podczas procesu dra Wakemana dowiedziono Oatesowi krzywoprzysięstwa. Odważny sędzia, chociaż potępiał papizm, wydał jednak wyrok: „Niewinny” - pierwszy taki wyrok we wszystkich procesach ofiar masowej histerii.

Shaftesbury nie ustąpił łatwo. W rocznicę koronacji królowej Elżbiety urządzono nocny pochód na ulicach Londynu. Organizatorem był z całą pewnością hrabia, za wiedzą, a może z współdziałaniem księcia Monmoutha. W tej procesji z pochodniami brali udział mężczyźni poprzebierani za jezuitów, z zakrwawionymi sztyletami w ręku, a za nimi biskupi i zakonnice. Jako przykład, co może spotkać przyjaciół papistów, niesiono kukłę, przedstawiającą Sir Edmunda Godfrey'a na marach. Spalono kukłę papieża. Za procesją szły tysiące ludzi podszczuwanych przez płatnych agentów hrabiego Shaftesbury.

Procesja z pochodniami była czymś na pograniczu melodramatu i farsy. Niemniej kazała niejednemu zatrzymać się i zastanowić na chwilę. Uwolnienie dra Wakemana dodało odwagi innym sędziom, którzy również zaczęli wydawać wyroki uwalniające ludzi oskarżonych przez Oatesa. Stopniowo histeria przycichła. Katolicy, którzy puciekali z Londynu, zaczęli wracać do swych domów. I wreszcie rozeszła się wiadomość, kim i czym w rzeczywistości był Titus Oates.

Były pastor anglikański i kapelan w marynarce wojennej, zwolniony za perwersję i próby uwodzenia chłopców okrętowych, Oates postanowił udawać katolika. Wstępował kolejno do kolegiów jezuickich w Valladolid w Hiszpanii i St. Omer we Flandrii: z obydwóch wydalony. Prawdopodobnie tam właśnie dowiedział się o planach ponownego nawrócenia Anglii na katolicyzm. Te plany jednakże niekonieczne równały się spiskom w celach morderstwa. Po powrocie do Anglii, zwąchawszy się z podobnymi sobie szujami, ułożył spisek, sfałszował potrzebne dokumenty i dostał się do hrabiego Shaftesbury, który uznał, że za pomocą takiej karty atutowej będzie mógł wygnać z Anglii księcia Yorku, królową i wszystkich katolików.

John i Sara, na szczęście dla nich, nie byli w Londynie podczas większej części owej pożałowania godnej, zbrodniczo rozpętanej nagonki na katolików. Król polubił Johna, który był zręcznym dworzaninem, przystojnym, gładkich manier i miłym w obejściu. Obaj królewscy bracia, Karol i Jakub, nierzadko wysyłali Churchilla z tajnymi misjami za granicę, gdzie jego doskonała francuszczyzna była mu bardzo przydatna. Tak się złożyło, że w ciągu całego swego życia najlepiej służył tym, którzy mogli mu się najlepiej odwdzięczyć. W roku 1678 był królewskim wysłannikiem do Wilhelma Orańskiego, z plenipotencją uzgodnienia liczebności zarówno wojsk lądowych jak i floty, które każde z dwóch państw miało utrzymywać w gotowości na wypadek wojny z Francją. Zanim wyjechał z Anglii, John skutecznie oparł się naleganiom swej młodej żony, która chciała założyć dom w Londynie. Jak zawsze, obawiał się przysporzyć sobie wydatków większych, niż mu na to pozwalały jego finanse. Toteż Sara przepędziła pierwszą zimę po swoim zamążpójściu u rodziców Johna. Niechętnie początkowo do niej usposobionego Sir Winstona zdołała przeciągnąć na swoją stronę, ale z teściową nigdy nie nawiązała przyjaznych stosunków. Gdy później poproszono lady Churchill, by zechciała zostać matką chrzestną pierwszego dziecka Sary, stara dama w ogóle nie raczyła odpowiedzieć.

John pisywał listy częste i gorące.

„Chciałbym, żeby każda poczta list Ci ode mnie przynosiła... Tęsknię do Ciebie całą duszą i całym sercem... jesteś mi droższa niż moje własne życie...”

Churchill kilkakrotnie proponował, że porzuci swoją karierę, aby więcej przebywać z Sarą. Ona nigdy nie chciała się na to zgodzić, nie brała nawet takich deklaracji na serio. Żywiła wielkie ambicje co do jego przyszłości, wierzyła zawsze, że jest mu przeznaczone odegrać główną rolę w wielkich wydarzeniach. A może także lubiła być kochaną „w butach”.

Książę Wilhelm przyjął kordialnie angielskiego posła a swego rówieśnika. Jego małżeństwo i antykatolickie manifestacje w Anglii, zwrócone przede wszystkim przeciw królewskiemu bratu i następcy księciu Yorku, w sposób nieunikniony kierowały myśli Wilhelma w stronę Stuartów. Toteż zależało mu na przychylności każdego ustosunkowanego Anglika. Churchill przewyższał księcia osobistym urokiem, a później miał się okazać wybitniejszym od niego wodzem. Pod względem talentów dyplomatycznych pewno stali na równi. Ale Churchill - może dlatego, że w gorszych warunkach życie zaczynał - był bliższy oportunistom.

Angielski wysłannik zawarł z księciem ugodę, nad wyraz korzystną dla króla Karola. A później Wilhelm zaczął ostrożnie, oględnie rozmowy o sprawie bardzo delikatnej nawet dla niego, który sam był Stuartem po kądzieli i ożenionym ze starszą córką następcy angielskiego tronu. W Anglii nie obowiązywało prawo salickie. Jeśli suweren nie miał syna, korona przechodziła na najstarszą córkę; jeśli w ogóle nie miał potomstwa - na najstarszego brata lub siostrę.

- Doszły moich uszu wiadomości o pewnych, że się tak wyrażę, trudnościach, co do sukcesji mego teścia do tronu... Czy się nie mylę? My dwaj jesteśmy protestantami. Możemy zrozumieć...

- Nie wiem w tej sprawie więcej, niż wasza dostojność - odparł Churchill. - O ile by wynikły jakieś wątpliwości w tej mierze, rozstrzygnie o nich prawo.

- Król opowiada się za swoim bratem, jak sądzę - książę nie dawał za wygraną. - Chociaż bardzo kocha swego najstarszego syna...

- Najjaśniejszy pan jest dynastą - rzekł John i dodał dwuznacznie: może to zawołane ostrzeżenie? - Jeśliby ktokolwiek prócz legalnego, wyznaczonego następcy żywił aspiracje, król ich nie poprze. i - A czy mogę zapytać o pańskie, jako protestanta, sentymenty w sprawie religijnych afiliacji księcia?

- Wasza dostojność, mam zdecydowaną awersję do papizmu... ale ufam, że będę zawsze sobie życzył, jak w tej chwili, aby żaden człowiek nie cierpiał z powodu swoich religijnych przekonań.

Wilhelm posunął się nieco dalej.

- A jeśliby mój teść odziedziczył tron i zechciał siłą Anglię do Rzymu poprowadzić?

- To jest teoretyczna spekulacja - odparł John. - Jeśli wasza dostojność pozwoli, wolałbym o tym nie dyskutować. Książę Yorku jest moim patronem, może nawet... moim przyjacielem...

Ze swojej strony John Churchill przestrzegał podstawowych kanonów dyplomacji - przynajmniej w słowach. Książę Orański, pisząc do Karola o uzgodnionej umowie, szczególnie ostentacyjnie wychwalał umiejętność i takt emisariusza. Ale... wkrótce po tej rozmowie Wilhelm zaczął potajemnie subsydiować antypapistycznych przywódców Anglii.

Zaraz po swoim powrocie do kraju, John wyjechał z księciem Yorku do Szkocji. Sara, bliska pierwszego rozwiązania, została w domu rodziców. Chociaż książę jako zamiłowany żeglarz - „Kuba żeglarz”, jak go zwano - wolał morze, jednakże tym razem wyprawił się na północ lądem. Miał nadzieję przy sposobności tej podróży odzyskać nieco dawnej popularności, jaką się cieszył w kraju, gdy prowadził do zwycięstw flotę angielską. Nie bardzo mu się to powiodło. John pisał do Sary:

„Ogólnie biorąc, witano księcia raczej chłodno: tylko nie chciałbym, byś o tym mówiła z księżniczką Anną ani z nikim innym”. Zapewniał jak zwykle, o swej miłości do żony i tęsknocie,

kończąc: „Przysięgam, że kiedy miałem Cię wziąć w objęcia po raz pierwszy, nie pragnąłem tego więcej niż dzisiaj”.

Dziecko Sary, dziewczynka, nie przeżyło dłużej niż do chrztu. Osierocona matka pojechała do męża, postanowiwszy zająć ponownie w ciążę jak najszybciej. Za drugim razem wszystko poszło dobrze, dziecko - nazwane Henrietta - chowało się zdrowo. John, zawsze kochający mąż i ojciec rodziny, pisał:

„Donosisz mi, że Henrietta ma Twój kolor włosów: ufam, że we wszystkim będzie do Ciebie podobna”.

Później dzieci Churchillów przychodziły na świat w dość regularnych odstępach czasu; mieli wszystkiego trzy dziewczynki i dwóch chłopców - ostatni urodzony w roku 1690.

W okresie, gdy książę przebywał w Szkocji, król zachorował. Grał w tenisa któregoś dnia do późnego wieczoru, a potem, wbrew upomnieniom Katarzyny, poszedł na spacer bez płaszcza. Wieczór był chłodny, rosisty. Następnego dnia król miał gorączkę i napady dreszczy. Jednakże w krótkim czasie ambasador Courtin mógł donieść Ludwikowi, który nadal ufał, że mu się uda odciągnąć Anglię od przymierza z Niderlandami: „Wyzdrowiał i na pewno mógłby zdrowie długo zachować, gdyby nie upierał się łowić ryby w taką pogodę, że i psa byś nie wypędził”. Ten upór, przemęczanie się przy grze w tenisa albo łowieniu ryb, wraz z jego kochankami, nadszarpnęły siły Karola, chociaż liczył dopiero pięćdziesiąt lat.

Monmouth ponownie udał się w objazd kraju, tym razem do środkowych i północnych hrabstw. W Chester rozpalono ogniska na jego cześć; przyszło do bójek między lojalistami i antypapistami. Tłum dysydentów wdarł się do anglikańskiej katedry, zniszczył wszystko, co im się wydało manifestacją papizmu - barwne witraże, posągi, rzeźbioną chrzcielnicę - iw poświęconym przybytku pił toasty: „Precz z królem i księciem Yorku!” Dysydenci uważali kościół anglikański za pół drogi do Rzymu.

Karol nie miał wyboru. Musiał swego syna, zawsze ulubionego mimo jego niesforności, kazać arestować, a potem wysłać do Niderlandów.

Z tych i innych powodów John Churchill i inni przyjaciele księcia Yorku zaczęli go dyskretnie i taktownie namawiać do przyjęcia protestantyzmu. Jednakże Jakub, choć miał wiele wad, w swojej religii był szczery. Odmówił:

- Wy, którzy jesteście takimi fanatykami własnej wiary, powinniście zrozumieć, że ja jestem przywiązany do mojej.

Uwaga słuszna, tylko że ci właśnie adwokaci protestantyzmu, którzy go namawiali, nie byli wcale fanatykami swojej wiary, lecz kłopotali się o wewnętrzny spokój i swobody obywatelskie w Anglii na wypadek, gdyby Jakub wstąpił na tron, jako jawny wyznawca Rzymu.

Król czuł się obleżony ze wszystkich stron: spiski hrabiego Shaftesbury, strach ludności przed papizmem, kłamstwa Titusa Oatesa i innych krzywoprzysięzców, wybryki Monmoutha, próby wykluczenia Jakuba od dziedziczenia tronu, żądania, by król rozwiódł się z Katarzyną i poślubił inną, która by mu dała następcę tronu. Pomimo złego stanu zdrowia Karol wszystkich przechrzył - dziwną mieszaniną odwagi, podstępów i cierpliwości. Tu był stanowczy, tam trochę ustąpił. Kogoś łaskawie pochwalił, innego zganił. I ostatecznie pokonał nieprzyjaciół własnych i brata. Gdy hrabia Shaftesbury zażądał, by król, udając, że potajemnie zawarł był morganatyczny związek z Lucy Walter przed urodzeniem Monmoutha, uznał młodego księcia za prawowitego następcę, król odparł:

- Byłoby to przeciw prawom boskim i prawom tego kraju. Może Karol nie zawsze tak

rygorystycznie przestrzegał praw boskich. Shaftesbury powiedział:

- Boska sprawiedliwość sama się o siebie zatroszczy, a co do praw tego kraju, to parlament zajmie się ich zmianą.

- Hrabio Shaftesbury - rzekł ostro król - proszę się nie łudzić. Ja nie ustąpię i nie dam się zastraszyć. Ludzie często stają się trwożliwsi w miarę, jak się starzeją. Ja przeciwnie, będę śmielszy i surowszy, i nie splamię mojej reputacji w ciągu tego krótkiego czasu, który mi może jeszcze do życia pozostał. Nie lękam się niebezpieczeństw i katastrof, którymi usiłuje się mnie szantażować. Po mojej stronie jest prawo i rozsądek.

Szlachetne słowa, ale „krótki już czas”.

Parokrotnie parlament próbował przeprowadzić uchwałę, odsuwającą Jakuba od tronu. Gdy za trzecim razem zanosilo się na to, że uchwała przejdzie - król rozwiązał parlament. Monmouth popierał uchwałę i zarobił sobie na sarkastyczną uwagę ojca: „Pocałunek Judasza”. Hrabiego Shaftesbury wtrącono do Tower i oskarżono o zdradę stanu. Również Oatesa wreszcie umieszczono tam, gdzie powinien się być znajdować od dawna - w więziennym lochu. Uwolniony przez londyńskich sędziów przysięgłych Shaftesbury spróbował zmobilizować tłumy na jeszcze jedną nocną demonstrację. Tym razem mu się nie udało: patrole wyznaczonej nocy zastały pustki na ulicach. Hrabia pogodził się z klęską i uciekł do Holandii, do Monmoutha, gdzie niebawem umarł. Poeta John Dryden pisał o nim, iż był fałszywy w przyjaźni, nieubłagany w nienawiści, chciał rządzić krajem lub go zniszczyć.

Jak wówczas, gdy rozszalał się największy terror spisku Titusa Oatesa, tak i w ciągu tych ostatnich gorących wydarzeń, John i Sara byli z dala od Londynu, w Szkocji. Ale w roku 1682 John nie uniknął udziału w innych niebezpiecznych wydarzeniach. Gdy nastroje ochłodziły, a król był mniej więcej panem sytuacji, Jakub z Churchillem i paru innymi - wszelako nie zabierając ze sobą księżny ani Sary - pojechali na krótko do Londynu, by wypróbować reakcję. Jego przyjazd nie wywołał rozruchów, więc książę postanowił sprowadzić do stolicy cały swój dwór. Wsiadł na fregatę „Gloucester” z około trzystu ludźmi na pokładzie i jako eskortę wziął jeszcze kilka żaglowców. Na jednym z nich znajdował się Samuel Pepys.

Był piątek. W sobotę nad ranem Johna obudził silny wstrząs. Fregata zadygotała od rufy do dziobu. Kadłub napotkał coś dającego na pewno większy opór niż woda. Hałas, jakby trzask łamiącego się drewna. Churchill narzucił na siebie odzież i wypadł na pokład, gdzie najpierw zobaczył leżącego człowieka. „Gloucester” utknął na mieliźnie. Kapitan kłął.

- Ster złamany - zawołał do Johna. - Sternik zabity. Ten przeklęty pilot musiał być chyba pijany. Im prędzej zabierze pan jego książęcą mość do szalupy, tym lepiej!

Na wpół ubrani pasażerowie wybiegali na pokład, naciągając odzież po drodze. George Legge, dworzanin księcia, zawołał do Johna, który przeciskał się z powrotem na dół między tłumem pchającym się do góry.

- Przyprowadzę łódź pod okno kabiny rufowej!

Takie kabiny miały duże okna, zamiast małych okrągłych. Księcia zastał John już ubranego. Było przy nim paru księży, dworzan i hrabiów. Trzaski pod kadłubem ustały.

- Wydaje się, jakbyśmy osiedli na mieliźnie - powiedział książę. - Zapewne nie ma pośpiechu...

- Kapitan zaklina waszą książęcą mość, byś zechciał natychmiast opuścić statek - powiedział John. - Zabraknie łodzi dla wszystkich, jeśli zatoniemy.

- Co on sobie wyobraża? - zirytował się książę. - Że ja nigdy nie byłem na uszkodzonym okręcie?

Dobry żeglarz nie wpada w panikę. Wracaj na pokład, John, i przynoś mi wiadomości o położeniu.

Do okna kabiny zastukał George Legge. Księżę polecił jednemu ze swego otoczenia, by trzymał łódź w gotowości.

Na pokładzie panowała panika, ludzie biegali tam i z powrotem, na pozór bez celu i tylko wołali, że jest za mało łodzi. Załoga wydawała się równie bezradna jak wszyscy.

- Musiało oderwać wielki kawał od dna - powiedział kapitan Johnowi. - Nabieramy wody bardzo prędko. Już co najmniej dwa metry. Cieśle okrętowi nie mogą nic poradzić.

Zjawiwszy się z powrotem w kabinie księżęcej, John oznajmił:

- Okręt tonie, wasza wysokość. Każdy myśli o swoim bezpieczeństwie.

Księżę stracił kontenans. Wszyscy z jego otoczenia nalegali, by uciekał, rozumiejąc, że ich własne bezpieczeństwo zawisło od księżęcego.

- W takim razie jedźmy - zgodził się księżę. - Im prędzej, tym lepiej.

Otworzono okno. Jakub przywołał swoje psy i wskoczył do łodzi, za nim księża i dworzanie. John zatrzymał się. Wstyd mu było zostawiać innych na pastwę losu. Spojrzawszy do góry, Jakub zobaczył rufę okrętu zapchaną na wpół przyodzianymi figurami, gestykulującymi gwałtownie i wołającymi:

- Wasza wysokość, proszę nas nie zostawiać! My tu wszyscy potoniemy!

Księżę przywołał Churchilla stojącego w oknie i podał mu swoją szpadę:

- Uderzaj w każdego, kto wskoczy do łodzi! - rozkazał. - Inaczej nas zatopią. Przyślemy tu po nich statki naszej eskorty.

Sam nie zamierzał widocznie ryzykować czekania na statki eskorty.

W chwilę potem statek „Gloucester” rozłamał się na pół. Pepys kierował akcją ratowniczą statków eskortujących, ale pomimo wszelkich wysiłków zginęło około dwustu pięćdziesięciu ludzi - szlachty, marynarzy i służby, ale nikt z księży. W żadnym sprawozdaniu z katastrofy, włącznie z oficjalnym raportem kapitańskim nie ma wzmianki, iżby na pokładzie „Gloucester” znajdowały się jakieś kobiety. Jeśli były, nikt, jak się zdaje, nie zatroszczył się o ich tradycyjne na morzu prawo do pierwszeństwa w ratunku.

Pilot, który jak się później okazało, był dysydem, należał do tych niewielu, którzy ocaleli. Ale lepiej byłoby dla niego, gdyby utonął. Za swój błąd - czy też przestępstwo, bo sugerowano, że była to świadoma próba pozbawienia życia księcia Yorku - skazano go na dożywocie w wilgotnym lochu więziennym. Księżę Jakub kazał później wypłacić jedenastomiesięczną pensję każdej z wdów po zatopionych marynarzach i pewną sumę pieniędzy każdej z sierot. Wydaje się, że dawny wielki admirał, okrzyczany bohater nie jednej bitwy morskiej, chciał się w ten sposób wykupić od własnego niespokojnego sumienia. Jeśli wierzyć sprawozdaniu z drugiej ręki, napisanemu w wiele lat później przez Sarę, to John Churchill „ostro krytykował księcia Yorku”. Ponoć gdy Legge podprowadził szalupę do okna kajuty, w pierwszej chwili Jakub, sądząc, że nie ma niebezpieczeństwa, udawał spokój i odwagę; „ale skoro tylko posłyszał, że okręt tonie i - że jest za mało szalup „księżę od razu ratował się ucieczką, ze swymi psami i swymi księżmi”.

Mógł to być komentarz rzetelny, albo i nie. Jakub uważał się za powołanego przez Boga do powtórnego nawrócenia swojej ojczyzny, czego mógł dokonać, jeżeli to w ogóle było wykonalne, raczej jako żywy niż martwy.

Mąż Sary także „ratował się ucieczką”. W tym wypadku trudno go winić. Był pod rozkazami księżęcymi i ocalenie życia następcy tronu mógł słusznie uznać za swój najpierwszy obowiązek.

Tylko nie wiadomo, czy ostatecznie John tak bardzo zasłużył się dla kraju, ratując życie Jakuba księcia Yorku.

Odłożywszy wszelkie przypuszczenia na stronę - gdy książę z towarzyszami dotarł do Londynu, król Karol za ratowanie życia następcy tronu nadał Johnowi tytuł barona Aymouth.

Młoda para, John i Sara Churchillowie, wspinała się do góry.

Rozdział 7

PANI MORLEY I PANI FREEMAN

- Wypróbowałem go pijanego i wypróbowałem go trzeźwego i nic w nim nie znalazłem - mawiał Karol II o mężu, wybranym dla księżniczki Anny.

Chodziło o księcia Jerzego duńskiego, poprzednio aspiranta do tronu Polski. Mariaż miał ukuć jeszcze jedno ogniwo łączące państwa protestanckie. Matrymonialne targi prowadził brat lorda Churchilla, Charles, jako stojący na czele wojskowej misji angielskiej na dworze króla Chrystiana. A po narzeczoną wysłano Johna, któremu król Chrystian ofiarował w prezencie cenną szpadę i pierścień. Świeżo upieczony baron Aymouth często uskarżał się przed Sarą i przyjaciółmi na szczupłość jego oficjalnych dochodów. Natomiast wypełniając swe rozliczne misje zagraniczne, John otrzymywał różne podarki o niemałej wartości.

Korpulentny książę Jerzy miał dwie namiętności: myślistwo i jedzenie. Ktoś ze współczesnych zauważył: „W tych gustach mąż i żona będą się zgadzali”. Bo i Anna była wielką smakoszką. Prócz tego para podobna była do siebie pod względem pewnej gnuśności intelektu. Anna lękała się ułożonego mariażu tak samo jak jej siostra Mary, gdy była zaręczona z Wilhelmem Orańskim.

- Najmilej mi, gdy jestem tylko z tobą - mówiła do Sary. - Kiedy we dwie zwierzamy sobie tajemnice albo żartujemy.

Wprawdzie jej własne małżeństwo było wystarczająco romantyczne, jednakże Sara potrafiła być realistką w matrymonialnych sprawach książąt.

- Bierz, co ci się nadarza! - nalegała na Annę. - Mogłaś trafić dużo gorzej!

Ojciec Anny istotnie chciał wydać przynajmniej jedną ze swoich córek za katolika. Znowu więc ten mariaż, zaplanowany przez króla, nie przypadł mu do gustu. Książę Yorku nadal chętnie posługiwał się swym szambelanem sypialni, ale coraz mniej mu się podobał wpływ, jaki wywierała Lady Sara na jego córkę. Natomiast król mówił o Sarze:

- Ma zdrowy rozsądek. Chciałbym, żeby moja bratanica miała taki choć w połowie!

Kiedys król usłyszał, jak Sara z Anną wyśmiewały się z otyłości księcia Jerzego. Sara dygnęła nisko, czerwieniąc się, a król rzekł:

- Jest niezawodna kuracja na otyłość.

- Proszę nam powiedzieć, najjaśniejszy panie - poprosiła Sara, - Ja sama zaczynam trochę tyć.

- Moja kuracja jest tylko dla panów. Książę winien chodzić na spacerzy ze mną, polować z moim bratem i nie marudzić z żoną.

- Och, najjaśniejszy panie! - Sara udawała skromnie zawstydzoną, ale zerkała zabawnie na króla; Anna była zbyt tępa, by zrozumieć z lekka nieprzyzwoity żart. Sara odrzuciła udawanie i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Karol przyznał swej bratanicy roczne apanaże w sumie £20.000 i kupił dla niej w Londynie rezydencję, zwaną Cockpit, od walk kogucich, które niegdyś urządzano na tym terenie. Po uroczystościach weselnych Sarę mianowano pierwszą damą sypialni, z roczną pensją dwustu funtów

- niewiele, ale był to użyteczny dodatek do dość skromnych funduszy Churchillów.

Coraz częstsze obowiązki polityczne i misje poselskie Johna sprawiły, że Sara zaczęła się interesować polityką. Agitacja polityczno-religijna, która osiągnęła punkt kulminacyjny podczas afery Titusa Oatesa, zmuszała każdego, by się wyraźnie opowiedział, po czyjej jest stronie. Sara była przeciwniczką papizmu, raczej dlatego iż dostrzegała niebezpieczeństwo interwencji Watykanu i Francji w sprawy jej ojczyzny niż ze względów religijnych. Osobiście była tak bliska agnostycyzmu, jak tylko to było możliwe w XVII wieku. Sprzyjała nowemu stronnictwu politycznemu, które właśnie się utworzyło, zwanemu wigami. Należeli tu ludzie ze sfer ziemiańskich, z dawnych rodów „Okrągłogłowych”, a także z bogatszych klas średnich, nawet dysydenci lub tolerancyjni wobec dysydentów; a wszyscy dążący do ograniczenia prerogatyw królewskich. Księżniczka Anna ze swojej strony faworyzowała torysów, ponieważ byli oni zwykle potomkami „kawalerów” i opowiadali się bez zastrzeżeń, za królem, boskim prawem pomazańca do tronu i kościołem anglikańskim. John popierał torysów, ale dość przezornie i bez zapału, nie tyle z powodu przekonań, ile dlatego iż tak nakazywały tradycja rodzinna i związki z przyjaciółmi.

Te różnice w poglądach i powiązaniach politycznych nie wywoływały sporów w małżeństwie, czego można było, oczekiwać, zważywszy porywczy temperament Sary. Tymczasem właśnie ona nie nalegała na męża, ufając, że rozwój wypadków - a Sara umiała przewidywać wcale trafnie - każe Johnowi dojść do poglądów zgodnych z jej własnymi.

Król Karol miał rezydencję położoną na północ od Londynu, a o jakieś 20 kilometrów od Cambridge, w okręgu Newmarket, znanym z hodowli koni i wyścigów. Lubił wymykać się tam z Londynu, skoro tylko mógł. Współczesny pamiętnikarz Sir John Resbury opisywał, jak król jegomość przepędzał czas, gdy wyjeżdżał tam na wypoczynek:

„Królowi tak przypadła do gustu rezydencja i okolica, tak bardzo się rozkochał we wszelkich rozrywkach, jakie tu miał do dyspozycji, że folgował sobie w ceremoniale i żył trybem zwykłego ziemianina. Na wyścigach mieszał się z tłumem widzów, pozwalał każdemu podchodzić do siebie i mówić, co by chciał; rankami wyjeżdżał na polowania z sokołami, po południu, jeśli nie było wyścigów, szedł popatrzeć na walki kogutów; a wieczorami na przedstawienia, odgrywane przez jarmaczne trupy wędrownych aktorów”.

Kiedy w roku 1683 król przebywał w Newmarket, pożar zniszczył jego rezydencję, zmuszając go do wcześniejszego, niż zamierzał, powrotu do Londynu. Razem z nim wracał Jakub i paru dworzan, między nimi John Churchill. Wykryto zasadzkę: w miejscu zwanym Rye House spiskowcy zamierzali napaść i zabić obu królewskich-braci, gdy ci wracali do stolicy w poprzednio ułożonym terminie. Ratując własne skóry, spiskowcy zaczęli „sypać”. Dysydenci i dawni cromwellowscy „Okrągłogłowi” byli głównymi instygatorami tego spisku; ale za nimi stał książę Monmouth. Dwaj arystokraci, przyjaciele hrabiego Shaftesbury, zostali ścięci; jeden popełnił samobójstwo w więzieniu.

- Rzadko kiedy - zauważył król - pożar lepiej się przysłużył temu, którego dom strawił.

Jednakże głęboko go zmartwiła podłość jego najstarszego syna, który gotów był współdziałać z mordercami własnego ojca i stryja, byle tylko dostać się na tron. Monmouth, który powrócił potajemnie do Anglii, po wykryciu spisku pośpiesznie uciekł z powrotem za granicę, w kompanii swych przyjaciół i stronników.

Zdrowie króla stale się pogarszało. Miewał częste napady febry i lekarze zalecili, by na jakiś czas opuścił Londyn. W sierpniu razem z królową wyjechał do Winchester, gdzie Sir Christopher

Wren, jego ulubiony architekt, budował nowy pałac królewski na wzgórzu, z którego król mógł obserwować swoją ukochaną flotę, zakotwiczoną w pobliżu wyspy Wight.

Był to rok, w którym Turcy wyprawili się na podbój Europy. Przez Belgrad doszli do wrót Wiednia. Odpowiadało to Ludwikowi XIV, który wciąż miał apetyt na ziemie cesarskie; jego wojska nieraz już przekraczały granice cesarstwa i były gotowe zrobić to ponownie. Jan III Sobieski zwyciężył Turków i odpędził ich od murów stolicy Austrii w sławnej bitwie, określanej przez Roberta Baina i Romana Dybowskiego w Encyclopaedia Britannica, jako „ostatnie szlachetne echo wzniosłego instynktu wypraw krzyżowych: wyjątkowa przysługa oddana w duchu dawnej rycerskości przez jeden naród drugiemu w epoce, gdy już rządziła dyplomacja machiawelska i rozrastał się egoizm narodów”.

Zima roku 1683/4 była w Londynie wyjątkowo surowa: najstarsi ludzie nie pamiętali tak ostrych i tak długotrwałych mrozów. John napisał do Arabelli:

„Tamiza tak zamrzła, że pobudowano na środku rzeki całe miasteczko namiotów i szałasów. Powozy i sanie jeżdżą po lodzie, niektóre zaprzężone w sześć koni, a łodzie i promy próżnują. Wioślarze, by zarobić na życie, przeobrazili się w akrobatów, kuglarzy, siłaczy. Sara i ja jeździmy na łyżwach wieczorami, przy świetle pochodni. Wczoraj król kazał kilkanaście wołów zabić i upiec na rożnach dla mieszkańców”. W Anglii panował pokój i pomimo wszelkich zamieszek i waśni w ciągu tego panowania - wzrastał dostatek ludności. Na całej kuli ziemskiej jej żeglarze zakładali nowe faktorie, otwierali nowe szlaki handlowe. Dochody z ceł wzrosły nadzwyczajnie, co umożliwiło Karolowi popłacić długi, niektóre nawet z czasów ojca. Ale król niedomagał i z lękiem myślał o przyszłości kraju:

- Nie mogę sobie wyobrazić - mówił - co mój brat zrobi, kiedy ja już umrę. - Odgadywał jednakże zamiary Jakuba, bo dorzucił jeszcze: - Bardzo się boję, że gdy włoży koronę, będzie musiał znowu podróżować. A przecież troszcę się o to, by mu zostawić królestwo w pokoju, by je tak zachował. Niestety, z tą troską się wiążą wszystkie moje trwogi, niewiele moich nadziei, a jeszcze mniej mego rozsądku...

Karol zgodziłby się na wykluczenie Jakuba jako następcy tronu, gdyby nie obawa, że to doprowadziłoby do nowej wojny domowej między jego nieprawym synem a jego siostrzeńcem, Wilhelmem Orańskim.

Wreszcie król osłabł tak bardzo, że nie mógł już dosiąść konia. Jednakże nadal codziennie odwiedzał stajnie, jak miał zawsze w zwyczaju. Według słów królowej Katarzyny: „Zwracał się do swych koni z taką samą kurtuazją, jak do chrześcijan”.

Dnia 1 lutego 1685 roku król, będąc z powrotem w Londynie, powiedział do lorda Churchilla o swym nowym pałacu w Winchesterze:

Będę naprawdę szczęśliwy w tym tygodniu, bo mój gmach pokryją ołowiem.

John wspominał te słowa później, jako prorocze i nieświadomie makabryczne.

Tej nocy król źle spał. Przywykł do nocnych hałasów: wielki piec na węgiel trzaskał i huczał, psy, których tuzin zawsze sypiał w królewskiej komnacie, często po nocy wstawaly, włóczyły się i swarzyły o ulubiony kątek, kilka stojących zegarów, źle zsynchronizowanych, wydzwaniało kwadransy i godziny na zmianę, prawie bez przerwy. Ale tej nocy każdy szmer przeszkadzał królowi. Rankiem dziwnie się zająkiwał. Wstał jednak, z pomocą dworzan przeszedł do fotela - i dostał gwałtownego ataku apopleksji.

W ciągu pięciu dni puszczano mu krew, a jednocześnie stosowano kataplazmy na głowę, by król

nie tracił przytomności. Wlewano mu do ust rozmaite napary i leki - wszelkie, prócz skutecznych. Wszyscy już wiedzieli, że to koniec, wiedział także i sam król. Gdy był przytomny, zachowywał zdumiewająco dobry humor: raz zażartował:

- Przykro mi, panowie, że tak długo trwa to moje umieranie.

Przed pałacem wielkie tłumy zgromadziły się i stały w żałobnej ciszy. Mężczyźni, kobiety, dzieci - płakali. Sklepy pozamykano, pojazdy nie jeździły ulicami. Londyn zamarł w oczekiwaniu, jakby dech wstrzymał. W każdym kościele - .anglikańskim, katolickim, dysydenckim - i w każdej synagodze odprawiano bez przerwy modły. Na rzece przewoźnicy nawoływali jeden drugiego ściszonymi głosami: „Jak z królem?”

„Wszystkie nasze porty zamknięto - pisał John Churchill - aby żadna wiadomość o nieuniknionym już końcu nie dotarła na kontynent. Gdyby Monmouth się dowiedział, że król umiera, mógłby przeprowić się do kraju i wzniecić rebelię. Rada królewska chciałaby, bardzo słusznie moim zdaniem, proklamować Jakuba królem, zanim Monmouth zdążyłby tu przybyć. Nawet ten parrycyda może dwa razy pomyśli, zanim się porwie na proklamowanego suwerena”.

Jeszcze nikt nie wiedział, jakie ryzyko Monmouth gotów był podjąć.

Król prawie nie puszczał Katarzyny od swego łoża. Bezdzienna królowa w milczeniu przyjmowała upokorzenie, jakim była dla niej procesja nieślubnych, ale uznanych bastardów Karola. Synowie lady Castlemaine, księżęta Southampton, Grafton i Northumberland, syn Luizy de Keroualle, Richmond, syn Neli Gwynn, St. Albans - każdy kolejno podchodził do umierającego i otrzymywał błogosławieństwo. Tylko tego najbardziej kochanego zabrakło.

Wręczając Jakubowi klucze od skarbcza, Karol zaklinał brata, by nie próbował wiary rzymskiej do Anglii wprowadzać, jako że to rzecz niebezpieczna i niewykonalna.

Zawsze był realistą. Pomimo wszelkich swych wad, wbrew osobistym skłonnościom do katolicyzmu, wśród wielu zamieszek przestrzegał tej rady, której teraz udzielił bratu - i zachował tron do końca.

Jakub nic nie odpowiedział, tylko mocniej wargi zacisnął.

Ale jeszcze z jednym przypomnieniem zwrócił się umierający król do brata:

- Nie pozwól, by Neli Gwynn cierpiała biedę.

Żadnej z kochanek nie dopuszczono do króla. Ale Katarzyna pozwoliła Nelly - ona jedyna spośród „spanielek” króla zdołała tak oczarować swym wdziękiem królową, iż się nieomal zaprzyjaźniły - zostać na klęczkach przed sypialnią królewską. Mijały godziny: Neli klęczała i modliła się.

Słaby bardzo i przytomny tylko chwilami, pod naciskiem królowej i Jakuba, król ostatecznie dopełnił obietnicy, którą Ludwik XIV kupił od niego za złoto. I wkrótce potem jego „gmach” - chociaż nie ten budowany w Winchesterze - „pokryto ołowiem”. Anglia będzie go pamiętała, a potomność uczi jako jedyne z dynastii Stuartów monarchę, który według jego biografy Christophera Falkusa, „zachował więź z ludnością i popularność u poddanych”. i Lady Castlemaine i Luiza de Keroualle prawie natychmiast powróciły do Francji. Hortensja Mancini pozostała w Londynie, prowadziła dom otwarty, a w jej salonie bywali ludzie o najświetlejszych umysłach. Królewska wdowa wróciła do Portugalii, gdzie niebawem została regentką, a korzystając z wielu doświadczeń, jakie zdobyła przy swym małżonku, była, zdaniem wielu, jedną z najmądrzejszych władczyń w Europie. Biednej Neil, „kurwie o złotym sercu”, pozostały niecałe dwa lata życia.

Lord John Churchill miał prawo oczekiwać teraz dalszego pięknego rozwoju swojej kariery. Nie

będąc katolikiem, nie mógł zostać pierwszym faworytem suwerena, ale cieszył się zaufaniem Jakuba, jego stosunki z nowym władcą pozostawały przez jakiś czas bardzo kordialne, a król używał go, jak poprzednio Karol, jako wysłannika do specjalnych poruczeń. Pierwszą taką misją było oficjalne zawiadomienie króla Francji o zakończeniu w Anglii jednego panowania i rozpoczęciu nowego. Jednocześnie poseł miał prosić o subsydlum dla nowego władcy w Westminsterze. Szczebel po szczebłu, najpierw jako paź, oficer w wojsku, szambelan sypialni następcy tronu, królewski wysłannik i baron - Churchill daleko zaszedł w ciągu trzydziestu lat, które go dzieliły od skromnego, prawie biednego dworu Ashe House.

Sara nabrała nowego blasku i znaczenia jako baronowa i dama sypialni królewskiej córki. W stosunkach Sary z księżniczką Anną różnice polityczne nie grały jeszcze żadnej roli. Anna nadal była niezbyt ważną osobistością. Trudno oczekiwać, że jakąś rolę odegra w przyszłości młodsza córka króla, którego żona może mu jeszcze urodzić syna. A przed zakusami antypapistów bronił Annę jej stały i wierny anglikanizm.

Dość powszechnie naówczas przyjętym obyczajem była częsta wymiana listów, nawet między przyjaciółmi, którzy się co dzień widywali, nawet między mężem a żoną. Wkrótce po swoim ślubie księżniczka pisała do Sary:

„Zaklinam Cię na wszystko, nie nazywaj mnie waszą wysokością ani księżącą mością... i nic nie będzie lepszym dowodem Twojej przyjaźni, niż gdy mi będziesz mówiła otwarcie o wszystkim, co sądzisz”.

Nie było to właściwie potrzebne. Osławiona, bezceremonialna szcerość Sary rodziła się z determinacji, by nie schlebiać nikomu, a - zawsze być szczerą. Tak twierdziła; może i wierzyła w to sama, a z pewnością wierzyła, iż zawsze ma rację. Prócz tego, radowało ją władanie nad słabszymi charakterami, co osiągała najczęściej wszczepiając strach przed swymi wybuchami nieposkromionego gniewu i złości.

Wracając do życzenia Anny, by jej nie tytułować księżącą mością, Sara napisze później:

„W takim samym nastroju zaproponowała mi kiedyś, byśmy w naszych listach przeżywały się przybranymi imionami, które by nie wnosiły żadnej dystynkcji towarzyskiej między nami. Morley i Freeman - takie miano jej kaprys wymyślił, a mnie zostawiła wybór, które bym chciała dla siebie. Moje nieskrępowane, szczere usposobienie kazało mi oczywiście wybrać miano Freeman, więc księżniczka wzięła sobie tamto. Od tej pory pani Morley i pani Freeman zaczęły korespondować ze sobą na równej stopie...”

Małżonkowie tych dam wymieniani byli w listach odpowiednio pod tymi samymi nazwiskami.

W owej epoce panie były w ciągu dnia często zdane na własne siły, gdy ich małżonkowie uczęszczali do klubów, polowali, jeździli na wyścigi albo na walki kogutów, zabawiali się hazardem, grali w karty lub wreszcie - uprawiali politykę. W rezultacie rodziły się dziwne przyjaźnie, w których jedna z dwóch młodych kobiet odgrywała rolę mężczyzny. Księżniczka Maria tuż przed swoim ślubem z Wilhelmem Orańskim, pisała do swojej przyjaciółki, panny Apsley:

„Tej nocy siedziałam o wiele dłużej niż zwykle, tylko po to, aby Ci powiedzieć, moja najdroższa, mój mężulku najkochańszy, co już tyle razy słyszałaś, że na pewno do znudzenia, ale nie mogę inaczej, muszę Ci powiedzieć, że jestem w Tobie wciąż bardziej i coraz bardziej zakochana, za każdym razem kiedy Cię widzę, i że kocham Cię tak mocno, iż chciałabym być weską na Twojej piersi i byłabym szczęśliwa być tam zawsze blisko jak najbliżej Ciebie, w każdych warunkach i okolicznościach...”

Maria liczyła sobie ledwie piętnaście lat, jej wylewne zwierzenia były po prostu nieszkodliwym sentymentalizmem. Młodziutka dziewczyna często uwielbia starszą przyjaciółkę lub nauczycielkę. Tak samo nie ma powodu doszukiwać się jakichś perwersyjnych znaczeń w przesadnych enuncjacjach Anny. Ale jest jakaś nieprzyjemna mdła ckliwość w niektórych jej listach:

„Błagam Cię, zaklinam na litość boską, dbaj o siebie, dbaj o swoją najdroższą dla mnie osobę i wierz mi, że z największą namiętnością jestem zawsze Twoja - biedna, nieszczęsna Morley”.

Pod jakimi względami księżniczka była „biedna i nieszczęsna” - historia nie wyjaśnia.

A Sara nie należała do osób, które by odrzuciły możliwości kryjące się w tak wiernopoddańczej przyjaźni księżniczki krwi królewskiej.

Anglia tymczasem stanęła przed próbą zawrócenia zegara i cofnięcia się w średniowiecze; tylko że zabrakło tu rycerskości i szlachetnego ducha Jana Sobieskiego.

Rozdział 8

REBELIA I KRÓLEWSKIE SERCE

O godzinie dziesiątej pewnego ranka John Churchill jadł śniadanie w londyńskim domu swego ojca i w jego towarzystwie. Minęły cztery miesiące od śmierci króla Karola. W ciągu tego okresu John rzadko kiedy przebywał na dworze. Nabył siedzibę wiejską w pobliżu St. Albana i każdą wolną chwilę tam spędzał, ciesząc się towarzystwem Sary i dokazując z dziećmi. Zajął się też lokalnymi sprawami, a że miał łatwe dojście do nowego króla okoliczni mieszkańcy na tym korzystali. Churchill uzyskał nowy przywilej, o wiele liberalniejszy od poprzedniego, dla starożytnego miasteczka St. Albans i przeprowadził wybory swego brata George'a, z zawodu marynarza, na posła z tego okręgu'. Chociaż nadal narzekał na brak pieniędzy, a nie dostawał już więcej słodkich podarunków od Barbary Castlemaine, zdołał jakoś nazbierać dość pokaźną sumę, którą zainwestował w spółce handlowej, Hudson Bay Trading Company. Nie tyle może ze względu na jego talenty jako człowieka interesu, ile z racji wpływów, jakie miał u członków nowego rządu - wybrano go prezesem tej spółki. Jego ojciec, Sir Winston, był obecnie zastępcą lorda porucznika hrabstwa Dorset i posłem do Izby Gmin z małego miasteczka portowego tego hrabstwa, Lyme Regis.

Kamerdyner Hodges wszedł do jadalni z oznajmieniem:

- Jaśnie panie, dwaj mieszczanie z okręgu wyborczego jaśnie pana przyszli i proszą o posłuchanie.

- O tej porze? Niech to lichy porwie! Czego chcą?

- Powiadają, że mają nadzwyczaj pilne wiadomości dla jaśnie pana. Jechali całą noc, by je przywieźć jak najprędzej: ledwie z koni zsiadli!

- Na litość boską! - wykrzyknął Sir Winston, a John powiedział: - Nie trudno odgadnąć, co to za wieść, ojczu. Książę Monmouth...

- Jak mi Bóg miły, masz rację! - Sir Winston popatrzył na swój świeżo nałożony, apetycznie dymiący talerz. - Ale z tych smażonych cynaderek nie zrezygnuję. Tron nie padnie w dziesięć minut. - Zwracając się do kamerdynera rzekł: - Jechali całą noc... Pewno zechcieliby się umyć i ogarnąć, zanim wejdą na komnaty... Zajmij się tym, Hodges, a później wprowadź ich do biblioteki. Przyjdę tam do nich. Aha, i jeszcze dopilnuj, by mieli czyste buty. Turecki dywan w bibliotece...

Pośpiesznie przełknąwszy cynaderek, Sir Winston i John przyjęli mieszczan, umytych i wyczyszczonych. Załamując ręce, wysłannicy wybuchnęli podnieconym duetem:

- Sir i milordzie... książę Monmouth wylądował w Lyme Regis... fregata i dwa jeszcze statki... około stu zbrojnych ludzi...

- Tylko stu? - przerwał Sir Winston. Jeden z nowo przybyłych odparł:

- Przyłączają się do niego okoliczni chłopci, farmerzy, parobcy ze wsi... i trochę mieszczan...

Drugi podjął opowieść:

- Podniesiono sztandar i wydano proklamację, według której król... proszę mi wybaczyć, sir, ale takie są słowa proklamacji... jest mordercą, tyranem i uzurpatorem...

John wtrącił się do rozmowy:

- Ojczy, do jego królewskiej mości... natychmiast!

Sir Winston kazał przygotować powóz, wysłał lojalnych mieszczan do sieni i powiedział do Johna:

- Ci ludzie muszą gdzieś zanoćować, zatrzymać się... Niech lepiej Hodges znajdzie im pokój w zajeździe „Pod Głową Saracena”. Nie mogę ich gościć u siebie w domu... w każdym razie nie w Londynie... każdy by tu nosem na mnie kręcił za to... ale zapłacę rachunek w zajeździe.

Wiadomo już było, że w Szkocji wylądował książę Argyll, by tam wznieść rebelię. Przypuszczano, że Monmouth przyłączy się do niego, więc lokalne siły zbrojne uważano za dostateczne w tej sytuacji. To John Churchill doradził, by na wszelki wypadek nie wysłać wojsk z Londynu na północ. Lądowanie na południowym wybrzeżu było zaskoczeniem. Król Jakub pośpiesznie zwołał radę królewską i parlament. Uchwalono czterysta tysięcy funtów na zgniecenie rebelii i wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów za Monmoutha, żywego lub martwego. Kurierzy pośpieszyli do hrabstw zachodnich z rozkazami mobilizowania tam oddziałów milicji. Znanych stronników Monmoutha w Londynie wsadzono za kratki.

- Milord Churchill - wydawał rozkazy Jakub - wymaszeruje natychmiast na czele wszystkich sił, jakie można zabrać z Londynu. Należy zostawić dość żołnierzy, by sobie poradzić w razie wybuchu tutaj jakichś zamieszek. Ale pomnożysz swoje siły, ściągając po drodze garnizony i lokalną milicję.

John wybrał Salisbury, jako swój pierwszy cel. Miasto było umieszczone w takim punkcie strategicznym, iż można tu było odciąć Monmoutha na południowym zachodzie, gdyby tamtędy ciągnął, albo też zagrozić mu drogę, gdyby ruszył na stolicę.

Po południu w dniu wstąpienia na tron po zmarłym bracie Jakub przyrzekł radzie koronnej strzec swobód narodu i bronić ich religii. Tym niemniej w pałacu już się zagnieździli tłumnie księża. Ambasador hiszpański podczas pierwszej audiencji u nowego monarchy skorzystał

G7 ze sposobności, by go przestrzec przed angażowaniem duchownych w charakterze doradców w sprawach stanu.

- A czy w Hiszpanii nie szukacie rady u waszych ^spowiedników? - spytał Jakub.

- Tak, najjaśniejszy panie. I dlatego właśnie nasze sprawy tak źle idą.

Na Wielkanoc z rozkazu króla odbyły się w kaplicy pałacowej z wielkim splendorem nabożeństwa - według rytuału katolickiego. Książę Norfolk, niosący w procesji miecz stanu, zatrzymał się przed drzwiami kaplicy, nie życząc sobie brać udziału we mszy.

- Milordzie - protestował Jakub - twój ojciec poszedłby dalej! Na co usłyszał pełną szacunku odpowiedź:

- Ojciec waszej królewskiej mości nie poszedłby tak daleko!

Karol I skłaniał się osobiście do katolicyzmu, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, by nie drażnić ostentacyjnością swoich protestanckich poddanych.

Mnożyły się drobne incydenty. Obserwując je, John powiedział do swego brata Karola - tego, który służył w wojsku:

- Gdyby król kiedykolwiek spróbował nam narzucić zmianę religii, to ja natychmiast wystąpię ze służby przy jego osobie.

Niezupełnie tak będzie, ale...

I nie brakło złowróźbnych znaków. Podczas koronacji źle dopasowana korona kilkakrotnie zsuwała się z głowy Jakuba. Henryk Sidney, ze starego rodu „kawalerów” i wysoki dygnitarz

dworski stojący tuż przy królu podczas ceremonii, później żartem powiedział do Churchilla:

- Nie pierwszy to raz nasza familia musiała podtrzymywać koronę!

Ale nie wszyscy traktowali incydent w żartobliwym świetle. Wielu wydawało się to złą wróżbą; tak samo gdy wiatr zerwał flagę, wzniesioną na Tower of London jako sygnał dokonania koronacji.

Wieczorem następnego dnia po otrzymaniu wiadomości o śmierci swego ojca książę Monmouth tańczył na balu, wesoly i szumny, w wybornym humorze. I od razu zaczął zbierać pieniądze na rebelię. Monmouth i jego stryj jak zawsze patrzyli na siebie wilkiem. Młody książę bezceremonialnie ujawniał swoje ambicje zagarnięcia tronu Anglii. Zdarzyło się też parokrotnie, że Jakub i jego bratanek starali się o względy jednej i tej samej damy. Zwykle młodszy i przystojniejszy wygrywał. Teraz Monmouth wyzywał Jakuba, bo mu ustąpił cenniejszej zdobyczy.

Anglicy zgromadzeni wokół Monmoutha w Niderlandach nie bardzo mogli napęłnić jego sakiewkę, bo sami na wygnaniu, mało co posiadali. Wilhelm Orański, do którego zwrócono się o pomoc, jako do protestanta, nie szczędził pięknych słówek. Monmouth zdobył sumę sześciu tysięcy funtów, pożyczając ją od holenderskich przyjaciół pod zastaw klejnotów. Lady Wentworth i jej córka - które bywały w książęcej sypialni - oceniły oddane im usługi na sumę trzech tysięcy funtów - złożywszy się wspólnie. Monmouth wydał £ 5500 na wynajęcie fregaty, a £ 3000 na zakup czterech małych armatek - jedynej artylerii, jaką dysponował - oraz broni i amunicji. Gdy mu ledwie pięćset funtów zostało w szkatule, oznajmił optymistycznie:

- Skoro tylko wylądujemy, szlachta z zachodnich hrabstw angielskich dostarczy wszelkich pieniędzy, jakie będą mi potrzebne. A na północy Argyll też zbierze fundusze.

Kiedy Monmouth zbierał pieniądze, najmował okręty i ludzi - władze holenderskie uznały za właściwe przymykać oczy. Wilhelm był zbyt przezorny, by pomagać, ale nie chciał też przeszkadzać. Gdy Jakub go zapytywał o miejsce pobytu angielskich emigrantów, książę orański najspokojniej udawał, że nie wie. Ale w dzień po wypłynięciu skromnej fregaty na Morze Północne poinformował angielskiego króla o przygotowaniach księcia i wyraził opinię, że ekspedycja zapewne skieruje się do Szkocji. Toteż Jakub otrzymał wiadomość o lądowaniu na południowym wybrzeżu za późno, by flota mogła temu przeszkodzić. Nie wiadomo, czy Wilhelm wiedział gdzie naprawdę rebelianci mieli wylądować, czy też nie: ale jest pewne, że chciał, aby Monmouth pożeglował, wylądował i przegrał. W ten sposób pozbywał się jednej przeszkody - tym niebezpieczniejszej, że protestanckiej - na drodze do zaspokojenia własnych ambicji do tronu Anglii. I Wilhelm trafnie ocenił charakter Jakuba: wiedział, że zgniółszy rebelię, potraktuje winnych z bezwzględnym okrucieństwem i co najmniej - pogłębi własną niepopularność w kraju.

W roku 1066 Wilhelm normandzki, wylądowawszy pod Hastings, padł na kolana, ucałował ziemię angielską i zaniósł modły o sukces przedsięwzięcia. Bóg, może jeszcze nie znużony nieokiełznanymi wybrykami własnych stworzeń, wysłuchał prośb wojownika z XI wieku. Monmouth, pełen nadziei, imitował przykład normandzkiego poprzednika.

Z kolei wszystkie ładunki przeniesiono na ląd bez przeszkód ze strony mieszkańców i natychmiast wydano proklamację, w której oskarżono Jakuba o otrucie swego starszego brata.

Zwerbowano i uzbrojono jakieś półtora tysiąca ludzi z okolic Lyme Regis, po czym książę ruszył na północo-zachód, do miejscowości, zwanej Honiton. Churchill - podniesiony do rangi brygadiera - dowiedziawszy się o tym, zarządził tylko krótki postój w Salisbury. Pogoda była dobra, gościńce suche, więc szybko dotarli do Axminster, okolic, gdzie John się urodził i gdzie znał każdą ścieżkę i strumień. Dalej na północ, do Chard, skąd mógł śledzić Monmoutha i zablokować każdy jego ruch w

stronę Londynu. Przyłączył się do niego pułkownik Percy Kirke ze znacznymi posiłkami. A posłyszawszy, że Monmouth idzie jeszcze dalej na północ, Churchill nakazał marsz do odległego o 20 kilometrów Bridgewater.

Do rebeliantów garnęło się sporo ochotników. Tylko z co bogatszych ziemian nikt ani gestu nie zrobił, by wspomóc Monmoutha finansowo. Ale ludność tutejsza składała się głównie z wolnych chłopów, którzy sami zatrudniali najemników. Nad nimi lokalny dziedzic nie miał władzy. Okolica stanowiła dawny bastion wpływów cromwellovskich. Chłopi gotowi byli walczyć i umierać za młodego człowieka, który obiecywał uwolnić ich od groźby, jaką dla ich purytańskiej wiary był Jakub.

W Taunton witano Monmoutha entuzjastycznie. Tłumy wyległy na ulice, krzycząc i wiwatując. W każdym kapeluszu tkwiła zatknięta zielona gałązka, przyjęta jako oznaka armii rebelianckiej. Cztery tysiące wieśniaków i rzemieślników ofiarowało swe życie i silne ramiona. Monmouth nie miał broni palnej dla wszystkich. Kowale przekuwali dniami i nocami narzędzia rolników na prymitywną broń. Wielu rekrutów było zbrojnych tylko w kosy i widły. A wielu, gdy zostały im gołe ręce, wróciło do domów. Monmouth za późno uczył się, jak źle przygotował wyprawę i jak nierozważnie uwierzył zapewnieniom szlachty hrabstw zachodnich, podejmującej go w czasie jego dawnych uroczystych objazdów kraju.

W każdym razie dziewczęta sypały płatki pod nogi księcia i ofiarowały mu w podarunku biblię, którą ucałował mówiąc:

- Przybyłem tu, by bronić prawd zawartych w Piśmie Świętym albo je przypieczętować własną krwią.

Wzniosłe słowa. Nadejdzie chwila, gdy zostaną wystawione na próbę.

Monmouth ogłosił się królem w nadziei, że w końcu przyciągnie przecież wyższe sfery. Nie udało mu się to. A nawet tracił na popularności z powodu niezdiscyplinowania idących z nim ochotników, którzy rekwirowali konie, broń, prowiant i inny dobytek mieszkańcom Taunton.

Churchill i Kirke, połączywszy siły, bacznie obserwowali ruchy rebeliantów. Porozysłali podjazdy, by przeszkadzać mieszkańcom w przyłączaniu się do rebelii; sami też rekwirowali żywność i konie. Zdarzały się coraz częstsze utarczki: zabito jednego porucznika; straty były po obu stronach.

Nowo upieczony brygadier otrzymał teraz z rąk króla cios, którego nigdy mu nie zapomni. Churchill wyobrażał sobie, że jest naczelnym dowódcą wszystkich sił rojalistycznych, walczących z rebelią. Tymczasem Jakub mianował nad jego głowę arystokratę francuskiego pochodzenia, Louisa Durasa, tego samego który po bitwie pod Enzheim raportował, że „nikt na świecie nie mógł dziś przewyższyć pułkownika Churchilla”. Prześladowany we Francji, hugonota Duras osiedlił się na stałe w Anglii, a Karol II nadał mu parostwo jako hrabiemu Faversham. Zwykłą praktyką bywało w wielu armiach europejskich, że arystokrata brał pierwszeństwo nad plebejuszem, niezależnie od wojskowych zdolności. Lord Faversham, dwanaście lat starszy od Churchilla, był człowiekiem uczciwym, ale powolnym i niezdecydowanym, ociążałym już bardzo wskutek nadmiernego folgowania sobie w jedzeniu i picciu.

John wściekał się. Spodziewał się, że zgniatając rebelię osiągnie osobisty sukces, dojdzie do zaszczytów i lukratywnych stanowisk. Z tym zastrzeżeniem, że Jakub nie, zamierza siłą wprowadzać nowej wiary w Anglii - John był gotów lojalnie i szczerze służyć. Natomiast po przybyciu lorda Fevershama Churchill pisał do przyjaciela:

„Nie wiem nic więcej prócz tego, co mi Feversham łaskawie zechce powiedzieć, więc obawiam się swobodnie wyrażać moje zdanie, bo może nie będzie się zgadzać z intencjami króla jegomości i tylko bym się naraził, ale co do dbałości o ludzi i wszystkiego, co do moich obowiązków należy, nikt mi nic zarzucić nie może... widzę dokładnie, że kłopoty i praca będą moje, a zaszczyty przypadną komu innemu...”

U Churchilla wciąż się powtarzają tego rodzaju przezorne zwroty: „...obawiam się swobodnie wyrażać moje zdanie... tylko bym się naraził”. Nazywano je dobrą dyplomacją, kiedy indziej zaś troską o własne interesy.

Do brygadiera Churchilla przybył posłaniec z listem. List był od księcia Monmoutha;

„Ty, milordzie, i ja wspólnie odbywaliśmy kampanie. Nasza przyjaźń się zrodziła na polach bitewnych Francji. Zawsze miałem najwyższą opinię o Twoich talentach, umiejętnościach i odwadze... Nigdy nie zapomnę, że pod Maastricht uratowałeś mi życie. Jak ja jesteś wiernym protestantem. Zaklinam Cię, przyłącz się teraz do mnie, przyprawiając ze sobą tyle wojska, ile będziesz mógł, a wspólnie uwolnimy nasz ukochany kraj od tyrańca, oswobodzimy od ucisku rodaków, ich religię i swobody, które, co sam musisz widzieć równie jasno jak i ja, są w strasznym niebezpieczeństwie...”

Ale John jeszcze nie dostrzegł w poczynaniach swego władcy i dobroczyńcy niczego, co by usprawiedliwiało jego detronizację. Był rojalistą i legitymistą. Nie on będzie dopomagał królewskiemu bastardowi, choćby i protestantowi, do angielskiego tronu. Zresztą małe było prawdopodobieństwo sukcesu Monmoutha, Naradziwszy się z Fevershamem, brygadier przesłał list księcia Jakubowi. Następnie rozkazał:

- Postawić szubienicę na tym wzgórzu. Zawezwać wszystkich żołnierzy, którzy nie są w tej chwili zajęci gdzie indziej.

Posłaniec księcia, rzemieślnik, został powieszony w obecności zgromadzonych żołnierzy oraz patrolu rebelianckiego, przypatrującego się z pewnej odległości. Po egzekucji Churchill rzekł:

- Ten przykład przysporzy dezercji z szeregów zdradzieckiej hałastry Monmoutha.

Istotnie, dezercje niebawem się zaczęły.

Siły rebelianckie maszerowały właściwie bez celu. Churchill, jedyny dowódca w obu wojskach, który znalazł się na rzeczy, szedł czujnie w ślad za nimi, tu i ówdzie zabijał walczących się i opóźnionych. Chciał zająć Monmouthowi drogę i zmusić go do wydania walnej bitwy. Książę dotarł do Bath na północ, ale miasto zamknęło przed nim swe bramy. Początkowy plan jednoczesnych insurekcji na północy i na południu, ewentualnego połączenia wszystkich oddziałów pod Londynem - otrzymał decydujący cios. Ze Szkocji nadeszły wieści, że książę Argyll, przywódca rebelii w Szkocji, poniósł tam druzgocącą klęskę, został wzięty do niewoli i natychmiast ścięty.

Monmouth popadł w depresję. Czuł się coraz groźniej otaczany przez wojska królewskie. Nie chciał postawić swojej nie wyćwiczonej armii przeciwko regularnym żołnierzom królewskim w otwartej bitwie, o ile by nie mógł liczyć na zaskoczenie. I już parokrotnie strzelano do niego z jego własnych szeregów: ktoś bardzo zapragnął nagrody pięciu tysięcy funtów za jego głowę. Dwóch pułkowników, dwóch majorów i jeden kwatermistrz zbiegli z jego wojska, zabierając ze sobą resztki szczupłego skarbczyka rebeliantów. Coraz więcej wieśniaków i mieszczan dezercerowało widząc, że ich wódz jest niezdecydowany i słabego ducha - a jaki los czekał wziętych jeńców, zademonstrował im niedwuznacznie brygadier Churchill.

Rebelianci zdarli ołowiane płyty z katedry anglikańskiej w Wells, wymusili okup na żonach

tamtejszych kanoników, którzy pouciekali, wprowadzili konie do kościelnych naw jak do stajni i zrabowali święte naczynia. Łupili domy, mężczyzn siłą wcielali do swoich szeregów, a potem gwałcili ich osamotnione kobiety.

Chociaż Churchill słynął z przestrzegania surowej dyscypliny w wojsku, jednakże angielscy dowódcy tym razem nie powściągali swoich żołnierzy, traktujących z całym okrucieństwem jeńców. Brano do niewoli purytanów i tych spośród mieszkańców, którzy sympatyzowali ze sprawą Monmoutha. Lord Dartmouth z armii królewskiej pisał w lipcu:

„Można nas raczej uważać za wrogów okolicznej ludności, niż jak dotychczas, za wrogów rebeliantów... Za dużo widzę gwałtowności i zła, bym mógł polubić ten zawód... to, co my praktykujemy codziennie na tych biedakach, nie może spotkać się z aprobatą żadnego człowieka o poczuciu moralności...”

Te uwagi nie rzucają korzystnego światła ani na Lorda Fevershama, ani na jego rozgoryczonego zastępcę. Churchill był tak wściekły na króla i swego zwierzchnika, że wyładowywał swoją złość na każdym, kto mu się pod rękę nawinął.

Odepchnięty od Bath, książę Monmouth cofał się z powrotem na południe do Bridgewater. Zdarzały się utarczki z podjazdami wysyłanymi przez Churchilla i jedno poważniejsze starcie, w którym wrogie wojska prowadzili przeciw sobie dwaj bastardi Karola II - syn Lucy Walter, Monmouth, i syn Barbary Castlemaine, Grafton. I wreszcie brygadier Churchill zdecydował otwarcie wypowiedzieć swe zdanie:

- Teraz powinniśmy nacierać - nalegał na lorda Fevershama. - Zmusić go do stanięcia twarzą w twarz. To położy kres tej męczącej rebelii.

W ciągu całej swej kariery wojskowej Churchill zwykł szukać okazji do walnej bitwy; wciąż powstrzymywali go zwierzchnicy lub sprzymierzeńcy, którzy woleli znużyć nieprzyjaciela manewrowaniem, niż ryzykować ciężkie straty, trudne do uniknięcia w wielkiej bitwie. Lord Feversham odpowiedział:

- Nie, nie! W gorącej wodzie waść kąpany... Nie ma co się spieszyć. Monmouth nam nie umknie. Lepiej urywać jego ludzi po trochu, jak to robimy. Wieśniacy znużą się, rozejdą do domów.

- Ale Monmouth może przemknąć się gdzieś do portu - przypomniał Churchill. - Jakiś purytański szyper zabierze go na statek. A król chce go mieć, żywego czy martwego.

- Będzie go miał, będzie go miał - uspokajał Feversham. - Monmouth nam się nie wymknie. Nawet gdyby dotarł do portu, jakiś szlachcic albo urzędnik go wyda. Tylko prości ludzie gardzą pięciu tysiącami funtów.

- Nawet nie kapitan ani szyper, ale byle rybak zabierze go na swój kuter - upierał się Churchill. - Morze teraz spokojne.

Ale Feversham nie chciał dłużej argumentować, a były pewne racje i po jego stronie.

Wojska królewskie rozbiły obozowisko na równinie Sedgemoor, o parę kilometrów na południe od Bridgewater, na rozległych torfowiskach, ciągnących się szerokim pasem od północnego wschodu na południowy zachód. Znaleziono trochę zabudowań gospodarczych, gdzie umieszczono konie. Od północy i od zachodu obóz osłaniały głębokie rowy i bagniste trzęsawisko. Feversham kazał rozmieścić działa polowe w lewo od czoła obozowiska, zwróconego na północ i dał im na osłonę dragonie pod dowództwem swego zastępcy.

Z wieży kościoła w Bridgewater Monmouth obserwował pozycje wojsk królewskich - i stracił ducha zupełnie. Zdał sobie sprawę, że teraz nie może się ruszyć bez walnej bitwy, w której z

sześciuset ludźmi jazdy i pięciu batalionami piechoty, razem trzema i pół tysiącami ludzi, z czego wielu było zbrojnych w kosy, miał walczyć przeciwko dwóm tysiącom ośmiuset regularnych żołnierzy i milicji. Jego oficerowie byli religijnymi fanatykami; po tamtej stronie dowodzili ludzie obeznani z wojną, doświadczeni w wielu kampaniach. Gdy książe rozmyślał nad sposobami ucieczki, powiedziano mu, że przyszedł do niego od strony Sedgemoor, pewien wieśniak, nazwiskiem Godfrey.

- Wrogowie waszej miłości zajęli się hulanką i piciem - rzekł. - Kiepsko strażują, nie pilnują obozu w nocy. Nawet wartownicy śpią.

Godfrey pokazał na mapie podejścia do obozu, jego' rozłożenie, wskazał, że między piechotą a działami polowymi była dość duża luka, pozwalająca na przejście środkiem sił rojalistów. Monmouth od rozpaczliwej przeczki przeszedł do skrajnego optymizmu. Zdecydował przypuścić nocny atak.

- Mało co będziemy mieli do roboty, tylko pozamykać stajnie i wyciąć śpiących żołnierzy - mówił z entuzjazmem do swoich oficerów, - A wtedy droga do Londynu stanie przed nami otworem!

Stronnicy księcia, tak samo jak Churchill, życzyli sobie zdecydowanej akcji - i zakończenia wszystkiego. W ciemnościach, wśród gęstej mgły, która leżała nad trzęsawiskami, wojska rebeliantów szły cicho w kierunku uspiętego obozowiska, prowadzone znajomymi ścieżkami przez wieśniaka Godfreya. Około godziny drugiej po północy żołnierzy Fevershama obudził atak rebeliantów na prawym skrzydle, czyli wschodnim. Pierwszym, który prowadził atak i dotarł do nieprzyjaciela był lord Grey, dowódca jazdy Monmoutha. Wśród rojalistów wybuchło zamieszanie, ludzie biegali tam i z powrotem po ciemku, chwytając za broń, szukając koni. Tylko dragonia Churchilla i artylerzyści byli w gotowości, zażywając odpoczynku przy wierzchowcach i przy działach. Ale znajdowali się oni dość daleko od punktu ataku.

Gdy jeźdźcy Greya przeprawili się przez rów, nadbiegł oficer gwardii pieszej i krzyknął”.

- Kto idzie?

- Ludzie króla...

- Jakiego króla?

- Monmoutha! Bóg z nami!

- To niech was diabli porwą! - wykrzyknął oficer, a jego ludzie oddali salwę prosto w nadjeżdżające we mgle cienie. Padło kilku jeźdźców, zabitych lub rannych: ich wierzchowce, przeważnie pobrane po wsiach zwykłe konie od pługa, nieprzywykłe do strzałów, rzucały się w popłochu, ponosiły. Sir Francis Compton, dowódca rojalistów na tym skrzydle, pozbił swoich jeźdźców i przypuścił kontratak. Lord Grey był jednym z pierwszych, którzy stracili głowę i rzucili się do ucieczki. A część piechoty Monmoutha przyłączyła się do uciekających.

Lord Feversham, który spał w zarekwirowanej chacie, gdy wybuchł alarm, jeszcze golił się i ubierał starannie. Zamieszanie, panujące nadal wśród większości jego wojsk, uniemożliwiło wykorzystanie sukcesu Comptona. Oficerowie i podoficerowie szalonymi wysiłkami starali się przywrócić ład.

Monmouthowi udało się powstrzymać ucieczkę piechoty i poprowadzić ją do ataku. Wszelako wstrzymał ich szeroki rów. Stali i wbrew rozkazom, by oszczędzać proch i kule, strzelali na oślep. Przyciągnięto cztery działa, zaczęto ostrzeliwać obóz. Tymczasem Churchill rozkazał artylerii, którą Feversham umieścił za daleko na lewo, przenieść się w prawo i w ten sposób zwięził niebezpieczną lukę w obozowisku. Grunt, nisko położony, grząski, jeszcze rozmiękł od niedawnych deszczy. Biskup Winchesteru, który podróżował powozem razem z wojskiem, oddał sześć swoich koni; działa

przeciągnięto przy ich pomocy, wstrzelano się w cel i zaczęto zadawać ciężkie straty ludziom Monmoutha. Churchill wydawał się wszechobecny: przerzucał coraz to nowe, doprowadzone jako tako do ładu, bataliony na zagrożone pozycje. Z kolei powrócił do swojej dragonu i poprowadził ich ostrym galopem na armaty Monmoutha, zabijając i rozpędzając kanonierów i obsługę.

Rebelianci gramolili się przełaząc przez rów. Ale teraz już królewska piechota była gotowa ich przyjąć. Wywiązała się zażarta walka wręcz. Czego rebeliantom nie dostawało w broni i doświadczeniu, to nadrabiali odwagą i religijnym zapałem. Wieśniacy, zwykli oracze i rzemieślnicy, trzymali się przez całą godzinę. I nagle dragonia Churchilla zajęchała ich z boku i rozniosła na szablach. Resztki załamały się i uciekły. Gdyby lord Grey i jego jeźdźcy nie dali się ogarnąć panice na samym początku, przebieg tej bitwy mógł być zupełnie inny.

Ujrawszy, że sytuacja jest beznadziejna, Monmouth zapomniał o złożonej obietnicy, iż prawdę będzie pieczętował własną krwią. Odrzuciwszy półpancerz, puścił się galopem, uciekając w grupie około pięćdziesięciu jeźdźców z lordem Greyem. Tylko na moment przystanęli na wzgórzu, by się obejrzeć i zobaczyć rzeź, jaką wywołały ich ambitne przedsięwzięcia. Churchill i jego dragoni bezlitośnie ścigali uciekających, wycinali ich w rowach i na polach. Wielu, wdeptanych końskimi kopytami w błoto, zginęło od uduszenia. Wstawał świt, rzeź trwała.

Była to ostatnia poważniejsza bitwa, jaka się toczyła na ziemi angielskiej - chociaż w blisko dwieście lat później groźniejsza bitwa miała się rozegrać w powietrzu, nad wyspą. Blisko dwa tysiące rebeliantów poległo na równinie Sedgemoor, a ponad pięciuset wzięto do niewoli. Rannych i konających zamknięto w wiejskim kościele. Nie było lekarza, by opatrzyć ich rany: nikt też nie przyszedł choćby z wodą, bo ludzie bali się pomsty zwycięzców. I to także rzuciło mało pochlebne światło na Fevershama, Churchilla i ich oficerów. Wojska królewskie straciły około dwustu ludzi, ale w tym ani jednego oficera.

Nieco później znaleziono Monmoutha: razem z pułkownikiem i sekretarzem, nieumiejętnie przebrani za pasterzy, spali w zaroślach. Przy sekretarzu znaleziono listę osób, które wpłaciły pewne kwoty na rzecz rebelii. Ta lista była później wykorzystana jako świadectwo winy przed sądem i na jej podstawie niejednego skazano na śmierć.

Wódz naczelny powierzył swemu zastępcy honor złożenia osobiście najjaśniejszemu panu oficjalnego sprawozdania ze zwycięstwa. Churchill wracał do Londynu w glorii militarnych osiągnięć. Oficjalny raport, który wiozł, stwierdzał, iż „wypełnił swoje obowiązki z największą dzielnością i odwagą”. A prócz tego niejeden wiedział i doniósł o tym królowi, że brygadier odegrał znacznie większą i ważniejszą rolę, niżby z tych słów wynikało. Później przyznano mu pełną zasługę za odniesione zwycięstwa - chociaż może ta zasługa trochę urosła w świetle jego przyszłej wspaniałej kariery wojskowej.

W każdym razie czujność Churchilla przed bitwą, jego dyspozycje podczas bitwy, kiedy Feversham jeszcze się ubierał, i jego wściekły, nie do odparcia atak na końcu - to były czynniki, które zadecydowały o zwycięstwie. Może doceniając to, król Jakub wysłał swego pierwszego szambelana sypialni po dodatkową nagrodę - w objęciach Sary w St. Albans.

Przed egzekucją za zdradę stanu, księżę Monmouth oznajmił zebranym tłumom, które przyszły się gapić:

- Miałem wielu wrogów, przebaczam im wszystkim... żałuję za grzechy, jak prawdziwy chrześcijanin żałować winien... żałuję, że najechałem to królestwo, żałuję, że przeze mnie polalo się tyle krwi. Żałuję, że to wszystko się stało.

Naprawdę żałował po prostu klęski. Gdyby zatriumfował, nie żałowałby ani zabitego wieśniaka, ani osieroconej wdowy. Wtedy nie, żałowałby niczego. Ucinanie głów wodzom niefortunnych rebelii było zwyczajem. Ale sądy wyjazdowe Jakuba - znane w historii pod mianem „krwawego trybunału” - pod przewodnictwem sędziego lorda kanclerza George’a Jeffreysa, skazały na powieszenie trzystu wieśniaków. Przez długie tygodnie ciała ich chwiały się na wietrze i gniły na drzewach wzdłuż gościńca do Dorset, strzeżone przez żołnierzy, by przyjaciele i krewni nie mogli ich odciąć i przyzwoicie pochować. Jedną kobietę ścięto za to, że dała schronienie i nakarmiła ludzi uciekających przed dragonia Churchilla. Rodziny tych dziewczątek, które w Taunton podarowały Biblię Monmouthowi, musiały opłacić olbrzymi okup za ich życie: A nawet kiedy już uzbierano pieniądze na okup, dziewczęta uprowadzono do przymusowej, niepłatnej służby na dworach. Ponad ośmiuset mężczyzn zesłano na ciężkie roboty na wyspy Barbados.

Pokłosie bitwy na równinie Sedgemoor przyćmiło chwałę zwycięstwa. Ludzie zaczęli pojmować, jakiego rodzaju człowiek zasiadł na tronie. Najbliższych Jakubowi zaszokowało okrucieństwo jego zemsty. Niektórzy politycy, a nawet oficerowie armii odwrócili się od niego i przepławili przez Morze Północne do tej drugiej z krwi Stuartów, Marii córki Jakuba i do jej męża Wilhelma. Lord Churchill do nich nie należał. Może sprawowane przez niego urzędy i dygnitariaty, odpowiedzialność za rodzinę, może nawet jeszcze niewygasłe przywiązanie do króla - powstrzymały go. Kiedy „krwawy trybunał” rozpoczął sądy, przebywał daleko. Powinien był może zawrócić do Londynu i spróbować za pomocą swego osławionego osobistego uroku wyrzucić nacisk na rzecz nieszczęsnych wieśniaków. Nie uczynił tego, chociaż Sara pisała później, że gdy nowiny o egzekucjach i deportacjach dotarły do St. Albans, Churchill w bibliotece ich domu uderzył pięścią o blat kominka i wykrzyknął:

- Ten marmur nie jest twardszy od królewskiego serca! Słowa prawdziwe. Ale jak Monmouth na szafocie, tak i Churchill słowami nie wskrzesił ani jednych zwisających zwłok, nie uwolnił ani jednego z wieśniaków płynących pod pokładami okrętów z więźniami na Karaiby. Sądząc po jego późniejszym życiu, można wnioskować, że Churchill pozostał w ustronnym St. Albans, ponieważ nie chciał się narazić temu, z którego rąk płynęły nagrody i awanse. A może wiedział, że nic i nikt nie zdoła odwieść Jakuba od jego krwawej pomsty. Jednakże fakt, że Churchill żadnej próby nie uczynił, by pohamować monarchę w jego okrucieństwach - przyczynił się do niejednego surowego osądu jego życia jako całości.

Rozdział 9

PRZEŁOM

W czasie gdy „Krwawy Trybunał” udzielał swoich straszliwych „lekcji pogładowych”, król Jakub oświadczył, że bitwa na równinie Sedgemoor dała mu - sposobność całkowitego owładnięcia Anglią.

- Każde głupie niemieckie książątko rządzi, jak chce, a ja, potomek chlubnej dynastii monarszej, miałbym być od nich gorszy?!

Zwycięstwo w tej bitwie było dla niego czymś więcej, niż tylko po-Konaniem Monmoutha: było ręką Boga, triumfem pomazańca nad pretendentami, religii katolickiej nad reformacją. Złowroga to była omyłka, dowodziła całkowitego niezrozumienia charakteru Anglików i ożywiającego ich ducha protestantyzmu. Bo rzeczywistym rezultatem bitwy na równinie Sedgemoor i poczynań „Krwawego Trybunału” było zwrócenie oczu Anglików, zarówno protestantów jak i dysydentów, na Wilhelma Orańskiego jako religijnego rzecznika i politycznego zbawcę.

Churchilla nie skusił błagalny apel Monmoutha. Jednakże wstrętne mu były tortury i wszelkie formy cierpienia, celowo i świadomie zadawanego, więc sympatyzował z ludźmi, których lord kanclerz Jeffreys oskarżał o zdradzieckie konszachty z Monmouthem. Parowie królestwa nie mogli być pociągnięci do odpowiedzialności przed „Krwawym Trybunałem”, ani żadnym innym sądem, tylko przed Izbą Lordów. Podczas procesu lorda Delamere świadectwa przeciw niemu składali, jak zwykle informatorzy najęci lub też zeznający w zamian za obietnicę uwolnienia ich samych. Następnie Jeffreys, jako przewodniczący, zwrócił się z pytaniem do Johna Churchilla:

- Czy według waszego zdania Henryk lord Delamere winien jest zbrodni zdrady stanu, o którą tu przed nami stoi oskarżony, czy też nie?

Churchill wiedział, że wielu parów, niezdecydowanych albo też tchórzliwych, szło za głosem pierwszego. Chciał przeciwstawić wreszcie prawo i słusność tej krwawej łaźni, jaką sprawiał Jeffreys. Podniósł się z miejsca i kładąc rękę na piersi oznajmił:

- Zaklinam się na mój honor: nie jest winien!

W oszałamiającej karierze, która miała zostać uwieczniona sławą, opartą na wielkich wydarzeniach historycznych - był to zapewne dość drobny incydent. A jednak, biorąc ludzką miarą, ta chwila, gdy Churchill w imię prawdy rzucił wyzwanie groźnemu Jeffreyowi, a pośrednia także i królowi, wydała chlubne owoce, gdyż inni parowie poszli za jego nieustraszonym przykładem i - ku wściekłości króla - lord Delamere został uwolniony od winy i kary. A później zaczęto uwalniać i innych. Zahamowano zbrodniczy krwotok. Churchill uratował niejedno życie.

Jednakże król tym bardziej zawziął się, by ugiąć sztywne karki swych protestanckich poddanych. W liście do papieża napisał, że zamierza wykorzenić wszelką zreformowaną religię w Anglii. Wprawdzie Jego Świątobliwość w odpowiedzi gorąco doradzał umiarkowanie, ale nie zwrócono uwagi na rozsądne rady. Królowi nie dosyć było nadać nielicznej mniejszości katolickiej w kraju równość w sprawach państwowych: z uporem dążył do zapewnienia im decydującego głosu,

powierając katolikom wszystkie ważniejsze urzędy cywilne i wojskowe. Aktem parlamentu katolicy byli odsunięci od dygnitariatów koronnych, ale Jakub mianował czterech współwyznawców członkami swojej tajnej rady; przydzielał katolikom patenty na oficerów wojsk królewskich, także gubernatorowi Portsmouth, Hull i innych najważniejszych twierdz mianował katolików, nawet główne dowództwo angielskich regimentów poza granicami kraju nadał katolikowi, hrabiemu Carlingford.

Kiedy hrabia Rochester, brat pierwszej żony Jakuba, odmówił przejścia na wyznanie rzymskokatolickie, zwolniono go z piastowanego dotąd stanowiska pierwszego lorda skarbnika.

Zawiadywanie skarbem powierzono specjalnej komisji, w skład której weszło dwóch papistów. Listy pasterskie biskupów katolickich wydawano w drukarni królewskiej. Ignatiusa White'a, markiza papieskiego, wysłano jako ambasadora do protestanckiej Holandii. Profesorów i wykładowców uniwersytetu w Oksfordzie zwalniano ze stanowisk, jeśli nie podpisali deklaracji, według której wszelkie ograniczenia władzy królewskiej były przestępstwem, a bierne posłuszeństwo podstawową doktryną konstytucyjną i religijną. Kaplica królewska w pałacu św. Jakuba została przerobiona na kaplicę katolicką. Zakładano szkoły i seminaria jezuickie w większych miastach. Klerowi zakomunikowano, że może zachować swe parafie i dziesięciny tylko pod warunkiem przejścia na katolicyzm.

Kiedy lord szambelan odmówił wprowadzenia nuncjusza papieskiego na zamek windsorski, stwierdzając, że byłoby to niezgodne z prawem, król wykrzyknął:

- Ja jestem ponad prawem!

Ta właśnie maksyma zaprowadziła jego ojca na szafot. Lord szambelan odparł:

- Może waszej królewskiej mości tak się wydaje. Ale w każdym razie, ja nie jestem ponad prawem.

Katolik, hrabia Tyrconnel, znany pod przezwiskiem „Dick Łgarz”, otrzymał godność lorda gubernatora Irlandii. Poślubił on siostrę Sary, Frances, a teraz usiłował nawrócić szwagierkę. Z podobnym skutkiem mógłby ją próbować uwieść. Sara w tym samym czasie i z powodzeniem, odpierała dość zresztą naiwne próby Jakuba starającego się sprowadzić na łono kościoła rzymskokatolickiego własną córkę, Annę. Król obawiał się, że jak niegdyś Elżbieta Tudor za panowania jej siostry, Krwawej Mary, tak obecnie Anna mogłaby stać się w kraju ogniskiem koncentrującym protestantów. Podrzucał więc w apartamentach córki różne broszury i książki religijnej treści, które Sara natychmiast zabierała i paliła. Aby odsunąć panią Morley jak najdalej od ojca, pani Freeman utrzymywała, że zdrowie księżniczki jest bardzo delikatne i powinna jeździć na kurację do uzdrowisk w Bath albo w Tunbridge Wells. Anna pozostała niezachwianą protestantką, wierną kościołowi anglikańskiemu. Bynajmniej nie błaha rola lady Churchill w nadchodzących wydarzeniach zaczęła się od jej wpływu na księżniczkę.

Nie tylko król osobiście utracił w kraju wszelką popularność. Szerzyła się nienawiść do wszystkich katolików, a rozpały ją jeszcze echa z Francji. Ludwik XIV wkrótce po klęsce rebelii Monmoutha odwołał edykt nantejski, od końca XVI wieku pozwalający na pewne swobody religijne protestanckim hugonotom we Francji. Odwołaniu towarzyszyły okrutne, krwawe prześladowania. Biskupi, księża i jezuici ekscytowali żołnierzy w ich kampanii gwałtów, rabunków i zbrodni. Dzieci odrywano od hugonockich rodziców i oddawano na wychowanie do klasztorów. Kobiety wtrącano do więzień na dożywocie, a mężczyźni zsyłano na galery.

Wbrew zakazom emigracji, około czterysta tysięcy hugonotów zdołało uciec do Holandii i do

Anglii. Przybyły więc na wyspę tysiące ludzi o trybie życia surowym, wstrzemięźliwym i pracowitym; przeważnie wysoko kwalifikowani rzemieślnicy, którzy mieli w przyszłości założyć i podnieść na wysoki poziom manufakturę angielską, zwłaszcza wyrób jedwabi i sukna; ale na razie szerzyli opowieści o prześladowaniach, jakie ich spotkały, o torturach i masakrach, przed którymi uciekli, a te opowieści przerażały Anglików wszystkich klas. Bali się o własną wiarę i swobody. Co prawda Jakub publicznie oznajmił, iż współczuje hugonotom w ich niedoli i ogłosił zbiórkę funduszy dla nich, ale to wcale nie uspokoiło jego wystraszonych poddanych. Nie ufali mu. Trudno się dziwić, skoro król, jak John opowiadał żonie:

- ...liczbę stałych wojsk podniósł z sześciu do trzydziestu tysięcy. Nawet więźniów, kary za przeróżne łotrstwa odsiadujących, i wszelkich rzezimieszków w czerwone mundury przybrał. A blisko połowa armii stacjonuje na wzgórzach Hounslow (tuż pod Londynem), by stolicę w szachu trzymać.

- A mogę sobie wyobrazić - zauważyła Sara - jak trudno takim ludziom dyscyplinę narzucić.

Uzasadnione obawy. Rabunki i zabójstwa mnożyły się w Londynie w zastraszający sposób. Nowi, katoliccy oficerowie nie umieli czy też nie chcieli chwycić winnych ani karać ich. Pogłębiało to zadawnioną niechęć Anglików do utrzymywania licznej armii w czasach pokoju. Obawiano się żołnierzy jako potencjalnych narzędzi ucisku, a coraz wyraźniej było widać, że właśnie w tym celu król swoje wojska powiększa.

Izba Lordów odważyła się wystąpić z wnioskiem o nielegalności tych wojsk na podstawie, że oficerami mianowano ludzi, którzy aktem parlamentu byli pozbawieni prawa do służby publicznej. Wiadomość o wniosku wywołała małżeńską sprzeczkę między Churchillami.

- Powinieneś oficjalnie wyrazić twój pogląd - argumentowała Sara. - Żołnierz twojej rangi i reputacji wywiera wpływ!

Ale tym razem odwaga nie dopisała Johnowi. \

- Wiem, że wpływu na króla już nie mam - odparł. - A gdybym głosował za wnioskiem, musiałbym podać się do dymisji z wojska. To zaś przekreśliło by wszelkie przyszłe możliwości.

- Jako protestant i tak nie masz wielkich nadziei na przyszłość, dopóki nie będziemy mieli suwerena odmiennej barwy od tego!

Ale Churchill nie poszedł do Izby Lordów tego dnia, gdy głosowano nad wnioskiem.

Król Jakub wpadł w pasję i rozwiązał parlament. Już nigdy nie miał powołać następnego. Postanowił rządzić za pomocą wojska. Jednakże nie wszyscy oficerowie okazali taką przezorność jak brygadier Churchill. Kiedy bastard królewski, syn Arabelli, księżę Berwick zwerbował pewną liczbę irlandzkich katolików, kilku kapitanów odmówiło wcielenia ich do regimentu, stacjonującego w Portsmouth. Pięciu oficerów zwróciło się z petycją do króla, stwierdzając, że jeśli nie mogą wybierać własnych rekrutów, zrezygnują z oficerskiego patentu. Wszystkich przekazano do Windsoru jako więźniów pod strażą.

Tym razem odrzucenie rad Sary postawiło Churchilla w bardzo kłopotliwej sytuacji. Król mianował go jednym z członków sądu wojskowego. Jako oficer wysokiej rangi, nie mógł pochwalać niesubordynacji podwładnych. Sąd wojskowy uznał oskarżonych winnymi buntowniczego nieposłuszeństwa i skazał na wydalenie z wojska. Król Jakub napisze później, że brygadier Churchill głosował za tym wyrokiem po to, by ściągnąć na króla jeszcze większą niepopularność. Sara była innego zdania. Za to, co nazwała brakiem odwagi swego męża, rzuciła w niego przyciskiem do papierów. Stłukła szkło w obrazie na ścianie.

Należało wypróbować lojalność prostych żołnierzy w szeregach wojsk królewskich. Jakub oznajmił, iż zamierza uchylić ustawy, skierowane przeciwko katolikom i rozkazał dowódcy jednego z regimentów odczytać publicznie to oznajmienie podczas parady wojskowej. A kto by nie popierał królewskich intencji, miał natychmiast złożyć broń. Król osobiście był obecny na paradzie. Wyjąwszy dwóch kapitanów i kilku szeregowców katolików, cały regiment położył muszkiety na ziemię. Ci żołnierze może i byli szumowinami z londyńskich rynsztoków, ale byli protestantami. I mieli mniej do stracenia od brygadiera lorda Churchilla. Jakub odwrócił się, upokorzony i zirytowany mówiąc:

- W przyszłości nie wyświadczę im tego zaszczytu, by ich pytać o zdanie.

Z kolei król mianował papistów sędziami i urzędnikami. Wolne biskupstwa też zapełniono ludźmi o inklinacji do Rzymu albo takimi, którzy przedkładali karierę nad pryncypialność zasad. Ci nowo mianowani mieli za zadanie pozyskać poparcie podlegającego im kleru dla nielegalnych i niepopularnych w kraju zarządzeń królewskich. Ludność śledziła ze wzrastającym niepokojem despotyczne posunięcia króla, podejmowane bez zwołania parlamentu. Król miał już ponad pięćdziesiąt lat, był kiepskiego zdrowia, a Maria z Modeny nie dała mu syna.

- Jeszcze trochę cierpliwości - mówił Churchill. - Chyba już niewiele lat życia królowi pozostało. Zostawmy sprawy ich naturalnemu biegowi. Korona spadnie jak niedojrzałe jabłko, w ręce jego córki Marii i Wilhelma Orańskiego. I nawet nie trzeba będzie drzewem potrząsnąć.

Monarchia nadal rzucała magiczny urok na poddanych, powstrzymując niejednego, który sercem był już z nowo powstałym stronnictwem, działającym potajemnie w Anglii i w Holandii, a zamierzającym zmusić Jakuba do przestrzegania praw albo do abdykacji. Księżę orański zachęcał i subsydiował niezadowolonych, wiedząc, że aby zachować nienaruszone granice Holandii i uratować całą zachodnią Europę od do-nominacji Ludwika XIV i od prześladowań, jakie spotykały hugonotów, trzeba mu angielskich wojsk, a nade wszystko - angielskich pieniędzy.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, że królowa spodziewa się dziecka. Było to w roku 1687. Więc jednak ze zdrowiem i siłami Jakuba nie było aż tak źle, jak ogólnie mówiono!

Księżę Wilhelm przerzucił się od ostrożnego, potajemnego podburzania przeciw Jakubowi do aktywnego organizowania abdykacji. Posłał do Londynu swego zaufanego, van Dykvelta, by wy badał rzeczywisty stan nastrojów w Anglii. Większość polityków, mężów stanu i wyższych wojskowych musiała teraz dokonać wyboru, potajemnego lub pół-jawnego. Nie tylko przyszłość kraju zawisała od tego, ale również - co było ważniejsze dla wielu, jak z żalem należy wyznaczyć - przyszłość tych osób, które w danej chwili piastowały ważne stanowiska i ciągnęły dochody.

Bardzo szybko van Dykvelt uskładał w podróżnej sakwie niezłą paczkę pisemnych zobowiązań. Listy od ważniejszych osobistości - między innymi od Sydneya Godolphina, skarbnika i zausznika królewskiego, hrabiów: Danbyego, Nottinghama, Devonshire'a i Rochestera - czarno na białym stwierdzały, że przybycia księcia Orańskiego niecierpliwie oczekuje olbrzymia większość mieszkańców. Politycy owych czasów powszechnie mniemali, że ich opinie podziela „olbrzymia większość mieszkańców”. Jednakże ci angielscy lordowie musieli uważać sytuację kraju - i własną - za rozpaczliwą, inaczej nie wyraziliby na piśmie poglądów stanowiących zdradę stanu.

Nie sprecyzowano, co miało się stać z chwilą przybycia księcia Wilhelma. Zmusić Jakuba do dotrzymania obietnic złożonych w chwili wstąpienia na tron - tak, oczywiście; jeżeliby to się nie powiodło - pozbyć się go. A co potem? Wilhelm nie nalegał na precyzję, wolał zostawić kwestię otwartą. Po kolei.

Van Dykvelt nie miał jeszcze w sakwie jednego listu, na którym

Wilhelmowi szczególnie zależało: od królewskiego przyjaciela, pierwszego szambelana sypialni i brygadiera. W tym momencie król nieświadomie sam dopomógł księciu Orańskiemu. Usunął Churchilla ze swojej tajnej rady koronnej, jego miejsce powierzając jezuitcie, ojcu Edwardowi Petre.

Późnym popołudniem następnego dnia pamiętna i ważna rozmowa odbyła się we dworze, zwanym Holywell House, w pobliżu St. Albans, w gabinecie pana domu. Sufit, z którego zwisał kandelabr na pięćdziesiąt świec, wymalowany był w modne podówczas sceny z życia Venus i Adonisa: oprawne w ołów szyby wysokich okien zasłaniały zaciągnięte na noc ciemnoczerwone, pluszowe kotary: oszklona biblioteka, duży stół, wyściełane krzesła z wysokimi oparciami i dwie rozłożyste komody - wszystko z drzewa orzechowego, wszystko solidne, masywne. Obszerny kominek z jasnego marmuru, parę rzeźb w zagłębionych alkowach i kilka olejnych obrazów - takich jakie będą warte fortunę w trzy wieki później - dopełniały całości.

Przystojny mężczyzna, młody jeszcze, siedział za stołem. Strój jego cechowała niezwykła jak na ową epokę powściągliwość: zamiast jedwabnych kwiecistych kaftanów i kamizelek nosił sukienny, czarny surdut i obcisłe krótkie spodnie z czarnego aksamitu, dyskretne białe mankiety i krawat. Peruka gładko związana na karku.

Po pokoju tam i z powrotem chodziła, a raczej energicznie maszerowała młoda kobieta: niewysoka, ale postaci bardzo kształtnej, wyprostowana. Miała jasne włosy, uczesane w długie loki, oczy ciemne, biało-różową cerę, lekko zadarty nos. Suknię nosiła według ostatniej mody: stanik sztywno obcisnięty do pasa, rękawy luźne, długie, z odwiniętymi szerokimi mankietami, fałdzistą spódnicę.

Na twarzy mężczyzny znać było rozterkę. Łokciem oparty o stół, kciukiem i dłonią podpierając policzek, niecierpliwie postukiwał palcami o skroń. Druga ręka kręciła jeden z guzików, długim rzędem ozdabiających surdut. Natomiast młoda kobieta, chodząca tam i z powrotem po pokoju szybkimi stanowczymi krokami, najwyraźniej nie wiedziała, co to wątpliwość.

- Twój ojciec i mój - mówiła - zmarnowali własne życie i fortunę, walcząc w obronie straconej sprawy Karola Pierwszego. Sprawa Jakuba jest również przesądzona, ale to wcale nie znaczy, że my musimy pójść na dno razem z nim!

W głębi serca legitymista, rojalista, John był na dokładkę trochę sentymentalny.

- Jak mogę się sprzeniewierzyć królowi? Memu dobroczyńcy, przyjacielowi od przeszło dwudziestu lat... I to przecież Maria z Modeny umożliwiła nasze małżeństwo...

- Nie bądź sentymentalnym głupcem! - wykrzyknęła Sara. - Stosunek z królem był obustronnie korzystny. Jako księżę i jako król zatrudniał cię, a płacił ledwie tyle, by przeżyć. Ty w zamian oddawałeś mu ogromne usługi, a nie najmniejszą była ta, żeś uśmierzył zbrojną rebelię przeciw niemu. Teraz mniej cię zatrudnia, bo jesteś i będziesz mu mniej potrzebny. Z czego więc mamy żyć, z czego utrzymywać rodzinę? Maria z Modeny - to już przeszłość. Jak zapewnić przyszłość naszemu synowi, jak wyposażyć córki?

- Skąd mam wiedzieć, kiedy i dlaczego przestanę być potrzebny? Jeśli opuszczę króla, inni zaraz pójdą za moim przykładem. Jakub będzie musiał abdykować. A dopóki ja zostanę przy jego boku, inni też zostaną. Wypędzimy Williama z powrotem do Holandii, a obecna krytyczna sytuacja pouczy Jakuba, że jego królestwo chce pozostać protestanckie. Z drugiej strony, jeżelibym odszedł od króla, nie uczyniłbym tego ze względu na moje interesy, ani nawet twoje, moja droga. Byłoby to dla dobra kraju i w obronie wiary protestanckiej.

Sara szczyła się tym, że zawsze i każdemu rąbała prawdę prosto w oczy, bez ogródek. Przeknęła palcami mężowi przed nosem i tupiąc nogą wykrzyknęła:

- Głupstwa! Mówię ci, że gadasz głupstwa! Po pierwsze, gdybyś pomógł wypędzić stąd księcia Williama, król to uzna za znak, że Bóg jest po jego stronie, jak wtedy, kiedy zwyciężyłeś zbuntowanego Monmoutha. I jeszcze pomnoży wysiłki zdławienia reformacji. Po drugie: nie ze mną piękne słówka o ojczyźnie i protestanckiej wierze! Gadaj po prostu. Jeśli przejdiesz do Williama, a musisz, to będzie z korzyścią dla Johna i Sary Churchillów i ich dzieci. Na litość boską, bądźże raz człowiekiem praktycznym, takim właśnie, jak William! Czy ty sobie wyobrażasz, że on tu przybył, żeby bronić protestantyzmu w Anglii? Głupstwo! To tylko pretekst, a naprawdę przeprowił się tutaj, aby wciągnąć angielskich żołnierzy i angielskie pieniądze w swoje niekończące się wojny z Ludwikiem francuskim. I dobrze. To nam odpowiada. Ty jesteś wypróbowanym, doświadczonym żołnierzem. William będzie potrzebował takich ludzi. Widzę otwierającą się przed tobą wielką karierę... Będiesz czymś więcej niż pierwszym szambelanem sypialni podającym królowi Jakubowi koszulę każdego ranka!

John wsparł się lewą ręką o stół, spojrział przez ramię na żonę i powiedział z uśmiechem:

- A wiesz, że właściwie mnie by zupełnie w życiu wystarczyło, gdybym mógł być zawsze tutaj, z tobą i dziećmi...

- Romantyczne bzdury - odparła Sara, pogardliwie wstrząsając głową. - Tego rodzaju sielanka trwa tyle czasu, co wyrecytowanie wiersza, nie dłużej. Jakub sam zwątpiłby wtedy o twojej lojalności i wtrącił cię do Tower. A jeśli by William tu przyszedł i zwyciężył, to też by cię wtrącił do Tower na tej zasadzie, że kto nie z nim, ten przeciw niemu! Jakub nic więcej dla nas nie zrobi. Pod panowaniem Williama mógłbyś zacząć raz jeszcze, teraz już blisko szczytu drabiny, z perspektywą zostania jednym z najpierwszych dygnitarzy królestwa. Czy też chcesz bym ja i twoje dzieci dalej żyły w takim niedostatku jak dotąd?

- To celny cios - mruknął John. - Chciałbym mieć pieniądze... zabezpieczyć nasz byt, kupować ci to, co zechcesz mieć... ale wiesz... trzydzieści srebrników?

Sara przystanąła znowu w swojej niecierpliwiej wędrowce po pokoju, pochyliła się z gniewem, wymachując ręką mężowi przed nosem:

- Dramatyczne bzdury! Słownictwo z bud teatralnych! Powiedz mi jedno: czy ty jeszcze mnie kochasz, czy nie?

Złościca, jakich mało, Sara słynęła ze swych niepohamowanych wybuchów gniewu. A jednak John był zupełnie szczery, kiedy jej odpowiedział:

- Jesteś mi droższa, niż życie samo. Powtarzałem ci to wiele razy i pisałem też. To jest moja najgłębsza prawda.

- Więc bądź mężczyzną! Dla mnie! Napisz do księcia Williama” ofiaruj mu swoje poparcie i moje także... Nie zapominaj, jaki mam wpływ u siostry jego żony! Zobowiąż się, że w chwili gdy książę wyląduje na ziemi angielskiej, ty przeprowadzisz na jego stronę większą, część królewskich wojsk...

- A jeśli Jakub zagrożony ewentualnym nadejściem Wilhelma i Marii zwoła parlament i cofnie swoje nielegalne zarządzenia? Co wtedy? - pytał John, zawsze przezorny.

Sara pomaszerowała do drzwi. Z ręką na klamce odwróciła się jeszcze:

- Idę do mego pokoju. Drzwi zamknę na klucz. I zostaną zamknięte przed tobą, dopóki nie napiszesz do księcia Wilhelma i nie przyjdiesz pokazać mi listu!

Krytyczny wybór.

Król, dobrodziej, przyjaciel... lojalność, honor... emigracja, bezczynność, zapomnienie... religia, swobody narodowe... żona, dzieci... kariera, zabezpieczenie, awanse, może sława...

Z westchnieniem John ujął pióro. Do innych listów, zapakowanych w sakwie podróżnej van Dykvelta, lord Churchill dołożył - z aprobatą swoich dwóch braci, tego w wojsku i tego w marynarce - własny list:

„...za nic mam fawory królewskie i dygnitarjaty w porównaniu z wiernością, jaką winienem swojej religii... król może mną dysponować we wszystkich sprawach, prócz tej jednej...

W dalszym ciągu piszący przypominał o więzach serdecznej przyjaźni, łączących jego żonę ze szwagierką Wilhelma, księżniczką Anną, i o lojalności księżniczki wobec kościoła anglikańskiego. I w zakończeniu:

„Chociaż nie potrafię żyć jak święty, to jeśli nadarzy się sposobność, potrafię okazać rezolucję męczennika...”

Pięknie, tylko nie wiadomo, o ile szczerze.

Jeśli nawet w danej epoce korupcja, nielojalność i karierowiczostwo rozkwitały tak bujnie, iż stały się nieomal powszechnym obyczajem, nic nie usprawiedliwia nikczemności poszczególnych jednostek.

Jakikolwiek był klimat moralny jego czasów, człowiek ponosi odpowiedzialność za własne uczynki. Churchill potrafił wznieść się nad poziom swoich współczesnych w sprawach korupcji. Gdy inni brali subsydia jednocześnie i od Ludwika XIV, i od księcia Orańskiego, Churchill nie przyjmował pieniędzy od żadnego z nich.

Ale czy list Churchilla schowany z innymi w sakwie van Dykvelta był aktem zdrady? Odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta, jak mogłoby się zdawać. Reformacja zmieniła nie tylko religię Anglików, ale także ich zapatrywania na rządy krajem. W ich pojęciu były więc dwa rodzaje zdrady: zdrada króla i zdrada ojczyzny. Tej drugiej, poważniejszej mógł się dopuścić również sam król. Broniąc swojej religii Anglicy uważali, że bronią zarazem postępu, krok po kroku zmierzającego w kierunku konstytucyjnej monarchii z parlamentem jako najwyższą władzą, a przeciwko despotyzmowi. Kto tym celom służył, ten był patriotą, kto osiągnięcie ich opóźniał, był wrogiem narodu jako całości. W tym świetle jasne się staje, do jakiej kategorii trzeba było zaliczyć króla Jakuba, rządzącego bez parlamentu, trzymającego się katolickiej zasady „króla z łaski bożej”.

Jednakże nawet wzięwszy to pod uwagę, wokół listu Churchilla do księcia Wilhelma - i jego dalszego ciągu w parę miesięcy później - od owej pory aż po dziś dzień toczy się dyskusja. Jest to kluczowy problem oceny charakteru Churchilla. W każdym z nas kryją się dwie osobowości: jedną ludzie widzą, drugiej nie. Może dlatego, iż ją starannie ukrywamy. Zadaniem biografii jest odsłonięcie tej nie ujawnionej osobowości, której współcześni zwykle nie dostrzegają, bo w niej najczęściej kryją się sprężyny, motywujące postęпки osobowości zewnętrznej.

Iris Murdoch, wybitna angielska powieściopisarka, zauważyła: „Odczytujemy oznaki zewnętrzne zgodnie z naszymi najgłębszymi uczuciami. Tak muszą postępować zawsze istoty ludzkie. Rzeczywistość jest szyfrem o wielu rozwiązaniach, a wszystkie są słuszne”. To właśnie nadaje historii jej zawsze żywą i nieomal uniwersalną atrakcyjność. Każdy może mieć własny pogląd na tak zwane fakty i każdy może znaleźć pod dostatkiem dowodów na słuszność swego poglądu.

Ci, włącznie z katolikami na kontynencie, którzy oceniali Churchilla emocjonalnie, zwykle potępiali go jako zdrajcę. Ci, w większości angielscy protestanci, wraz z potomkiem tego rodu

niedawno zmarłym Sir Winstonem Churchillem, którzy oceniali go na podstawie logicznego rozumowania i interesów narodowych, głosili go wielkim patriotą. Współczesnemu biografowi wydaje się, że żaden z tych werdyktów nie bierze w dostatecznym stopniu pod rozwagę człowieka, który mógł uznać, że jego powinność w stosunku do Jakuba i powinność wobec religii i swobód narodowych wzajemnie się unieważniają. A skoro tak - to niechaj o wyborze zadecydują dwa czynniki osobiste: miłość do żony oraz pragnienie zdobycia sławy i fortuny.

Churchill przyłączył się do wcale licznej kompanii tych, którzy wybrali słuszną drogę dla wątpliwych powodów.

Rozdział 10

KONTROWERSYJNA DEZERCJA

W grudniu roku 1687 sławny wróżbiarz i astrolog Piscatore de Milano siedział w urządzonej na poddaszu komnacie i przy blasku świec spisywał przepowiednie na nadchodzący nowy rok. Jedną z nich odnosi się do spraw związanych z naszymi bohaterami:

„Niechaj suweren wielkiej wyspy wystrzeż się zdrady wśród swoich dworzan”.

Jeżeli nawet Jakub znał tę przepowiednię, nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Odwrotnie, radował się i triumfował. Maria z Modeny wydała na świat żywego, zdrowego chłopca, nazwanego po królu. Sara w rozmowach z księżną Anną i innymi zaufanymi osobami wyrażała wątpliwości co do ojcostwa tego dziedzica tronu. Skądinąd niespokojni protestanci, zagrożeni niekończącą się dynastią autokratycznych katolickich suwerenów, rozpuszczali plotki, że to bękarta jakiejś niezamężnej dziewczyny wsunięto do łóżka królowej razem z butlami gorącej wody do grzania pościeli. Beznadziejny nonsens - a cóż porabiała Maria z Modeny przez dziewięć miesięcy? Jak mogłaby oszukać cały dwór i swoją osobistą służbę? Czyżby poduszkę podkładała pod spódniczki?

Jednakże księżna Anna bardzo chciała wierzyć tym plotkom i zawsze powątpiewała, czy dziecko jest rzeczywiście jej bratem.

Nie dbając o żadne plotki, Jakub po tym wydarzeniu zyskał pewność siebie w prowadzonej kampanii. Wkrótce po przyjściu na świat swego syna postanowił wybrać się w objazd kraju. Wśród mających mu towarzyszyć dworzan był również pierwszy szambelan królewskiej sypialni. Lord Churchill razem z innymi, którzy szykowali „pozytywną zdradę”, nie zmienił na pozór swego zachowania w stosunku do króla.

Pod koniec parotygodniowej podróży i oficjalnych przyjęć w różnych miastach i w pałacach arystokracji Jakub siedział pewnego wieczoru przy butelce wina ze swymi dworzanami.

:- Moi panowie - powiedział. - Chciałbym wiedzieć, jak oceniacie stan kraju? Jakie są wyniki trzech lat mego panowania?

Zabrzmiały różne banalne odpowiedzi, czasem przezorne, czasem entuzjastyczne.

- Ludność prosperuje...

- Burmistrzowie miast podejmowali waszą królewską mość kordialnie...

- Pewien ksiądz powiedział mi dzisiaj, że duch rebeliancki, wyczuwalny przed trzema laty, teraz wygasa...

- Powszechne przywiązanie do waszej królewskiej mości...

Churchill prawie nie słuchał. Oblegały go niespokojne myśli, dręczyło sumienie.

...może jest jeszcze szansa... gdyby praktykował swoją religię i każdemu pozwolił przy własnej pozostać... wstrzymał nominacje katolików na stanowiska w rządzie i w wojsku... jeszcze wszystko by mogło być jak dawniej, bez zamieszek, bez zagrożenia obcą inwazją... bez dezercji...

Gdy wszyscy już się wypowiedzieli, Jakub popatrzył uważnie, pytając na swego pierwszego szambelana. Churchill świadomie przekręcił królewskie pytanie, jakby chciał odpowiedzieć na co

innego:

- Wychowałem się w wierze protestanckiej, najjaśniejszy panie, i w tej wierze będę żył i umierał; ponad dziewięć dziesiątych całej ludności jest tego samego wyznania, więc obawiam się... a obowiązek nie pozwala mi milczeć... konsekwencji takich, że nie ważę się ich wymienić, bo budzą zgrozę we mnie na samą myśl...

Ciemny rumieniec gniewu zalał królewskie oblicze:

- Posłuchaj, milordzie, i wy wszyscy, panowie! Będę praktykował moją religię w taki sposób, jak zechcę! - Co do tego nikt z obecnych i mało kto w całym kraju miałby obiekcje. Ale król dodał, uderzając pięścią w stół tak, że wszystkie kielichy zatańczyły: - Nie jestem królem malowanym... Żądam posłuchu! I użyję władzy, jaką Bóg mi dał!

Podniósł kielich, wychylił go do dna i wyszedł z komnaty, nie mówiąc ani słowa więcej. Dworzanie wstali również i niby przypadkowo zaczęli się formować w dwie grupy w przeciwnych końcach komnaty. Rozmawiano półgłosem, a czasami ktoś dyskretnie przesuwiał się z jednej grupy do drugiej. W pierwszej mówiono:

- Tamci knują coś niedobrego...
- Podejrzewam, że...
- Trzeba by ostrzec króla...
- Udają, że są jego przyjaciółmi i doradcami...
- Król pewno wie nie mniej i nie więcej niż my...
- Król ufa w swoją władzę, w wojsko i Boga...

A w drugiej grupie:

- Tamci knują coś niedobrego...
- Ośmieliłeś się mówić zbyt wcześnie, milordzie...
- Nie sądzę. Teraz jego królewska mość nie może twierdzić, że go nie ostrzeżono...
- A jeśli weźmie ostrzeżenie na serio i podejmie kroki przeciw waszej lordowskiej mości, a może także przeciw komuś z nas?...
- Na podstawie moich słów... co mógłby mi zarzucić? Wszelkie dowody, jakie mogłyby przeciw mnie istnieć, są w Holandii...

A w każdej grupie niektórzy zachowywali milczenie i tylko słuchali.

Znalazłszy się z powrotem w Londynie, król nie zdradzał oznak, że jest świadom niebezpieczeństwa. Nadal wykorzystywał „władzę, jaką dał mu Bóg” - tę władzę, którą wielu przed nim i po nim oceniało za wysoko lub błędnie. Rozumiejąc, że kościół anglikański jest przeszkodą najwyższą, król rozpoczął zagarnianie jego dóbr materialnych. Jak inni posiadacze bogactw kościoła raczej by tolerował każde inne posunięcie. Każdy pastor lękał się, że utraci parafię i dziesięciny, tak jak każdy dziedzic drżał o ziemię, którą jego przodkowie nabyli po rozwiązaniu klasztorów przez Henryka VIII.

Za poradą jezuitów zdecydował się na chytre posunięcie. Przywrócił odrzuconą niegdyś „Deklarację o tolerancji”, którą Karol II zaproponował, by zapewnić swobodę wyznania nie tylko katolikom, ale również dysydem, purytanom. Nie było parlamentu, by zaprotestować. Król kazał wypuścić z więzień tych, którzy siedzieli za praktykowanie swojej wiary. W ten sposób ustawa o tolerancji, nigdy później nie uchylona, została w Anglii wprowadzona dla celów taktycznych przez jednego z jej najzagorzalszych przeciwników. Jakub spodziewał się, że wdzięczni dysydenci odstąpią od swej lojalności wobec sprawy protestanckiej. Był nazbyt optymistyczny, a prócz tego nie

grzeszył cierpliwością. Do „Deklaracji” dołożył chełpliwe oznajmienie o nominacjach katolików na stanowiska w rządzie i wojsku. I kazał anglikańskim biskupom ogłosić całość z ambon. Z tą chwilą od dawna tłące zarzewie waśni między monarchą a jego ludem buchnęło płomieniem.

Kilku biskupów z prymasem na czele wystąpiło do króla z petycją o wycofanie „Deklaracji”. Aresztowano ich i postawiono przed sądem za bunt. Cały naród porwał się do protestu. Prawie wszyscy mieszkańcy Londynu, wśród nich bardzo wielu dysydentów, wyległo wzdłuż brzegów Tamizy, by zgotować owację przewożonym łodziami do więzienia Tower biskupom. Widziano w nich spadkobierców w prostej linii tych, których przed stu trzydziestu laty Krwawa Maria posyłała na stos.

Jakub omylił się co do dysydentów. Przejrzeli jego zamysły, przeczuwali, że gdy już zgniecie kościół anglikański, zwróci się z kolei przeciw nim. Zapewne mieli rację. Groźne tłumy wrzeszczały na ulicy przed budynkiem sądu w czasie trwania całego procesu i ostatecznie sędziowie przysięgli uwolnili oskarżonych od winy i kary. Występowanie do króla z petycją nie jest czynem buntowniczym. Gdyby werdykt sędziów przysięgłych brzmiał inaczej, tłum zlinczowałby ich z całą pewnością. Dzwony w opactwie westminsterskim rozdźwięczały się radośnie, a gdy wieść o wyroku dosięgła owego zamierzonego narzędzia władzy i terroru, wojska stacjonującego na wzgórzach Hounslow - żołnierze wybuchnęli wielkimi wiwatami i wrzawą tak gwałtowną, że nawet ich własni oficerowie wycofali się przezornie.

Lord Churchill wiedział teraz na pewno, że postąpił słusznie, przyłączając się do księcia Wilhelma Orańskiego.

- Będą walki - mówił do żony - które mogą się przekształcić w wojnę domową. Tym razem Churchillowie będą po stronie zwycięskiej.

Oboje postarali się o to. Ale co do jednego się mylił: nie doszło do wojny domowej.

Jeszcze poprzednio zmarł ojciec Johna. Niewiele zostawił w spadku, by zaopatrzyć wdowę, a już zupełnie nic - synom. Ale każdy z synów radził sobie nie najgorzej bez ojcowskiego dziedzictwa. A i Sara także uwiliła wygodne gniazdko w ufnej przyjaźni księżny Anny. Były nierozłączne, a królewska córka, o ile tylko mogła, zaspokajała każde życzenie przyjaciółki.

Pewnego dnia pani Morley i pani Freeman wybrały się na konną przejażdżkę po parku Windsorskim. Obie miały na sobie wcięte żakiety z koronkowymi rękawami, trójgromne kapelusze z piórami i krótkie peruczki. Kiedy mijaly budynek, zwany White Lodge, Sara zauważyła:

- Gdybym mogła wybierać i przebierać między wszystkimi domami w Anglii, ten bym sobie wzięła.

Nie tylko zamiłowanie do architektury kryło się za jej słowami. Zgodnie z dawną tradycją White Lodge było rezydencją pierwszego nadleśniczego królewskiego, odpowiedzialnego za ład i porządek w parku Windsorskim.

Pani Morley odpowiedziała natychmiast:

- Skoro tylko będzie to w mojej mocy, nie omieszkam spełnić twego życzenia.

Obie kobiety wybiegały wyobraźnią w przyszłość, jakby widziały, co będzie po Jakubie II, po jego protestanckim następcy, którego oczekiwały. Bo nominacja na pierwszego nadleśniczego leżała w gestii monarchy.

Po atakach na kościół anglikański i po procesie biskupów grupa siedmiu mężów stanu - między innymi Sydney Godolphin, hrabiowie Rochester i Sunderland z tajnej rady królewskiej - wysłali do księcia Wilhelma Orańskiego formalne zaproszenie, by wylądował na ziemi angielskiej. Piscatore de

Milano nie omylił się w swych przestrożach.

Churchill nie należał do owych siedmiu: natomiast w oddzielnym, osobistym liście do Wilhelma zapewniał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by przeciągnąć wojsko królewskie na stronę księcia, skoro tylko on wyląduje. Na zakończenie dodał:

„Cokolwiek jeszcze mógłbym uczynić, jestem gotów: proszę dysponować moją osobą”.

Przez swoich londyńskich agentów Wilhelm doradzał, by Churchill nie robił niczego, co by mogło doprowadzić do ujawnienia jego intencji. Księżę zapewniał także tych, którzy go do Anglii zapraszali, że zamierza bronić praw i swobód ludu angielskiego i przywrócić dawne przywileje, despotycznie odtrącone przez Jakuba, ale że nie będzie karał katolików, którzy przyjęli stanowiska nadane im wbrew ustawom parlamentu.

Szpiedzy Jakuba nie byli beczynni. Ale Wilhelm z zimną krwią napisał do swego wuja, że wcale nie planuje najazdu na wyspę. Jakub dość naiwnie przyjął to zapewnienie za dobrą monetę. Zresztą wyobrażał sobie, że w najgorszym razie będzie miał do czynienia z nową rebelią na skalę buntu Monmoutha. Jego wojska, liczące już blisko czterdzieści tysięcy żołnierzy, z pewnością rozprawią się z taką rebelią bez trudu.

Razem z Wilhelmem połowa Anglii praktykowała dwulicowość. Do Whitehallu przybywały setki nieproszonych gości, którzy potwierdzając swoją lojalność wobec królewskiego majestatu, zarazem baczenie nadstawiali ucha i siedzieli w stolicy, by się nie spóźnić z deklaracją nowej lojalności, gdy zajdzie potrzeba.

Wilhelm nie miał zamiaru powierzyć swojej sprawy niedoświadczonym wieśniakom. Trzymał w gotowości piętnaście tysięcy wyborowego holenderskiego żołnierza. Spiskowcom angielskim przyrzekał, że odeśle wojska z powrotem do kraju, jak tylko w wyspiarskim królestwie będą zabezpieczone swobody i protestantyzm.

Ale co z Ludwikiem XIV? Czy pod nieobecność Wilhelma nie najedzie Niderlandów? Aby się zabezpieczyć przed taką ewentualnością, stadhouder zgromadził część swoich wojsk pod Nijmegen i wysłał w górę Renu liczne barki załadowane amunicją. Barki wypłynęły z wielką ostentacją - i zaraz wróciły po kryjomu, pod osłoną nocy. W owych czasach takie podstępny mogły się udać. Manewr oszukał nie tylko Francuzów, którzy wysłali znaczne siły, by oblegać Philipsburg, koło Czarne-go Lasu, ale także walnie się przyczynił do naiwnego zaufania Jakuba.

Wilhelm po cichu sprowadził z powrotem na wybrzeże trzy i pół tysiąca jazdy oraz przeszło dziesięć tysięcy piechoty i zaokrętował wojska na pięćset transportowców, którym miały towarzyszyć okręty wojenne, fregaty i brandery. Było też przy nim sporo angielskich, protestanckich oficerów, usuniętych z wojska przez Jakuba. Ekspedycja wyruszyła po raz pierwszy pod koniec października 1688 roku; ale gwałtowny sztorm zmusił statki do zawrócenia z powrotem do portu, gdzie parę dni stracono jeszcze na naprawę szkód wyrządzonych przez burzę.

Jakub pojął wreszcie, że zapewnienia jego zięcia i siostrzeńca niewiele są warte. Ale optymistycznie oświadczył:

- Wiatr opowiedział się za katolicyzmem!

Niezależnie od religijnej afiliacji żywiołów król ufał że jego flota nie dopuści Holendrów do brzegów wyspy. Szpiedzy ostrzegli wprawdzie Jakuba, że w marynarce wojennej jest dużo stronników Wilhelma, między innymi kapitan okrętu „Newcastle”, brat Lorda Churchilla, George. Król nie chciał słuchać:

- Marynarze mnie pamiętają - rzekł. - Byliśmy razem w niejednej bitwie. Poślą połowę

holenderskiej floty na dno, a drugą połowę zapędzą z powrotem do ich portów.

Ale od owych lat na morzu wyrosło już nowe pokolenie marynarzy. Admirał Herbert, dowodzący Flotą Morza Północnego i Kanału, oznajmił, że dyscyplinarnie zwolni z służby każdego ze swych podwładnych, który nie zechce poprzeć Wilhelma Orańskiego. I trzymał flotę na morzu, aby nikt nie mógł zejść na ląd i wygadać się po paru kielichach.

Na lądzie Anglicy wstrzymywali oddech i niecierpliwie czekali na „protestancki wiatr”. Evelyn zapisuje w diariuszu: „Powszechnie niezadowolenie tak daleko zaszło, że ludzie zdają się namiętnie pragnąć i czekać wylądowania księcia, w którym widzą wybawiciela od papistowskiej tyranii”.

Protestancki wiatr nie dał długo na siebie czekać. W dziesięć dni po pierwszej próbie flota wyszła na morze i dotarła do wyspy Wight, u południowych wybrzeży Anglii, a admirał Herbert szczęśliwie utrzymał z dala własną flotę, by przypadkiem nie przeszkodziła. Wilhelm wylądował w Torbay. Ludność witała go tym życzliwiej, że nie próbował na siłę werbować mężczyzn do swego wojska i zabierać ich z domów. Holenderskich żołnierzy częstowano jabłecznikiem i syconym miodem, a ci ze zdziwieniem zaobserwowali, że wszyscy wieśniacy palą fajki, i to nie tylko mężczyźni, ale również kobiety, a nawet dzieci.

W pierwszej chwili Jakub przyjął spokojnie wieść o lądowaniu.

- Południowy zachód to cmentarzysko pretendentów do tronu - zauważył.

Odbył uroczysty przegląd wojsk w Hyde Parku i wysłał jego większą część do Salisbury, pod wodzą Lorda Fevershama.

Początkowo pochód Wilhelma w głąb kraju odbywał się dość powolnie, jak i Morjmoutha w swoim czasie. Po drodze do Exeter, ważnego miasta, twierdzy i siedziby biskupstwa, ubodzy wieśniacy witali go radośnie, ale ci, którzy mieli coś do stracenia, zachowywali dyskretną przezorność. Świeża była jeszcze pamięć „Krwawego Trybunału”. Burmistrz Exeter odmówił współdziałania, a biskup uszedł z miasta, w kompanii z miejskimi notablami i co bogatszym obywatelstwem. Wilhelm zmartwił się poważnie, ale hrabia Shrewsbury, który mu towarzyszył z Holandii, pocieszał nie bez cynizmu:

- Jeszcze się będą tłoczyć do waszej wysokości. Nikt nie chce być pierwszym teraz, ale nikt też nie zechce być ostatnim.

Lord Feversham, chociaż wierny królowi, zachowywał się ze zwykłą sobie indolencją. Wysłano go do Salisbury, więc rozgościł się w wygodnych kwaterach i siedział tam, czekając dalszych rozkazów albo też nadsięgnięcia wojsk Wilhelma. Jego żołnierze rozbili obóz na wyżynie salisburskiej - lecz nie było im tak wygodnie w jesiennych deszczach i wichurach.

Pierwszy przykład dezercji do obozu zbawcy protestantyzmu dano właśnie w Salisbury. Lord Cornbury, jeden z synów hrabiego Clarendon, dowodzący regimentem królewskim, odjechał do księcia na czele dwustu ludzi. Niebawem w ślad za nim udał się pułkownik Langton z nieco mniejszym oddziałem. Clarendon desperował:

- Boże! Że też dożyłem chwili, kiedy mój syn okazał się buntownikiem! Oby Pan Bóg w swym miłosierdziu dopomógł mi znieść tak ciężkie strapienie...

Pana Boga błagano i zaklinano z dwóch stron: z jednej katolicy, z drugiej protestanci. Tym razem wybrał protestantów. A Clarendon, który stał u boku Karola I i dzielił wygnanie królewskich synów, niebawem sam pośpieszył do Wilhelma.

Król był w pałacu Whitehall, gdy przyniesiono mu nowiny o dezercji lorda Cornbury i Langtona, wyolbrzymiając towarzyszące im oddziały do trzech regimentów. Wstrząśnięty Jakub zwołał

natychmiast radę najważniejszych dygnitarzy cywilnych i wojskowych. Opowiadano, że lord Sunderland, Sydney Godolphin i lord Churchill udając się przez galerię na salę posiedzeń, „ująwszy się za ręce, biegli w radosnych podskokach”. Jednakże słowa królewskie otrzeźwiły ich i dały im poważnie do myślenia:

- Jeśli ktokolwiek z tu obecnych wolałby opowiedzieć się po stronie księcia Oranii, miast popierać własnego ukoronowanego suwerena, niechaj tutaj i zaraz złoży piastowane dygnitariaty czy dowództwa i odjedzie, a nie iżby dezertował w ogniu bitwy. - Czy gdyby ktoś wziął króla za słowo, wyszedłby wolny, jest więcej niż wątpliwe. Król mówił dalej: - Kto chce, niech szpadę ze mną skrzyżuje, ale niechaj mi w plecy sztyletu nie wbija.

Aby uspić obudzone podejrzenia królewskie, powstało dwóch dygnitarzy, po jednym na każdym końcu stołu obrad: księżę Grafton, nieślubny bratanek króla, i lord Churchill. Księżę powiedział:

- Będziemy stać przy waszej królewskiej mości do ostatniej kropli krwi.

A Churchill dorzucił:

- I niech piekło pochłonie wszystkich zdrajców!

Teraz wstali wszyscy, deklarując lojalność i wiwatując na cześć Jakuba, króla Anglii.

Tę scenę trudno pogodzić z pojęciem honoru. Ale aktorzy wybrali role i musieli je grać do końca. Ze swojej strony król uznał, że teraz musi zaufać wszystkim - albo nikomu. Zaraz po zakończeniu narady, mianował brygadiera lorda Churchilla generałem-lejtnantem i wysłał go na czele pół tysiąca jazdy przeciw Williamowi, a sam również wyprawił się do Salisbury, zabierając ze sobą swego zięcia księcia George'a duńskiego i ambasadora Francji.

Położenie księcia orańskiego stale się poprawiało. Przyłączali się do niego szlachta i rycerze. Kilka miast na zachodzie, włącznie z ważnym portem marynarki wojennej, Plymouth, opowiedziało się za nim i przyjęło mianowanych przez niego gubernatorów. William postanowił ruszyć na wschód, w stronę armii królewskiej.

Król cierpiał na bezsenność i krwawienie z nosa. Zwołał radę wojenną. Po drodze do kwatery sztabu, Churchill powiedział do księcia Graf tona:

- Mam powody przypuszczać, że ktoś go przestrzegł przed nami. Może Feversham. Będę więc namawiał go do pochodu przeciw Holendrom i wydania bitwy. To go powinno uspokoić.

Ale choroba wzmogła nerwowość króla. Za dawnych lat walczył w obronie swego kraju odważnie i dzielnie. Mógł wtedy w pełni ufać tym, którymi dowodził. Teraz nie wiedział, kto z ludzi, nawet mu najbliższych, będzie lojalny, a kto w ogniu bitwy „wbije mu sztylet w plecy”. Popierany w tej propozycji przez Fevershama, Jakub nakazał odwrót w kierunku Londynu. I w tej decyzji utwierdziły go szybko teraz po sobie następujące wydarzenia.

Tłumiąc wewnętrzne głosy, które mu przypominały, że po wielkim pożarze Londynu zaprzysiągł sobie lojalność wobec obu braci królewskich - lord Churchill opuścił nocą 23 listopada obóz królewski i udał się do księcia Oranii. W liście, który po jego wyjeździe doręczono królowi, pisał, że jego postępek:

„...wynika nie z czego innego, jak z nieuniknionego dyktanda mego sumienia i z koniecznej troski o moją religię... będę zawsze, z narażeniem na hazard własnego życia i fortuny, gotów bronić osoby mego Najjaśniejszego Pana i jego legalnych przywilejów... pozostaję z należytych respektem Waszej Królewskiej Mości najbardziej oddanym sługą...”

Pomimo „nieuniknionego dyktanda” sumienie najwidoczniej dolegało Churchillowi. Gdyby po prostu wyliczył nielegalne posunięcia Jakuba, jego ataki na kościół anglikański, jego wykroczenia

przeciw ojczyźnie - taki katalog potomność odczytałaby z większym zrozumieniem, niż wątpliwe zapewnienia o „najbardziej oddanym słudze”. Trudno uniknąć wrażenia, że Churchill już teraz myślał o zabezpieczeniu sobie odwrotu. Gdyby Jakub jednak utrzymał się na tronie albo gdyby kiedyś powrócił? Może by jeszcze przyjął „oddanego sługę” z powrotem na dwór, a przynajmniej uznał, że lepiej nie odtrącać takich militarynych talentów bez zastanowienia?

Z Churchillem odjechali: jego brat Charles, teraz w randze pułkownika, księżę George duński, księżę Ormonde i Grafton, pułkownik Kirke i około czterystu żołnierzy. Tylko czterystu. Resztę jazdy, chociaż pod komendą Churchilla, trzymali w ryzach katolicycy oficerowie, którzy natychmiast, gdy się dowiedzieli o odjeździe wodzów, wydali żołnierzom wielkie ilości trunków. A było też prawdą, że wielu z tych, co w sercach potępiali króla, niechętnie patrzyli na przybycie Williama z półtora tysiącem holenderskich żołnierzy za plecami. Bardzo to przypominało obcą inwazję. Tak więc generał-lejtnant Churchill mógł dotrzymać tylko w małej części swoich przyrzeczeń składanych Williamowi.

Dla króla, osłabionego chorobą, list jego pierwszego szambelana sypialni był, jak sam się wyraził:

- ...fatalnym ciosem. Ledwie mogę uwierzyć. Byliśmy przecież bliskimi przyjaciółmi... zawdzięcza mi wszystko...

Król zapomniał, że od chwili wstąpienia na tron nie dał swemu „bliskiemu przyjacielowi” żadnych dowodów uznania. Churchilla zasługą było zwyciężenie Monmoutha, ale nie dostał awansu aż do momentu, kiedy jego wojskowe zdolności znowu się okazały potrzebne. Co gorsza, król upokorzył Churchilla, usuwając go z tajnej rady. Teraz jednak mówił:

- Jeżeli on mnie zdradził, to już nikomu ufać nie mogę. Miał słuszość. Mało kto przy nim pozostał.

Prawie natychmiast drugi cios spadł na strapionego monarchę. Dowiedziawszy się o dezercji Churchilla i księcia George’a duńskiego, wysłał z największym pośpiechem kuriera do dowódcy wojskowego Londynu:

- Zatrzymać w bezpiecznym miejscu moją córkę, księżnę Annę. Przeszukać rezydencję Lorda Churchilla; umieścić jego żonę w areszcie domowym w pałacu St. James.

Za późno. Między godziną drugą a trzecią nad ranem dnia 23 listopada, pani Morley i pani Freeman wymknęły się z pałacu wąskimi tylnymi schodami, zwykle używanymi przez sprzątaczkę. U furtki za tylnym dziedzińcem Czekala na nie kareta, zaprzężona w sześć koni. Wsiadły, stangret zaciął konie. Obok karety galopował Henry Compton, biskup Londynu, w wojskowym umundurowaniu, z pistoletami w olstrach, z dobytą szpadą w dłoni. Poszóstna kareta do niego należała.

Księżna Anna w liście, na pewno podyktowanym przez Sarę, jeszcze poprzednio potajemnie napisała do swej siostry Mary, zapewniając ją o lojalności wobec niej, jej męża i wobec sprawy protestanckiej. Zanim Churchill wyjechał z Londynu, ustalono datę zamierzonej dezercji jego i księcia George’a, a także treść listu, który księżna Anna miała zostawić ojcu. Ten list nie zawierał więcej prawdy niż wszystkie epistoły, w owym czasie pisane. Księżna pisała, że nic jej nie było poprzednio wiadomo o intencjach jej męża opowiedzenia się po stronie księcia Williama, ale skoro już tak postąpił, to jako posłuszna żona musi się do niego przyłączyć.

Chociaż lord Churchill przybył do głównej kwatery księcia Oranii tylko z garstką wojska i chociaż niektórzy z holenderskich oficerów krzywo patrzyli na tego wysokiej rangi dezercera, jednakże William powitał go serdecznie - o ile w ogóle można mówić o serdeczności w odniesieniu

do tego człowieka, zawsze oschłego i sztywnego.

Magnaci i rycerze nadjeżdżali teraz tłumnie, a jeśli ciągnęli z daleka, ślali galopem gońców, by zapewnić Williama o swym poparciu. Nikt, jak to przewidział hrabia Shrewsbury, nie chciał zostać na szarym końcu.

William spieszonym pochodem ciągnął z Salisbury do Hungerford, oddalonego mniej więcej o sto kilometrów od Londynu. Tam przyjął Sydneya Godolphina, jednego z tych, którzy go zapraszali do Anglii, teraz przybywającego jako poseł królewski z prośbą o rozejm. Gdy Godolphin odjechał z powrotem do Londynu, wioząc odpowiedź księciu, Churchill powiedział do brata:

- Ciężkie warunki. Każda z dwóch armii ma pozostać o 50 kilometrów od stolicy. Parlament zwołany natychmiast. Wszyscy katolicycy urzędnicy i oficerowie zwolnieni. Tower przekazane w ręce Lorda Mayora i kilku dygnitarzy wyznaczonych przez Williama, tak samo port londyński i Portsmouth.

- Mocną rękę ma książę - zauważył Charles. - Może sobie na to pozwolić. Jest górą.

- Ale co będzie, jeśli król akceptuje te warunki i zostanie? - zapytał John. I dodał prędko: - To znaczy co będzie z księżną Anną?

Charles zignorował dodatkowe pytanie i powiedział wesoło:

- No cóż, ja tam więcej służyć królowi Jakubowi nie mam ochoty. Przypuszczam, że książę, o ile wróci do Niderlandów, chętnie nas ze sobą zabierze. On zawsze gdzieś wojuje i z pewnością znajdzie pod dostatkiem zajęcia dla dobrych oficerów.

- Emigracja mnie nie pociąga - mruknął posepnie John.

Lord Churchill nie potrzebował się kłopotać na zapas. Król wysłał już do Francji żonę i syna, a po przeczytaniu warunków Williama napisał do lorda Dartmoutha, głównodowodzącego marynarką wojenną:

„Wielu moich oficerów i żołnierzy nikkzemnie zdezerterowało, a widząc, że zdrada szerzy się jak zaraza wśród tych, którzy jeszcze przy mnie wytrwali, nie będę dłużej wystawiał na szwank mojej osoby ani też narażał się na to, czego mogę oczekiwać po chciwym władzy księciu Orańskim i stowarzyszonych z nim zbuntowanych lordach; postanowiłem tedy wycofać się, aż ta gwałtowna burza nie przeminie...”

Nim list dotrł do rąk Dartmoutha, on sam już się zdeklarował po stronie Williama, w imieniu własnym i całej floty, a jego królewski korespondent uciekł przez kanał La Manche. Wśród jego nielicznych towarzyszy znalazł się bastard królewski ze związku z Arabella Churchill - książę Berwick, któremu przeznaczone było w przyszłości zostać marszałkiem Francji.

Cierpliwość Williama wydała pożądane owoce. Wykalkulował, że ci dwaj, którzy stoją między nim a tronem - Monmouth i król Jakub -: ustąpią mu z drogi z powodu własnej głupoty i szaleństw. Żaden nie zawiódł.

Jakub wrzucił pieczęć koronną do Tamizy - co uznano za akt abdykacji - i gdy wylądował na ziemi francuskiej, miał w kieszeni piętnaście gwinei i zegarek, Ludwik przyjął uciekiniera z ceremoniałem należnym panującemu monarsze, po czym wyznaczył mu apanaże w wysokości dwudziestu czterech tysięcy funtów szterlingów rocznie. Zaoszczędził sobie wydatków, bo jego roczne subsydia dla Jakuba za poprzednie trzy lata wynosiły prawie dziesięć razy więcej od obecnych apanaży.

W tej angielskiej rewolucji, o ile była ona angielską, brali udział lordowie i szlachta. Ludność sympatyzowała z przewrotem, chociaż nie dała tego dowodów - ani jej o to nie proszono. I tylko

pośpieszna ucieczka Jakuba, który nawet nie czekał, by wypróbować w bitwie lojalność swoich żołnierzy, dwakroć liczniejszych od armii Williama i dowodzonych przez oficerów po większej części katolickich - dowodziła, że król wreszcie zrozumiał, jak bardzo jest nie lubiany w całym kraju.

Zastępcą wodza naczelnego w obozie Williama był marszałek Schomberg. Ten protestant, z urodzenia Niemiec, siedemdziesięcioletni weteran wielu kampanii, musiał po odwołaniu edyktu nantejskiego wyemigrować z Francji, gdzie się już naturalizował. Spotkawszy Churchilla w obozie, Schomberg pogratulował mu złośliwie:

- Jest pan, jak słyszę, pierwszym na świecie generałem, który opuścił swój regiment i swoje dowództwo w obliczu nieprzyjaciela.

Na szczęście wojenna sława Churchilla nie opiera się na tym wątpliwym incydencie. Oponenci w kontrowersji szalejącej wokół owej historycznej dezercji zgadzają się na jedno: że decyzja Churchilla przyniosła ważne skutki Anglii, całej zachodniej Europie, a także wierze protestanckiej. Co najmniej po części wskutek tej decyzji, która z pewnością wpłynęła, a może nawet przesądziła o ucieczce Jakuba, angielski parlament ostatecznie zgniół autokrację królewską i podporządkował monarchę swojej władzy; Anglia zachowała religijną niezależność i osobiste swobody swego narodu, ekspansjonizm Francji został ograniczony w jej dawnych mniej więcej tradycyjnych granicach, a kilka państw protestanckich ocalało przed zakusami jezuitów, stojących za tronem i wojskami Ludwika XIV. Wreszcie wskutek tej decyzji John Churchill miał później sposobność zdobyć sobie miano, co prawda dyskusyjne, największego angielskiego wodza.

Część druga
W NIEŁASCE

Rozdział 11

„HOLENDERSKI POTWOR”

- Księżę orański od nikogo nie chce być zależny - mówił John. Postanowił naradzić się z Sarą. - Nie wystarczy mu być regentem. Powiada, że albo korona, albo też wraca do Holandii i zabiera żonę!

- Dobrze, ale jeśli on dostanie koronę, to co z Mary?

- Godolphin proponuje, aby panowali wspólnie. Dwoje suwerenów. Wtedy można będzie powiedzieć, że nadal władza dynastia Stuartów.

- Myślisz że to dobre rozwiązanie?

- Chyba jedyne. Jeżeli jako suwerena ukoronujemy Williama, a Mary tylko jako jego żonę, to będą zarzucać Williamowi, że jest uzurpatorem.

- W każdym razie od tej chwili Annę trzeba oddzielić od jej siostry i szwagra - zdecydowała Sara. - I to oddzielić zupełnie, tak żeby to wszyscy widzieli. Nie wiadomo, jak będzie wyglądało panowanie tej pary. Nie wolno dopuścić do tego, by Annę łączono z ich polityką. Gdyby Jakub powrócił - co jest mało prawdopodobne, ale jednak nie jest niemożliwe - nie powinien mieć jej nic do zarzucenia, prócz jej protestantyzmu.

- Jak rozłączysz księżnę i jej siostrę?

- Nie bądź taki naiwny. Już ja znajdę odpowiednią chwilę i sposob, by je skłócić.

- Moja żona jest bardzo mądrą kobietą - powiedział ze szczerym uznaniem Churchill.

- To zdrowy rozsądek, nie żadna tam mądrość. Anna jest protestancką następczynią tronu i tak już zostanie. Ale czy naprawdę koronę włoży, to jeszcze nie wiadomo. Ludwik nadal uznaje za króla Anglii Jakuba, a on ma syna... dużo będzie zależało od stosunków z Francją w ciągu najbliższych paru lat...

- Słuchaj, ty chyba nie chcesz, by Jakub wrócił?

- Oczywiście, że nie. Ale kto może wiedzieć, co nam przyszłość przyniesie? Księżna, a my razem z nią, musi zająć taką pozycję, z której można by korzystnie zwrócić się w jedną albo w drugą stronę.

Ta rozmowa charakterystyczna dla nastrojów, w jakich Churchillowie rozpoczęli służbę na dworze nowego monarchy, odbywała się w tym samym czasie, gdy ustalano przyszłą rolę „zbawcy protestantyzmu”.

Po wyjeździe Jakuba lord Feversham rozpuścił wojsko, nie odbierając wszakże żołnierzom broni ani też nie wypłacając im zaległego żołdu. Chciał w ten sposób przysporzyć kłopotów Williamowi i to mu się w znacznej mierze powiodło. Część żołnierzy utworzyła zbrojne bandy, które niszczyły kraj, burzyły katolickie kościoły, rabowały dwory podejrzanych o katolicyzm, a w Londynie napadały na budynki poselstw katolickich państw. I nie było legalnie ukonstytuowanej władzy, która by się mogła rozprawić z anarchią. W miejscu autorytetu władzy istniała próżnia. Król wyjechał, William dowodził holenderskim wojskiem, i tymi Anglikami, którzy się do niego przyłączyli. Parlamentu nie zwoływano przez trzy lata, a w danej chwili nikt nie posiadał władzy, by go zwołać. Stolica, chociaż gotowa przyjąć Williama, zachowywała się z obojętną biernością, a to nie tyle z powodów

religijnych, ile dlatego że kupcy i rzemieślnicy obawiali się wszystkiego, co by mogło opóźnić szybkie uformowanie centralnej władzy, bez której ani handel ani rzemiosła nie mogły się rozwijać, zysków nie można było zgarniać.

William zdecydował się na jedyny możliwy w jego sytuacji krok: wysłał lorda Churchilla, by zgromadził z powrotem wojska królewskie rozproszone wokół Londynu. Razem z nim pojechali ci angielscy oficerowie, którzy opowiedzieli się po stronie księcia z chwilą jego wylądowania na ziemi angielskiej albo też przybyli z nim jeszcze z Holandii. Churchill zabrał się do roboty ze zwykłą energią. Wydostał najpierw pieniądze na zapłacenie żołdu i tymi żołnierzami, którzy woleli regularne życie wojskowe, posłużył się do zwalczania rozbójniczych band.

Gdy William wjeżdżał do Londynu, zebrała się już Izba Lordów, a także częściowo Izba Gmin o dość wątpliwej legalności: posłowie z kadencji za panowania Karola II. Parowie ze stronnictw torysów - przeważnie wywodzący się z rodów, które walczyły po stronie Karola I i odniosły się z niechęcią do detronizacji jego syna - dążyli do ustanowienia regencji. Natomiast wigowie, często pochodzący od „Okragłogłowych” zgadzali się uznać suwerenność Williama. Churchill zachowywał się przezornie, jak zawsze. Był torysem, ale nie chciał ani urazić Williama, ani też - już do reszty - Jakuba. Wynalazł sposób: udawał chorego i nie przyszedł do parlamentu ani na dyskusję, ani na głosowanie. Książę orański otrzymał korony dla siebie i swojej żony większością raptem dwóch głosów.

Trzon Izby Gmin potwierdził decyzję Lordów, uchwalając, iż: „Jakub Drugi... za namowami jezuitów i innych osób nikczemnych, pogwałciwszy fundamentalne prawa i opuściwszy królestwo, abdykował... a więc tron wakuje”.

Obie Izby postawiły warunki. Żądano, aby William, nim zostanie ogłoszony suwerenem, zrzekł się prerogatyw, przysługujących dotąd angielskim królom. Ustanowiono ostatecznie monarchię konstytucyjną, obwarowaną szeregiem zastrzeżeń, a rządzić miało stronnictwo, posiadające większość. Wojsko podlegało parlamentowi. Zresztą nowy król nie tyle się troszczył o metody rządzenia Anglią, ile o uzyskanie poparcia dla walki z Francją. Jeżeli w tym celu tron musi ustąpić pierwszeństwa parlamentowi - to niechaj tak będzie.

Z wyjazdem katolickiego autokraty naród angielski ostatecznie zdobył, przynajmniej w teorii, moc decydowania o własnym losie. Ustrój rządów, ustanowiony w latach 1688-89, bardziej postępowy od wszelkich podówczas istniejących, miał przetrwać w zasadzie - z okresowymi poprawkami dostosowanymi do zmieniających się warunków społecznych - aż do naszych czasów. Lojalność wobec kraju, jako mająca pierwszeństwo przed lojalnością wobec suwenera stała się, praktycznie biorąc, wymogiem prawa. A był już najwyższy czas, by odezwał się głos prawa. William powiedział do pewnego dziewięćdziesięcioletniego sędziego, który składał mu ukłon dworski:

- Chyba przeżył pan wszystkich współczesnych sobie prawników. W odpowiedzi usłyszał:
- Gdyby wasza królewska mość nie przybył, to przeżyłbym nawet samo prawo.

Dwór, na którym padły te słowa, w niczym już nie przypominał dworu króla Karola Drugiego. Sale świeciły pustkami, gości przyjmowano rzadko i na bardzo skromną skalę. Damy ubierały się obyczajnie, kochankami nie chwalono się publicznie. Literatura, sztuki piękne, nauki - nie miały mecenasów. Surowy i oschły William wolał samotność od najwytworniejszego towarzystwa. Trudno było się dostać przed królewskie oblicze nawet arystokratom, wyjąwszy formalne uroczystości, sztywne i nudne. Patronat nad sztukami pięknymi, niegdyś szczerze sprawowany przez Karola Drugiego, przeszedł w ręce ministrów i parlamentu.

Nowy król miał upodobania purytańskie: znajdował satysfakcję w pracy i tylko w pracę wierzył. Było to typowe - dla ludzi miernych zdolności, którzy pną się na wyżyny sumienną pracowitością i z trudem zdobywaną wiedzą. Tacy ludzie, dzięki którym świat się równomiernie obraca, rzadko kiedy dostrzegają, że by zapobiec stagnacji, przyspieszyć postęp - potrzeba również geniuszu. Skądinąd geniusz rzadko kiedy docenia wartość żmudnego mozółu sumiennego pracownika.

Na ministrów William wybrał ludzi, na których lojalność mógł liczyć. Dwa istniejące stronnictwa polityczne doskonale się nadawały do tego, by wygrywać jednych przeciw drugim, a w rozgrywkach takich walnie Williamowi dopomagała żądza władzy i brak patriotyzmu i wigów, i torysów, o których Sara napisze później:

„Doprawdy nie umiem powiedzieć, po której stronie więcej było nikczemności... i ci, i tamci dążyli tylko do własnej korzyści”. Tyle Sara. Kocioł garnkowi przygania?

Samowładztwo monarchy ujęto w karby raz na zawsze, ale to nie oznaczało jeszcze, że rządy przejął lud. Tak zwana angielska rewolucja nie miała znaczenia społeczno-ekonomicznego. Ani król, ani parlament nie zaprzętały sobie płowy poprawą doli gminu. Właściwie centralny rząd poczytywałby sobie za ujmę, gdyby miał się takimi sprawami zajmować. A było wiele do zrobienia.

Z pięciu i pół milionów - mniej więcej - mieszkańców Anglii w roku 1688 ponad połowę stanowili pracownicy najemni różnego rodzaju, służba, rodziny utrzymujące się na granicy nędzy z jednego lub mniej hektarów ziemi oraz żebracy. Farmerów, na własnych lub dzierżawionych gospodarkach, było prawie półtora miliona: sklepikarzy i rzemieślników - pół miliona. Przeciętny roczny dochód para Anglii przekraczał 3000 funtów szterlingów, dochód jego parobka nie sięgał 15, a niektórych rolników - 7 funtów szterlingów. Blisko sto tysięcy angielskich rodzin, liczących razem około ośmiuset tysięcy osób, miało dochód roczny od 50 do 3000 funtów. Reszta, w tym żołnierze i marynarze, poniżej 50 funtów. Ponad milion osób otrzymywało stałe zasiłek dla ubogich od władz lokalnych. Tak przedstawiał George M. Trevelyan w swojej „Społecznej historii Anglii” obraz statystyczny kraju, a wzorował się na liczbach podawanych, przez ówczesnego publicystę, Gregory Kinga.

Srogo też uciskano pracującą biedotę w miastach i na wsi. Parlament, składający się z przedstawicieli ziemiaństwa, nałożył wysokie cła na importowane zboże, co sztucznie utrzymywało wysoką cenę chleba. Zakaz importu sukna - nawet z Irlandii - chronił zyski rozwijającej się manufaktury, ale też utrzymywał na wysokim poziomie ceny odzieży i różnych przedmiotów domowego użytku. Zabijanie zwierzyny - zajęcy, kuropatw, bażantów - było prawnie zarezerwowane wyłącznie dla właścicieli ziemskich, nie tyle nawet ze względu na ich chciwość, ile dlatego że myślistwo chciano zachować jako sport wyłącznie klas wyższych. Farmer, dzierżawca lub parobek, jeśli ubili zwierza nawet na własnej ziemi, podlegali surowym karom, jak chłosta, więzienie, zesłanie, szubienica. Te kary były zupełnie nieproporcjonalne do przestępstwa. Chodziło o to, by niedawno wynalezione strzelby na śrut - które każdy mógł kupić lub ukraść - nie dziesiątkowały zwierzyny.

Warunki życia ludzi uboższych we wsiach mało kogo interesowały, a zależały w największej części od dobrej lub złej woli pana na włościach. Byli wśród dziedziców chciwi, bezwzględni wyzyskiwacze, bywali też tacy, którzy na zasadach paternalizmu troszczyli się o swych mniej fortunnych sąsiadów.

W miastach - z których Londyn liczył piętnaście razy tyle mieszkańców co jego najbliżsi pod względem liczby rywale, Bristol na zachodnim i Norwich na wschodnim wybrzeżu - rozplenila się

już nędza wśród robotników. Byli to zwykle niedawni przybysze ze wsi, eksmitowani z gospodarstwa przez dziedzica, który cofnął im dzierżawę albo zażądał spłaty hipotecznego długu. Przeprowadzano to często z absolutną bezwzględnością. Całe rodziny wyrzucano na drogę z ich żałośnie skromnym dobytkiem. Z drugiej strony - likwidacja karłowatych gospodarstw na rzecz wielkich majątków ziemskich okazała się w przyszłości korzystna dla ekonomicznego rozwoju rolnictwa, umożliwiając wprowadzenie nowoczesnych metod uprawy roli i hodowli. W tej dziedzinie Anglia miała przez długie lata przewodzić światu.

Rozwijając manufaktury i wielkie warsztaty, fabrykanci żądali od swoich robotników pracy po dwanaście i czternaście godzin dziennie za głodową płacą dwudziestu lub niewiele więcej szylingów miesięcznie. Pracujące kobiety i dzieci otrzymywały ćwierć tych zarobków, czasem jeszcze mniej. Robotnicy z rodzinami gnieździli się w zatłoczonych mieszkaniach, pozbawionych sanitariatów i wody, stając się siedliskiem wszelkich chorób, powodujących wysoką śmiertelność dorosłych, a jeszcze większą - dzieci. Warunki życia i pracy górników były wręcz tragiczne.

Gazety nie docierały do okręgów wiejskich ani nawet do miast, prócz Londynu. Stąd znaczenie ambony, bo pastor głosił nie tylko słowo Boże, ale też politykę dziedzica na włościach.

Olbrzymia, bezkształtna, nieświadoma masa zwana ludem w porównaniu z klasami wyższymi była bez oblicza i prawie bez głosu. Przemawiała tylko w tych stosunkowo rzadkich sytuacjach, gdy rozpacz wypędzała zdesperowany tłum na ulice. William III nie był demokratą w żadnym znaczeniu tego słowa. Wątpliwe, czy w ogóle wiedział, jak żyją w Anglii jego poddani na szczeblu niższym od szlachty. Prasa i posłowie także spoglądali na cztery i pół miliona swoich rodaków, którzy zarabiali mniej niż 50 funtów szterlingów rocznie, tylko jako na drwali, woziwodów i niekiedy - mięso armatnie. Z pewnością John i Sara Churchillowie nie przejawiali żadnego zainteresowania dobrobytem kogokolwiek, prócz kręgów swoich bliskich oraz domowników. Sami natomiast wspinali się w górę po szczeblach drabiny społecznej, chociaż nie dość szybko, jak na ich ambicje.

Wróciwszy do domu pewnego dnia, John powitał żonę słowami:

- Jak się będziesz czuła w roli hrabiny?

- Więc nareszcie jakoś ci się wywdzięczył? - odrzekła Sara. - A jaki będzie mój tytuł?

- Hrabina Marlborough.

William nadał baronowi Churchillowi godność hrabiego. Zatrzymał go również jako szambelana - chociaż już nie pierwszego - królewskiej sypialni. John nie okazywał szczególnego zadowolenia.

- Moja ranga wojskowa zostaje bez zmian - powiedział. - Schomberg jest nominalnym wodzem naczelnym.

- Ten strupieszają relikw holenderskiej armii? - wykrzyknęła Sara. - On ma dowodzić naszymi żołnierzami, angielskimi żołnierzami?

- Właśnie tak. Ja mam zreorganizować wojska lądowe. Będzie tak jak na równinie Sedgemoor.

Dla mnie robota, dla innych zasługa!

Bądź co bądź hrabia Marlborough stanął finansowo na nogi dzięki reorganizacji wojska. Według zwyczaju, z dawna przyjętego i istniejącego jeszcze później przez długi czas, wyżsi dowódcy przyjmowali zapłaty od oficerów, których awansowali lub którym nadawali oficerskie stopnie. Zastępując oficerów katolickich protestantami, którzy mogli wpłacić należne sumy, Churchill uskładał niemałą fortunę. Ale kto dąży zarówno do wyższych stanowisk jak i do fortuny, nie zadowala się tylko jednym.

Niebawem różne wydarzenia jeszcze bardziej zraziły oboje Churchillów. Sara poinformowała

męża:

- Hrabia Shrewsbury złożył mi wizytę.

- Założyłbym się, że to nie była wizyta czysto towarzyska - mruknął John. - Chytry stary lis z niego... do jakiegoż kurnika chciałby się teraz zakraść?

- Tym razem nie występuje w roli lisa, ale myśliwego. Przyszedł w imieniu królowej, by mi przekazać, jak się wyraził, najgłębsze pragnienie jej królewskiej mości, bym została jej przyjaciółką.

- To by się nam mogło przydać - zauważył John.

- Wcale nie! - wybuchnęła Sara. - Słuchaj dalej! Ja mu odpowiadam bardzo oględnie, a wtedy on napomknął, że jeśli w czymkolwiek sprzeciwię się królowej, tym gorzej dla nas obojga!

- Rzeczywiście, to inaczej wygląda - przyznał John.

- A inaczej, inaczej! Bo to znaczy, że oboje królestwo chcieliby zneutralizować mój wpływ na panią Morley, ot co! Więc powiedziałam otwarcie i bez ogródek, że nie mam w zwyczaju nawiązywać przyjaźni pod groźbami!

John pokiwał głową.

- Niezbyt dyplomatyczne.

- A mnie grozić to było dyplomatyczne? Mnie! A jeszcze mniej było dyplomatyczne, kiedy Shrewsbury potem zmienił kurs i zaczął sugerować, że mogłyby nam przyspaść znaczne korzyści finansowe, gdybym przystała na życzenie królowej. Innymi słowy: przekupić mnie, bym się wyparła księżny Anny! Na Boga, wiesz, John, nikt mnie jeszcze tak nie znieważył!

Sugestia przekupstwa poruszyła również Johna.

- Masz rację. Nasza przyjaźń nie jest do kupienia.

- A gdyby nam nawet coś dali, to byłoby mało i tylko jeden raz. To Holendrzy i ich zausznicy będą zbierać, cokolwiek William ma do zaoferowania. Ale przez własną niezdarną głupotę Maria straciła wszelką szansę, jaką mogła mieć, zbliżenia się do siostry. Już ci powiedziałam dawniej: ja do tego nie dopuszczę!

Trudno się dziwić Williamowi, chociaż to upokarzało Anglików, że wolał obsadzać stanowiska najwyższych dowódców wojskowych, dygnitarzy politycznych i dworskich własnymi rodakami. Znał ich, a co najważniejsze - był pewien ich lojalności. William pogardzał wszystkimi i nie ufał nikomu - jeśli nawet się nimi posługiwał - z tej kompanii ambitnych, żądnych władzy Anglików, którzy wprowadzili na tron jego żonę i jego samego. Podejrzewał, że zdradzą go kiedyś tak, jak zdradzili Jakuba. I miał w tym sporo racji.

Gniew Sary kazał jej czynić wszystko, co możliwe, by wykopać jak najgłębszą przepaść między obu siostrami. Wkrótce doniesiono królowi, że w salonach księżny Anny - gdzie zbierali się ci z dawnych spiskowców, którzy mniemali, że obecny król nie dość ich wynagrodził i nie okazuje im zaufania - przezywano go „Kalibanem” albo „holenderskim potworem”. Gdy konspiratorzy przeciw Jakubowi osiągnęli swój zamierzony cel, niektórym z nich trudno było porzucić nawyk intrygowania i spiskowania. Zawsze znajdą się tacy, których konspiracja pociąga i dzięki niej zdobywają - przynajmniej w pewnych kręgach - znaczenie, nawet sławę, jakiej by nie zyskali rzetelną lojalnością.

Gdzie indziej w kraju również prędko zapomniano, z jakim upragnieniem tak jeszcze niedawno oczekiwano przybycia Williama. Król nie starał się zyskiwać sobie popularności. W oczach Anglików miał jedną wadę, na którą nic nie mógł poradzić: był cudzoziemcem. Ale prócz tego jego sztywność, chłód, jego obojętność na losy poddanych zraziły do niego wielu. Z nostalgią wspominano swobodny i serdeczny sposób bycia Karola II. I oczywiście, popularności Williama nie

zwiększyło uwolnienie przez niego specjalnym aktem łaski najbardziej zniechęconego człowieka w Anglii: osławionego Titusa Oatesa. Król nie tylko wypuścił go z więzienia, ale jeszcze przyznał mu pensję trzystu funtów rocznie - sumę przewyższającą *gażę* większości Oficerów wojsk lądowych i morskich, urzędników cywilnych średniego stopnia i wielu szlachty.

- Dopiero teraz się dowiadujemy - mówiła Sara - kto naprawdę organizował papistowski spisek Oatesa przeciwko Karolowi i Jakubowi! Kaliban pociągał za sznurki, już wtedy marząc o angielskim tronie!

Sara nie grzeszyła konsekwencją ani logiką, ale w takie przymioty rzadko bywają wyposażone osoby jej temperamentu. John Marlborough jeszcze nie chciał akceptować jej teorii, ale wielu Anglików rozumowało podobnie.

Księżna Anna uznała za namową Sary, że jako domniemana następczyni protestanckiego tronu ma prawo do własnego dworu, a przyznane jej w chwili zamrypójścia apanaże w wysokości £ 20.000 rocznie z funduszy publicznych nie starczą na potrzeby jej obecnego stanu i godności. Powinna otrzymywać co najmniej £ 100.000 rocznie. Dla Williama jasne było, że księżna zwróciła się w tej sprawie nie do niego jako monarchy, lecz bezpośrednio do parlamentu - za poduszczeniem hrabiny Marlborough. Znowu więc posłano lorda Shrewsbury, by pogadał z Sarą, spróbował jej przemówić do rozsądku i zaproponował dla Anny £ 50.000 rocznie z osobistych funduszy królewskich.

- Pod warunkiem - zastrzegł się William - że Anna przestanie się zwracać do parlamentu. Temu trzeba położyć kres. Bardzo niebezpieczny precedens takie apelowanie do parlamentu nad głową suwerena. Inni mogliby go naśladować. A dawniejsze doświadczenia Stuartów jasno dowodzą, jaki bywa wynik, gdy król i parlament się pokłócą, a nawet tylko pozornie są w konflikcie.

Shrewsbury, lis czy myśliwy, nie miał żadnej ochoty odnawiać znajomości z ciętym języczkiem Sary, spróbował więc wywiązać się z powierzonych mu misji za pośrednictwem męża tej damy. Ale hrabia Marlborough odmówił bez ogródek, a o propozycji króla rzekł:

- Hrabina nie zechce nawet słuchać o tym! - Roześmiał się, potrząsnął głową i dorzucił nie bez serdeczności w głosie: - w takiej sprawie potrafi się zachować jak wariatka!

Shrewsbury zmilczał. Przeszło mu przez myśl, że nie tylko w tej sprawie Sara zachowuje się jak niespełna rozumu. Z ciężkim westchnieniem wybrał się osobiście na rozmowę. Jak go uprzedził hrabia, na nic się to nie zdało.

- Nawet gdyby księżna nie odwołała się do parlamentu - dowodziła hrabina - jakąż będzie miała gwarancję, że król zechce jej wypłacać choćby te niedostateczne apanaże, które proponuje?

- Jestem przekonany, że jego królewska mość dotrzyma danego słowa - odparł Shrewsbury. - Gdyby tego nie uczynił, ja sam osobiście nie służyłbym mu ani dnia dłużej.

- Taka rezolucja brzmi bardzo szlachetnie ze strony milorda - odparła Sara - ale nie widzę, w czym byłaby przydatna księżnej pani.

Może dlatego, że używano go do takich poruczeń, hrabia Shrewsbury pisał później, iż gdyby miał syna: „oddalby go na naukę do szewca raczej, niżby miał zostać dworzaniem; do kata raczej, niż na męża stanu”.

William, jeszcze bardziej zirytowany, obniżył swoją propozycję do £ 30.000 rocznie, a parlament, bez pieniędzy jak zwykle i nie życząc sobie konfliktu z królem w takiej sprawie, zaakceptował jego decyzję.

Jakkolwiek było, przywiązanie księżny do pani Freeman w niczym się nie zmniejszyło. Zalewała przyjaciółkę codziennymi, sążnistymi epistolami. Gdy apanaże zostały jej wreszcie przyznane,

napiła:

„Pragnę najgoręcej, byś przyjęła ode mnie tysiąc funtów rocznej pensji. I błagam, potraktuj to jako skromny dowód mojej dobrej woli, ale nigdy, przenigdy nie wspominaj mi o tym”. W dalszym ciągu listu napomknęła, że Sara „zasługuje na więcej, niż ja będę kiedykolwiek w stanie się wypłacić”.

Upór pani Freeman kosztował panią Morley £ 20.000 rocznie. Ale fakt, że przyznano księżnej o tyle mniej, niż żądała, przypieczętował jej antypatię do siostry i szwagra.

- A to są aktywa w naszym bilansie! - powiedziała Sara mężowi. Jej kalkulacje były trafne.

Rozdział 12

PRZEZNACZONY NA WIELKIEGO WODZA

Jednym z pierwszych dyplomatycznych posunięć Williama po wstąpieniu na tron było odesłanie z Londynu ambasadora Ludwika XIV, protektora zdetronizowanego Jakuba.

W roku 1679 Francja zawarła pokój - raczej niepewny - ze swymi nieprzyjaciółmi na kontynencie. Ale gdy książe Orański lądował w Anglii, Ludwik posłał wojska do Niemiec i rozkazał spalić i zrównać z ziemią Palatynat - jako akt terroru, nie z konieczności wojennej. William odpowiedział na to zawiązaniem „Wielkiego Przymierza”, w skład którego wchodziły Holandia, Hiszpania i Sabaudia, niektóre miasta włoskie, imperium habsburskie, elektor Brandenburgii i wreszcie Anglia. Papież, acz ostrożnie i z zastrzeżeniami, udzielił przymierzemu poparcia, bo w gruncie rzeczy jeszcze mniej niż protestanckiej Europie życzył sobie wszechwładzy Ludwika, który obsadził Watykan francuskimi jezuitami.

Uparci Holendrzy utrzymywali rok po roku z trzymilionowej ludności ich kraju studwudziestotysięczne wojsko i drugą co do wielkości na świecie flotę wojenną. Cesarz posiadał liczne wojska, ale bardzo rozproszone: częściowo we Włoszech, także na Węgrzech, gdzie wciąż zrywały się powstania. Na niemieckich ksiąząt i elektorów nie można było liczyć: stale intrygowali i przechodzili na tę stronę, która miała najlepsze szanse zwyciężenia, a najchętniej spóźniali się na umówione miejsce tak, by przybyć już po rozegranej bitwie.

Biorąc ogólnie, Anglicy woleli iść za Williamem na wojnę z Francją, niż walczyć po stronie Ludwika, a przeciw protestantom. Zwycięski Ludwik z pewnością dążyłby do przywrócenia tronu Jakubowi i być może powtórzyłby na ziemi angielskiej prześladowania hugonotów. Prócz tego flota angielska, jako silniejsza od francuskiej, otwierała perspektywy - szczególnie miłe handlowym interesom wigów - dołączenia kolonii francuskich z ich żyzną ziemią i niewolniczą siłą roboczą do kolonii angielskich. Torysi mniej się entuzjasmowali. Nadal sympatyzowali z Jakubem, a ich własne interesy polegały głównie na wywozie płodów rolnych do Francji.

Wiosną roku 1689 hrabia Marlborough otrzymał komendę nad ośmiu tysiącami żołnierzy angielskich z zadaniem wzmocnienia sił Holendrów w ich operacjach wzdłuż rzek Meuse i Sambre, w Belgii. Naczelnym wodzem był książe Waldeck, stary i doświadczony wojownik, wsławiony w wielu wojnach, znany ze szczególnej umiejętności w musztrowaniu wojsk, dbałości o żołnierzy i z doskonałego planowania kampanii.

Zawsze realista, John zdawał sobie sprawę, że według holenderskich pojęć jego własna eksperyencja wojskowa była minimalna. Spodziewał się wiele nauczyć pod dowództwem Waldecka. Witając go, stary książe wyraził swoją estymę dla niego i nie przejawiał zawiści, która tak często cechowała oficerów holenderskich w Anglii. Zarazem powiedział bez ogródek:

- Po pierwsze, musi pan wiedzieć, że w porównaniu z naszymi żołnierzami, a także francuskimi, wasi są źle wyćwiczeni i niezdyscyplinowani.

- Stanowią jednak bardzo dobry materiał - bronił John.

- To jeszcze zobaczymy. Wasz poprzedni król werbował ich pośpiesznie, nie zadbał o wymusztrowanie. A przede wszystkim, oni w ogóle do tej pory prochu nie wachali!

- Zrobię, co w mojej mocy, by ich podciągnąć do wymaganego poziomu - rzekł John.

Waldeck poklepał go po plecach i powiedział:

- Jestem pewien, że tak będzie. Chcę tylko, by pan zrozumiał, że masz podwójne zadanie: musztra i walka.

Marlborough wiedział dobrze, że przygana Waldecka dotyczyła tym bardziej świeżo upieczonych oficerów protestanckich, których zwerbowano w miejsce odprawionych ze służby katolików. Odwagi Anglikom nie brakowało, ale trzeba nie tylko odwagi, żeby być dobrym żołnierzem, a tym bardziej - dobrym oficerem.

Chociaż cztery oddzielne armie alianckie walczyły przeciw Francuzom - mniej licznym, ale słynnym ze sprawności wojennej - wojna wlokła się ospale, działania militarne ograniczały się przeważnie do manewrów i kontrmanewrów, żadna ze stron nie paliła się do ryzyka walnej bitwy. Mawiano sarkastycznie, że gdy dawniej małe armie na kontynencie toczyły wielkie wojny, teraz wielkie armie zabawiają się małą wojną.

Marlborough przepędził trzy pierwsze miesiące na pracy nad sformowaniem w rządne, zdyscyplinowane wojska swoich surowych rekrutów, co mu się do pewnego stopnia udało. Wypróbowano ich w jednym tylko większym starciu. W sierpniu książę Waldeck zajął miasteczko Walcourt, położone na wzgórzu i częściowo chronione rzeką. Marszałek francuski d'Humieres, z wojskami niekorzystnie usytuowanymi, a zaniedbawszy dokładnego zwiadu, wydał rozkaz piechocie, by zaatakowała nieprzyjaciela i wyparła go z miasteczka.

Żołnierze holenderscy roztasowali się w samym miasteczku, a także na zachód i na północ od niego. Marlborough znajdował się po stronie wschodniej z kilku regimentami angielskiej piechoty, jazdy i lekką artylerią. Francuzi przypuścili atak. W miarę jak nadchodzili długą i zwartą kolumną, armaty Marlborougha zadawały jej ogromne straty, zbierając straszliwe żniwo śmierci. Francuzi próbowali podpalić bramy miejskie i dostać się na wały, zresztą bardzo niskie. Obrońcy odrzucali ich po wielokroć, aż pole pod wałami zasłały setki trupów i konających.

Nadeszło południe. Ataki wciąż odpierano. D'Humieres rzucił do walki więcej ludzi, atakując jednocześnie miasto od zachodu i od wschodu. Generał Slangenberga dowodził holenderską piechotą przeciwko lewemu skrzydłu Francuzów i tam zatrzymał na sobie ich atak. Marlborough dostał rozkaz odparcia ataku na drugim skrzydle. Umieścił jazdę na czele, z dwoma regimentami piechoty dla wsparcia. Po czym przemówił do żołnierzy:

- Oczy nie tylko naszych holenderskich towarzyszy, ale większej części Europy są zwrócone na was. Okażcie się godnymi waszych przodków, którzy przed wiekami rozgromili Francuzów w bitwach pod Crecy i Agincourt!

Z obnażoną szpadą w ręku i z okrzykiem: „Święty Jerzy i Anglia!” Marlborough poprowadził żołnierzy do tak zapamiętałego ataku, iż rzeczywiście rozbito i wyparto nieprzyjaciela za jednym zamachem.

Przed zapadnięciem nocy Francuzi się wycofali, zostawiając wokół miasteczka Walcourt dwa tysiące zabitych i rannych, w tym sześćdziesięciu oficerów, sześć dział, setki jeńców, wiele jaszczy z amunicją. Straty sprzymierzonych nie przekraczały sześćdziesięciu zabitych, z czego dwie trzecie oficerów, i około dwustu rannych. Marszałek d'Humieres sam był architektem własnej klęski, gdyż zaatakował lekkomyślnie bez należytego rozeznania ani przygotowań. Król Ludwik odwołał go, a

jego rodacy odtąd przeżywali go: „le marechal sans lumiere”.

Bitwa pod Walcourt nie wywarła większego wpływu na przebieg wojny, która miała trwać jeszcze dziewięć lat, jednakże stanowiła poważny sukces wojsk sprzymierzonych, podnosząc ich na duchu. Uwierzyli, że mogą zwyciężać nie pokonanych dotąd Francuzów i prowadzili wojnę z większą ufnością we własne siły.

Działania wojenne zawieszano zwykle od października do kwietnia. Wojska holenderskie i angielskie udały się do zimowych kwater, a Marlborough wrócił do Anglii. Zadowolony z wyniku jedynej większej bitwy, w której odegrał główną rolę, Marlborough zdawał sobie jednak sprawę, że upomnienia księcia Waldecka co do musztry i dyscypliny żołnierzy angielskich nic nie straciły na ważności. W Anglii holenderskie wojska Williama zdumiewały mieszkańców hrabstw, przez które przechodziły, płacąc gotówką za wszystko, czego potrzebowały. Natomiast w Belgii żołnierze Marlborougha rabowali i grabili mieszkańców, a nawet obdzierali własnych towarzyszy. Choroby w szeregach angielskich trafiały się o wiele częściej niż w wojskach holenderskich czy francuskich - pewny znak, że oficerowie nie przestrzegali dyscypliny i ładu, nie troszczyli się o ludzi.

Tym niemniej William przyjął Marlborougha z wielkim uznaniem, zwłaszcza po przeczytaniu przywiezionego listu od księcia Waldecka, w którym uroczyście stwierdzono, że „Monsieur Milord Marlborouck” i jego pułkownicy odnosili wielkie sukcesy ze swymi nie wyćwiczonymi oddziałami i że „wbrew młodemu wiekowi generał dowiódł w tej bitwie większych umiejętności militarnych niż wielu dowódców po długiej wojennej eksperyencji”.

„Wbrew młodemu wiekowi” nie było taktownym zwrotem, bo William, rówieśnik „Marlboroucka” - obaj liczyli wówczas po trzydzieści dziewięć lat - sam uważał się za bardzo doświadczonego wodza.

Sara z szaloną radością witała męża, który także cieszył się z powrotu do niej, do domu i dzieci.

- Korzystaj z czasu, najdroższy - mówiła Sara pierwszej nocy po jego powrocie. - Nie będziesz chyba długo z nami. Wiesz oczywiście, że Jakub jest w Irlandii, gdzie mąż twojej siostry Arabelli zgromadził wojsko.

- Tak, doniesiono mi o tym. Król może mieć niemałe kłopoty. Irlandczycy nie bardzo kochają Jakuba, ale spodziewają się z pomocą wojsk francuskich, które Jakub ma ze sobą, zyskać przy sposobności własną niepodległość.

- Czy nie sądzisz, że powinni ją uzyskać? - pytała Sara.

- Nie, dopóki istnieje zagrożenie, że jakieś postronne państwo, jak dzisiaj Francja, może się posłużyć „szmaragdową wyspą” jako bazą do najazdu na nas. - Po czym dodał ze źle tajoną satysfakcją: - Schomberg, któremu tam dano dowództwo, podobno nie może sobie poradzić przeciwko Tyrconnelowi.

- Tak. Wyobrażam sobie, że poślą tam teraz mego bohaterskiego zwycięzcę.

- A ja tym razem rad byłbym wykręcić się od wojaczki. Od kiedy przyłączyłem się do Williama, bałem się tylko tego, że pewnego razu stanę... przeciwko Jakubowi... w bitwie... oko w oko...

Pieszczoty kochającej żony przerwały, zmąciły mu myśli.

Zbytecznie się niepokoił. Schomberg nienawidził go, a król William nie ufał mu na tyle, by go wysłać przeciw zdeponowanemu władcy. Już się zdarzyło, że poseł, wysłany dla negocjacji z Tyrconnellem, zaniechał swej misji i przeszedł na stronę Irlandczyków. Jednakże skomplikowaną sytuację po drugiej stronie Irlandzkiego morza należało jakoś rozwiązać. Wbrew życzeniom i argumentom swoich najbliższych angielskich doradców, William postanowił objąć osobiście

dowództwo w wojnie przeciw Jakubowi. Rzeczywiście, William był pierwszym prawdziwym żołnierzem wśród angielskich monarchów od dwustu lat. Geniuszu militarnego mu zabrakło, ale wynagradzał to wytrwałością, determinacją i umiejętnością szybkiego zbierania rozproszonych sił po porażce.

Pod nieobecność męża Maria sprawowała rządy, a Marlborough został mianowany przedstawicielem spraw wojskowych w radzie, złożonej z dziewięciu członków, przydanej do boku królowej.

William, któremu w wyprawie do Irlandii towarzyszył książę George duński, dowodził różnonarodową armią, liczącą około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy - Anglików, irlandzkich protestantów, francuskich hugonotów i Duńczyków, oprócz Holendrów pod Schombergiem. Jakub z wojskiem mniej licznym, szykował się do przyjęcia bitwy za linią rzeki Boyne, na południe od Belfastu. Irlandczycy walczyli dzielnie, wspomagani przez oddziały Francuzów, ale armia księcia orańskiego, przeprawiwszy się przez rzekę, zaszła im od boku i zadała druzgocącą klęskę, chociaż Schomberg padł od śmiertelnej rany. Jakub uciekł z powrotem do Francji, a William wkroczył do Dublina. Do dzisiejszego dnia irlandzcy protestanci zwą się Orańczykami i uroczyście świętują dzień dwunastego lipca jako rocznicę bitwy nad Boyne.

Ludność znacznych obszarów Irlandii, zwłaszcza na południu i na zachodzie, nadal opowiadała się po stronie Jakuba, który był jedyną nadzieją katolicyzmu. William ruszył na zachód i rozpoczął oblężenie miasta Limerick, u ujścia rzeki Shannon. Ale po drodze zaatakowano i zniszczono jego tabory, więc na razie poniechał oblężenia.

Tymczasem w Londynie Marlborough przedstawił królowej i radzie koronnej plan zdobycia Cork i Kinsale z nową armią, która miałaby zostać dodatkowo wysłana z Anglii. Te dwa miasta na południowym wybrzeżu Irlandii o dogodnych portach, były teraz w rękach Francuzów i umożliwiały im zaopatrywanie wojsk Tyrconnela w broń, amunicję i posiłki. Marlborough bardzo starannie opracował swój plan.

- Za pośrednictwem moich szpiegów otrzymałem szczegóły sytuacji, zwłaszcza w Cork - mówił na zebraniu rady koronnej. - Tamtejszy garnizon liczy pięć tysięcy doborowego żołnierza, ale fortyfikacje są niedostateczne, przestarzałe. W prowiant zaopatrzeni są dobrze, natomiast brak im prochów. Co do nas, mamy pod dostatkiem okrętów wojennych do konwojowania, a do przewiezienia wojsk inwazyjnych możemy wynająć statki handlowe. - Zakończył propozycję słowami: - Jeśli powierzone mi będzie dowództwo ekspedycji, mogę zagwarantować jej sukces.

Rada, w skład której wchodził Holendrzy, nie kwapiła się z podjęciem decyzji i wobec tego Marlborough nie zyskiwał szans potwierdzenia swojej reputacji. Maria wysłała specjalnego gońca do Williama z listem od Marlborougha objaśniającym plan. Król od razu dostrzegł jego walory i nakazał, by autor planu zajął się wprowadzeniem go w życie, doskonale się orientując, że ambicja Marlborougha będzie najlepszą gwarancją powodzenia.

Bez chwili zwłoki hrabia zgromadził broń, działa, amunicję, granaty ręczne, napierśniki i hełmy, namioty i wszelki wojenny ekwipunek. Zirykowały go kłopoty z wynajęciem statków transportowych: chciwość armatorów przewyższała ich patriotyzm, więc też targowali się uparcie o cenę wynajmu. Marlborough wiedział, że pośpiech jest sprawą zasadniczą, bo nadejście zimy zniweczyłoby plany operacji oblężniczych na grząskich mokradłach irlandzkich.

Przez zwyciężywszy wszelkie przeszkody, dnia 30 sierpnia zaokręto^ wano żołnierzy, przeważnie Anglików. Marlborough zabrał swego brata Charlesa jako jednego z brygadierów, a syna Barbary

Castlemaine, księcia Graftona, jako zastępcę dowódcy ekspedycji.

Przed opuszczeniem brzegów Anglii John pisał do Sary:

„...Ty, którą miłuję nad życie własne, jeśli mnie rzetelnie osądzasz, to wiesz, że nie ma dla mnie pod słońcem większej satysfakcji niż myśl, że mnie kochasz wzajemnie... Nie znam prawdziwej satysfakcji, dopóki Cię znowu nie zobaczę. Więc jeśli mi sprzyjasz, będziesz dbała o siebie, która jesteś dla mnie najdroższa...”

Jak się nieraz zdarzało w owych czasach żaglowców, nieprzychylny wiatry opóźniły przeprawę floty, rzucanej w różne strony, nim dotarła do południowego wybrzeża Irlandii. John, zawsze kiepski żeglarz, ciężko przechorował przeprawę. Ale kiedy jeszcze był na morzu, jego plan już przyniósł pierwsze owoce. W obawie, by ich nie odcięto w Irlandii, Francuzi uciekli statkami zostawiając nawet swoich rannych i chorych. A ich doborowe oddziały stanowiły jedyne naprawdę groźnego przeciwnika w bitwie. Irlandczycy, fanatycznie odważni i ożywieni duchem patriotycznym, byli jednak surowym materiałem żołnierskim.

Z początkiem października ekspedycja dotarła wreszcie do portu Cork i szczęśliwie wylądowała. Komendant miasta pogardliwie odrzucił propozycję poddania się, z jaką Marlborough się do niego zwrócił. Na północ od miasta zajęły stanowiska posiłki, nadesłane przez następcę Schomberga do pomocy w oblężeniu: cztery tysiące Holendrów i hugonotów pod generałem Schravenourem. Przywieźli też ze sobą rozkaz króla Williama - który już był z powrotem w Londynie - z poleceniem, aby Marlborough skierował większą część swych wojsk do Shannon. Wydaje się prawdopodobne, że król chciał zwiększyć szanse zwycięstwa, zastępując niewyćwiczone oddziały angielskie najlepszym żołnierzem, jakiego miał do dyspozycji; ale Marlborough, zawsze gotów przypisywać Williamowi i jego rodakom najgorsze motywy, był przekonany, że król życzył sobie, aby jego rodacy wzięli udział w operacjach bojowych, które powinny być zakończyć się wielkim sukcesem.

Cork - nazwa przekrecona z irlandzkiego „Correagh”, co znaczy mokradła - leżało na wzniesieniu otoczonym zewsząd bagnami i trzęsawiskami. Podczas wiosennych roztopów ulice i zaułki często zalewała woda. Miasto otaczały kamienne mury z basztami i bramami, ale niezbyt wysokie. Dwóch drewnianych mostów na rzece Lee, która płynęła na południe od Cork, broniły fortece i mosty zwodzone. Te zewnętrzne fortece - jedna nazwana „Kotem”, a druga, od imienia angielskiej królowej, która kazała ją zbudować, by tym łatwiej poskromić buntowniczych mieszkańców, „Elżbietą” - mogły się bardzo przydać w oblężeniu, gdyby je zdobyć. Marlborough spostrzegł to od razu.

Oblegający i obrońcy odnosili się do siebie ze szczególną nienawiścią. W oczach angielskich żołnierzy Irlandczycy byli barbarzyńcami: należało ich wyciąć w pień, kobiety zgwałcić, obłowić się łupem po zdobyciu bogatego miasta, puścić je z dymem. Irlandczycy ze swej strony postanawiali sobie zabijać bez pardonu żołnierzy narodu, który ich uciskał od stuleci, odebrał im niepodległość, dążył do wykorzenia ich religii.

Po południu w dzień wylądowania Marlborough z pierwszymi ośmiuset żołnierzami, którzy zeszli na ląd, podszedł od razu pod mury na odległość, około mili, wyganiając obrońców ustawionych wzdłuż okolicznych rowów i żywopłotów. Komendant Cork kazał podpalić południowe przedmieścia, położone na drodze nieprzyjaciela, chociaż poprzednio, przyjąwszy opłatę w wysokości pięciuset funtów, obiecał oszczędzić siedziby bogatych protestantów i kwaków, którzy mieli tam piękne domy. Gdy jazda angielska zajęła uliczki i otoczone ogrodami rezydencje, do Marlborougha zgłosił się pastor, którego informacje i pomysły miały się okazać szczególnie cenne -

dziekan katedry protestanckiej pod wezwaniem św. Finbarra.

Dokładny wywiad, przeprowadzony z rozkazu Marlborougha, ujawnił, że przed wschodnim murem miasta nie było umocnień i że w tym punkcie ogień dział miejskich będzie najmniej szkodliwym atakującym. Chociaż grunt był tu grząski, a przeprawa przez rzekę możliwa tylko podczas odpływu, hrabia zdecydował, że atak w tym miejscu będzie miał największe szanse powodzenia. Komendant nakazał ewakuację fortu „Kot”, zapewne po to, by tym lepiej skoncentrować siły obrońców. Anglicy podciągnęli działa i wycelowali ostry ogień na południowy bastion murów miejskich i na Fort Elizabeth.

Marlborough wspiął się na szczyt wieży tak zwanego Czerwonego Opactwa, budowli z początków XV wieku, obecnie prywatnej rezydencji, której mieszkańcy przezornie uciekli. Z tego punktu obserwacyjnego dowódca oblężenia mógł śledzić ruchy nieprzyjaciela i postępy własnych żołnierzy.

- Ten ich komendant nie zna się na sztuce wojennej - zauważył hrabia. - Ewakuował Fort „Kota”, nie zajął Czerwonego Opactwa! Ułatwia nam zadanie.

Kwaterę swego sztabu założył w Opactwie. Coraz więcej dział nadciągało: osadzano je w różnych punktach, skąd mogły wstrzelać się w ulice miasta. Kilku irlandzkich dezertersów doniosło, że ogień działowy był bardzo skuteczny.

Tymczasem zdarzył się jeden z tych komediowych incydentów, które czasem rozjaśniają posępną atmosferę wojny. W okolicy północnych przedmieść Corku przybył książę Ferdynand Würtberski, z małą eskortą przeprawiwszy się przez rzekę do Czerwonego Opactwa. Po formalnym powitaniu rzekł:

- Obejmę teraz oczywiście komendę nad całością oblężenia. Jestem do tego uprawniony, a poza tym większość wojsk tutaj to Holendrzy.

Marlborough zaprotestował:

- Jego królewska mość mnie powierzył dowództwo! Nie mogę się podporządkować nikomu bez jego wyraźnego rozkazu.

Wiirtemberg nadał się, bardzo obrażony:

- Od dawna należę do najbliższych królowi. Lepiej od pana znam jego zamysły. Ale jeżeli to pana ma zaspokoić, pošlę do Anglii po osobistą decyzję królewską. A tymczasem będzie pan słuchał moich rozkazów albo też wycofa się pan z powrotem na okręt, co pan woli.

Nie tylko książę, ale i Marlborough wiedzieli dobrze, jaka będzie królewska odpowiedź. Na kontynencie powszechnie stosowano praktykę oddawania dowództwa automatycznie księciu krwi królewskiej, nad głowami generałów pośledniejszego pochodzenia. William był arystokratą z krwi i kości i na pewno zastosowałby się do tego obyczaju raczej, niżby miał obrazić niemieckiego księcia, popierającego Holandię przeciw Francji. Tak więc hrabia uznał, że nadeszła chwila, by dyplomacją wyostać się ze ślepej uliczki. Z całą wytworną uprzejmością doświadczonego dworaka zaproponował:

- Może jego książęca mość zechciałby się zgodzić, byśmy sprawowali naczelną komendę na zmianę, co drugi dzień?

Z pewnością recepta na nieład i klęskę? Ale Marlborough odgadł, że księciu chodziło tylko o zachowanie pozorów dowództwa. Württemberg nagle zrobił się bardzo łaskawy. Jego twarz pojaśniała i rzekł:

- Bardzo rozsądne wyjście z kłopotu. I zaoszczędzi nam niepożądaną zwłokę. Zgadzam się.

Książę miał powody do zadowolenia. Wcale nie żołnierz, Württemberg od tej pory ulokował się w wygodnych kwaterach i zostawił wszelkie trudy kierowania oblężeniem w ręku hrabiego.

Wieśniacy irlandzcy ukrywali przed najeźdźcami swoje zapasy ziarna i paszy, bydło wypędzali do lasów. Ale wysłana w okolice jazda angielska przyprowadziła potrzebne ilości wołów i owiec. A działa coraz skuteczniej burzyły mury. Dziekan katedry św. Finbarra doradzał wybudować platformę na kościelnej wieży i tam wciągnąć parę dział. Wschodni bastion fortu „Elizabeth” dzieliła od katedry odległość zaledwie półtora metra, więc niebawem mur zaczął się walić pod kanonadą ciężkich kul armatnich.

- Mógłbym panu pokazać, generale - mówił dalej dziekan - strumień, który obraca koło młyńskie, mielące mąkę dla mieszczan. Gdyby zablokować strumień powyżej młyna, wkrótce zabrakłoby mąki i chleba, a mieszczanie zaraz wywarliby nacisk na komendanta, żądając poddania miasta.

Tak też zrobiono. I na sobotę wyznaczono szturm: oddziały szykowały się do przeprawy brodem przez rzekę podczas odpływu. Jednakże nie tylko dziekan i generał umieli się posługiwać podstępami fortelami. Komendant miasta otrzymał wiadomość, że wysłano mu odsiecz. Trzeba było koniecznie zyskać na czasie. Uwolnił więc protestanckiego biskupa, aresztowanego od chwili wylądowania najeźdźców i wysłał go do hrabiego Marlborough z poleceniem wszczęcia pertraktacji o warunkach poddania miasta. Jednocześnie wysłał posłów z takimi samymi poleceniami do generała Schavenoura i księcia Württemberskiego. Jak łatwo odgadnąć, zaczęła się wymiana gońców między trzema wodzami; przez ten czas odpływ ustąpił i wody znowu przybrały. Szturm trzeba było odłożyć, a komendant wycofał swoich posłów i przerwał pertraktacje.

Następnego dnia, w niedzielę, nabożeństwa i kazania przerwał huk armat i strzelanina z muszkietów. Marlborough, wściekły, iż go wystrychnięto na dudka, dokonał przeglądu wyznaczonych do szturm oddziałów, wciąż stojących w gotowości za rzeką. Wiadomość o odsieczy dla oblężonych okazała się przedwczesna, więc z rozpoczęciem następnego odpływu, wydał rozkaz ataku. Ludzie ruszyli naprzód: czerwone mundury, połyskujące wypolerowaną blachą napierśniki, uniesione w górę pistolety, by ich nie zamoczyć. Kule z murów leciały gęsto na bród, i chociaż na ogół mierzono nieszczególnie, jednak sporo ludzi padło. w przeprawie. Na drugim brzegu, zwarłszy przerzedzone szeregi, Anglicy wyparli nieprzyjaciół z ich punktów obronnych. W ogniu bitwy książę Grafton odniósł ranę w ramię i odniesiono go z krwotokiem, którego nie dało się zahamować.

Gdy oddziały Marlborougha przystępowały do ostatecznego szturm na mury, nad miastem powiała biała flaga. Żołnierze aż jęknęli zezłości. Kapitulacja pozbawiała ich łupów, szalonej nocy rzezi i gwałtów.

Jeszcze zanim wszedł do miasta, Marlborough posłał oficera i dwudziestu żołnierzy, by zakomunikowali o wzięciu Corku komendantowi. Kinsale i zażądali, by i on się poddał.

Rozbrojono irlandzkie regimenty w Corku. Około trzystu pięćdziesięciu oficerów - wśród nich hrabiego Tyrone i lorda Clancarty - umieszczono w kościołach i więzieniach, skąd wypuszczono protestanckich mieszczan i pastorów, chociaż część z nich siedziała za przestępstwa kryminalne. Kilku jeńców próbowało ucieczki; tych rozstrzelano. Ponad tysiąc irlandzkich żołnierzy wysłano na angielskich statkach transportowych do więzień w Anglii. Z tych dwudziestu sześciu oficerów i stu sześćdziesięciu żołnierzy innych stopni zginęło, gdy statek „Breda” wyleciał w powietrze w porcie Cork.

Straty Anglików wynosiły pięćdziesięciu zabitych i nieznaczłą liczbę rannych. Do najbardziej obżalowywanych należał książę Grafton, zdolny i odważny żołnierz, dobry kolega, z pewnością

najwartościowszy z licznych bastardów Karola II. Jego rana i upływ krwi okazały się śmiertelne.

Protestanci w Corku, chociaż w' mniejszości, niebawem rozpanoszyli się w mieście, znieważali papistów, napadali na nich. Z rozkazu, króla Williama mianowano burmistrzem i ławnikami wyłącznie protestantów: ci decydowali, a większość nie miała głosu w sprawach publicznych, ü'ak pogłębiono jeszcze zadawnioną nienawiść Irlandczyków do angielskich najeźdźców. Rządy lokalne wspierały się na garnizonie i wojskowym gubernatorze - brygadierze Charlesie Churchillu. Brat hrabiego Marlborough nie przyniósł zaszczytu rodzinie przy pełnieniu tej wysokiej funkcji. Zostanie oskarżony o przywłaszczenie mienia pu-blic/ nego i będzie się wykręcał odpowiedzialnością, że wszystko otrzymał w podarunku od poprzedniego komendanta. Nawet John nie mógł w to uwierzyć.

Kinsale bronił się bardzo krótko, a garnizonowi pozwolono wyjść z bronią i ekwipunkiem. W mieście znaleziono duże zapasy zboża i solonej wołowiny, prowiantu bardzo potrzebnego Anglikom i Holendrom. Zwłaszcza Anglicy tracili więcej ludzi z powodu chorób niż w bitwach.

Marlborough wrócił do Londynu. Południe Irlandii zostało spacyfikowane, a niedobitki wojsk walczących za króla Jakuba i za niepodległość swojej wyspy poddały się; co szczęśliwszym udało się zbiec do Francji, gdzie utworzono regimenty irlandzkie, które niebawem zasłynęły z bohaterstwa w wojskach Ludwika XIV. Tyrconnel zmarł w Lime rick na apopleksję. Przez dwa następne wieki i dłużej jeszcze, angielski parlament będzie otaczał protestantów opieką „czerwonych mundurów” i pomagał im w wyzysku i prześladowaniach rdzennych mieszkańców. Hasła religijne posłużyły, by zakamuflować angielskie obawy przed obcą penetracją na własnej granicy. Co więcej, Anglia z jednej strony była zdecydowana zapewnić sobie płody irlandzkiego rolnictwa, a z drugiej strony przeszkodzić rozwojowi irlandzkiego przemysłu, zwłaszcza tkactwa, jako groźnego konkurenta.

Operacje wojskowe hrabiego Marlborough pod Corkiem i Kinsale były skromne. Ale plan opracowano dokładnie, ekspedycję dobrze zorganizowano, atak przeprowadzono szybko i sprawnie. Marlborough od razu położył kres wojnie w Irlandii. Król wyraził uznanie w słowach miłych dla ucha hrabiego, ale holenderscy oficerowie tym bardziej go zniechęcili.

- Jeszcze się nie zdarzyło - powiedział William, jak echo księcia Waldecka - by oficer, który tak niewiele czynnej służby zaznał, był tak zdolnym wodzem. Można mu powierzyć naczelne dowództwo choćby i największej kampanii.

Ale i wówczas, jak zwykle, naczelne dowództwa nie zawsze przypadają temu, kto najlepiej potrafił je sprawować.

Rozdział 13

W WIĘZIENIU

- Chyba skręciłem sobie kark!

Marlborough leżał na przydrożnej miedzy jak rozkrzyżowany, z błędnym wzrokiem. Sprawiał wrażenie istotnie ciężko kontuzjowanego.

Hrabia Bentinck siedział na gościńcu, w milczeniu rozcierając sobie nogę w kostce. Król William zwlókł się na nogi, podniósł rękę i dotknął własnych pleców, wyprostował się, drgnął z bólu, wreszcie powiedział bez cienia współczucia w głosie:

- Gadasz głupstwa. Za godzinę przekonasz się, żeś sobie może jakiś mięsień naciągnął, nic więcej!

Z królewskiej karety, dość szybko powożonej, już blisko Londynu, zleciało koło. Drzwiczki otworzyły się, król i obaj hrabiowie wypadli na gościniec., Dwóch forysiów zdążyło zeskoczyć, natomiast stangret i jadący obok niego na kozle chirurg królewski wydobywali się właśnie z gałęzi przydrożnego żywopłotu. Chirurg, otrzepawszy się z liści, pośpieszył do króla, przytrzymując sobie ramię drugą ręką.

- Ufam, że wasza królewska mość...

- Nie, nie, nic mi się nie stało. Zbadaj lorda Marlborougha.

- Chirurg potwierdził, że hrabia nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Marlborough, człowiek bardzo odważny, gotów do hazardu w bitwie, lubił wyolbrzymiać każdą swoją drobną dolegliwość. Bentinck zwichnął sobie nogę w kostce i nie mógł iść. Ale jedyna w całej kompanii złamana kość - to było ramię chirurga.

Jechali z Dover, gdzie król wraz z otoczeniem wylądował poprzedniego dnia, w powrotnej drodze z Holandii. William dowodził osobiście działaniami wojennymi przeciwko Ludwikowi XIV w kampanii z roku 1691. Marlborough dowodził kontyngentem angielskim. Znowu niewiele osiągnięto: marsze, kontrmarsze, ani jednej większej bitwy, nawet żadnego oblężenia - mało zadawanych strat przy dużym ekspansie prochów. Churchill, chociaż jak zwykle niezadowolony, bo sprawował dowództwo o małym znaczeniu, a król zwracał się po radę tylko do holenderskich oficerów, skorzystał jednakże wiele, ucząc się od sumiennego wodza naczelnego administrowania wojskiem w kampanii, starannego doglądania każdego szczegółu.

John zrozumiał również, że pozorny brak rezultatów królewskich kampanii wpływał nie tyle z nieudolności lub braku odwagi Williama, ile z niezdecydowania Stanów Generalnych Holandii. Trzymano stadhoudera w ryzach. Angielski parlament powściągał monarchę w sprawach wewnętrznych, decydował o ważnych wydatkach ze skarbu państwa, określał liczebność wojsk pod broń w kraju i wysyłanych za granicę; ale w sprawach czysto wojskowych zostawiał królowi wolną rękę. Natomiast Stany Generalne nie pozwalały Williamowi nawet wdać się w większą bitwę bez ich zgody, wyrażanej - jeżeli się w ogóle zgodzili - za pośrednictwem cywilnych urzędników, zwanych „deputowanymi”, przydzielonych do armii. Operacjami wojskowymi kierowali więc politycy. Nieco później Marlborough sam nie mało ucierpił z powodu wahań i kunktatorstwa Stanów

Generalnych, które nieraz pozwoliły nieprzyjacielowi wydostać się z trudnego położenia.

Wkrótce po wypadku na gościńcu i sławetnym „skręceniu karku” Marlborough wszczął starania o stanowisko marszałka ordynacji, od dłuższego czasu wakujące. Był to urząd najważniejszy po wodzu naczelnym, odpowiedzialny, a zarazem dobrze płatny i dostarczający sposobności lukratywnego patronatu. Z profesjonalnego punktu widzenia-Churchill z pewnością doskonale się na to stanowisko nadawał. Ale holenderscy oficerowie z królewskiego otoczenia widzieli w nim niebezpiecznego rywala, więc przy sposobności poufnych rozmów, popijając „sznapsa” z Williamem, sączyli mu do uszu jad, zniechęcali do Anglika jak tylko mogli. Królewska kochanka, zadziwiająco nieładna Elizabeth Villiers, od siebie dolewała kropelek trucizny. Nienawidziła zwłaszcza hrabiny, która wzgardliwie odwracała się od niej podczas dworskich ceremonii. Wreszcie oboje królestwo irytowali się niepomąłu, ponieważ księżniczka Anna tak bardzo ulegała wpływom hrabiny.

- Jeżeli Anna ostatecznie odziedziczy tron - mówił król - to tych dwoje, Marlborough i jego żona, będzie właściwie rządzić państwem.

Mianował marszałkiem ordynacji własnego faworyta spośród angielskich dworzan - Henryka wicehrabiego Sydney, który serdecznie nie lubił swego niefortunnego rywala, a ponieważ w ogóle się nie znał na rzeczach wojskowych nie zagrażał aspiracjom holenderskich oficerów do komendy w polu. Odtrącenie kandydatury mocno zabolowało Johna, a jeszcze bardziej Sarę. Było też wielu innych zrażonych nadawaniem przez króla angielskich dóbr i tytułów Holendrom. Marlborough zdecydował się zaprotestować oficjalnie, na piśmie.

„Najwierniejsi poddani Jego Królewskiej Mości, do których i niżej podpisany pragnie być zaliczony, z wielkim strapieniem serca patrzą, że łaskawość i hojność królewska ogranicza się do cudzoziemców”.

Łatwo było przewidzieć, że list odniesie skutek odwrotny od zamierzonego. Zdumiewająco nietaktowne było to posunięcie, zważywszy, iż autor listu cieszył się opinią zręcznego dyplomaty, a zwracał się do monarchy, któremu zawdzięczał tytuł para. Ale jeśli list był nietaktem, to sposób, w jaki Marlborough otwarcie mówił o królu w kołach oficerskich, był więcej niż głupotą.

- Jakub zwykł dawać promocje - opowiadał - Irlandczykom, jeśli mówili po angielsku: obecnie nam panujący miłościwy pan nadaje tytuły Holendrom, którzy po angielsku nie mówią.

Nawet na forum parlamentu jeden z posłów odważył się na uwagę w tym samym duchu:

- Na Anglię spadła jedna z plag egipskich, bo wszędzie słyszy się tylko rechot holenderskich żab.

Ale król uparcie pozostawał głuchy na obraźliwe wzmianki i na szerzącą się kampanię szeptanych plotek, zwróconych przeciwko niemu samemu i jego holenderskim rodakom.

Wracając któregoś dnia z salonów księżniczki Anny, gdzie jak zwykle zbierało się grono niezadowolonych, Sara powiedziała do Johna:

- Mówią, że we Francji jest grupa uchodźców, nienawidzących Kalibana tak bardzo, że gotowi są przywrócić tron Jakubowi.

- Katolicy, oczywiście.

- Nie. Protestanci. Zezwolą Jakubowi na praktykowanie jego własnej religii prywatnie, jak kiedyś żona jego brata, pod warunkiem, że uroczyście zaprzysięgnie nie wtrącać się do spraw kościoła anglikańskiego ani do praktyk religijnych ludności. Oczywiście, parlament miałby zachować swoje obecne uprawnienia. I żadnych rządów przy pomocy wojska.

- Jakub się nie zgodzi - mruknął John.

- Kto wie? Jakub dostał ostrą nauczkę. Będziemy musieli bardzo na siebie uważać.

Poparcie dla Jakuba wyrażało się w różny sposób, ale jak na razie, było raczej modą, niż ruchem politycznym. Damy wzdychały nad popołudniową filiżanką herbaty, współczując wygnanym Stuartom. Wytwornicy londyńscy - nawet niektórzy dworzanie - wydawali się sobie samym niesłychanie odważni, ponieważ nosili emblematy stuartowskie po wewnętrznej stronie fraka, ukazując je dyskretnie przyjaciółom, z tajemniczymi mrugnięciami i porozumiewawczymi spojrzeniami. W ogrodach wiejskich rezydencji sadzono białe róże, godło domu Stuartów. Złota młodzież urządziła pijatyki w piwnicach, gdzie śpiewano piosenki pełne mniej lub więcej zawołanych aluzji, a na zakończenie wznoszono z obnażonymi szpadami w rękę toast za „Zdrowie króla za morzem!”

Tymczasem obiekt tej dzieciinady, za namową opata cystersów, zaczął surową pokutę, chłostał się i biczował, i ponoć dokonywał cudownych uzdrowień. Opat, jak się zdaje, nie sprzeciwiał się temu, że jego skruszony penitent jednocześnie spiskował z księciem Berwick, by zamordować „uzurpatora” na angielskim tronie.

Niektórzy zaczęli poważniej traktować romantyczną stuartowską modę. Jednakże i między nimi rodziły się kłótnie, powstawały wykluczające się nawzajem zastrzeżenia:

- Popierałbym powstanie tylko wtedy, gdyby król Ludwik przysłał armię z Jakubem...
- A ja się nie przyłączę, jeżeli obce wojska kraj najadą...
- Co do mnie, Jakub musiałby przyrzec, że przywróci do łask lorda takiego a takiego...
- Tego łobuza? Nigdy ręki nie przyłożę do sprawy, jeśli by Jakub miał jego faworyzować!

Mało kto rzeczywiście, z głębi serca, życzył sobie powrotu Jakuba. Ale William w niczym nie przeciwdziałał budzącej się niechęci. Zrażał do siebie ludzi. Nie nawiązywał serdeczniejszych stosunków z nikim, prócz ciasnego kręgu Holendrów. Zachowywał wyniosły dystans wobec angielskiej arystokracji. On sam wywodził swoje pochodzenie aż hen od czasów najazdu barbarzyńców na Europę; więc spoglądał na większość angielskich parów - włącznie z tymi, których sam obdarzył tytułem, jak hrabiego Marlborough - jako na parweniuszy. Angielscy doradcy króla czuli się urażeni, bo wykorzystując ich znajomość miejscowego obyczaju i praw, nie kierował się jednak ich radami, a we wszystkim słuchał swych rodaków. Do Dykvelta, dawnego emisariusza, który nawiązał kontakt ze spiskiem przeciwko Jakubowi, William powiedział o swoich angielskich poddanych:

- Nie jestem stworzony dla nich ani oni dla mnie.

Pamięć dawnych uraz zanika w obliczu nowych. Młodsza córka Jakuba odczuwała, jak sama twierdziła, wyrzuty sumienia z powodu swej dezercji. Na przyjęciach u niej atmosfera stawała się coraz wyraźniej buntownicza. Źródłem głośno wyrażanych sympatii projakobickich było nie tyle pragnienie powrotu zdetronizowanego króla, ile chęć zabezpieczenia się na wypadek takiej ewentualności.

- Przypuśćmy, że Kaliban, na czele wojsk sprzymierzonych, poniósłby katastrofalną klęskę z rąk Francuzów - rozważała Sara. - Wtedy cała Anglia zwróciłaby się przeciw niemu. To by była wspaniała sposobność dla Jakuba. Jak wówczas powinni by się zachować ci, którzy przed czterema laty zapraszali Williama? Stanąc w obliczu podobnego losu jak ten, co spotkał Monmoutha? Czy też uciec z kraju? Ale dokąd? Ludwik nie powita nas mile we Francji, ani też zdetronizowany William nie przyjmie nas w Holandii. Hiszpania i Austria są katolickie, a większość księstw niemieckich jest związana albo z Holendrami, albo z cesarzem.

Ostrożnie, okrężnymi drogami, ogólnikowymi słowami, próbowano się porozumieć z „królem za

morzem”. Początkowo za pośrednictwem agentów, których w razie potrzeby można by się wyprzeć. Jedno prowadziło do drugiego. Zaczęła się korespondencja między kołami protestanckimi we Francji a tymi, którzy niegdyś spiskowali przeciw Jakubowi, jak lordowie Godolphin, Halifax, Russell, Caermarthen i Shrewsbury. Następnie korespondencja już z samym Jakubem.

Po ciężkich, jak twierdził, zmaganiach z własnym protestanckim sumieniem, hrabia Marlborough przyłączył się do tej masowej skruchy.

Nadal członek tajnej rady królewskiej, nadal generał-lejtnant w armii Williama, przez niego wyniesiony do godności para Anglii, Marlborough pisał do niegdyś zdradzonego pana i dobroczyńcy:

„...moje winy wobec najzaciejszego z władców...” (Ten „najzaciejszy z władców” zagroził wolności nie tylko religijnej, ale i obywatelskiej Anglików). „Nie będę mógł spocząć w pokoju - pisał dalej Churchill - dopóki przynajmniej w części nie dokonam zadośćuczynienia najgorętszymi wysiłkami, nawet ze śmiertelnym narażeniem mego życia, na rzecz powrotu naszego pokrzywdzonego władcy i ukochanego pana...”

Fałszu i dwulicowości listów, pisanych przez Churchilla w owym czasie, a także tych, które pisał w chwili, gdy opuszczał króla Jakuba, nie można pominąć przy ostatecznej ocenie jego charakteru. Zdrady Churchilla łatwiej byłoby zignorować, gdyby można było przyjąć założenie, że on sam uważał je za konieczne dla dobra kraju i religii. Ale uznanie powrotu Jakuba za korzystniejsze dla Anglii i wiary protestanckiej od panowania Williama - byłoby nedorzecznnością, godną ostatniego głupca. Marlborough nie był głupcem. Zasadę, jaką się kierował - i Sara również - można by w przybliżeniu określić: „Będę tak postępował pod panowaniem jednego monarchy, by pozostawać w możliwie najlepszych stosunkach z jego ewentualnym następcą”.

Nie dość mu było kajać się przed wygnanym władcą. Churchill na dobitkę zapewnił go - tak samo zapewniał niegdyś Williama, bez słusznych podstaw, jak się okazało - że może osobiście ręczyć za wojska lądowe, admirał Russell utrzyma w sympatii dla Jakuba flotę wojenną, a księżna Anna „zaopiekuje się” kościołem anglikańskim. Na czym miała ta opieka polegać - nie wyjaśniono. Bez wątplenia zakładano, że Jakub po powrocie nie będzie się wtrącać do spraw biskupów protestanckich, jeżeli oni nawzajem zostawią go w spokoju.

Niebawem Marlborough poradził „królowi za morzem”, by przywiózł ze sobą, gdy wyląduje w Anglii, dwadzieścia tysięcy francuskich żołnierzy, którzy powrócą do kraju, „skoro tylko najjaśniejszy pan odzyska swoje prawa”. Dalej John Churchill próbował odzyskać utracone względy Jakuba postępkami zaiste niewybaczalnym: dostarczył agentom jakobickim tajnych informacji o planach Williama, dostępnych jedynie członkom tajnej rady królewskiej. Jakub napisze później w swoich „Pamiętnikach”:

„Churchill ujawnił plany działań księcia orańskiego na morzu i na lądzie; a jako że zgadzały się one z wiadomościami, jakie miałem z innych rąk, więc przemawia to silnie za jego szczerością”.

Czy rzeczywiście Jakub mógł tak mniemać w roku 1692? Ale w jego sytuacji nie mógł sobie pozwolić na odtrącanie zaofiarowanej pomocy. Później będzie czas na rozważenie, jak potraktować tych pomocników. Tak więc własną ręką napisał, że przebacza Churchillowi i Godolphinowi, a także innym ich dawniejsze zdrady. John i Sara zyskali poczucie, że gdyby Jakub powrócił, przynajmniej nie czekałby ich topór, a ich dzieci nędza. Taki był rzeczywisty cel tych zdradzieckich zabiegów. Pierwotnie, zdradzając Jakuba, wybrali drogę - z powodów co najmniej wątpliwych - korzystną dla ich kraju i religii. Z kolei, zdradzając Williama, narazili - z powodów na pewno nikczemnych - dobro protestantyzmu i swobody współobywateli.

William zamyślał atakować Dunkierkę, znajdującą się w rękach Francuzów. O planie powiadomiono tylko Godolphina, Caermarhena, Shrewsburyego i Marlborougha, przy czym ten ostatni miał osobiście wziąć udział w wyprawie. Zażądał więc naczelnego dowództwa nad całością operacji wojskowych. Nalegał również, by tylko rodowici Anglicy dowodzili angielskimi oddziałami i przygotowywał wnioski w tej sprawie w Izbie Lordów. Jasne, że powodowały nim głównie osobiste racje. W późniejszych latach on sam będzie dowodził wojskami przeróżnych narodowości - najbardziej mieszаныmi, jakie do tej pory w Europie złączono jednym przymierzem. Król nie powierzył naczelnego dowództwa hrabiemu Marlborough. Miał pod dostatkiem dowódców zdolnych, a zarazem wysoko urodzonych, a generał-lejtnant nie liczył się do takich.

Marlborough nie dostrzegł pierwszych oznak niebezpieczeństwa.

- Jeszcze przysporzę kłopotów temu Kalibanowi! - mówił. - Zorganizuję rewoltę oficerów przeciw służeniu pod komendą holenderskich zwierzchników.

Wpadł w pułapkę własnej dwulicowości. W Dunkierce z rozkazu Ludwika rozpoczęto wielkie i spieszne przygotowania do obrony. Skąd król Francji dowiedział się o tym ściśle strzeżonym sekrecie? William wziął na spytki czterech angielskich parów, których dopuścił do tajemnicy. Trzej oświadczyli wręcz, że nikomu o tej sprawie ani słówkiem nie wspomnieli. Marlborough powiedział:

- Na honor, najjaśniejszy panie, nie powiedziałem o tym nikomu, prócz mej żony.

- A ja - rzekł sucho William - nie powiedziałem o tym mojej żonie.

Naturalnie Wywnioskowano, że Sara przekazała informację jakobickim agentom, a za ich pośrednictwem wieść dotarła do Ludwika. Nie wchodząc już w to, czy ci agenci może poprzednio skądinąd wiedzieli o planie, domniemaną winą obciążono oboje Churchillów. William zdecydował, że musi się pozbyć swego angielskiego generała-lejtnanta. A jego aktywność w kręgach wojskowych, o czym Williamowi niebawem doniesiono, dostarczyła pożądanej sposobności.

Król zrozumiał, że i jego samego można zaliczać do tych holenderskich oficerów, przeciw którym Marlborough agitował. A w każdym razie powodzenie zabiegów hrabiego oznaczałoby, że król, wódz naczelny, nie miałby prawa do woli mianować swoich podwładnych oficerów. Co więcej, rozumował dalej William, czy dalszym zamiarem nie jest zamach stanu, w rezultacie którego oficerowie wprowadziliby na tron albo Jakuba, albo też księżnę, powolne narzędzie w rękę Sary?

Donoszono, jakoby Churchill miał publicznie powiedzieć, że król „nie dość cnót posiada, by cenić wielkie cele, ani też dość odwagi, by pokarać swych wrogów”. William dowiedział mu, że się omylił. Pewnego ranka Marlborough pełnił służbę szambelana na królewskiej sypialni. Zachowanie króla nie przejawiało żadnych odchyłeń od normalnego - był chłodno uprzejmy, nigdy serdeczny. W dwie godziny później jeden z sekretarzy stanu przyniósł hrabiemu Marlborough, Johnowi Churchillowi, rozkaz królewski, zwalniający go ze stanowiska w wojsku, ze wszystkich publicznych urzędów i ze dworu. William miał rzeczywiście dość powodów do tego posunięcia, ale sposobu, w jaki to przeprowadził, nie cechowała grzeczność manier.

W ślad za dymisją ze służb królewskich przyszła dymisja ze stanowiska prezesa Kompanii Zatoki Hudson. Zarząd tej spółki handlowej wybrał Churchilla prezesem za panowania poprzedniego króla dlatego, że miał wpływ w kołach dworskich i rządowych. Kiedy te wpływy się skończyły, poproszono go, by się zrzekł stanowiska. Jego dochody bardzo się skurczyły.

- Zamierzam - pani Morley zaproponowała Sarze - mianować panią Freeman na jakieś nominalne stanowisko w moim osobistym otoczeniu z pensją tysiąca funtów rocznie.

- Bardzo jesteś dobra - odparła Sara - ale myślę, że pani Freeman nie przyjmie twojej oferty.

Holenderski potwór jeszcze bardziej rozżłościłby się na nas.

W salonach księżnej intrygi nie ustawały. Raczej jeszcze przybrały na sile. Widząc hrabiego w niełasce, tym bardziej donoszono władzom o nieprawomyślnych rozmowach. Marlborough niewielu miał prawdziwych przyjaciół, którzy by gotowi byli stanąć u jego boku w obliczu niebezpieczeństwa, jakie sam na siebie ściągnął. Ogólnie go uważano za skąpego, a z pewnością nie grzeszył rozrzutną gościnnością. Nie był też towarzyski: u karciarzy, graczy i tych, co nie wylewali za kołnierz - miał opinię cnotliwego sensata. A damy, których awanse odrzucał, określały jego wierność Sarze jako strach przed nią - co w pewnej mierze mogło być prawdą. W takiej atmosferze wysuwano przeciw Churchillowi zarzuty wyssane z palca, oprócz prawdziwych - a tych było pod dostatkiem. Evelyn, który go nie lubił, zapisał w swym diariuszu, że „Churchilla zwolniono ze wszystkich stanowisk za nadmierne branie łapówek, chciwość i wyzyskiwanie podwładnych oficerów”. Nie było i nie ma ani śladu dowodów, by uzasadnić takie oskarżenie. Prawda była wystarczająco wstrętna. Nie należało dokładać oszczerczych kłamstw. Ale określenie „nadmierne” w połączeniu z „braniem łapówek” jest samo w sobie komentarzem owej epoki.

George Churchill podał się do dymisji, a rezygnując z komendy we flocie wojennej oznajmił, że czyni to z powodu niesprawiedliwego potraktowania jego starszego brata. Natomiast brygadier Charles Churchill nie wystąpił z wojska i - wbrew wykroczeniom popełnionym, gdy sprawował rządy w Corcu jako gubernator wojskowy - otrzymał wkrótce awans i promocję. Królowa zażądała, by jej siostra Anna oddaliła Sarę. Pani Morley oczywiście odmówiła, wobec czego wyrzucono ją z jej pałacu wraz z całym dworem. Znalazła schronienie w magnackim dworze jednego ze swych utytułowanych przyjaciół. W jednym z bardzo częstych listów do Sary pisała:

„Niech robią, co chcą, nic mnie nie zgniewa, dopóki mogę zaznać satysfakcji widywania mojej drogiej pani Freeman, i przysięgam, że chętnie będę z nią o chlebie i wodzie w czterech ścianach zamknięta, bez jednej skargi, bo dopóki ty mnie darzysz dobrocią, nic nie jest naprawdę przykre dla twojej wiernej pani Morley, która oby nie zaznała chwili szczęśliwości na tym świecie albo na tamym, jeśli od niej fałszu zaznasz...”

W świetle późniejszych wydarzeń ten list nabiera ironicznego sensu, nie zamierzonego w danym momencie.

Ludwik XIV czynił przygotowania, z całą pewnością zmierzające do inwazji na Anglię. William wyprawił się więc do Holandii, by tam przyspieszyć operacje wojenne, obliczone na dywersję wojsk francuskich.

William miał słuszne powody, by pozbyć się hrabiego Marlborough. Królowa Maria, sprawująca władzę pod nieobecność męża, uznała, że nadeszła teraz pora zemścić się za odsuwanie od niej jej siostry. W Anglii panował nastrój napięcia i niepokoju wobec grożącej inwazji. Nieufnym okiem spoglądano na parów podejrzanych o kontakty z wygnanym Jakubem. Chrust leżał suchy i gotowy: wystarczyło iskry, nawet pozoru iskry, by buchnął płomieniem. I taki pozór się zdarzył.

Ktoś, kto chciał się wkraść w łaski królowej, dostarczył jej dokumenty rzekomo świadczące o przygotowywanym spisku, mającym na celu złożenie z tronu jej i jej męża. Wśród zamieszanych w ów spisek widniało nazwisko hrabiego Marlborough. Maria i jej tajna rada wydali rozkaz aresztowania go pod zarzutem zdrady stanu: „jako iż współdziałali z nieprzyjaciółmi ich królewskich mości”. Marlborough znalazł się w więzieniu w Tower. Nie wolno go było odwiedzać, chyba za każdorazowym specjalnym zezwoleniem sekretarza stanu.

Nie trwało to jednak długo. Zbadanie kompromitujących dokumentów wykazało, że były one

sfalszowane. Gwałtowna reakcja opinii publicznej spowodowała, że tajna rada nakazała fałszerza postawić pod pręgierz. Przedwczesne, nieprzemyślane posunięcie Marii sprawiło, że ogólnie uznano hrabiego Marlborough i innych za ofiary nieuzasadnionej, kobiecej mściwości. Cała Anglia szydziła z królowej lub oburzała i się na jej nieudolność. Gdyby teraz najzupełniej rzeczywista i prawdziwa korespondencja Churchilla i innych, świadcząca o ich zdradzie, została ujawniona, mało kto by w nią uwierzył.

Współczesne pamiętniki i diariusze często wspominają o wybuchach gniewu Sary i o jej humorach, które, jak można przypuszczać, raczej odstręczały od niej, niż pociągały. Ale takie wzmianki nie dają całkowitego obrazu Sary, nie odzwierciedlają jej najgłębszych uczuć.

Zachował się interesujący list, pisany przez Sarę do męża, gdy siedział w więzieniu w Tower. Ponieważ wyjątkowo w tym wypadku John nie zastosował się do jej stale ponawianych napomnień, by palił wszystkie jej listy, które często zawierały ustępy kompromitujące w sensie politycznym, więc ów zachowany list jest rzadkim i cennym dokumentem:

„Gdziekolwiek jesteś, dopóki moja dusza i ciało są jednością, tam pójdę w ślad za Tobą, mój ukochany Mężu i Panie; a gdziekolwiek ja jestem, tylko czas zabijam aż do nocy, by usnąć na chwilę w nadziei, że następny ranek przyniesie mi wieść od Ciebie”.

Głęboka i trwała miłość Johna do żony była bez wątpienia w pełni odwzajemniana. I nie tylko słowami Sara swej miłości dowiodła, przy niejednej okazji. Podczas pobytu Johna w Tower jego żona zdołała, dzięki wpływom księżnej Anny, zdobyć od sekretarza stanu zezwolenie na wizytę. Przekupiła strażnika, by dał jej klucz od celi Johna, a wszedłszy, klucz przekreśliła od wewnątrz.

Wzgląd na prawdę nie pozwala uraczyć czytelnika opisem dramatycznej ucieczki, na wzór romansów historycznych Waltera Scotta lub Aleksandra Dumas: w fałdzistych sukniach Sara nie skrywała ani pilnika czy łomu, ani przebrania zakonnic. Natomiast nie trzeba szczególnej przenikliwości, by odgadnąć tajemnicę drzwi zamkniętych na klucz.

Rozdział 14

MĄDROŚĆ W CHOROBIE

- Żadnych więcej ukłonów w stronę Jakuba! - zapowiedziała Sara. - Masz jego przebaczenie, co cię ochroni na wypadek jakichś ewentualnych zmian. Ale teraz tylko trochę cierpliwości, a zostaniesz najważniejszym człowiekiem w królestwie.

W rzeczywistości walory Marlborougha wyżej ocenia Francuzi, Holendrzy i cesarstwo niemieckie niż jego własni rodacy. Ale to dopiero w przyszłości.

Co prawda wypuszczono go z więzienia w Tower, ale John nadal był w niełasce i bez żadnego stanowiska. Coraz bardziej skłaniał się więc w stronę „króla za morzem” jako jedynej nadziei, a i to słabej, odzyskania dawnych godności. Dopiero w styczniu roku 1695, kiedy Sara wygłosiła swoje ostrzeżenie i przepowiednię, koło fortuny obróciło się, by pokierować przychylniej losami Johna Churchilla.

Przed Bożym Narodzeniem królowa Maria zachorowała. Lekarze wahali się w diagnozie, sprzeczali między sobą: odra czy ospa? A królowa słabła z dnia na dzień. Pod koniec roku zmarła, mając zaledwie trzydzieści dwa lata. Chociaż nie brakło jej urody, i chociaż dzięki niej William zdobył koronę Anglii, jednakże nie kochał jej nigdy. Nawet po trosze nią pogardzał, ponieważ jej matka, Anna Hyde, pierwsza żona Jakuba, była plebejką. Jednakże była nie tylko jego żoną, ale i ukoronowanym współsuwerenem, a młodsza od męża o dwanaście lat, stanowiła zabezpieczenie przed powrotem Jakuba na wypadek jego własnej śmierci. Teraz ta rola przypadła księżnej Annie.

Wydawało się nawet, że nie na długo potrzebna będzie Johnowi i Sarze cierpliwość. William sam również chorował, jednocześnie z żoną. Po jej śmierci przez długi czas był tak osłabiony, że by zaczerpnąć świeżego powietrza, kazał się wnosić w fotelu do ogrodów pałacowych Hampton Court. W kraju już się szykowano do zmiany na tronie. Jakobiccy torysi marzyli o powrocie Jakuba. Gorliwi protestanci zbierali się coraz liczniej w salonach księżnej Anny. Ale pod koniec stycznia król zaczął wracać do zdrowia i sił, a wkrótce, wyjeżdżając na trzydniowe polowanie do Richmond, dowiódł, że John będzie musiał mieć więcej cierpliwości, niż Sara się spodziewała.

Z odwagą i determinacją William zwalczał nawroty chorób, ale należało się liczyć z tym, że późnego wieku nie dożyje. Za namową pani Freeman, Anna napisała do niego list pełen szacunku i przywiązania. W odpowiedzi król udzielił jej audiencji, przyjął z wszelkimi honorami, ofiarował w prezencie klejnoty po jej siostrze i osobiście odprowadził ją do karety. Niebawem księżna - zawsze z Sarą u boku - została zainstalowana w pałacu św. Jakuba. Przywrócono jej osobistą gwardię i wszelkie monarsze godła. Optymizm Sary wzrósł.

- Zawsze to mówiłam! - dowodziła mężowi. - To Maria nakręcała króla przeciw siostrze. Teraz wszystko się odmieni, a dla nas też. Zobaczysz.

A jednak był to przedwczesny optymizm. William nie miał wyboru co do traktowania Anny jako oficjalnej następczyni tronu, uznanej i przyjętej przez cały naród, gdyż inaczej Jakub i jego poplecznicy mieliby otwarte pole do działania. Ale kiedy Anna zwróciła się do króla z prośbą, by

przywrócił hrabiemu Marlborough jego dawne stanowiska - odmówił.

Były jednak i zwiastuny zmian na lepsze. William nie mógł sobie poradzić z Ludwikiem i jego marszałkami. Wojna z Francją przybierała niepomyślny obrót. W Anglii prywatnie i publicznie, powtarzano coraz powszechniej, że jedynym wodzem, który by potrafił pobić Francuzów i zmusić ich do zawarcia upragnionego pokoju, był odtrącony w niełasce generał-lejtnant Marlborough.

Toteż pani Freeman w optymistycznym nastroju zostawiła swego męża w Holywell House, by udać się do Bath, gdzie księżna Anna miała kierować swą chroniczną podagrę. Obie kobiety z towarzyszącą służbą jechały sześćoosobową karocą, zrobioną z czarnej skóry, naciągniętej na drewniany szkielet i ozdobionej wielkimi mosiężnymi gwoździami. Okienka miały czerwone ramy i skórzane zasłony. Ten ekwipaż, zaprzężony w cztery silne konie, trząsł się i kołysał po wyboistym gościńcu. Z tyłu umieszczono wielki kosz, do którego przywarła służba, a wszystko razem jechało z oszałamiającą szybkością sześciu kilometrów na godzinę, o ile oczywiście droga na to pozwalała. Już w pobliżu Bath gościniec wznosił się pod górę, wysoką i stromą. Konie zwolniły, zaczęły się potykać, wykopywały leżący luzem żwir i kamienie, wreszcie stanęły. Kareta wygrała w tych zmaganiach i zaczęła się staczać z powrotem w dół. Sara wytknęła głowę przez okno i krzyknęła na służących:

- Pchajcie, niedołęgi! Podeprzeć karete! Obracać koła!

Ciągnąc i popychając, sapiąc i parskając, konie i ludzie cal po calu posuwali ekwipaż pod górę. Ale gdy nareszcie dotarli na szczyt wzgórza, pani Morley i pani Freeman zdecydowały nie ryzykować zjazdu w dół. Wsiadły i poszły piechotą.

Księżna i pierwsza dama jej dworu codziennie jeździły lektykami do kąpieli. Wchodziły do wody ubrane w obszerne stroje z gumowanego płótna. Przed każdą z nich pływała na wodzie mała drewniana miseczka z pudrami, kosmetykami, a także tabakierką. Łaźnia była dostępna dla co wytworniejszych gości, a mężowie i wielbiciel rywalizowali w komplementach na temat wyglądu dam i ich odważnego zachowania się w wodzie.

Ale ogólnie biorąc, nie na czasie były teraz sprawozdania dziennikarzy - „pismaków z Grub Street” - z ploteczkami z modnych uzdrowisk. Odbywały się wybory do parlamentu. W XX wieku ministrów po wyborach powołuje stronnictwo, które uzyskało większość w Izbie Gmin. W wieku XVIII procedura była odwrotna. Suweren i jego tajna rada mianowali ministrów przed wyborami, a następnie posługiwali się wszelkimi środkami, z których najpowszechniejszym było kupowanie głosów, by zappełnić Izbę posłami, którzy by popierali rząd. Gdy już raz stronnictwo polityczne zdobyło władzę, trudno było go władzy pozbawić. William niechętnie odnosił się do wszelkich partii politycznych, które za jego panowania usiłowały albo otwarcie przeciwstawić się autorytetowi króla, jak to czynili wigowie, albo też potajemnie popierać „króla za morzem” - jak torysi. Tworzył więc rząd koalicyjny. Wówczas ministrowie torysi we własnym interesie powściągali swe jakobickie ciągoty, a ich stronnicy w parlamencie głosowali za rządem, jakkolwiek stronnictwo torysów jako całość było w opozycji.

Od początku panowania Williama wigowie stanowili większość, jednakże wybory w roku 1695 bardzo wzmocniły torysów. Odzwierciedlało to nie tyle naprawdę jakobickie nastroje w kraju, ile poparcie dla wyrażanego przez torysów sprzeciwu wobec wojny, dążenia do pokoju wraz z domniemanym jego rezultatem - lukratywnym handlem z Francją. A hrabia Marlborough był nominalnie torysem i przypuszczano, że silniejsze stronnictwo torysów w Izbie Gmin wymusi przywrócenie mu naczelnego dowództwa w toczącej się wojnie.

Niespodziewanie na torysów spadły aż dwa dotkliwe ciosy. Po pierwsze rozeszły się pogłoski o nowych przygotowaniach Króla-Słońce do inwazji na Anglię. Do inwazji nie doszło, ale strach przed nią osłabił stronnictwo pokojowe. Następnie, w roku 1696, wykryto jakobicki spisek w celu zamordowania króla Williama, gdy wracał do pałacu z polowania. Wybuch powszechnego oburzenia na Jakuba objął również torysów.

Nadzieje hrabiego Marlborough na szybki powrót do czynnego życia publicznego przy sposobności wzmocnienia stronnictwa torysów uległy zahamowaniu. Musiał jeszcze przez dwa lata czekać w Holywell House, hodując róże. Cierpiał czasem na podagrę, dziedziczną w jego rodzinie, i bóle głowy, dokuczające mu od młodości. Poza tym był zdrow jak na człowieka w średnim wieku, a apetyt dopisywał mu wyśmienity. W roku 1697 podpisano traktat w Ryswick i nadszedł upragniony pokój. Właściwie przywrócono tę sytuację między Francją a Wielkim Przymierzem, jaka istniała w chwili wybuchu wojny, dowodząc tym samym najlepiej bezsensowności ośmiu lat przelewu krwi, niepotrzebnej ofiary z życia tysięcy ludzi.

Wrogom hrabiego Marlborough wydawało się, że upadły ostatnie nadzieje na jego dalszą karierę. Był przede wszystkim doskonałym wodzem. Ale hrabia miał własny pogląd na traktat w Ryswick.

- To nie jest prawdziwy pokój - mówił - a tylko rozejm. Obie strony są chwilowo wyczerpane wojną, potrzeba im czasu na zebranie nowych sił. Król Ludwik z pewnością nie zrezygnował ze swych ambicji. Najjaśniejszy pan jest człowiekiem chorym. Mój czas nadejdzie. Zdarzenia ludziom rozkazują.

William wyniósł z traktatu w Ryswick tę satysfakcję, że został przez Króla-Słońce oficjalnie uznany (oficjalnie, ale ze złośliwym przymrużeniem oka, jak się później okazało) prawowitym monarchą Anglii. Innych powodów do zadowolenia miał niewiele. Parlament popierał go, dopóki toczyła się wojna, ale skoro tylko podpisano traktat pokojowy, posłowie rzucili się na niego z całą długo wstrzymywaną pasją. Wojsko angielskie liczyło osiemdziesiąt siedem tysięcy żołnierza. Król chciał zatrzymać pod bronią trzydzieści tysięcy: ministrowie i parlament zdecydowali, że tylko dziesięć tysięcy. Żołnierzy angielskich i hugonockich, którzy stawiali czoła niezwyciężonym armiom Króla-Słońce i szczęśliwie uniknęli kul dziesiątkujących ich towarzyszy, puszczono teraz na ulice, by głodowali lub kradli. Powstały bandy rozbójników; wysyłano przeciw nim oddziały jeźdźców, tych samych, z którymi niedawno strzemię przy strzemienu atakowali nieprzyjaciela.

Dla Williama były to dopiero początki kłopotów. Parlament rwał naprzód jak psy gończe spuszczone ze smyczy, a następną ofiarą ich pościgu byli królewscy rodacy. Holenderskich gwardzistów odesłano do ich ojczyzny. Anglia gotowa była płacić im żołd za wojowanie, ale nie zamierzała ponosić kosztów ich utrzymania w czasie pokoju. Jeszcze bardziej upokorzyła Williama uchwała o pozbawieniu wzbogaconych przez niego faworytów wszelkich nadań ziemi w Anglii, chociaż nie odebrano im tytułów. Nic dziwnego, że hrabia Marlborough uśmiechał się ze złośliwą satysfakcją.

- Skąd teraz - zapytywał - jego królewska mość weźmie doświadczonego dowódcę angielskich wojsk, gdy wybuchnie znowu wojna, a wybuchnie niezadługo?

Rehabilitacja hrabiego Marlborough nie zaczęła się jednak od nominacji wojskowej i nic nie zawdzięczała traktatowi w Ryswick ani odesłaniu holenderskich oficerów, chociaż to ostatnie zarządzenie wywarło wpływ na jego dalszą karierę. Do rehabilitacji przyczyniły się dwie córki Jakuba: jedna z nich swoją śmiercią, druga - chorobą.

W ciągu całego swego małżeńskiego pożycia księżna Anna - słabowita, wciąż chora, a to na

puchlinę wodną, a to na podagrę - szesnaście razy zachodziła w ciążę i albo roniła, albo rodziła martwe dziecko. Ale w roku 1698 wydała na świat żywego, zdrowego chłopca: Williama, księcia Gloucester. Miał teraz dziewięć lat i - o ile by Anna objęła tron po śmierci schorowanego króla - mógł oczekiwać, że we właściwym czasie wstąpi na tron Anglii. Zgodnie z tradycją, czas już był, by miał własny dwór i guwernera, który by go uczył obowiązków przyszłego monarchy. Sara wyczuła dobrą sposobność i zwróciła się do „pani Morley”:

- Nieraz mówiłaś, że chciałabyś nam się przysłużyć. Nawet proponowałaś memu mężowi jakąś nominalną synekurę na twoim dworze.

- Zawsze, przy każdej sposobności - odparła księżna - gotowa jestem zrobić wszystko, czym mogłabym dowieść mojego najgłębszego do ciebie przywiązania.

- Jest pewne stanowisko, którego przyjęcia z całą pewnością hrabia Marlborough by nie odmówił. Stanowisko guwernera księcia Gloucester.

- Moja droga, moja kochana pani Freeman, rzecz załatwiona! Od śmierci mojej siostry jego królewska mość, jak sama wiesz, okazuje mi wiele względów. Na pewno mi nie odmówi, gdy go o tę nominację poproszę, a uczynię to jeszcze dziś. Wiesz, że po tobie najbardziej jestem przywiązana do pana Freemana. Niczego nie mogłabym życzyć sobie bardziej, niż tego, bym mogła mieć dla mego syna takiego guwernera.

William nie odmówił. Stanowisko łączyło się z uposażeniem w wysokości dwóch tysięcy funtów rocznie. A jednocześnie Marlborough związał się jeszcze ściślej z rodziną domniemanej następczyni tronu - która niebawem będzie ogłoszona oficjalną następczynią tronu - co okaże się podwaliną jego fortuny i sławy.

Jednocześnie mianowano duchowego preceptora młodego księcia. Został nim dr Gilbert Burnet, biskup Salisbury. Wyznaczono jeszcze kilku nauczycieli, a chociaż oficjalnie odpowiedzialnym za wychowanie chłopca był jego ojciec, książę Jerzy, jednak wszystkie nominacje musiały mieć zgodę króla.

Wprawdzie dr Burnet był przyjacielem rodziny Marlborough, jednakże Sara miała pewne zastrzeżenia co do tej nominacji. I nie bez powodów. W okresie aresztowania i niełaski, w jaką popadł jej mąż, dr Burnet przyrównywał go do rzymskiego wodza z VI wieku Belizariusza, który zwycięsko odpędziwszy bułgarskich barbarzyńców, obudził zawiść cesarza Justyniana i został oskarżony o spiskowanie przeciw niemu.

- Ale jak to się stało - zapytała Sara - że taki człowiek jak Belizariusz tak mało miał przyjaciół? I nikt się za nim nie ujął?

- Droga hrabino - odpowiedział nietaktowny biskup - to łatwo wyjaśnić. Biedny Belizariusz miał taką wiedźmę za żonę!

Burnet miał opinię człowieka sprzedajnego. Po jego śmierci Jonathan Swift, zażarty wróg Churchillów, nie cofający się przed oszczerstwem, napisze zjadliwą fraszkę o tym, że jeśli taki biskup miałby się dostać do nieba, to byłaby nadzieja „nawet dla księcia i księżny Marlborough”.

Najstarsza córka Johna i Sary, osiemnastoletnia Henrietta, wyszła za mąż za młodego lorda Rialtona, syna Godolphina. Było to w tym samym roku, kiedy Marlborough objął stanowisko guwernera księcia

Gloucester. Rodzice panny młodej pochwalali związek z potomkiem zaprzyjaźnionej rodziny, ale pan młody nie posiadał fortuny, a Marlborough tytułem posagu dał mu rocznego dochodu tylko pięć tysięcy funtów szterlingów. Na szczęście księżna Anna, zawsze hojna, przyszła z pomocą i dołożyła

taką samą sumę. W następnym roku druga córka Churchillów, nazwana imieniem księżnej poślubiła Lorda Spencera. Odzywały się głosy, że dla tego niemłodego już wdowca szkoda było prześlicznej dziewczyny, o której słynny eseista Joseph Addison pisał: „Jest w stolicy córka dzielnego żołnierza, która spojrzeniem swych oczu podbiła więcej mężczyzn, niż jej ojciec zmusił do ucieczki z pola bitwy”. Anna była faworytką ojca, oprócz urody posiadając inteligencję i rozum nad wiek.

Pierwsza dama sypialni jej księżęcej mości popełniła jeden z rzadko jej się trafiających błędów taktycznych.

- Chciałabym mieć więcej czasu dla ciebie, dla dzieci, dla domu - mówiła do Johna. - Prócz tego nuży mnie ta krzątania przy toalecie księżny. Zamierzam namówić Annę, by zgodziła się przyjąć na dwór moją kuzynkę, Abigail Hill, która by mnie odciążała od mniej atrakcyjnych zajęć.

Abigail Hill była córką jednej z wielu sióstr ojca Sary. Rodzina zubożała, Sara często wspomagała ich finansowo. Rodzice Abigail zmarli wcześniej, pozostawiając czworo dzieci na łasce losu; Sara zajęła się więc sierotami, posyłała je do szkół, a później zdobyła dla każdego jakąś posadę, która pozwalała przynajmniej zarobić na życie.

Tak więc Abigail Hill dostała się na dwór księżny Anny jako garderobiana sypialni. Pełniła właściwie posługę pokojowej. Miała wiecznie zaczerwieniony nos, wygląd niezdaty i dość prostackie maniery. Jej dobrodziejka ufała, że dziewczyna, wdzięczna i wierna, posłuży za narzędzie, dzięki któremu ona sama będzie mogła nadal kierować księżną, przepędzając mniej czasu przy jej osobie. Nie przyszło Sarze na myśl, że dziewczyna może na własną rękę uzyskać wpływ na panią Morley.

Hrabina Marlborough nie była jedyną, której zależało na wzglęдах księżny Anny. Przywódca torysów, Robert Harley, również - starał się wkraść w łaski następczyni tronu, a przede wszystkim „chciał wiedzieć, co się dzieje i o czym mówi się na jej dworze. Nie lubił Sary, która mu odpłacała wzajemną niechęcią, pojmował więc, że od niej niczego się nigdy nie dowie. Natomiast nowa garderobiana sypialni mogłaby może przydać mu się w kuchennych intrygach.

Niezbyt inteligentny wygląd posłużył Abigail jako użyteczna maska. Najpierw starała się dogodzić księżnie, odgadywała w lot każde jej życzenie, uczyniła z siebie najuległą niewolnicę. A Sara, nie zdając sobie sprawy, że oto jej własne podwórko jest narażone na podstępny chytrej lisicy, cieszyła się swobodą. Pani Morley nadal pisywała do niej przesadnie sentymentalne listy, witała oboje, Johna i Sarę, za każdym razem z serdecznym wylaniem i polegała na radach hrabiego. Księżna miała na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że gdy obejmie panowanie, pani Freeman będzie dla niej wielce użyteczną. Zarazem wyswobodziła się z wiecznej zależności od Sary i z przyjemnością zamieniła jej; arogancję, humory i dyktatorskie zapędy na uległą służalczość Abigail Hill.

Nominacja Churchilla na księżęcego gubernera pociągnęła za sobą inne obowiązki. Powierzano mu wciąż nowe misje wojskowe i dyplomatyczne, a kiedy król wyjechał do Holandii, Marlborough wszedł w skład Rady Regencyjnej. Jednocześnie z chwilowego zapomnienia wynurzył się George Churchill, by zająć w Radzie Admiralicji miejsce, na którym do tej pory zasiadał Holender. Przyływ powodzenia wynosił do góry całą rodzinę. Ale Johna niepokoiła oziębłość, w każdym razie brak osobistej przychylności ze strony króla.

„Król nadal jest bardzo chłodny wobec mnie - pisał do hrabiego Shrewsbury. - Nie wiem, jaką manierą mam to przyjmować, nie wiem, jak ścierpieć...”

A przecież nie powinien był się dziwić. Nawet nie wiedząc, jak dalece Marlborough i inni

zaawansowali się w swoich konszachtach z Jakubem, król dysponując bardzo sprawnym systemem szpiegowskim, z pewnością był poinformowany co najmniej o fakcie korespondencji. Nie dopuszczał do poufałości ludzi, którzy mocno mu wyglądali na podwójnych zdrajców.

Dobrze się stało, że Marlborough miał inne jeszcze stanowiska, prócz opieki nad księciem i jego dworem. W roku 1700 jego pupil zachorował na szkarlatynę. Zawsze był słabego zdrowia. Miał wyjątkowo dużą głowę i nad wiek rozwinięty umysł. Rodzice i nauczyciele pozwalali mu stale ślęczeć nad książkami i zdawać egzaminy z takich tematów, jak jurysprudencja, prawo Gotów i ustrój feudalny. A był przecież jeszcze dzieckiem. Delikatny organizm, dodatkowo osłabiony nadmierną nauką, nie zdołał zwalczyć choroby. Posłano po sławnego lekarza, doktora Johna Radclyffe. Domowy medyk księcia powiedział, że zastosował puszczenie krwi pacjentowi.

- To zniszczyłeś wszelkie szanse, jakie może jeszcze były - rzekł Radclyffe. - I możesz go sam wykończyć, bo ja go leczyć nie będę.

Anglia miała następczynię tronu, ale po niej nie było następcy.

W tym samym roku zmarł w Europie człowiek, którego śmierć miała przynieść zmiany o znacznie większych konsekwencjach politycznych. Dynastia Habsburgów była rozdzielona na dwie gałęzie, na czele ich stali: cesarz rzymski narodu niemieckiego Leopold i król Hiszpanii Karol II. Ten ostatni był epileptykiem i ulegał okresowym napadom obłąkania. Wstąpił na tron w roku 1665, gdy liczył zaledwie cztery lata, a od kiedy wiadomo było, że nie spłodzi potomka (choć dwukrotnie żonaty) w Europie kłopotano się o to, kto zostanie jego następcą.

Dwóch było aspirantów do tronu Hiszpanii: arcyksiążę Karol, syn cesarza, oraz z dynastii burbońskiej książę andegaweński Filip, wnuk Ludwika XIV. W Hiszpanii na ogół skłaniano się ku Habsburgowi, więc na łożu śmierci Karol II kazał sporządzić odpowiedni testament. Ale tu wmieszal się kościół katolicki, którego oficjalnym zadaniem była troska o dusze, ale który w ciągu dziejów zwykł troszczyć się także o własne polityczne znaczenie. Na parę godzin przed śmiercią króla arcybiskup Toledo, działając według instrukcji papieża, zamknął przed królową - księżniczką niemiecką - komnatę królewską i wymusił na umierającym podpisanie testamentu mianującego następcą tronu Filipa andegaweńskiego.

Chociaż nawet w testamencie zastrzeżono, że trony Hiszpanii i Francji nie powinny być nigdy połączone unią personalną, jednakże Ludwik XIV zgodził się na testament w nadziei, że i on sam, i po nim Delfin potrafią podporządkować sobie Hiszpanię Burbonów i znajdą w niej pewnego sprzymierzeńca. Cesarz zaprotestował przeciwko wykluczeniu swego syna, a Anglia z Holandią nie mogły zaakceptować takiego - pomnożenia potęgi Francji. William pisał do Antoniego Heinsiusa, stojącego na czele rządu w Holandii:

„Jeżeli ten testament wejdzie w życie, największe niebezpieczeństwo zawiśnie nad Anglią i Holandią”.

Wznowienie wojny z Francją stało się nieuniknione. Zarówno w Europie, jak i w wyspiarskim królestwie niepokojono się i martwiono, ponieważ William Orański, wytrwały przeciwnik Króla-Słońce, twórca i przywódca Wielkiego Przymierza, w tak krytycznym czasie zapadł na zdrowiu. Potomek rodu, w którym suchoty często występowały, w ciągu pięćdziesięciu lat swego życia zawsze był słabowity. Najłżejsze zaziębienie od razu wywoływało wysoką gorączkę. Często miewał obrzmiałe nogi, co przypisywano puchlinie wodnej. Odżywiał się przeważnie płynami: zupy, mięso gotowane i podawane w rosole, piwo. Lekarze nalegali, by jadał to, co ponoć dawało angielskiej szlachcie ich czerstwe zdrowie i nawet zostało uwiecznione w pieśni: pocziwą pieczeń wołową

starej Anglii. Ale William nie znosił nawet widoku wołowiny. Dzięki niezwykłemu hartowi ducha zmuszał się niekiedy do odbywania przeglądu wojsk, a nawet wyjeżdżał do Holandii: kiedy indziej sprawował rządy nie wstając z tapczana, na który go przynoszono. Tak właśnie było podczas świąt Bożego Narodzenia po śmierci króla Hiszpanii.

W Pałacu Kensyngtońskim, w wielkiej posepnej komnacie z oknami zasłoniętymi ciężkimi kotarami król leżał na łożu wychudły, o zmęczonych oczach, wstrząsany kaszlem, słabymi gestami ręki podkreślając cicho wymawiane słowa. Przy nim siedziała jego przyjaciółka, Holenderka Joost van Keppel, któremu król nadał angielski tytuł hrabiego Albemarle.

- Musimy poczekać, by Francja dała powód... albo pretekst do wojny - mówił William. - A tymczasem należy się zakrzętać wokół »odrestaurowania Wielkiego Przymierza. Trzeba raz na zawsze skończyć z tym mitem o niezwyciężoności Francuzów. Ludwik musi się nauczyć ograniczać swe ambicje... ścieśnić horyzonty.

Albemarle potrząsnął głową i rzekł z uśmiechem:

- Na to łatwo się zgodzić. Ale zważywszy stan zdrowia waszej królewskiej mości... kto i jak ma się tym zająć?

- Jest... - powiedział król. - Jest jeden człowiek... a że to odpowiedź na pierwsze twoje pytanie, tym samym będzie odpowiedzią na drugie...

- Ale skoro wasza królewska mość sam, ze swoimi talentami, nie zdołał...

- Moje talenty niechaj potomność osądzi. Brak mi było rzeczy najpotrzebniejszej dla moich celów... i celów Europy... brak mi było geniuszu wojskowego...

- Wasza królewska mość krzywdzi sam siebie! - przerwał hrabia Albemarle.

Jednakże historycy wojskowości potwierdzili później przenikliwość Williama w ocenie własnych talentów militarnych. Król zignorował uwagę hrabiego i mówił dalej:

- Długo nie chciałem się pogodzić z tą zwykłą prawdą. Pewno po prostu z próżności. Spodobało mi się myśleć o sobie jako o równym w strategii i taktyce marszałkom francuskim, staremu Turenne, Tallardowi, Vaubanowi. Nigdy nie byłem im równy. Teraz to nie ma znaczenia. Dobiegając kresu własnego życia człowiek widzi wyraźniej to, co przedtem wydarzenia i naciski zaciemniały. Teraz dostrzegam, czyj geniusz jest nam potrzebny, i ty też wiesz... Czy pamiętasz, co nasz przyjaciel książę de Vaudemont powiedział o Churchillu... ile to lat temu? Dziesięć czy więcej... Powiedział: „Żaden z poddanych waszej królewskiej mości nie może wznieść się tak wysoko na szczyty wojennej sławy jak ten, bo ma po temu wszelkie dane, połączenie doskonałości: rozsądek i zapał, umiejętność i odwagę...”

- Pamiętam bardzo dobrze i nie mam wątpliwości, że Marlborough jest najlepszym z angielskich wodzów.

- Musimy się pogodzić z tym - powiedział William chudymi palcami przecierając czoło i - że Churchill przewyższa również naszych holenderskich dowódców. Oni są kompetentnymi dowódcami, on jest genialny. A jednak nie powierzyłem mu...

- Ależ były powody, bardzo ważne powody... - zaprotestował Albemarle.

- Ważkie powody... może nie takie znowu ważne. Jednym z powodów było to, że wolałem wojować ramię w ramię z holenderskimi żołnierzami, jednej myśli ze mną. To błąd. Lepiej byłoby mieć kogoś, kto myślał inaczej, kto krytykując moją taktykę zmusiłby mnie do przemyślenia jej raz jeszcze. Dla mnie teraz za późno. Ale nie dla Churchilla. On jest w moich latach, ale ma zdrowie...

- Zawsze istniała kwestia jego lojalności - przypomniał Albemarle.

- Racja. Nie ufałem mu, jak nie ufałem nikomu z tych, którzy zdezerterowali od stryja Jakuba, by przejść na moją stronę.

- Więc jak teraz można ufać Churchillowi?

William zaniósł się suchym kaszlem. Wreszcie powiedział ze znużeniem w głosie:

- Księżna Anna weźmie po mnie koronę. Marlborough i jego żona są jej najbliższymi przyjaciółmi. Będą wobec mnie lojalni, aż do chwili.

- Więc wasza królewska mość wyznacza hrabiego Marlborougha wodzem wojsk Wielkiego Przymierza?

Tak doszło do powzięcia decyzji, która pozwoliła nakreślić imię Johna Churchilla, księcia Marlborough, w poprzek nieba nad Europą, od Morza Północnego aż po Dunaj.

Część trzecia
WÓDZ NACZELNY

Rozdział 15

NOWE GODNOŚCI

„Wzrostu mniej więcej średniego, świetnej figury i postawy; rysy oblicza bez jednej wady, oczy piękne, błyszczące, a cera tak jasna i z takim rumieńcem, iż słabsza płeć pozazdrościć by mogła; krótko mówiąc, gdyby nie nogi, które ma za chude, byłby to jeden z najprzystojniejszych mężczyzn na świecie”.

I to nie kobieta tak opisywała Churchilla po jego przyjeździe do Hagi, lecz deputowany do holenderskich Stanów Generalnych, Siceo van Goslinga. Obdarowanego tytułami i urzędami hrabiego - wodza wojsk brytyjskich na kontynencie, ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego Anglii - podejmowano z wielkimi honorami. W oddanym do jego dyspozycji luksusowo urządzonego pałacu holenderscy mężowie stanu, włącznie z „Pensionariuszem” Rady Heinsiusem oraz ambasadorami innych państw, składali mu oficjalne wizyty. Za królewskie pieniądze Marlborough wydawał wystawne przyjęcia. Ze skarbu otrzymał złotą i srebrną zastawę stołową wraz z funduszem przeznaczonym specjalnie na podejmowanie oficjalnych gości. (Ceremonialna zastawa stołowa z czystego srebra była w początkach roku 1780 w posiadaniu jednego z potomków tej rodziny i została oceniona przez ekspertów na milion funtów szterlingów; w roku 1701, gdy ją wysyłano do Hagi, warta była nie więcej jak pięć tysięcy funtów).

Gdy John wyjeżdżał do Hagi, oboje z Sarą nie bez powodu radowali się taką odmianą fortuny. Pozycję ich wzmocniła jeszcze ustawa o sukcesji, uchwalona przez parlament, a wyznaczająca ich przyjaciółkę księżną Annę, na następczynię tronu po Williamie; w dalszej kolejności wyznaczono protestancką księżną-wdowę Hanoweru Zofię i jej potomków - po wsze czasy.

Ale w kraju zaczęto się obawiać, że z chwilą wstąpienia na tron Anny Churchillowie będą de facto królem i królową Anglii - we wszystkim, prócz miana. Dworzanie i politycy kłaniali się nisko hrabiemu i hrabinie, ale wyszydzała ich za plecami. Wśród niezadowolonych znalazł się książę Ormonde, żołnierz dobry, choć bez polotu, który walczył u boku króla Williama w bitwie nad rzeką Boyne. Czuł się dotknięty, ponieważ człowiekowi bez arystokratycznego pochodzenia, a także bez osobistego majątku powierzono stanowiska, do których on sam aspirował. Toteż wkrótce doszły uszu Sary wiadomości, natychmiast przekazane mężowi, o spisku mającym na celu pominięcie Anny i oddanie korony Hanowerczykom. Takie posunięcie - parokrotnie rozważane w ciągu najbliższych lat - miało podważyć pozycję i przywileje obojga Churchillów.

- Na Boga, jeśli tego poprobują - zdenerwował się John - przejedziemy im po brzuchach!

Władza Sary miała istotnie ogromny zasięg. Zdrowie króla ulegało dalszemu pogorszeniu, więc szukano protekcji hrabiny, by przez nią wpłynąć na następczynię tronu; królewscy ministrowie zwykle stosowali się do jej życzeń. Dawne ambicje Sary ograniczały się do spraw dotyczących wyniesienia jej męża; teraz uległa obsesji władzy dla władzy samej. Pod jednym wszakże względem nie zmieniła się:

„Gdybym chciała gromadzić fortunę przekupstwem - napisze później w swoich pamiętnikach - z

pewnością bym nie pominęła okazji sprzedawania tych godności, którymi dysponowałam z racji mego stanowiska. Mogłam to czynić z największą łatwością, a tradycyjny obyczaj uprawniał mnie do tego w pewnym sensie. Ale nigdy ani mi przez myśl nie przeszło, aby brać pieniądze za moją przychylność ani też za łaski księżny...”

Tym razem można jej wierzyć. Jest pod dostatkiem innych źródeł., potwierdzających prawdę jej słów.

Marlborough miał mnóstwo pracy. Wolny od kłopotów związanych z własną pozycją i karierą, hrabia z całą energią i dyplomatycznym talentem zajął się wzmocnieniem, a właściwie ponownym nawiązaniem Wielkiego Przymierza, z Anglią, Holandią i niemieckim cesarstwem jako głównymi filarami. Musiał godzić sprzeczne interesy poszczególnych państw, jednać zawistnych monarchów, przeważnie tyranów na własnych podwórkach, a skłonnych do pogardy wobec tego parweniusza wysuniętego przez króla Williama. I potrafił wszystkich skutecznie przeciągnąć na swoją stronę: osobistym urokiem, zręcznymi pochlebstwami, a gdy zaszła potrzeba, hojnymi łapówkami.

Dyplomacja nie odciągała jednak hrabiego od równie sumiennego zajmowania się sprawami wojskowymi. Stosunkowo długa bezczynność w sensie militarnym nie osłabiła ani jego talentów, ani zapału. Przyrodzoną mu zapalczywą odwagę powściągało teraz doświadczenie i przezorna kalkulacja. Przede wszystkim zawezwał z Irlandii Williama Cadogana i mianował go generalnym kwatermistrzem. Na tym kluczowym stanowisku Cadogan niebawem stał się prawą ręką wodza naczelnego, przy sposobności wzbogacając się pobieraniem opłat za ułatwianie audiencji u hrabiego.

Marlborough i jego kwatermistrz generalny uzgodnili z władzami holenderskimi rozmieszczenie i zaopatrzenie wojsk angielskich. Hrabia bardzo często lustrował regimenty, obserwował musztry i ćwiczenia, wglądał - jak się nauczył od Williama - osobiście w każdy szczegół administracji. Dyscyplina w oddziałach brytyjskich bardzo się poprawiła pod dowództwem holenderskich oficerów. Sam trzeźwy i powściągliwy w mowie, Marlborough starał się wykorzenić z wojska pijaństwo, hulanki, przeklinanie. Koszary i obozy utrzymywano w rygorystycznym ładu i czystości, z wielką korzyścią dla zdrowia żołnierzy, żołd wypłacano regularnie, nie zezwalało na łupiestwa i rabunki. Za zarekwirowane konie i prowiant płacono według cen rynkowych.

Pod koniec września roku 1701 Marlborough pisał do Godolphina:

„Szczерze się cieszę dyplomatycznym sukcesem, a to zarówno ze względu na dobro kraju, jak i moje osobiste. Drugie wydarzenie z tego samego dnia wydaje się zapowiadać, że niebawem będę się musiał zajmować przede wszystkim rzeczami wojskowymi”.

Sukcesem dyplomatycznym było podpisanie drugiego traktatu Wielkiego Przymierza. Hrabia osobiście nad tym pracował, ale tuż za nim stał król, powszechnie szanowany, a także uznany za zaciętego wroga Francji. Drugim wydarzeniem była śmierć wygnanego Jakuba II.

Wielkie Przymierze oficjalnie miało na celu „zachowanie wieczystego pokoju między wysokimi układającymi się stronami oraz równowagi sił”. Popierano pretensję Habsburgów do tronu Hiszpanii, choć zasiadał już na nim Filip Andegaweński. Od Francji żądano zwrotu Belgii z nienaruszonymi wszystkimi fortecami. Do przymierza zapraszano każde państwo, które by sobie tego życzyło i wyraziło zgodę z jego postulatami. Teoretycznie zostawiono w ten sposób drzwi otwarte przed Ludwikiem XIV, ale tylko chwilowo. Zastrzeżono, że jeżeli Francja nie przyłączy się do traktatu w ciągu dwóch miesięcy, sprzymierzeni wypowiedzą jej wojnę. Mało było prawdopodobne, żeby Król-Słońce zgodził się przekreślić wszystkie swoje ambicje, w imię których szafował życiem poddanych i bogactwem narodu w ciągu całego panowania. Toteż Wielkie Przymierze było

właściwie traktatem wojennym. Jednocześnie Anglia i Holandia, żywiąc wątpliwości co do konkretnego poparcia, jakiego ewentualnie miał im udzielić cesarz, podpisały pakt o wzajemnej pomocy. A Ludwik nie tylko trzymał się z dala od Wielkiego Przymierza, co było do przewidzenia, ale wbrew podpisanemu przez siebie traktatowi w Ryswick, oficjalnie uznał syna zmarłego Jakuba za prawowitego króla Anglii. >

Anglicy nie przejawiali zbyt dużego zapału do wskrzeszenia Wielkiego-Przymierza, a tym mniejszy do wojny. Działania wojenne utrudniają handel, a nie było widoków na konkretne korzyści dla Anglii nawet po zwycięstwie, zresztą bardzo problematycznym. Jednak bezceremonialny postęp Ludwika - ponoć za poduszczeniem pani de Maintenon - wzbudził oburzenie. Król William stał się popularny po raz pierwszy od chwili wstąpienia na tron, a Marlborougha też objęła fala ogólnej sympatii. Zapanowała atmosfera bojowa, powtarzano hasło: „Niech wojna raz o wszystkim rozstrzygnie!”

Parlament uchwalił fundusz na czterdzieści tysięcy żołnierzy i tyle-samo marynarzy. Te liczby ustalił dla Anglii traktat Wielkiego Przymierza, przewidując równocześnie, że Holandia wystawi sto tysięcy ludzi, łącznie z załogami istniejących fortec. Anglia posiadała dwieście okrętów wojennych, z czego połowę o ponad pięćdziesięciu działach. Siły morskie Holandii wynosiły mniej więcej trzy piąte sił angielskich. Łącznie te dwa państwa miały dwa razy tyle, ile mogła wysłać na morze Francja. Puszczono w ruch angielską maszynę werbunkową. Z więzień zwalniano przedterminowo przestępców, którzy zobowiązali się wstąpić do wojska. Z ulic i gościńców zagarniano włóczęgów, zamieniając ich łachmany na czerwone kurtki i niebieskie spodnie żołnierskiego munduru. W Holandii zarządzono mobilizację. Ambasadorzy: angielski i francuski zostali odwołani do własnych krajów.

Do wojsk holenderskich i angielskich cesarz miał dodać osiemdziesiąt dwa tysiące ludzi - chociaż nigdy nie dopełnił tego zobowiązania w całości - a Duńczycy jeszcze dwadzieścia tysięcy. Papież - obecnie Klemens XI - opuścił Wielkie Przymierze i opowiedział się po stronie Francji. Szwedzki Karol XII zdradzał wyraźne sympatie profrancuskie, ale Marlborough zdołał go przekupstwem nakłonić do neutralności.

Dość niespodziewanie działania wojenne zaczęły się we Włoszech. Trzydziestoośmioletni książę Eugeniusz z dynastii sabaudzkiej, który wykazał się męstwem i talentami wojskowymi podczas słynnych walk o Wiedeń w roku 1683, poprowadził siły cesarskie przez wschodnie Alpy i na równinie rzeki Pad zaszachował znacznie liczniejszą armię francuską pod dowództwem marszałka Catinat, a później Villeroi. Anglicy i Holendrzy jeszcze werbowali i musztrowali. Oficjalnie wypowiedziano wojnę dopiero w maju 1702. Dwa miesiące wcześniej Churchilla wezwano pilnie do Anglii.

Król William na przejażdżce w Richmond Parku spadł z konia i złamał sobie obojczyk. Wydawało się, że to nic poważnego i istotnie przez kilka dni kuracja przebiegała pomyślnie. Aż wdała się gorączka; król w ogóle nie mógł przyjmować pożywienia. Dla wszystkich już było jasne, że to koniec.

Król rzekł do Churchilla:

- Sądząc po twojej, milordzie pracy na rzecz Wielkiego Przymierza, wiem, że słusznie postąpiłem, powierzając ci twoje obecne wysokie urzędy. Znasz dobrze główne cele, którym poświęciłem moje życie. Ich ostateczne wypełnienie oddaję w twoje ręce.

John uklęknął i ucałował królewski pierścień. Prawie płakał z żalu za tym królem, którego dopomógł intronizować, a później zamierzał zdradzić; za królem, który mu początkowo nie ufał, a

później wprowadził go na drogę wiodącą do sławy.

Z kolei umierający monarcha zwrócił się do księżny i ministrów, zebranych wokół jego łoża:

- Twei ministrowie pokierują tobą, Anno. Ale jedno chciałbym ci najusilniej doradzić, a to, byś koniecznie zachowała hrabiego Marlborough na jego obecnych stanowiskach. Nikt w Anglii ani w Holandii nie potrafi tak dobrze jak on wywiązać się z tych obowiązków.

Księżnej Annie ta rada nie była chyba potrzebna: ale innym...

William, rządząc sprawiedliwie i zgodnie z przyrzeczeniami, zachował swobody religijne i obywatelskie królestwa. Niesłusznie posądzano go, jakoby wywoził angielskie złoto do Holandii. Król wysyłał pieniądze i żołnierzy tylko dla sprawy, która według jego najgłębszego przekonania, była równie ważna dla Holandii, jak i dla Anglii, a nawet dla całej zachodniej Europy. Mało kto go opłakiwał w jego wyspiarskim królestwie: powodem było uparte niezrozumienie jego natury i zwykła niewdzięczność. Piękne epitafium tego władcy skreślił w dwieście lat później wielki historyk: wspominając o tym, że Williama nie doceniali jego własni poddani, prof. G.M. Trevelyan pisał: „Dążył do dobrobytu i wolności królestwa i te cele osiągnął. Jego epoka i jego rodzinny kraj nałożyły mu kalwinizm jak maskę stoikowi, który służył Bogu z obowiązku, nie ze strachu. Gardził popularnością. Gardził okrucieństwem. Jego mądrość była nieznużona, a cierpliwość równa cierpliwości bogów”.

Godzina Johna i Sary nareszcie wybiła. Na pierwsze uroczyste otwarcie parlamentu, w trzy dni po wstąpieniu Anny na tron, hrabina Marlborough jechała razem z królową w jej karecie, a hrabia niósł miecz stanu. Państwo Freeman napisali dla Anny jej mowę tronową, w której obiecano zachować protestancką religię i protestancką dynastię, kontynuować wojnę z Francją i dopełnić zobowiązań podjętych przez Williama dla obrony Europy przed hegemonią Ludwika XIV.

Nowa monarchini widziała świat w kolorach białych i czarnych, na nic pośredniego nie było miejsca. Ludzie byli dla niej zaufanymi przyjaciółmi lub zaciętymi wrogami. Wigów, nonkonformistów, uważała za wrogów kościoła anglikańskiego i nie wiele lepszych od republikanów. Nienawidziła ich. Torysi byli w jej pojęciu starymi rojalistami, wiernymi obrońcami anglikanizmu. Prócz tego jej dwaj główni doradcy polityczni głosili, że są torysami - Marlborough i Godolphin. Nie pamiętała o ich obyczaju częstych zmian, przechodzenia z jednej strony na drugą, gdy to służyło sprawom ich kariery.

Sara usiłowała przekonać królową - nadaremnie - a także swego męża i Godolphina, że prawdziwymi rojalistami są wigowie, którzy sprowadzili z powrotem z wygnania Karola II i intronizowali Williama III, i że tylko wigowie będą z całą energią kontynuować wojnę z Francją. Czas dowiódł słuszności jej argumentacji.

Tak się złożyło, że zaraz na początku panowania nowej władczyni Marlborough musiał sprzeciwić się jednemu z jej najdroższych pragnień. Anna chciała mianować swego głupiego, zapijanego męża, Jerzego duńskiego, współmonarchą.

- To byłby wielki błąd, najjaśniejsza pani - mówił hrabia. - Od pierwszej chwili zraziłabyś do siebie parlament, który nigdy się na to nie zgodzi. Troska najjaśniejszej pani o małżonka przynosi jej zaszczyt, ale on jest cudzoziemcem, tylko małżeństwo wiąże go z Anglią, a Anglii z nim nic nie wiąże.

Bardzo bezceremonialne były to słowa, jak na wybornego ponoć dyplomatę. Może Anna nigdy mu tego nie wybaczyła. Ale na razie przyjęła je z taką dobrą wolą, na jaką mogła się zdobyć.

Na uroczystości koronacyjnej królowa włożyła suknię z czerwonego aksamitu przybraną

gronostajami, na to płaszcz z tych samych materiałów; na głowie czepeczek, także z czerwonego aksamitu, na którym miano umieścić koronę Anglii; na szyi ciężki złoty łańcuch z orderem świętego Jerzego. Strój ten, według portretu królowej Elżbiety, zaprojektowała sama pani Freeman, ona też asystowała przy ceremonii ubierania królowej. Abigail Hill biegła tam i z powrotem, zręczna i przymilna, gotowa do każdej posługi.

W opactwie westminsterskim w dzień koronacji szeleściły jedwabie i atłasy, połyskiwały koronety parów królestwa i tiary na głowach dam. Mniej utytułowani mężczyźni nosili strój dworski, jak zwykle przy oficjalnych okazjach: długie, wcięte i dość szerokie surduty z aksamitu lub atłasu, białe atłasowe kamizelki, koronkowe żaboty, peruki w obfitych lokach, jedwabne pończochy i pantofle ze sprzączkami.

Podagra tak dokuczała królowej, że przez większą część ceremonii trzeba ją było podtrzymywać. Wieczorem na uroczystym bankiecie książe Jerzy zasiadł po prawej ręce Anny, Marlborough po lewej, a Sara w pobliżu. Gdy po uczcie uprzątnięto ze stołów wszystko prócz kielichów, zawezwano przedstawicieli Izby Gmin na świadków tradycyjnego obyczaju: do sali wjechał rycerz na białym koniu - tuż za nim biegł giermek ze srebrnym wiadrzem w ręku - i rzucił na posadzkę rękawicę, wyzywając do walki każdego, kto by zaprzeczył praw królowej Anny do tronu. Królowa w odpowiedzi przypięła do rycerza ze złotego pucharu, który mu następnie wręczono w nagrodę za nieustraszoną odwagę.

Sara otrzymała godność strażnika prywatnego skarbcza królewskiego. Miała być przez dłuższy czas również strażnikiem królowej. Jeśli Anna nie mogła się na coś zdecydować, Sara zwykle wpadała do jej komnaty, odprawiała rozkazującym gestem Abigail - która oczywiście podsłuchiwała pod drzwiami - i wołała:

- Na Boga, najjaśniejsza pani, ależ tak być musi!

I zwykle tak było, pomimo odmiennych politycznych poglądów obu kobiet.

Do swych nowych godności Sara niebawem mogła dołączyć również nadleśnictwo parku Windsorskiego, z którym wiązało się prawo do wymarzonej siedziby White Lodge. Jej wszystkie córki piastowały dochodowe dworskie urzędy. Ogólnie biorąc, jej współcześni nienawidzili hrabiny, chociaż miłość Johna do niej nigdy nie osłabła. Sarę cechowała energia i inteligencja godna królowej Elżbiety; niestety nie szedł z nimi w parze takt owej wielkiej monarchini, która potrafiła tak rządzić poddanymi, iżby się wydawało, że im ulega. Toteż piosenki, śpiewane podówczas na ulicach Londynu, o stosunkach hrabiny Marlborough z królową kończyły się refrenem:

Jej tron podnóżkiem dla mnie.

Berło - konikiem drewnianym.

Dosiądą go i pojedą po sławę!

Bo Anna w koronie, to rządy w ręku Sary!

Trzeba było się pogodzić ze sprzeciwem hrabiego Marlborough wobec planów ukoronowania księcia małżonka. Przełknąwszy niezadowolenie, Anna mianowała hrabiego ministrem i potwierdziła jego tytuł wodza naczelnego wojsk angielskich. Marlborough stał się jej prawą ręką. Królowa zwróciła się do parlamentu, by uchwalił dla niego i jego potomków wieczyste apanaż w sumie pięciu tysięcy funtów szterlingów rocznie. Ale parlament nie lubił rozwiązywać sakiewki, tak jak i sam Marlborough. Odmówiono życzeniu królowej. Tym niemniej hrabia nie mógł już dłużej narzekać, że mu się służba nie opłaca. Jego własne dochody ze źródeł angielskich i holenderskich osiągały sumy 60 tysięcy funtów rocznie, a wydawał nadal bardzo oszczędnie. Krążyły żarciki o tym, że

hrabia, w kraju czy za granicą, nigdy nie jadał we własnym domu ani we własnej kwaterze, jeżeli mógł dzięki swym osobistym urokom wprosić się na obiad do innego dyplomaty czy generała. Dochody całej rodziny Churchillów - z generałem Charlesem, kontradmirałem Georgem i córkami hrabiowskiej pary - wynosiły blisko sto tysięcy funtów rocznie. Według waluty XX wieku równałoby się to około dwóm milionom funtów. Królowa zaproponowała, że z własnej szkatuły dołoży do dochodów Sary dwa tysiące rocznie. Pani Freeman wahała się z przyjęciem, ale w parę lat później miała o ten dochód sama poprosić i otrzymać go - z zaległościami od dnia pierwszej propozycji Anny.

Wojnę wypowiedziano w maju. Zanim Churchill wyjechał do Holandii, by rozpocząć pełnienie swych wojskowych obowiązków, królowa postanowiła nadać, mu tytuł książęcy.

- Musisz odmówić - nalegała Sara. - Nie mamy majątku, potrzebnego do takiej pozycji, uwikłamy się w koszty, z których nie wybrniemy. Teraz nam się dobrze finansowo powodzi, ale prawie wszystko, co posiadamy, to są pensje, których może nas pozbawić jeden obrót koła fortuny...

Powinna była lepiej znać swego męża. Pożądał honorów i zaszczytów tak bardzo, że na ten cel nawet wydatków nie szczędził.

Siedzieli we dwoje w jego sypialni, późnym wieczorem, szykując się już do snu.

- Tytuł książęcy - tłumaczył John, zresztą logicznie - podniesie moją pozycję wśród europejskich książąt i wodzów, z którymi będę miał do czynienia. Pamiętaj, że mój poprzednik był królem.

- Twoje talenty - argumentowała lojalnie Sara - wyrównają z nadwyżką skromny tytuł. Książąt jest teraz na kopy. A połowa z nich to holenderskie lizusy zmarłego, a niezbyt żalowanego króla!

John ujął czule jej rękę.

- Na kontynencie tytuły więcej znaczą niż w Anglii - przypomniał. - Więcej niż największe talenty ludzi niższego urodzenia.

- Więc upierasz się przy swoim? - Oczy Sary rzucały niebezpieczne błyski. - Nie dbasz o moje zdanie?

Musiała rządzić wszystkimi dookoła, a sama nie poddawała się niczyjej woli. Jej ogromna witalność przekształciła się w pasję władzy.. A jednak John, zawsze tak łagodny, czuły i przywiązany, nie dał się odwieść od przyjęcia upragnionego zaszczytu. Ujął palcami pukle jej jasnoblonde włosów, przed nocą swobodnie rozpuszczonych na ramiona i ucałował je.

- Będę zawsze robił to, co uznaję za najlepsze - powiedział, uśmiechem i łagodnym tonem maskując stanowczość słów. - Najlepsze nie tylko dla mnie, ale i dla ciebie, dla naszej rodziny. Te loki, zaiste, godne są zdobić głowę księżny!

Sara wyszarpnęła mu włosy z ręki, zerwała się na nogi. Z toaletki pochwyciła nożyczki i zanim John zdołał ją powstrzymać, gwałtownymi ruchami obcięła sobie włosy tuż przy skórze. I rzuciła mu pod nogi długie sploty, a potem wybiegła z pokoju, wołając na wpół z płaczem:

- Więc jeśli Sara Jennings jako hrabina nie dość dobra dla ciebie, to taką będziesz miał księżnę!

W pół godziny później, z rozpaczą obejrzawszy w zwierciadle rezultat swej niepohamowanej porywczosci, Sara wróciła. Z głową owiniętą szalem weszła do sypialni, po cichu zbliżyła się do Johna. On wyciągnął do niej ramiona. Ale jeszcze zanim się w nie rzuciła, zdążyła zauważyć, że jej obciętych włosów nigdzie nie było widać. Z przykrością zdecydowała że widocznie John gdzieś jej bujne sploty wyrzucił.

Dopiero po śmierci Johna Sara miała znaleźć własne obcięte w pasji włosy wśród jego najdroższych osobistych skarbów. Były starannie zawinięte, a wraz z nimi napis na karteczce:

„W gniewie na mnie je obcięła, ale mojej miłości do niej nic nigdy obciąć nie zdoła”.

Przez całą noc po obcięciu włosów tygryśca, chwilowo przemieniona w baranka, leżała w ramionach swego księcia.

Rozdział 16

PIERWSZA KREW

Sara odprowadziła Johna aż do portu, w którym wsiadł na okręt. Wielka kłótnia o przyjęcie książęcego tytułu poszła w zapomnienie. Pożegnanie odbyło się w atmosferze zgody, czułości i westchnień. Zanim jeszcze łąd znikł mu sprzed oczu, John usiadł w kabinie, by do swej impetycznej małżonki napisać list:

„Wyrazić wprost nie potrafię, z jak ciężkim sercem rozstawałem się z Tobą tam, na nabrzeżu... Potem długo jeszcze przez perspektywę wpatrywałem się w brzeg w nadziei, że jeszcze raz Cię zobaczę... W tej chwili tęsknię i cierpię tak bardzo, że nic, prócz powrotu do Ciebie, nie zdoła mnie ukoić...”

Takie słowa, po dwudziestu pięciu latach pożycia małżeńskiego, ze strony pięćdziesięciodwuletniego mężczyzny, stojącego u progu spełnienia od dawna żywionych ambicji - mogłyby się wydawać przesadnym sentymentalizmem. Jednak podobne w tonie i napięciu uczucia John wyrażał tylekroć i przedtem, i później, że nie sposób nie wierzyć w ich szczerość.

W Niderlandach w roku 1702 z punktu widzenia militarnej sytuacji bynajmniej nie przedstawiała się pomyślnie dla aliantów. Francuzi zajmowali całe tak nazywane hiszpańskie Niderlandy - dzisiejsza Belgia - oprócz fortecy Maastricht nad Mozą i przygotowywali się do dalszego pochodu na północ i na wschód. Najbliższym celem Marlborougha było zabezpieczenie Holandii, a to wymagało najpierw odzyskania Belgii, jako państwa buforowego. Cesarz zajęty był we Włoszech, a księstwa niemieckie dążyły do oswobodzenia dolnego Renu, gdzie Francuzi okupowali znaczne połacie kraju wokół Kolonii i Liege.

Heinsius i Stany Generalne postanowili powierzyć Churchillowi naczelną dowództwo nad Holendrami i Niemcami, prócz oddziałów angielskich, gdy już się zaczną działania wojenne. Nie świadczyło to bynajmniej o tym, by generałowie holenderscy uznali jego wyższość; w niedalekiej przyszłości mieli mu przysporzyć niemało kłopotów. Książę musiał się podporządkować tym samym restrykcjom, jakie ograniczały swobodę ruchów króla Williama: nie wolno mu było wdać się w większą bitwę bez zgody deputowanych, znajdujących się przy sztabie z ramienia Stanów Generalnych. Co więcej, każda ważniejsza decyzja musiała być zatwierdzona przez radę wojenną, złożoną z wodzów wszystkich działających armii. Z tej też przyczyny Marlborough niejednokrotnie podstępem skłaniał Francuzów, by go zaatakowali, z czego wywiązywała się bitwa, której potrzeby nie mogli negować ani deputowani przy sztabie, ani rada wojenna.

Od strony politycznej przywództwo Wielkiego Przymierza, dopóki żył William, należało do Holandii. Teraz, w teorii, przeniesiono je do rąk Anglików, którzy dostarczali nie tylko lwią część funduszy, ale także wodza naczelnego; jednakże tylko w teorii, bo w praktyce pełnomocnik Anglii rzadko kiedy bywał w Hadze, co z kolei wynikało być może z tego, że rząd brytyjski zbyt dosłownie wziął do serca ostatnią udzieloną, na łożu śmierci radę Williama, by zostawić Marlborougha na jego urzędach. W chwili gdy król umierał, wojny jeszcze nie wypowiedziano. Marlborough mógł bardzo

dobrze łączyć obowiązki dyplomatyczne z wojskowymi. Gdy wojska ruszyły w pole, sytuacja się zmieniła, ale słów króla trzymano się nadal, a i sam Marlborough, teraz już minister o wyjątkowych wpływach i znaczeniu, nie życzył sobie przycinania własnych skrzydeł, coraz wyżej szybujących. Korespondencja z Heinsiusem nie mogła zastąpić osobistych rozmów, argumentacji, obecności na sesjach Stanów Generalnych, kaptowania sobie poszczególnych deputowanych. Działalność dyplomatyczna Marlborougha ograniczała się więc do miesięcy zimowych, kiedy wojska rozkładały się w kwaterach, a wojowanie zawieszano na kołku. A trzeba jeszcze dodać, że w epoce gdy kurier nieraz musiał długo wyczekiwać na przychylny wiatr, by się przeprawić przez Kanał, konsultacje z Londynem wlokły się w nieskończoność. Toteż w kwestii podejmowania decyzji wpływ Holandii nadal dominował.

Strategia militarna, jaką podówczas praktykowali zarówno Holendrzy jak Francuzi, uległa skostnieniu i przybrała postać przygotowywania linii obronnych, łączących fortece. Wymagało to skomplikowanego ekwipunku, licznych wozów taborowych, zorganizowanych regularnych dostaw. Francuska „Linia Brabantu” ciągnęła się, poza wysuniętymi do przodu fortecami, od Antwerpii przez Arschott i Leau aż do Namuru. Marlborough od początku dążył do przełamania tej strategii szybkimi pochodami, które miały poprowadzić jego armie przez pół Europy.

Król Ludwik XIV osobiście wyprawił się w pole w roku 1702, z całym dworem kochanek, poetów, aktorów, malarzy i kapelanów, których bagaże, nie licząc kuchni z zastępem kuchmistrzów, kuchcików i ich potrzeb, skutecznie zablokowały wszystkie gościńce od Paryża aż po „Linie Brabantu”. Prawem kontrastu, wódz naczelny sił alianckich traktował wojnę jako zajęcie poważne, a jego pochód w niczym nie przypominał dworskich splendorów. Ubierał się skromnie - posiadał tylko trzy surduty - podróżował z lekkim bagażem, nie prowadził wystawnego stołu, a swoją złotą i srebrną zastawę stołową zostawił w Hadze.

Do najbliższego otoczenia księcia należeli: jego prawa ręka Cadogan, łączący funkcje generalnego kwatermistrza ordynansowego z tymi, które w XX wieku sprawowałyby szef sztabu i wywiadu; Adam Cardonnel, coś w rodzaju sekretarza osobistego do kontaktów, ale nie w rzeczach militarnych, z Wielkim Przymierzem; brat Charles, dowodzący angielsko-holenderską piechotę, i dr Francis Hare, kapelan, który oprócz pełnienia swych duszpasterskich obowiązków spisywał diariusz, później cenne źródło informacji dla historyków.

Sprzymierzone armie nie osiągnęły pełnego składu sił przed połową lata. Tymczasem generałowie holenderscy rozproszyli - zdaniem Marlborougha, zmarnowali - sporo wojska na obronę północnych fortec oraz obleganie znajdującej się w rękach Francuzów nadreńskiej twierdzy Kaiserswerth. Wódz naczelny proponował pochód w górę lewego brzegu Mozy, by zagrozić liniom komunikacyjnym wojsk Ludwika i jego garnizonom nad dolnym Renem. Zmusiłoby to ich dowódcę, marszałka Bouffiers, do pośpiesznego wycofania się na zachód od Mozy.

Kiedy Marlborough argumentował i przekonywał Holendrów, że będzie to najwłaściwsze posunięcie, Ludwik, niespokojny o swoje oddziały nad górnym Renem, rozkazał marszałkowi Bouffiers posłać im na pomoc dwanaście batalionów piechoty i szesnaście szwadronów jazdy. To nakłoniło Holendrów do zgody na propozycję wodza naczelnego, ponieważ nad Mozą alianci mieli teraz liczebną przewagę. Bouffiers usprawiedliwił propozycje Marlborougha, wycofując się na zachód od rzeki. Ale generałowie holenderscy nie zgodzili się zaatakować, chociaż, nawet Francuzi przemaszerowali w odwrocie przed frontem wojsk alianckich, wręcz wystawiając się na atak. W każdym razie dzięki prostemu manewrowi Marlborough zmienił sytuację militarną i przejął

inicjatywę.

Oddziały holenderskie i pruskie posłano, by oblegały garnizon francuski w Venloo. Obleżenie posuwało się żółwim krokiem, bo wojska dwóch narodowości, teoretycznie współdziałające, kłóciły się nieustannie: Prusacy chcieli wziąć udział w ostatecznym szturmie, Holendrzy im tego wzbraniali, by zagarnąć dla siebie i chwałę, i łupy. Marlborough, spiesząc się, by wykorzystać w pełni chwilowe pomieszenie w wojskach marszałka Bouffiers, pisał z irytacją do Heinsiusa:

„Jako że służę szczerze pożytkowi wspólnej sprawy, tak też muszę mieć swobodę szczerego wypowiedzenia się... Może się zdarzyć, że nie weźmiecie Venloo, a na dokładkę dostaniecie ciągi... Żołnierze stoją pod murami miasta od ośmiu dni, a teraz ponoć mówią o kopaniu rowów za dwa dni. Jeśli tak służą, niech mnie ręka boska zachowa od tego, by mnie nie służyli podobnie jak Tobie, mój Przyjacielu...”

Był już koniec września, gdy nareszcie Venloo skapitulowało. Przed nadejściem zimy trzeba było koniecznie zająć jeszcze dwie fortece dalej w górę Mozy: Ruremonde i Stevenswaert. Książę osobiście dowodził oblężeniami obu fortec i obie padły w ciągu tygodnia. Rzeka była wolna aż do Maastrichtu. Zapewniono możliwości wybrania dogodnych zimowisk dla żołnierzy na wysuniętych do przodu terenach, z perspektywą dobrego startu w kampanii przyszłego roku. Ale wodzowi to nie wystarczało. Jeszcze dalej było Liege.

- To miasto musimy zająć - powiedział. - Jedyna to właściwie brama, przez którą Bouffiers może dotrzeć do francuskich wojsk w okolicach Bonn, Kolonii, Dusseldorfu i Rheinbergu.

- Ale Bouffiers, siedząc w Tongres, będzie skutecznie przeciwdziałał obleganiu Liege - argumentowali generałowie holenderscy.

- Z pewnością - przyznał Marlborough. - Dlatego też winniśmy nasze główne siły rozmieścić między tymi dwoma miastami.

Tak zrobiono, na co Bouffiers, nie mniej od Holendrów życząc sobie uniknięcia walnej bitwy, wycofał się z Tongres, a Liege padło pod koniec października. Nienasycony wódz naczelny irytował się, iż brak mu czasu, by przed nadejściem zimy zdążyć ze zdobyciem Huy, ostatniej twierdzy we francuskich rękach między granicą Holandii a Namurem.

„Gdyby tylko nie było tego niepotrzebnego odwlekania pod Venloo - pisał - mielibyśmy już w naszym ręku całą dolną Mozę”.

Kampania z roku 1702, choć mało efektowna, przyniosła jednak spełnienie zamierzeń przy minimalnych stratach. Natomiast Francuzów osłabiła utrata czterech garnizonów, każdy po kilka tysięcy ludzi.

Jeszcze w sierpniu tego roku, flota pod wodzą księcia Ormonde przełamała obronę portugalskiej Zatoki Vigo i spaliła aż po linię zanurzenia galeony ze złotem z Indii Zachodnich, a razem z nimi tuzin francuskich i hiszpańskich okrętów wojennych. Dwadzieścia milionów dukatów spoczęło na dnie zatoki.

Z początkiem zimy Marlborough udał się najpierw do Hagi, a następnie do Anglii, witany gorącymi uściskami dumnej Sary. Tu naradzał się z rządem i z królową.

Następny rok przyniósł zmiany na scenie wojny. Gdy Polskę, acz niechętną, wciągnięto za sprawą Piotra Wielkiego w odrębną wojnę ze Szwecją, Portugalia, pod wrażeniem potęgi angielskiej zademonstrowano] w Zatoce Vigo, a w obawie, by król Filip hiszpański nie zechciał zagarnąć jej ziem - odnowiła dawne, tradycyjne przymierze angielsko-

- portugalskie. Z punktu widzenia militarnego Portugalia była co prawda tylko kulawym

kaczątkiem, ale jej przystąpienie do Przymierza zmieniło jeden z początkowych celów wojny. Planowano pozostawić Filipowi hiszpańską koronę, ale odebrać jego królestwu kolonie i dominia. Teraz alianci zdecydowali, posługując się Portugalią jako bazą, rozszerzyć wojnę również na Hiszpanię i wprowadzić na jej tron arcyksięcia Karola Habsburskiego. Przyjęto hasło, które miało w przyszłości przysporzyć niemało kłopotów: „Nie ma pokoju bez Hiszpanii”.

Dalszą zmianę wprowadził Król-Słońce, który postanowił złamać zjednoczone siły Wielkiego Przymierza ambitnym planem okrążającym z Bawarii w dół Dunaju i poprzez Alpy z Włoch: dwie armie miały się połączyć pod Wiedniem. Ten plan, godny Napoleona, zniweczyli dwaj władcy: chwilowy przyjaciel Ludwika, elektor Bawarii, Maksymilian Emanuel, oraz Wiktor Amadeusz II sabaudzki, który zręcznymi posunięciami dyplomatycznymi utrzymywał niepodległość swego małego państwa wbrew zakusom Francuzów, Hiszpanów i Austriaków.

Elektor Bawarii, przekupiony przez Ludwika obietnicą przyłączenia do swych ziem austriackiego Tyrolu, wyruszył na wojnę wraz z siłami marszałka Villarsa i wkroczył do Tyrolu, a marszałek Vendome podszedł do przełęczy Brenerskiej od strony Włoch. Jednakże Tyrolczycy, wierni Habsburgom, porwali za broń przeciw Bawarczykom i takie im zadali straty, że elektor musiał się wycofać i odmówił dalszego pochodu pod Wiedeń. A Sabaudczyk napadami na tyły wojsk Vendome'a zmusił go do zawrócenia, nim jeszcze dotarli do połowy przełęczy. Marszałek Vendome zemścił się na Sabaudii i obiegił Wiktora Amadeusza w jego głównej fortecy. Ale Wiedeń był bezpieczny.

W roku 1703 Marlborough zdobył Bonn, Limburg, Huy i Guelders, uwalniając od Francuzów całe terytorium pomiędzy Mozą a Renem. Zamierzał z kolei wziąć szturmem obronne „Linie Brabantu”. Gdyby mu się to udało, stanęłaby przed nim otworem droga do Francji, a wojska francuskie musiałyby wycofać się znad górnego Renu. Księżę osobiście wyruszył na rekonesans, zbadał umocnienia i uznał, że „linie Brabantu” są do zdobycia; ale generałowie holenderscy na radzie wojennej nie zgodzili się na szturm. Marlborough pojął, że ci ludzie tak mu zazdroszczą naczelnego dowództwa i tak się lękają jego dalszych sukcesów, iż nigdy dobrowolnie nie zgodzą się na żadne działania ofensywne. Otrzymawszy jego sprawozdanie z rekonesansu do „Linii Brabantu”, Heinsius zapytał księcia, dlaczego nie atakuje? Marlborough odpisał z goryczą:

„...dlaczego nie atakujemy, dokładnie się rozejrzawszy i zbadawszy umocnienia linii? Boga wzywam na świadka, że po rekonesansie we środę i czwartek utwierdziłem się w moim pierwotnym mniemaniu, iż moglibyśmy je sforsować z bardzo małymi stratami w ludziach. Tam, gdzie byłem, mogłem widzieć wszystkie ich wojska: a nie dość ich, by obronić umocnienia „linii”. Gdybyśmy zaatakowali, jak trzeba było, znaleźlibyśmy wiele miejsc prawie bez obrońców. Ufam w Boga, że nie będziemy jeszcze gorzko żałować, żeśmy tego nie učinili”.

Niezależnie od stosunku do wodza naczelnego, generałowie holenderscy bez wątplenia życzyli sobie przede wszystkim taktyki defensywnej. Chcieli tylko bronić własnych granic, wierząc, iż do tego starczą garnizony ich fortec, a w ostateczności zawsze można podnieść tamy. Opierali się wszelkim planom wojennym na większą skalę. Ze swojej strony Marlborough dążył do definitywnego pokonania Francuzów, co było możliwe tylko w walnych bitwach. W porównaniu z Fryderykiem Wielkim czy Napoleonem Marlborough był w znacznie trudniejszej sytuacji, ponieważ nie mógł osobiście decydować ani o strategii, ani nawet o taktyce. Musiał przekonywać i zjednywać sobie mężów stanu, musiał radzić sobie z generałami, którzy chociaż stali po jego stronie, więcej mu czasem szkód przyczyniali niż nieprzyjaciel.

Książę posunął się tak daleko w przetargach, iż zaproponował, że będzie dowodzić na przyszłość tylko wojskami brytyjskimi i prze?, skarb brytyjski opłacanymi - przeważnie niemieckimi najemnikami - oraz tymi spośród oddziałów holenderskich, którzy zechcą mu się podporządkować. Ale Heinsiusowi nie brak było przenikliwości. Wiedział, że w ślad za księciem Marlborough będą szły zwycięstwa. Nie zgodził się na propozycję ograniczenia zasięgu jego dowództwa.

Tej zimy podczas zawieszenia działań wojennych na Churchillów spadł najdotkliwszy cios, jakiego zaznali w życiu rodzinnym. Ich jedyny pozostały przy życiu syn, również John, był urodziwym chłopcem lat kilkunastu, podobnym do ojca z osobistego czaru, a przez matkę szczególnie ukochanym. W szesnastym roku chciał wstąpić do wojska i wyprawić się na wojnę, by służyć pod dowództwem ojca. Matka się nie zgodziła. Nawet wódz naczelny w owych czasach bywał często w samym sercu walk; młody podchorąży czy porucznik musiał być wystawiony na niebezpieczeństwa. Gdyby chłopca zatrudniono przy sztabie ojcowskim, jeździłby z rozkazami pod gradem kul przez pola bitew. A jednak, jak się okazało, młody John nie naraziłby się na większe niebezpieczeństwa we Flandrii niż na uniwersytecie w Cambridge. Bo tam właśnie zaraził się ospą i zmarł. Rozpacz rodziców nie miała granic, a Sara przepędzała długie godziny w opactwie westminsterskim, w ciężkiej żałobie, nie ustając w płaczu. Z natury zawsze wylewna w każdym nastroju, Sara lubiła demonstrować swoje uczucia; to może tłumaczy, dlaczego chociaż niewierząca, by dać folgę strapieniu, wybrała przybytek służby bożej, nie zacisze własnego domu. Nie można jednak wątpić w szczerą jej ból. A właśnie gdy cierpiała tak bardzo, z początkiem roku, książę musiał ją opuścić i wrócić, również w żalu, choć mniej ostentacyjnym, do Hagi.

Rozstrząsano plan wiosennej kampanii. Marlborough argumentował:

- Jeżeli nie będzie zgody na atakowanie „Linii Brabantu”, to nic użytecznego nie możemy przedsięwziąć na odcinku między Mozą a Renem. Trzeba więc posunąć się dalej na południe, w stronę Mozelle, i wziąć szturmem Trarbach oraz Treves.

Gdy nad tym dyskutowano, Francuzi wzmacniali swoje siły w Bawarii, posyłając tam liczne doborowe oddziały, które winny były?ię przedrzeć przez Czarny Las. Ten pochód powstrzymywały właśnie wynikię między marszałkiem francuskim Villeroi a elektorem bawarskim. Marlborough odwrócił uwagę od Mozelle i skoncentrował się na kierunku wschodnim. Już poprzedniego roku posłał do Niemiec dwadzieścia batalionów piechoty i osiem szwadronów jazdy, by wzmocnić siły margrabiego badeńskiego, księcia Ludwika, dowodzącego wojskami Wielkiego Przymierza nad górnym Renem. Zimą w Anglii hrabia Wratysław z cesarskiego dworu sugerował księciu korzyści, jakie można by osiągnąć maszerując w kierunku Dunaju. Początkowo ta sugestia wydawała się raczej fantastyczna: ale teraz, w zmienionej sytuacji politycznej, książę dostrzegł jej możliwości i zalety.

Plan Wratysława i Marlborougha miał nie tylko zalety militarne, ale i polityczne. Pakt łączący elektora bawarskiego z królem Ludwikiem z pewnością uległ nadwerężeniu po klęsce w Tyrolu. Istniała szansa, że skuteczny atak na Bawarię skłoni elektora do ponownej zmiany postawy wobec Ludwika. Marlborough pisał do rządu angielskiego:

„Pod naciskiem elektor przystąpiłby do nas... ale ponieważ sądzę, iż polegać na tym księciu nie można, więc byłoby wskazane, gdybym otrzymał pełnomocnictwa natychmiastowego zawarcia z nim traktatu nie dając mu czasu, by się nam znowu wyślizgnął”.

Maastricht nad Mozą dzieliło od Ulm nad Dunajem czterysta kilometrów w prostej linii. Trzy czwarte tej drogi, przez Bonn, Koblencję i Mainz, prowadziło przez równinne i stosunkowo gęsto zaludnione kraje aż do Neckaru, dopływu Renu. Tu zaczynała się trudniejsza do przebycia część,

przez szwabskie Alpy. Sam Ren osłaniałby prawe skrzydło sprzymierzonych przed interwencją ze strony Francuzów. Philippsburg i umocnienia wokół Buhl, na zachód od Czarnego Lasu, były w rękę margrabiego badeńskiego, ale należało je wzmocnić.

Marlborough miał niezwykle talent odgadywania na podstawie znajomości charakteru, zdolności i dotychczasowych poczynań nieprzyjacielskich dowódców, co prawdopodobnie nieprzyjaciel zechce przedsięwziąć. Ten talent łączył się z prawie nieomylnym instynktem podejmowania samemu właściwej decyzji we właściwym czasie. Tak na przykład był pewien, że jego daleki pochód nie skusi Francuzów do zaatakowania szczupłych sił pozostawionych we Flandrii, a właśnie skłoni ich do wysłania z największym pośpiechem ich własnych wojsk do Bawarii; bo Francuzi również powątpiewali o lojalności elektora i musieli przede wszystkim przysłać mu na pomoc dość silne wojska. A czyniąc to, bardzo wydłużali własne linie komunikacyjne.

Na razie wszystko szło dobrze. Chociaż w Anglii szersze kręgi zapewne nie przejawiały szczególnego entuzjazmu do planu dunajskiego. gdy o nim będzie powszechnie wiadomo, jednakże członkowie gabinetu plan zaaprobowali. Natomiast Holendrzy na pewno nie zgodzą się na zabranie głównych sił z okolic osłaniających granice ich kraju. Toteż Marlborough i hrabia Wratisław zdecydowali się użyć podstępów. Prawdziwy plan zatajono przed Holendrami, mówiąc im tylko, że armia księcia Marlborough uda się w kierunku Moselle. To było do przyjęcia i zostało przyjęte. Wojska sprzymierzonych były słabsze liczebnie od tych, które Francuzi mogli im przeciwstawić na zakończenie wyścigu do Bawarii, więc hrabia Wratisław podjął się namówić cesarza, by zawezwał z Włoch księcia Eugeniusza sabaudzkiego z jego wojskiem.

Marlborough nie omylił się w swych przewidywaniach. Skoro tylko opuścił Maastricht, maszerując na wschód, marszałek Villeroy, dowodzący wojskami francuskimi w Niderlandach, choć nie znał celu wyprawy sprzymierzonych, zgromadził prawie połowę swoich wojsk i ruszył w kierunku mniej więcej równoległym do drogi Churchilla, a na południe od niej. Tak więc bezpieczeństwo granic holenderskich nie zostało wystawione na szwank.

Pochód wojsk sprzymierzonych do Dunaju, rozpoczęty w dniu 16 maja, był arcydziełem sprawności. Zorganizowali go czterej ludzie: Marlborough, Cadogan, Cardonnel i pułkownik Davenport, z grupą niższych oficerów i urzędników. Wszystkie potrzeby armii zaspakajano kupowaniem, nie zezwalając na grabież miejscowej ludności, za pieniądze przesłane brytyjskim agentom w miastach leżących na szlaku pochodu. Żołnierze byli dobrze żywieni i pełni zapału, niemiecka ludność, sownie opłacana, chętnie witała ich i starała się ulżyć trudom marszu. Przeszkodę stanowiły kiepskie gościńce, góry i okolice słabo zaludnione. Najlepszą wówczas komunikację stanowiły rzeki; dlatego też wzdłuż ich biegu pobudowano wiele fortec i zaciekle o nie walczone.

Księżę Marlborough wciąż zmieniał swoje miejsce w pochodzie, zawiadamiając co wieczór, z którym regimentem będzie szedł następnego dnia. W ten sposób unikał konieczności utrzymywania ceremonialnych kwater sztabowych. Żartowano, że przyczyną było znowu skąpstwo wodza naczelnego, ale nawet jeśli krył się w tym załazek prawdy, to jednak taki zwyczaj pozwalał mu utrzymywać ścisły kontakt z dowódcami poszczególnych oddziałów i osobiście sprawdzać dyscyplinę, porządek i ład w każdym regimencie.

W marszu armia była podzielona na dwie kolumny, a każda z nich jeszcze na dwie. Posuwano się więc naprzód w czterech kolumnach, jazda na czele, a piechota na tyłach. Artylerii jeszcze mało używano jako broni rozstrzygającej w bitwach; miała zastosowanie przede wszystkim w oblężeniach.

Główną bronią w bitwie był muszkiet, o dość dobrej celności do stu metrów, ale mniej skuteczny na dalszą odległość.

Pochód dotarł do Neckaru bez incydentów. Holenderskie Stany Generalne bardzo niechętnie przyjęły wiadomość, że wojska sprzymierzonych, które miały dojść do Moselle, są już o wiele dalej na wschód. Holendrzy zrozumieli podstęp, ale już nic nie mogli na to poradzić. Odwoływać teraz pochód księcia Marlborough byłoby równoznaczne z wystawieniem się na pośmiewisko całej Europy, a wódz naczelny zapewne podałby się do dymisji. Prócz tego, chociaż prawie na pewno nie zaakceptowaliby z góry tak dalekosiężnego planu, teraz rozumieli strategiczne znaczenie wypędzenia Francuzów z Bawarii, zmuszenia ich do cofnięcia się z powrotem do fortec na ich własnych granicach.

Po drugiej stronie Kanału więcej żywiono wątpliwości. Anglicy wysłali wojska, by wypędzić Francuzów z Niderlandów, może najechać Francję. Trudno im przychodziło rozumieć, jaki wpływ na sukcesję hiszpańską będzie mieć pochód w głąb Niemiec. Jednakże i oni znaleźli się w obliczu „fait accompli”.

- Jeżeli mu się powiedzie - mówił o wodzu naczelnym jeden z polityków - to wszystko dobrze. Ale jeśli nie, to go złamiemy.

Marlborough nie zamierzał dopuścić do tego, by się nie powiodło.

W Heppach nad Neckarem spotkał się i uzgodnił dalsze ruchy z margrabią badeńskim i z księciem Eugeniuszem. Ten ostatni, energiczny mężczyzna o śniadej twarzy, najzdolniejszy po Churchillu wódz owej epoki, miał skłonności do dramatycznego heroizmu. Dokonując przeglądu angielskiej jazdy zwrócił się do księcia Marlborough i rzekł:

- Nigdy nie widziałem lepszych koni, lepszego umundurowania, doskonalszego moderunku żołnierskiego. Pieniądze, których wam w Anglii nie brak, mogą wam kupić odzież i dobre konie, ale nie kupią tej dzielności i zapału, jaki dostrzegam na twarzy każdego żołnierza!

Książę nie dał się prześcignąć w komplementach:

- To należy przypisać ich oddaniu sprawie publicznej, a także szczególnej satysfakcji, jaką znajdują, widząc się przed obliczem waszej wysokości.

Ci dwaj wodzowie zaprzyjaźnili się ze sobą bardzo blisko. Zgadzała się w sprawach taktyki, z równym zapałem dążyli do decydującego zwycięstwa i zawsze byli gotowi popierać się nawzajem i na polu bitwy, i gdzie indziej.

Wiadomo było, że druga armia francuska pod marszałkiem Tallard szła na zachód w stronę Renu. Książę Eugeniusz podjął się zahamować ruchy Tallarda. Zadanie ryzykowne, ponieważ można było na nie poświęcić oddziały w liczbie równej zaledwie połowie sił nieprzyjacielskich. Wojska sprzymierzonych, znajdujące się już nad górnym Renem pod dowództwem margrabięgo, miały zostać wzmocnione oddziałami pruskimi i duńskimi z armii księcia Marlborough, co by im dało liczebną przewagę nad wojskami francuskimi i bawarskimi pod marszałkiem Marsin i elektorem, ale tylko do chwili, zanim nie nadszły z pomocą Tallard albo Villeroi. Margrabiemu nie przypadło do smaku, iż musiał się podporządkować cudzym decyzjom, więc wnosił tuzin zastrzeżeń. Jednakże zdołano go ułagodzić i ostatecznie dnia 30 czerwca Marlborough wyruszył do Donauwörth nad Dunajem.

Obok tego miasta leżało silnie ufortyfikowane wzgórze, zwane Schellenberg. Otrzymano wieści, że elektor pomnożył jego załogę i gorączkowo sypie dodatkowe szanie i linie obronne. Takie wiadomości utwierdziły determinację Churchilla. Zabrawszy ze sobą sześć tysięcy doborowej angielskiej i duńskiej piechoty, trzy regimenty cesarskich grenadierów księcia Eugeniusza i

trzydzieści oddziałów jazdy i dragonu - ruszy) naprzód spiesznym pochodem. Tuż za nim szło jeszcze osiem batalionów piechoty, zawezwanej z głównej armii. Dnia 2 lipca książę podszedł pod Schellenberg i chociaż już się miało ku wieczorowi, szykował się do natychmiastowego szturmu. Margrabia wahał się i zwlekał, tłumacząc, że żołnierze są pomęczeni marszem.

- Każda godzina zwłoki - odparł Marlborough - wzmacnia ich fortyfikacje i przyczyni nam strat tysiąca ludzi.

Margrabia wzruszył ramionami, zaprzestał oponować i pierwsza krew w tej kampanii poląła się w ataku na nie dokończone wały obronne. Otaczały one kręgiem płaski wierzchołek wzgórza, łącząc się z murami miasta” Donauwörth z jednej strony, z drugiej schodząc ku brzegom Dunaju. Podejście do wałów rozdzielał na dwa szlaki gęsty las. Marlborough z czterema kolumnami piechoty na czele i dwoma jazdy w tyle, zaatakował od północnego zachodu, pomiędzy lasem a liniami obronnymi miasta. Francuzi formowali piechotę zwykle w obronne czworoboki, w celach ofensywnych posługując się jazdą. Marlborough użył żołnierzy tak jak niegdyś Henryk V swych przesławnych łuczników, którzy spowodowali zamieszanie w szeregach wroga chmurą strzał, rzucali się do ataku z mieczami w rękę. Piechota księcia oddała salwę z muszkietów i natychmiast pobiegła do ataku na bagnety.

Dowódca bawarski d'Arco po dwakroć odrzucił atak sprzymierzonych, zadając im ciężkie straty. Ale musiał po to zgromadzić prawie wszystkie swoje siły, więc gdy margrabia nadciągnął na prawe skrzydło, na południe od lasu, nie napotkał prawie żadnego oporu i zajął tyły obrońcom. W obawie, by go nie otoczono, d'Arco nakazał odwrót ze wzgórza. Marlborough wydał swojej jeździe rozkaz pościgu za cofającymi się Bawarczykami, a ci rzucili się do gwałtownej ucieczki. Setki ich wycięto, setki potonęły, próbując ratować się wpław przez Dunaj, a najwięcej wzięto do niewoli na wysokich brzegach rzeki. Elektor i marszałek Marsin zwinęli obóz na południe od Donauwörth i również się wycofali, wydając lewy brzeg Dunaju w ręce księcia.

Wodzowie znowu wymieniali komplementy. Margrabia podjechał do Churchilla i uścisnął mu prawicę, mówiąc wielkodusznie:

- Rad jestem, że pańskie plany przyniosły taki sukces.

- Co do mnie - odparł książę - wdzięczny jestem za tak skuteczną pomoc, margrabio, która w porę odciągnęła napór wroga na moich żołnierzy.

Poeta Addison opiewał czyny czterech tysięcy Anglików w szturmie na Schellenberg: półtora tysiąca zginęło lub odniosło rany. „Dzielna młodź maszerowała, gdzie nigdy jeszcze nie doszły Brytyjczyków stopy”.

Ogółem straty sprzymierzonych dosięgły pięciu tysięcy ludzi. I nie tylko „dzielna młodź” ginęła. Pod Schellenbergiem legło szczególnie wielu wyższych oficerów, co świadczy o ich odwadze w osobistym prowadzeniu oddziałów do ataku: zabito sześciu generałów lejtnantów, pięciu ciężko raniono, czterech generałów majorów, dwudziestu ośmiu brygadierów, pułkowników zostało zabitych lub rannych.

Ale i tak Schellenberg był zaledwie bladym zwiastunem tragedii, które miały się rozegrać. Ceniony historyk lat sześćdziesiątych naszego wieku Ivor F. Burton wykazał, że pod Schellenbergiem można już dostrzec jądro „metody księcia Marlborough, odmiennej od metod holenderskich, a polegającej głównie na wykorzystaniu szansy stworzonej przez atak... Ta bitwa dostarcza klasycznego przykładu uzyskania decydującej wyższości strategicznej w wyniku operacji ofensywnej. Marlborough zaakceptował ryzyko strat ponoszonych przez stronę atakującą, by uzyskać pożądane

korzyści”. Aż do decydującego momentu bitwy Marlborough ponosił często większe straty niż jego przeciwnik. Dopiero gdy zmuszał przeciwnika do odwrotu, gwałtowność pościgu dziesiątkowała wrogów.

Inicjatywa uzyskana pod Schellenbergiem mogła być jednak utracona z chwilą, gdy nadciągnął Tallard, ponieważ wówczas ich połączone siły, razem z marszałkiem i elektorem, osiągnęłyby wyższość liczebną. Marlborough zakomunikował Heinsiusowi o „...wiktorii, którą podobało się Bogu nam zesłać...” A następnie: „Ufam, że nikt nie odmówi aprobaty, jako że szybka i energiczna akcja była absolutną koniecznością. Zapewniam, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by wyrzucić nacisk na elektora i wymusić na nim uległość...”

Gdyby udało się nakłonić elektora Maksymiliana Emanuela do opuszczenia Króla-Słońce, przywrócono by mniej więcej równowagę militarną.

Jedyną formą nacisku, jaką książę mógł zastosować, było zdobycie Neubergu na drodze do Wiednia, zajęcie nieobronnych miast bawarskich i spustoszenie okolic, dostępnych po wycofaniu się nieprzyjaciela do Augsburga. To więc uczynił. Francuzi nazwali jego wyczyny „barbarzyństwem godnym Turków”. Nawet Anglię wstrząsnęły wieści o dewastowaniu ludzkiego dobytku po wsiach i miasteczkach. Hrabia Shrewsbury pisał z Londynu do wodza naczelnego:

„W naszym świętym ciemnogrodzie mają cię za coś w rodzaju Ta-merlana”.

Marlborough skomentował to w liście do Sary:

„Jeżeli elektor nie zawrze z nami traktatu, zrównamy cały jego kraj z ziemią, zanim go opuścimy. Uwierzysz z pewnością moim zapewnieniom, że osobiście cierpię niewymownie, gdy widzę tyle pięknych ludzkich siedzib w ogniu, a spłoną wszystkie, małe i wielkie, o ile elektor temu nie zapobiegnie”.

Może mu sumienie dokuczało. Wojska okupantów na przestrzeni wieków zawsze starały się przetrzącać winę; za własny terror i okrucieństwa na tych, którzy ośmielili im się sprzeciwić.

Żona elektora bawarskiego, a córka króla Jana III Sobieskiego, przybyła do Augsburga, by błagać swego męża o zawarcie pokoju i zaoszczędzenie poddanym dalszych cierpień. Sprzymierzeni zaoferowali elektorowi 600.000 koron rocznie, jeśli zechce przejść na ich stronę i dostarczyć dwanaście tysięcy żołnierza.

W obliczu tych wszechstronnych nacisków elektor zgodził się dnia 14 lipca podpisać traktat. Zjechało się na wspólną naradę. Ale tu, ku ogólnemu zdziwieniu, elektor oznajmił, iż nie jest w jego mocy zawarcie takiego paktu ani też nie zgadzałoby się z jego honorem opuszczenie Francuzów. Okazało się, że otrzymał wieść, jakoby Tallard z trzydziestu pięciu tysiącami doborowego żołnierza przedarł się przez Czarny Las i zdążył mu na pomoc.

Pośpiech Tallarda stał się przyczyną dalszego, kompletnego pustoszenia Bawarii i nie pozwolił elektorowi skorzystać z zaoferowanej mu sposobności. Tysiące ludzi koczowało na polach i w lasach bez dachu nad głową, a wszystko to nie przyniosło oczekiwanego rezultatu.

Książę Eugeniusz przekonał się, że ma zbyt słabe siły, by skutecznie powstrzymać pochód Tallarda, pośpieszył więc w kierunku wojsk Marlborougha, stojących nad Dunajem. Tallard dotarł do elektora i marszałka Marsin dnia 6 sierpnia, ale Marlborough zachował kompletny spokój, nieporuszony zmianą sytuacji. Wiedział, że Eugeniusz nadciągnie lada dzień. Książę wysłał margrabiego badeńskiego, by oblegał Ingolstadt - operacja wyłącznie dywersyjna. Chodziło o to, by zmusić Francuzów i Bawarczyków do odłączenia pewnej ilości wojsk od głównych sił na odsiecz miastu.

- Nawet kiedy nadciągnie książę Eugeniusz - oznajmił Marlborough - nadal będziemy mieli trochę mniej wojska. To tylko tym bardziej skłoni Tallarda do wydania nam bitwy. I zapamiętajcie moje słowa: zniszczymy go.

W tydzień później mógł wypróbować prawdę swoich słów.

Rozdział 17

ROZPRAWA Z „NIEZWYCIEŻONYMI”

O świcie dnia 13 sierpnia roku 1704 marszałek Tallard, wyszedłszy ze swej kwatery na przedmieściu bawarskiego miasteczka Hochstadt, spojrzął najpierw w stronę północno-wschodnią, gdzie jak wiedział, znajdowały się armie aliantów. Niewiele mógł dostrzec, bo gęste mgły spowijały lesiste wzgórza położone poza czterema wioskami, gdzie stały jego patrole, a których nazwy miały zostać na zawsze wpisane na mapy operacji militarnych wojny o sukcesję hiszpańską: Lutzingen, najdalej na północ od Dunaju, bliżej rzeki Oberglau, nad dopływem Nebel leżące Unterglau, wreszcie na południe od gościńca, biegnącego z północnego wschodu na południowy zachód, pomiędzy Unterglau a Dunajem - Blenheim.

Wieśniak bawarski postawiony przed obliczem marszałka wykrztusił informację, że wojska przeciwnika cofają się na północ. Tę wiadomość Tallard natychmiast przekazał swym współdowodzącym, marszałkowi Marsin i elektorowi bawarskiemu. Następnie zasiadł, by napisać do króla Ludwika:

„Armia Waszej Królewskiej Mości i siły elektora są dobrze usytuowane, zagradzając drogę do Ulm. Książę Marlborough najwidoczniej uznał, iż nasze pozycje są zbyt silne, aby je zaatakować. Skoro tylko poznam jego zamierzenia, nie omieszkam wyruszyć, by mu przeszkodzić albo też odwieść go z drogi. Zgodnie z instrukcjami Waszej Królewskiej Mości, nie będę się wdawał w poważniejszą bitwę. Moi zwiadowcy informują, iż posiadamy pewną, acz nieznaczną przewagę liczebną, więc nie przewiduję ataku w najbliższej przyszłości, może nawet nie tej jesieni. Według mojego mniemania, nasi nieprzyjaciele zaniechają teraz Bawarii”.

O tym samym mniej więcej czasie, kiedy Tallard pisał powyższą relację, dworzanie w Marlyle-Roi, o parę mil od Wersalu, niepewnymi krokami zmierzali do łóżek. Zakończyła się właśnie wielka uczta, wyprawiona przez Króla-Słońce na cześć człowieka, którego desygnował na władcę Anglii - Jakuba syna Jakuba. Do wieczery przygrywała orkiestra, towarzysząc wspaniałemu i kosztownemu pokazowi ogni sztucznych. Pod rżęsiście oświetlonym „łukiem triumfalnym” przemaszerował ewentualny „król Anglii”, chociaż nie miał w swym życiu nigdy zaznać triumfu. Huczna biesiada trwała prawie do świtu.

Tallard wręczył depesze oficerowi, któremu przykazał wysłać je natychmiast do Paryża przez jednego z kurierów, stale trzymany w gotowości: sypiali całkowicie odziani, a konie stały osiodłane przy namiocie. We francuskim obozie rozbrzmiewała pobudka. Ludzie wstawali, jeszcze senni, wychodzili, przeciągali się, drapali. Napełniano wiadra zimną wodą, którą żołnierze chlustali jeden na drugiego. Sam marszałek dokonał starannej toalety porannej, z pomocą swego balwierza i innych sług. Potem spożył z apetytem obfite śniadanie, sporządzone z produktów świeżo przyniesionych z bawarskich wiosek. W obozowisku szumiało już jak w” ulu. Blisko pięćdziesiąt cztery tysiące mężczyzn, rozproszonych na dość rozległym terenie, czyściło muszkiety, polerowało broń, kręciło się i hałasowało. Pachołkowie i kuchciki biegali tam i z powrotem, oficerowie

wynurzali się ze swych namiotów nieskazitelnie umundurowani, wydając ostrym tonem rozkazy. Konie rżały i szarpały się na uwięzi. Obóz wrzał zwykłym życiem żołnierskim.

Około godziny siódmej powiał lekki wiatr i zaczął rozpraszać mgły. Gdy Tallard ocierał serwetą usta, skończywszy śniadanie, wpadł adiutant:

- Panie hrabio, proszę wyjść na dwór! Wróg jest nie dalej jak dwie mile od nas i podchodzi szybko...

Za późno, by odwołać kuriera. Za późno, by kazać zatrzymać tego łgarza, bawarskiego wieśniaka.

Poprzedniego wieczoru, gdy w Wersalu szykowano się i strojono na ucztę, Marlborough i Eugeniusz - margrabia badeński nadal oblegał Ingolstadt - wyjechali ze swego obozu na brzeg Dunaju do Dapfheim, przy gościńcu wiodącym do Hochstadt. Wspięli się na wierzchołek wieży kościelnej i stamtąd przez perspektywy obserwowali, jak Francuzi rozbijali obóz. Prawdziwym celem sprzymierzonych było zdobycie Ulm. Marlborough powiedział:

- Nadarza nam się sposobność lepsza od zwykłego oblężenia... Możemy roznieść w puch armię Króla-Słońce! Nie przewidziałem takiej szansy, ale tym chętniej z niej skorzystam.

- Całym sercem się zgadzam - odrzekł Eugeniusz. - Nigdzie byś nie mógł znaleźć gorliwszego ode mnie kompana w tym dziele!

Ani holenderscy generałowie, ani holenderscy delegaci nie mogli zakwestionować decyzji usunięcia nieprzyjaciela zagradzającego drogę do Ulm. Dwaj wodzowie skierowali wierzchowce z powrotem do obozu. Po przybyciu zwołali na naradę starszych oficerów: Charlesa Churchilla, lorda Cutts, księcia von Holstein Beck i innych. Uzgodniono plan bitwy, a wódz naczelny powiedział:

- Niech się ludzie pokładą wcześniej na spoczynek. Pobudka na godzinę przed świtem. Do jutrzejszej roboty muszą być wypoczęci. I niech Bóg w swym miłosierdziu wspomóż tych, którzy jutro przed wieczorem pokładą się na wieczny spoczynek.

Sam Marlborough spał bardzo krótko. Zwyczajem owych czasów było, że wódz zawiadamiał przeciwnika o zamiarze rozpoczęcia bitwy, wysyłając przodem oficera z flagą. Marlborough nie uczynił tego. Natomiast gdy wieczorem zeszła mgła, posłał do francuskiego obozu bawarskiego wieśniaka obiecując mu zapłatę w złocie, jeśli dobrze się wywiąże ze swojej misji. Wieśniak miał tylko osiem kilometrów, by dojść do francuskiego obozu.

Dlatego też gdy Tallard wybiegł przed kwaterę z adiutantem przy boku, zobaczył tam, gdzie lesiste wzgórza schodziły w dolinę strumienia Nebel, maszerujące ku niemu w dziewięciu długich kolumnach oddziały Duńczyków, Holendrów, Prusaków, Austriaków, Hanowerczyków, Hessian i Anglików. To zbiorowisko narodowości zostało przekute w sprawne narzędzie wojny wytrzymałą musztrą, długim pochodem nad Dunaj; miało także znaczenie odesłanie kłótliwego margrabiego do Ingolstadt.

Grubokościste tęgie konie ciągnęły armaty polowe; artylerzyści podpierali koła własnymi ramionami na wybojach. Marszałek był za daleko, by słyszeć miarowy tupot grubych buciorów i końskich kopyt, tratujących wysuszony letnim upałem grunt. Ale już uszu jego dobiegało warczenie bębnow, rżenie wierzchowców i rzucane chwilami ostrym krzykiem słowa komendy lub świst podoficerskich gwizdków. Mógł też widzieć czerwone mundury nad ciemnymi spodniami, wierzchowce niecierpliwie podrzucające łbami. Wszystko maszerowało i jechało, batalion za batalionem i szwadron za szwadronem, na pozycje znaczone przez ludzi z chorągiewkami, czekających na nich na dalekim brzegu strumienia Nebel. Zdyscyplinowane, świadome rzeczy, w ładzie i porządku, szeregi posuwały się naprzód, jakby każdy batalion i każdy szwadron ujęte były w

żelazne ramy. Tu i ówdzie przejeżdżał przed frontem galopem oficer z rozkazem czy upomnieniem wodza naczelnego. Krótki zasięg ognia muszkietowego nie dozwalał Francuzom zamieszać ładu tych manewrów, sprawnych jakby na paradzie.

Jak marszałek wiedział, siły nieprzyjaciela były o jakieś trzy tysiące ludzi mniejsze od jego własnych. Król Ludwik nalegał, że utrzymanie w ręku Ulm - jedynej obecnej drogi, przez którą mógł zaopatrywać wojsko i dosyłać posiłki - jest sprawą kluczową. Marszałek nie miał wyboru. Nie mógł uniknąć walnej bitwy. Musiał rozmieścić własne wojska w szykach i oczekiwać ataku.

Tallard zawiadomił króla Ludwika, że jego wojska zajmowały dogodne pozycje. Uwzględniając teren, było to słuszne. Osłaniał je w pewnej mierze strumień Nebel i jego brzegi, które o każdej innej porze roku były bagniste. Prawe skrzydło ośmiokilometrowej linii frontu opierało się o Blenheim i Dunaj, lewe o wzgórze wokół Lutzingen. Artyleria stanęła na czele oraz we wsi Blenheim, by zadać możliwie najwięcej szkód maszerującej do ataku piechocie sprzymierzonych - o tyle, o ile powolne w owych czasach tempo strzelania z armat pozwalało. Krytykowano później rozmieszczenie przez Tallarda jego piechoty i jazdy.

W centrum sił francuskich przeważała jazda, a piechota stała zmasowana głównie koło Blenheim i Lutzingen. Nie zgadzało się to z przyjętą taktyką obronną, według której należało rozmieszczać jazdę na przemian z równymi liczbowo oddziałami piechoty. Ale Marlborough dostrzegł natychmiast jeszcze bardziej kontrowersyjny aspekt rozstawienia sił marszałka.

- Wojska pod dowództwem elektora i Marsina - zauważył - tak są rozmieszczone, jakby miały działać niezależnie od Tallarda. W miejscu połączenia nie nakładają się na siebie, jest luka. Tam się wytworzy słaby punkt.

I na tym słabym punkcie książę będzie koncentrował uwagę przez cały dzień, taktycznymi posunięciami zmuszając Francuzów do wysyłania coraz to nowych oddziałów z pozycji środkowych ku skrzydłom.

Dla wodza naczelnego ten dzień miał być, niezależnie od jego wyniku, dniem rozstrzygającym. Książę Eugeniusz już wygrał niejedną wielką bitwę. Natomiast Marlborough jeszcze nie dowodził w spotkaniu wiążącym poważne siły wojskowe. Jego główne sukcesy polegały dotąd na taktycznym manewrowaniu i zwycięskich oblężeniach. Jego autorytet, jego zdolność strategicznego i taktycznego widzenia, gdy tak stał nad mapami, musiały być rzeczywiście niezwykle, skoro Eugeniusz nie żywił wątpliwości, że w tej bitwie klęskę poniosą „niezwycięzeni” Francuzi i ich sławni marszałkowie.

Książę Eugeniusz otrzymał dowództwo prawego skrzydła ataku sprzymierzonych, Marlborough dowodził lewym i siłami centrum. W rezultacie takiego planu Eugeniusz miał jeszcze przed sobą dość daleki przemarsz po trudnym, nierównym terenie, zanim mógł zająć pozycję naprzeciw Lutzingen i Oberglau. Szyk jego wojsk mieścił na przemian piechotę i jazdę; pod dostatkiem batalionów i szwadronów pozostawiono na tyłach, w rezerwie. W punkcie, gdzie stykał się z częścią dowodzoną przez Marlborougha, oddziały frontu i rezerwy nakładały się na siebie ze znacznym zapasem. Dowództwo odcinka naprzeciw Blenheim książę powierzył lordowi Cutts - tu skoncentrowano głównie angielską piechotę - a dowództwo nad głównymi siłami piechoty sprzymierzonych piastował Charles Churchill.

Marlborough, stojąc w samym środku formacji z licznymi siłami jazdy wspieranej przez piechotę, cierpliwie czekał, aż książę Eugeniusz dokończy swojego manewru. Ale przez ten czas wojska sprzymierzonych, wystawione na ogień artylerii francuskiej, znacznie ucierpiały.

Gdy wojska uszykowały się do bitwy, przed każdym batalionem piechoty stało razem z kapitanem

dwóch sierżantów i dwóch trębaczy, a dowodził pułkownik. Zastępca dowódcy ze sztandarem batalionu i z taką samą liczbą oficerów i podoficerów znajdował się na tyłach oddziału, gotów każdej chwili objąć komendę, gdyby pułkownik padł albo gdyby batalion był zmuszony do odwrotu. Jeszcze dwóch oficerów, major z adiutantem - jedyni konni w całym oddziale - zajmowali pozycje po obu flankach, by popędzać żołnierzy w razie potrzeby i utrzymywać łączność z sąsiednimi jednostkami bojowymi. Na czele każdego plutonu stał jeden oficer i jeden sierżant. Zapasowi oficerowie i sierżanci zgromadzeni byli na tyłach batalionu, gotowi do zastąpienia strat w dowodzeniu i do rozprawienia się z żołnierzami, którzy by ulegli panice i próbowali uciekać.

Jazda atakowała nieprzyjaciela ze szpadami w ręku lub też podjechawszy dość blisko, strzelała z pistoletów i lekkiej broni palnej. Ruchliwość czyniła jazdę groźniejszą w otwartym polu od piechoty. Ale tam gdzie teren był pocięty strumieniami, wąwozami, zagajnikami czy też nieprzyjacielskimi rowami i szanćkami, skuteczniejsza bywała piechota. Dobry dowódca posługiwał się zarówno piechotą, jak i jazdą, łącząc je we wzajemnie wspierającą się całość bojową oraz wykorzystując, zależnie od potrzeb bitwy, specyficzne walory każdej z nich. W długiej kampanii trzeba było brać pod uwagę, że łatwiej zaopatrzyć się w prowiant dla ludzi niż paszę dla koni, więc piechota miała pewną wyższość. W okolicach gdzie nie było zielonych pastwisk, koszt transportowania furazu z odległych czasem baz poważnie obciążał armię.

Po południu wódz naczelny otrzymał wiadomość od Eugeniusza, iż stoi w gotowości. Książę wysłał natychmiast oficera ordynansowego do Cuttsa z rozkazem ataku na Blenheim. Zagrzechotały muszkiety, bitwa się rozpoczęła. Ludzie Cuttsa rzucili się z zapalem na palisadę, którą Francuzi wzniesli wokół wioski. Niebawem oficer przygalopował do księcia z zawiadomieniem, że atak Cuttsa odparto, a jego żołnierze zmagają się z kontratakami nieprzyjacielskiej jazdy. Marlborough skierował im na pomoc pięć szwadronów własnej jazdy, przeprowadzając się właśnie przez Nebel między Oberglau a Blenheim. Tallard musiał więc również przemieścić tam oddziały z własnego centrum. By osłabić napór na Cuttsa, książę kazał własnym ludziom przypuścić atak na odcinku między dwoma wioskami. Tutaj sprzymierzonych napotkała francuska jazda, która ucierpiała mocno od regularnego ognia muszkietowego. Piechota księcia Marlborough z częścią artylerii, przeprowadzając się przez Nebel, zajęła pozycje.

Francuzi wycofali się z Unterglau i wioski zwanej Walheim, „podpaliwszy wszystkie zabudowania”, według słów oficjalnego raportu. Zwykle to było określenie, często spotykane w lakonicznych raportach i narracjach historyków: „podpaliwszy wszystkie zabudowania”. Bo cóż znaczyło kilka wiejskich chałup w porównaniu z rzezią wielkiej bitwy albo ze spustoszeniem Bawarii przez Marlborougha? A jednak... Rodziny bezdomne, bydło wygnane, dobytek zniszczony, zbiory zdeptane, lata trudu obrócone w popiół płomieniami, wszystko trzeba zaczynać na nowo, zaczynać od niczego. Cena płacona przez mieszkańców za porażki polityków. I martwa obojętność lakonicznego stwierdzenia: „podpaliwszy wszystkie zabudowania”.

Równoczesne kontrataki Tallard przypuścił od strony Blenheim i od Oberglau. Ruszyły tam irlandzkie regimenty w służbie króla Ludwika. Charles Churchill z pomocą dragonu przysłanej mu przez brata zatrzymał pierwszy kontratak, a Marlborough osobiście, ze szpadą w dłoni, poprowadził jazdę i skutecznie odparł drugi z kontrataków. Około godzin-drugiej po południu Cutts zawiadomił, że następny atak Anglików na palisadę przed Blenheim krwawo odparto. Cutts niepokoił się, co mogło wyniknąć z jego niepowodzenia, więc ze zdumieniem przeczytał odpowiedź Marlborougha:

„Pan i Pańscy dzielni żołnierze doskonale się spisują. Wygrywacie dla nas bitwę. Utrzymajcie

Wasze pozycje. Musicie skupić na sobie siły nieprzyjaciela, związać go ciągle ponawianymi atakami, nie pozwolić, by przerzucił swoje oddziały ze wsi ku środkowi formacji. Posyłam Wam jeszcze piechotę z rezerwy”.

Osobiście doglądając i na bieżąco korygując ciągle zmieniającą się sytuację na lewym skrzydle, książę jednocześnie otrzymywał wiadomości o poczynaniach Eugeniusza. Najpierw:

„Zaatakowaliśmy elektora piechotą i jazdą. Odnosimy sukces”.

Późniejsze raporty mniej były pomyślne. Bawarczycy przeszli do kontrataku, zmuszając cesarską jazdę pod Eugeniuszem do odwrotu. Jego piechota, pozostawiona bez osłony jazdy, też musiała zawrócić. Ponowny atak sprzymierzonych także odparto. Tallard zabrał dalsze oddziały rezerwowe z centrum i przesłał je na pomoc elektorowi. Wreszcie książę Eugeniusz osobiście poprowadził trzeci atak i znowu spotkał się z porażką, chociaż mniej zdecydowaną niż poprzednio. W raporcie do wodza naczelnego donosił:

„Jesteśmy wyczerpani, i my, i nasi przeciwnicy. Znajdujemy się nie dalej, niż sto metrów jedni od drugich, ale nikt już nie może zebrać sił, by ruszyć naprzód”.

Marlborough powtórzył słowa, jakimi poprzednio zachęcał lorda Cuttsa:

„Wasza Wysokość i Jego dzielni żołnierze wygrywają dla nas bitwę. Proszę koniecznie utrzymać Wasze pozycje, związać nieprzyjaciela ponawianymi, choćby udawanymi atakami. Nie dopuścić do tego, by przerzucił gdzie indziej oddziały stojące naprzeciw was. Jeśli Wam potrzebna pomoc, nadeślę dalsze bataliony z rezerwy”.

Eugeniusz i Cutts wywnioskowali z pochwał wodza, że sytuacja rozwija się po jego myśli. Mieli słuszność.

- Bitwa jest nasza - powiedział Marlborough do młodego oficera, stojącego przy jego boku. - Mam tu w mojej dłoni całą armię Króla-Słońce... - Podniósł dłoń i zacisnął ją w pięść, dodając: - Pięćdziesiąt tysięcy Francuzów... zgnieciemy ich co do jednego.

- Jeśli wasza książęca mość tak mówi, to na pewno tak się stanie - odparł oficer. - Ale czy wolno spytać, dlaczego my wciąż atakujemy na skrzydłach, kiedy największe siły zebraliśmy w środku?

- Bo chcę oszukać Tallarda, jak oszukałem ciebie, młody człowieku... Niech Tallard myśli, że atak na skrzydła to nasz prawdziwy atak!

Taką samą taktyką zastosuje później niejednokrotnie Napoleon: natomiast nie będzie jej pochwalał Wellington, rywal księcia Marlborough do tytułu największego wodza w dziejach Anglii, ponieważ jego zdaniem pochłaniała za wiele ofiar od razu w początkowych stadiach bitwy.

Około godziny piątej wódz był gotów do zadania decydującego ciosu. Podprowadził bliżej dalsze oddziały artylerii i piechoty. Dostrzegając, że się szykuje jakaś nowa ofensywa, Tallard wyciągnął jazdę w jedną długą linię i wzmocnił ją ostatnimi batalionami piechoty. Marlborough stanął sam na czele i poprowadził silnie zmasowaną jazdę ostrym truchtem. Francuscy jeźdźcy oddali salwę. Marlborough przyspieszył atak. Zgnieciona samą liczebnością atakujących, jazda francuska załamała się i uciekła. Rozpędzona, zwycięska konnica wpadła za uciekającymi na bataliony piechoty. Marsin na gwałt zmieniał szyki, by przyjść z pomocą Tallardowi w centrum, ale tylko wzmógł zamieszanie wśród swoich rodaków. Książę Eugeniusz jechał Marsinowi na karku, tnąc i siekąc zmieniających formację żołnierzy.

Obie nieprzyjacielskie strony przemieszały się, nie do rozróżnienia... Skłębiona masa, kotłująca się, naciskana z trzech stron w kierunku Hochstadt... zgrzyt stali o stal, szczęk żelastwa, uderzenia końskich kopyt o twardą ziemię, tupot butów biegnącej piechoty, grzechot strzałów muszkietowych...

szpady błyskające złowrogim ostrzem... bagnety unoszone, wbijane... roztrzaskiwane czaszki, odrąbywane członki, okropnym cięciem wydarte wnętrzości... krzyki, jęki, przekleństwa i wzywanie Boga... ciała martwe i jeszcze żyjące, wdeptywane w grunt... ranne konie, tarzające się i wydające niezwykle głośno bólu... krew, krew... mundury, żołnierze pokryci krwią... krew wsiąkająca w ziemię... wszędzie krew.

Marlborough, wciąż na czele, poprowadził swoją zwycięską jazdę przez wielką lukę, wyrwaną w samym środku szyków francuskich. Tallard nadaremnie zwoływał żołnierzy w nadwątlone miejsce. Bez skutku. Uciekali w panice, myśląc tylko o własnej skórze. Marszałek Tallard dostał się do niewoli.

Księżę ściągnął cugle swego wierzchowca i zagłuszając hałas bitwy, krzyknął do ucha jadącemu przy nim oficerowi ordynansowemu:

- Powiedz memu bratu, niech tu ściągnie rezerwy piechoty! Przez tę lukę i na lewo, by odciąć Francuzom odwrót spod Blenheim!

Jazda sprzymierzonych ścigała jedną kolumnę nieprzyjacielskiej konnicy wzdłuż drogi do Hochstadt, drugą - trzydzieści szwadronów - ku Dunajowi. Rzeka wezbrała wkrótce od ciał tonących ludzi i koni więcej niż pod Schellenbergiem.

Marsin i elektor usiłowali zorganizować w zapadającym zmierzchu jakiś ład w tym pośpiesznym odwrocie. Księżę Eugeniusz nękał ich, zabijając lub biorąc do niewoli maruderów.

Charles Churchill, który zaatakował Blenheim po okrążeniu wioski i został odparty, zwrócił się do dowódcy wojsk francuskich w Blenheim i wokół wioski, by wyszedł i sam się naocznie przekonał o beznadziejności sytuacji. Kiedy hrabia Blansac zrozumiał, że armia Tallarda przestała już istnieć, poddał się i on. Dwadzieścia cztery bataliony, ponad dziesięć tysięcy „niezwycięzonych” wzięto do niewoli w Blenheim i okolicy. Żalosne resztki wielkiej armii króla Ludwika - z której czterdzieści tysięcy padło na polu bitwy lub zostało wziętych do niewoli - uciekały bez ładu i składu w kierunku Renu.

W bitwie pod Blenheim, zwanej czasem również bitwą pod Hochstadt, Marlborough jako wódz naczelny miał właściwie niewiele do roboty. A wynikało to z kompletnej harmonii we współdziałaniu z księciem Eugeniuszem, z bardzo starannego przygotowania i ze szczegółowych instrukcji wydawanych podwładnym oficerom dowodzącym poszczególnymi ugrupowaniami wojsk. Rzadko się zdarza, aby bitwa rozegrała się dokładnie tak, jak wódz naczelny tej czy tamtej strony zaplanuje. Żaden doświadczony generał tego się nie spodziewa. Ale każdy wódz ma zwykle zasadniczą koncepcję, którą winien zrealizować, by zwyciężyć. Marlboroughowi powiodło się najpierw wprowadzić w błąd Tallarda, który uwierzył, że sprzymierzeni cofają się na północ. Dopomogła mu w tym walnie poranna mgła i Marlborough osiągnął swój pierwszy cel: był stroną atakującą, zmusił Francuzów do defensywy. Po drugie chciał zadać decydujący cios, w tym miejscu formacji, gdzie nieprzyjaciel był najslabszy, albo też gdzie by można było go osłabić w trakcie bitwy. Konieczne to było, by się przebić, konieczne, by osiągnąć cel trzeci - zupełne rozgromienie przeciwnika, co się też prawie że udało. Blenheim nie wzięto pierwszym szturmem. Eugeniusza odtrącano kilkakrotnie. Jednakże uparta zaciekłość wciąż ponawianych ataków na skrzydłach przekonała Francuzów, że tam są główne cele. I osłabili środek swoich szyków, przerzucając część oddziałów na flanki.

Aż do tego momentu losy bitwy ważyły się, a większe straty ponosili atakujący niż obrońcy. Marlborough parokrotnie dowodził osobiście tym czy innym oddziałem, by naprawić nadwątloną

pozycję, zachęcić do ostrzejszej walki. I trafnie wybrał najodpowiedniejszą chwilę do ataku ostatecznego. Prowadząc ten atak wykazał lekceważenie własnej osoby, zbędną zuchwałość, która w przyszłości jeszcze nieraz się powtórzy. Narażał siebie niepotrzebnie, a miał czas dowiedzieć, że nawet książę Eugeniusz nie potrafi w pełni zastąpić go jako naczelnego wodza wielonarodowych wojsk. Jeśli to był ze strony Marlborougha błąd, to opatrność zaoszczędziła sprzymierzonym jego ewentualnych najgorszych konsekwencji.

Wódz naczelny nie kierował do końca pościgiem za Francuzami i Bawarczykami. Zawrócił do swojej armii. Tu zajął się organizowaniem pomocy rannym, kazał gromadzić wyczerpanych walką żołnierzy w bataliony, rozdzielał pochwały oficerom i gładkimi komplementami witał ważniejszych spośród jeńców, włącznie z dwoma generałami, oprócz Tallarda. Do tego ostatniego Marlborough powiedział, zapewne z większym taktem niż szczerością:

- Żałuję bardzo, iż tak okrutne nieszczęście musiało spotkać żołnierza, dla którego żywię najgłębszą estymę.

Posępny, gdyż tego dnia nie tylko bitwę przegrał, ale i utracił syna, który walczył u jego boku, Tallard odparł:

- A ja gratuluję zwycięstwa nad najlepszymi żołnierzami na świecie.

- Chyba oprócz tych, którzy mieli zaszczyt ich pobić? - odwzajemnił się Marlborough.

Tej nocy John pisał do Sary:

„Nie mam czasu na nic więcej, jak tylko prosić cię, byś zechciała przedstawić najjaśniejszej pani moje pokorne służby i zakomunikować jej, że jej armia odniosła świetne zwycięstwo”.

Świetne zwycięstwo, co prawda, niewiele zawdzięczało armii angielskiej. Tylko dziewięć tysięcy Anglików walczyło pod Blenheim, z czego około dwóch tysięcy stracono w zabitych i rannych. Ogólne straty sprzymierzonych dosięgły dwunastu tysięcy ludzi.

Jednemu ze sprzymierzonych wodzów nie sprawiło satysfakcji zwycięstwo pod Blenheim. Kłótlivy i zawistny margrabia badeński wierzył i wtedy, i później, że Marlborough i Eugeniusz tylko dlatego zlecili mu oblegać Ingolstadt, by go pozbawić udziału w triumfalnym zwycięstwie, które sami odnieśli.

Koń pod pierwszym kurierem, wysłanym przez Marsina do Wersalu przewrócił się, a jeździec odniósł ciężkie obrażenia. Toteż minęło osiem dni, zanim Ludwik się dowiedział, że następnego dnia po wielkiej uczcie w Marly-le-Roi, jego armia w Bawarii nie tylko została pobita, ale nieomal zmieciona z powierzchni ziemi.

Tallarda i innych ważniejszych jeźdźców wysłano do Anglii. Wprawdzie nominalnie w niewoli w Nottingham cieszyli się stosunkowo dużą swobodą: jeździli i polowali w całej okolicy. Okazywana im kurtuazja nie była pozbawiona ironii. Rzeźnik, przed którego jatką Tallard pewnego razu przejeżdżał konno, zawołał:

- Witamy waszą lordowską mość w Anglii, a ufamy, że na przyszły rok zobaczymy tu waszego królewskiego pana!

Sara z niepokojem czytała następny list od męża: „Myślę, że gdybym spokojnie siedział przy Tobie w Windsorze, lepsze miałbym zdrowie. Bardzo schudłem. Będziesz musiała mnie pielęgnować z wielką pieczołowitością tej zimy, inaczej popadnę w suchoty...” Słowa te bardziej pasowały do schorowanego inwalidy niż do bohatera, wielbionego i wynoszonego pod niebiosa w całej zachodniej Europie, który przerzuciwszy wojska sprzymierzonych o jakieś pięćset kilometrów od Flandrii, gdzie niewiele mogły zdziałać, aż nad Dunaj, zadał druzgocący cios armii bawarskiej,

dowiódł słuszności własnej tezy, że wojna szybkich posunięć osiągnie więcej od ostrożnej strategii Holendrów, zmusił Francuzów do wysłania silnej armii na pomoc elektorowi, po czym ją zniszczył.

Sara prosiła, by John jak najprędzej wracał do domu, zebrał laury należne zwycięzcy, otrzymał pochwały z ust królowej, wigów i gminu, cieszył się konfuzją panującą wśród torysów, którzy sprzeciwiali się wojnie i wyrażali sceptycyzm co do planu pochodu nad Dunaj. Ale książę nie schudł ani nie bał się suchot aż tak bardzo, by opuścić swoją zwycięską i triumfującą armię. Miał jeszcze różne sprawy do załatwienia przed zimą.

Rozdział 18

KSIĄŻĘ I PRAWDZIWA DAMA

„Można by przypuścić, że miast pobić Francuzów, księżę pobił kościół anglikański”.

Tak pisała Sara o postawie, jaką niektórzy z torysów przyjęli wobec zwycięstwa pod Blenheim. „Jeszcze jedna tego rodzaju wiktoria Marlborougha - powiadali - a konstytucja angielska legnie w gruzach”. Królowa Anna rozpływała się z zachwytem; szeroki ogół wielbił wodza naczelnego jako bohatera, a torysi lękali się, by nie stał się wszechwładny w królestwie. Gdy im przypominano, że zdruzgotał mit o „niezwyciężoności” Francuzów, wzruszali ramionami i odpowiadali: „Rzeczywiście padło lub dostało się do niewoli wielu Francuzów, ale dla króla Francji to znaczy tyle, co zaczerpnąć wiadro wody z Sekwany”.

Brak entuzjazmu torysów do wojny spowodował chwilowe oziębienie królowej w stosunku do tego stronnictwa, a jego dwaj przywódcy, Robert Harley i Henry St. John, aby zachować monarszą łaskę, udawali, że skłaniają się ku wigom. Wpływowe gazety obu stronnictw przewietrzały poglądy za lub przeciw kontynuowaniu wojny. Najostrzejsze, a niekiedy najślawniejsze w literaturze angielskiej pióra opowiadały się anonimowo po tej lub tamtej stronie zgodnie z własnymi poglądami - zwykle stymulowanymi brzęczącą gotówką. Fakty i fikcja tak zręcznie bywały łączone i tak dowcipnie wyrażane, że wielu czytelników nie mogło się w tym połapać.

Anna, od kiedy włożyła koronę na głowę, zaczęła przejawiać pewne odruchy własnej woli. Nie zawsze, ale coraz częściej sprzeciwiała się szorstkim decyzjom Sary: „Tak być musi, Madame”. Wywiązywała się gorąca dyskusja, w której pani Freeman oczywiście wpadała w złość. Początkowo po takich zajściach Anna przybierała postawę głęboko skruszony. Przy takiej właśnie okazji pisała kiedyś o:

„...Twojej biednej, nieszczęsnej, wiernej Morley, która nigdy nie wątpi przecież w Twoją szczerłość i prawdę i ufa, że jeśli nie we wszystkim zgadza się z tym, co mówisz, nie będzie to rozumiane jako brak estymy i najczulszej tkliwości dla drogiej pani Freeman, bo nie sposób, aby ktokolwiek bardziej był Twoim niż ja...”

John upominał żonę, by się hamowała. Sara żywiła przekonania krańcowo wigowskie, więc w związku z jej kłótnością bał się, iż „pani Morley” będzie podejmować decyzje katastrofalne dla niego samego:

„Jeśli Najjaśniejsza Pani zostanie zapędzona w ramiona torysów, oni wymuszą pokój, zanim jeszcze wystarczająco zwiążemy ręce Ludwikowi”.

Przekora Sary po części przynajmniej rodziła się ze strachu, ponieważ czuła, że traci wpływ na Annę. Bystry obserwatorzy spostrzegli, że księżna, kwitnąca w zdrowiu, energii i urodzie, zdradzała coraz częściej wstręt, jaki budziła w niej nienormalnie otyła i poskręcana od podagry osoba królowej. Przypuszczenie to potwierdził pewien incydent.

Abigail Hill weszła któregoś razu do pokoju Sary, przylegającego do komnat królowej, w poszukiwaniu pary rękawiczek. Księżna, po świeżej kłótni z Anną, siedziała za stołem, odczytując

jakiś dokument i mając na rękach tę właśnie parę rękawiczek. Abigail, która zarzuciła już dawny zwyczaj informowania swej kuzynki o wszystkim, co się działo wokół królowej, powiedziała:

- Zdaje mi się, że włożyłaś przez omyłkę rękawiczki jej królewskiej mości.

- Ach! - wykrzyknęła Sara. - Czyżbym naprawdę włożyła coś, co dotyczyło odrażających rąk tej kobiety? - Rzuciła rękawiczki na podłogę i dodała rozkazującym tonem: - Zabieraj je!

Pech chciał, że drzwi między obu komnatami nie były domknięte i królowa usłyszała tę wymianę zdań. Nie powiedziała na razie nic, ale zapamiętała sobie ten incydent, a pamięć miała godną słonia, podobnie jak i kształty.

Nazbierało się więc dość różnych przyczyn, z powodu których między królową a jej wodzem naczelnym powstała przepaść, jeszcze ukryta, ale poważnie zagrażająca współdziałaniu na przyszłość. Marlborough ufał w utrzymanie Wielkiego Przymierza, w kontynuację wojny, bo to mu dawało najlepsze szanse dalszych sukcesów, sławy, bogactwa i władzy. Wprawdzie był torysem z pochodzenia i wychowania, jednak mało troszczył się o to, które stronnictwo było u władzy, dopóki naród jako całość prowadził z energią wojnę przeciw Ludwikowi. A naprawdę tylko wigowie - jako antypapiści obawiający się powrotu pretendenta na tron angielski, o ile Francja nie zostanie ostatecznie pokonana - opowiadali się bez zastrzeżeń za wojnę. Anna pławiła się w sławie, jaką zwycięstwa Marlborougha zyskiwały dla jej królestwa, i z tej racji, jeśli nie dla innych powodów, flirtowała z wigami. Ale w głębi serca pozostała wierna torysom, ponieważ wierzyła w ich oddanie dla korony i kościoła anglikańskiego. Mogło się więc zdarzyć każdej chwili, że jakiś pozornie błahy incydent odwróci ją od wigów i każe szukać pokoju.

Przez jakiś czas Sara, wspomagana sukcesami swego męża, podsyciała entuzjazm Anny do wojny i popierała wpływy wigów, dążących do kontynuowania działań militarnych. Tutaj przysłużyła się dobrze Wielkiemu Przymierzu i księciu. Jeden z jej zięciów, hrabia Sunderland, pisał do niej:

„Szczерze i bez żadnych pochlebstw mniemam, że jeśli Anglia została uratowana, to dzięki Twoim dobrym intencjom, zapałowi i nieustającym trudom, jakie przedsięwzięłaś dla swojej ojczyzny...”

Może jest w tym przesada, może motywami „zapału i trudów” Sary były nie tyle względy patriotyczne, ile zyskanie sławy dla męża i zaspokojenie jej własnej, nieomal namiętnej, chęci władzy. W każdym razie zasługi księżny były duże. Ale przepaść wytworzona między królową a jej wodzem naczelnym pogłębiła się, a zarazem zaczęła ujawniać skutek nietaktownych poczynań Sary, głównie dlatego, że Sara wciąż jeszcze niezupełnie zdawała sobie sprawę z podstępnych forteli Abigaili, wślizgującej się coraz skuteczniej w łaski królowej.

Na kontynencie nazwisko księcia Marlborough otaczała sława i podziw, podzielany nawet przez króla Ludwika i jego marszałków. Natomiast do chóru uwielbienia nie przyłączali się, ze zwykłych powodów, margrabia badeński i niektórzy generałowie holenderscy. Cesarz Leopold habsburski pisał do królowej Anny, że księżę ocalił imperium i że pragnąłby nadać mu tytuł księcia cesarstwa. Annę to zachwyciło, Marlboroughowi pochlebilo, natomiast Sara okazała się niezadowolona.

- Proponują ci - dowodziła - w najlepszym razie pusty tytuł, nie związany z żadnymi korzyściami materialnymi. A któregoś dnia taka nominacja wywoła dysputy, waśnie i być może skończy się upokorzeniem dla ciebie. Bo jak długo niemieckie państwa zezwolą Anglikowi, by rządził księstwem w sercu Rzeszy?

John odpowiedział podobnymi argumentami do tych, jakimi się posługiwał w kłótni o przyjęcie nadanego mu poprzednio tytułu:

- Propozycja cesarza podniesie mój status na dworach europejskich, gdzie muszę się zabawiać w dyplomację.

Argumenty Sary nie były pozbawione realistycznych podstaw. Cesarz, by zapewnić Marlboroughowi głos jako elektorowi w sejmie niemieckim - nie posiadającym zresztą wielkiego znaczenia - wykroił mu z Bawarii skrawek ziemi, który nazwał księstwem Mindelheim. Inni książęta nalegali, by tytuł i księstwo nie były dziedziczne. Marlborough musiał wyłożyć £ 4500 na koszty swojej uroczystej instalacji w Insbrucku, a chociaż pozostał księciem rzeszy niemieckiej do śmierci, jednakże Mindelheim wydarto mu dużo wcześniej.

Bitwa pod Blenheim radykalnie przeobraziła sytuację w Europie. Ambicje Króla-Słońce do hegemonii rozwiały się razem z mitem o „niezwyciężoności” jego wojsk. Od tej pory król Francji i jego naród będą walczyć jedynie o to, by zyskać lepsze warunki pokoju od tych, które sprzymierzeni mogliby narzucić w razie zupełnej porażki Francuzów. Elektor Bawarii nadal wiernie trwał przy Ludwiku. Opuścił swoje państwo i przyłączył się do odwrotu Marsina w Czarnym Lesie.

Marlborough i Eugeniusz zgromadzili swoje wojska nad Renem, przepławili się na drugi brzeg i dopomogli margrabiemu do zajęcia dogodnej pozycji do rozpoczęcia oblężenia Landau. Sami zaś forsownym marszem, nie molestowani przez nikogo, poszli pod Treves nad Mozellą, wzięli to miasto i ruszyli w górę rzeki do Tarbach. Wreszcie musieli jednak zawrócić pod Landau, gdzie margrabia kierował oblężeniem równie letargicznie jak pod Ingoldstadt, i dnia 28 listopada poprowadzili decydujący zwycięski szturm. Zima nadciągała, dalszą kampanię wstrzymano i wojska sprzymierzonych udały się na zimowe leże. Ale dla wodza naczelnego nie nadszedł jeszcze czas wypoczynku.

Z listów od cesarza wynikało jasno, że na przyszły rok nie będzie mógł nawet wysłać dodatkowych wojsk do Włoch. Powstańcy węgierscy, z którymi Leopold nie zgadzał się zawrzeć porozumienia, naciskali go bardzo ostro. Cesarz prosił więc, by na wiosnę wódz naczelny skierował znaczną siłę w dolinę Padu. Marlborough zastanawiał się nawet czy nadanie mu księstwa Mindelheim nie było rodzajem łapówki. Bądź co bądź, powiedział do Eugeniusza:

- Musimy to dla niego zrobić. A jeśli tak, potrzeba nam znacznych i w porę dostarczonych posiłków z Prus i innych państw niemieckich.

- Zgoda - odrzekł Eugeniusz. - Ale czy my takie posiłki dostaniemy?

- No, musimy ich porządnie przycisnąć.

- Ale jak?

- Chcę osobiście pojechać do Berlina i do Hanoweru - rzekł Marlborough. - Zobaczymy, na ile potrafię ich namówić.

- Okropna podróż o tej porze roku - mruknął Eugeniusz. Wódz naczelny, który zapominał o swoich różnorodnych dolegliwościach tylko wtedy, gdy prowadził wojsko do ataku, dorzucił:

- I przy moim stanie zdrowia. Ale muszę jechać, chociażby mnie ta podróż miała zabić. To jedyny sposób. Jeślibym słał listy, Prusy zawsze znajdą wymówki i zastrzeżenia. Kurierzy będą krążyć tam i z powrotem przez całą zimę, a w końcu nic z tego nie wyjdzie. Muszę sam jechać.

- Powodzenie będzie tyleż warte co wiktoria na polu bitwy - powiedział Eugeniusz. - Prusacy doskonale się spisywali pod Blenheim. Sam bym ich z satysfakcją poprowadził do Italii.

Poszóstną karocą, z całym regimentem jazdy dla eskorty, wódz naczelny ruszył w podróż. Zanim będzie mógł powrócić do Hagi, przemierzy ponad tysiąc dwieście kilometrów, po czternaście i piętnaście godzin dziennie, na wyboistych gościńcach, w okropną pogodę. Ale nawet człowiekowi,

który uważał się za stojącego u progu suchot, wszelkie trudy wydały się warte zachodu, gdy w Berlinie Fryderyk I powitał księcia Mindelheim, potomka skromnej, zubożałej rodziny szlacheckiej, niegdyś więzionego w Tower przez swego monarchę - z królewskimi honorami i zwracał się do niego per: „Mój kuzynie”.

Fryderyk nosił się z zamiarem zaatakowania armii szwedzkiej, gotowej podówczas do najazdu na Polskę. Ciężko musiał się Marlborough targować, nim ostatecznie wymógł zgodę na zaniechanie planów przeciwko Szwecji i obietnicę przysłania ośmiu tysięcy pruskiego żołnierza na front włoski. Anglia i Holandia miały zapłacić Fryderykowi trzysta

„tysięcy koron, a szanse Prusaków zabezpieczono tym, że pójdą pod osobistą komendę księcia Eugeniusza. Z tymi posiłkami można było uratować Turyn i rozpocząć pierwszy etap przyszłego, całkowitego wypędzenia Francuzów z Włoch. Podróż i trudy księcia Mindelheim nie były daremne. Wyjechał z Berlina rad z siebie, obdarowany licznymi prezentami: „kapelusze z diamentową zapinką i wysadzane diamentami wstążką wielkiej ceny oraz dwa piękne siodła i wiele sztuk cennych mebli”. Pewien pruski komentator zauważył, że gdy Marlborough wyjeżdżał w drogę do Hanoweru, jego podróż nasuwała na myśl przeprowadzkę raczej niż książęcą kawalkadę.

Cele następnej wizyty miały charakter raczej osobisty. Księżna wdowa, Zofia z Hanoweru - lub też jej syn - byli domniemanymi następcami tronu angielskiego. Zdrowie Anny pozostawiało wiele do życzenia. Mogło się zdarzyć, że jedno z książąt gościnnie podejmujących Marlborougha w Hanowerze zostanie jego suwerenem. Toteż Marlborough przywołał na pomoc cały swój osławiony urok osobisty, nie tylko by osiągnąć sukces dyplomatyczny, ale by oczarować księżną Zofię. Nie lada to było zadanie, bo powtarzano powszechnie niezbyt pochlebne uwagi księżnej wdowy o „angielskim parweniuszu, rzekomym księciu”, a także o królowej Annie, która właśnie niedawno odmówiła Zofii zaproszenia do swego wyspiarskiego królestwa. Anna podzielała pogląd swej sławnej poprzedniczki na tronie, Elżbiety, że domniemany sukcesor jej korony będzie gromadzić wokół siebie niezadowolonych i zbuntowanych.

Marlborough wiedział jednakże ze swych bogatych doświadczeń na dworach Karola II, Jakuba II i nawet Williama III, że serca suwerenów ulegają pochlebstwom, hołdom i zręcznym komplementom. Ceremoniał, skoncentrowany wokół osoby monarchy, zadanie ułatwia. Sam Marlborough utracił względy Jakuba II, a później Williama, gdy im rąbnął prawdę w oczy - pierwszemu, że jego wysiłki nawrócenia Anglików na katolicyzm źle się skończą, drugiemu, że faworyzowanie Holendrów budzi niechęć angielskich poddanych.

Toteż księżę Mindelheim traktował księżną wdowę z wiernopoddańczą uległością, należną koronowanym głowom. Nie zgadzał się usiąść w jej obecności, nawet na balu dworskim. A kiedy Zofia, chcąc go zmusić, żeby wreszcie siadł, zaprosiła go do gry w karty, Marlborough najpierw przyklęknął przed nią i ucałował jej rękę. Osławiony urok księcia zrobił swoje. Hanower, w ślad za Prusami, przyrzekł dostarczyć posiłki z wiosną, a gdy Marlborough wyjechał, księżna wdowa pisała:

„Nigdy dotąd nie spotkałam człowieka o manierach tak gładkich, swobodnych i dwornych. Jest równie zręcznym dworakiem jak dzielnym wodzem”.

Do łupów uwożonych z Berlina dołożył cenne gobeliny i wspaniałe klejnoty, ofiarowane mu przez księżną wdowę. Dotarłszy wreszcie w połowie grudnia do Hagi, Marlborough wjeżdżał wśród hałaśliwych powitań, a w prezencie otrzymał dzban i miskę ze szczerego złota. Zbierał owoce zwycięstwa - owoce dyplomatyczne, polityczne, finansowe.

Z kolei do Anglii. Człowiek, który już przerobił mapę Europy i zaczął proces przycinania

skrzydeł Królowi-Słońce, wylądował w Gravesend u ujścia Tamizy wraz z całym orszakiem utytułowanych więźniów i lasem zdobytych sztandarów. Trasę jego przejazdu do Londynu po obu stronach oblegały wiwatujące tłumy. W Izbie Lordów ceremonialnie wyrażono mu uroczyste podziękowanie:

„Wasza Książęca Mość zwyciężył wojska złożone z zahartowanych w boju weteranów, zadufanych we własne siły po wielu zwycięstwach i dowodzonych przez generałów o wielkim doświadczeniu i uznanej dzielności. Sławę tych wspaniałych wiktorii zawdzięczamy głównie umiejętności i odwadze Waszej Książęcej Mości...”

W odpowiedzi książę złożył należny hołd walorom militarnym żołnierzy wielu narodów, którymi dowodził:

- Chcę przy tej sposobności wyrazić najgłębsze uznanie wszystkim oficerom i żołnierzom, którymi miałem zaszczyt dowodzić. Ich właśnie nadzwyczajnej dzielności, prócz łaski boskiej, zawdzięczam sukcesy ostatniej kampanii.

Piękne słowa musiały wystarczyć żołnierzom, których rodziny popadły w nędzę po odjeździe głowy domu na wojnę, którzy przelewali krew i wracali nierzadko okaleczeni. Tylko ich wódz zgarniał materialne zyski na dodatek do sławy.

Z początkiem Nowego Roku w Londynie urządzono wielkie widowisko. Salwy armatnie grzmiały, a tłumy wiwatowały na widok żołnierzy w szkarłatnych mundurach, niosących zdobyte sztandary. Była to manifestacja dumy narodowej, w której jednakowo uczestniczyli najzamożniejsi i najskromniejsi mieszkańcy królestwa. Wątpliwe, czy upojone tłumy zdawały sobie sprawę, że jeśli chodzi o liczebność wojsk i poniesione w życiu ludzi straty, udział innych państw w zwycięstwach był znacznie większy niż Anglii. W każdym razie Anglia opłacała wojenne wydatki - pod względem wysokości na drugim miejscu za Holandią - no i dostarczyła wielkiego wodza.

Po wielu naradach i dyskusjach, jak najlepiej wyrazić wdzięczność narodu, królowa i parlament zdecydowali ofiarować księciu Marlboroughi jego potomkom dobra zwane Royal Park - mniej więcej siedem tysięcy hektarów - przynoszące w czynszach dzierżawnych około £ 6000 rocznej intraty. Monarchini osobiście zobowiązała się pokryć koszt wybudowania w tych dobrach obszernego pałacu, który postanowiono nazwać Blenheim. Tam w pięćdziesiąt lat później miał się urodzić następny wielki człowiek wojny z tej rodziny - Winston Churchill. Książe miał też otrzymywać roczne apanaże w wysokości £ 5000 za życia królowej Anny. Ten rodzaj hojności rodzi się w chwili euforii. A ponieważ wznoszenie pałacu Blenheim miało się ciągnąć przez długie lata, kiedy to euforia i zamierała, i znowu odżywała, kiedy nastroje, widownia polityczna i osobiste uczucia ulegały zmianom, więc ten hojny gest miał w końcu zrodzić wiele goryczy.

Dzięki własnemu geniuszowi oraz hojnemu uznaniu ze strony monarchini i innych książąt człowiek, który niegdyś nieomal nie porzucił Sary, by poślubić Katarzynę Sedley dla jej posagu, teraz gromadził fortunę i dochody, o jakich nawet nie mógł marzyć jako małżonek tej damy.

Zanim Marlborough wyprawił się znowu na kontynent w marcu 1705 roku, wydał najmłodszą córkę, lady Mary Churchill, za Johna Montague, zręcznego karierowicza, ale skądinąd dość sympatycznego i lubianego. Sławne były później przepiękne aleje drzew, które sadił i w których się lubował. Biedna lady Mary ofiarowała swe romantyczne serduszko komu innemu ale rodzice nie pozwolili jej spełnić marzeń.

- Ojciec Johna Montague - dowodziła Sara - jest człowiekiem naprawdę bogatym. Syn to wszystko odziedziczy. Ten związek doda nam politycznych wpływów, którymi można będzie się

posłużyć z korzyścią dla twego ojca.

Stary Montague posiadał prócz bogactw również najpiękniejszą podówczas prywatną siedzibę w Londynie: pałac Montaguich, na którego miejscu wznosi się dzisiaj Muzeum Brytyjskie. Ze swojej strony, ród Montaguich także skorzystał na mariażu, ponieważ dzięki niemu udało się namówić królową, by nadała staremu Montague tytuł księcia. Według powszechnego podówczas obyczaju, mariaż zawarto mając na uwadze korzyści obu rodzin - ale nie młodej pary. Trzeba zauważyć, że lady Mary - niebawem, od śmierci teścia, księżna - doceniała, jak się zdaje, wartości bogactwa i pozycji towarzyskiej, które zyskała dzięki małżeństwu.

Zanim jeszcze powrócimy z księciem Marlborough na kontynent, warto się zatrzymać na chwilę, by spojrzeć na Sarę, nie tylko od strony jej działalności politycznej. Nieuniknione było, iż książę podczas zimowego pobytu w Londynie wysłuchiwał różnych opowieści o swojej żonie, o jej przenikliwości politycznej, jej intrygach i nie zawsze konwencjonalnym zachowaniu. Jedno z tych opowiadań zdaje się świadczyć o tym, że z Sary byłby nienajgorszy detektyw.

Sara kupiła sztukę bardzo pięknego brokatu i dała ją modnej krawcowej, pani Buda, do uszycia. Przymierzając suknię, księżna powzięła podejrzenie, że powinno było jeszcze zostać jakieś dwa metry nie wykorzystanej cennej materii. Wezwała zatem panią Buda do swego domu, pod pretekstem omówienia fasonu następnej toalety. Krawcowa zwykle nosiła bardzo piękny diamentowy pierścionek: Sara poprosiła, by pani Buda zechciała go pożyczyć w celu sporządzenia jego kopii. Krawcowa, której bardzo zależało na tej bogatej i wpływowej klientce, natychmiast zdjęła pierścień z palca. Sara na chwilę wyszła z pokoju, by jak powiedziała, schować pierścionek do skarbca. W rzeczywistości posłała pierścionek przez zaufaną sługę do niezbyt odległej pracowni pani Buda z poleceniem:

- Powiedz tej pierwszej pomocnicy w pracowni, aby wydała ci resztę brokatu księżnej Marlborough. Pokażesz ten pierścionek na dowód, że przychodzisz od jej pracodawczyni.

Pomocnica w pracowni przypuszczając, że pani Buda znalazła amatora na brokat, wydała go bez kwestii.

A Sara przez ten czas z wielką łaskawością zaprosiła panią Buda, by zechciała wypić z nią filiżankę kawy. Gdy służąca wróciła, księżna oddała pierścionek właścicielce - a zarazem pokazała jej odzyskany brokat. Pani Buda w wielkiej konfuzji uciekła z pokoju - i więcej nie otrzymała już zamówień od swej arystokratycznej klientki.

Prócz tego, że była poniekąd poprzedniczką Sherlocka Holmesa, Sara bez trudu mogłaby się wmieszać do kompanii przekupek z targu rybnego w każdej epoce. Pewnego razu przysłała do swego adwokata, dość późnym wieczorem, nie umówiwszy się z góry na wizytę. Nie zastała go w domu. Powiedziała służącemu, że zaczeka. Północ nadeszła - adwokata ani śladu. Księżna ostatecznie wyszła w pasji, nie załatwiwszy swojej sprawy. Gdy w końcu adwokat wrócił do domu i zapytywał służącego, kim była klientka, o której wspomniał, usłyszał takie objaśnienie:

- Nie mogłem dojść, jaśnie panie, kim ona była, bo mi nazwiska nie chciała powiedzieć, ale klęła tak ordynarnie, że na pewno musiała być prawdziwą damą.

Rozdział 19

„AMBICJA KSIĄŻĄT”

Generał Slangenberg, Holender, uparcie trwał przy swoim. Nienawidził Marlborougha i nieraz powtarzał, że zwycięstwo pod Blenheira było tylko wynikiem szczęśliwego trafu, że wojska rozstawiono wbrew wszelkim zasadom taktycznym, a bitwę wygrano dzięki błędom Tallarda. Slangenberg postanowił za żadną cenę nie dopuścić, by po raz drugi narażano żołnierza holenderskiego na takie ryzyko.

Wojska sprzymierzone znajdowały się w pobliżu „Linii Brabanckich”, których zaatakować nie pozwolono Marlboroughowi przed dwoma laty. I znowu większość holenderskich generałów poparła sprzeciw Slangenberga.

- W punkcie, który wybrałem do ataku - argumentował Marlborough - fortyfikacje są najmocniejsze, a więc będą obsadzone mniejszymi siłami wojska.

- Tego wcale nie można być pewnym - protestował Slangenberg. - A jeżeli wasza książęca mość się myli, to naszych żołnierzy zmasakrują, a księżę będzie ich mordercą!

Marlborough zapanował nad sobą i rzekł spokojnie:

- Jeśli się przekonam, że obrona jest silna, przyrzekam wycofać nasze wojska bez dyskusji.

Slangenberg nie dawał się ułagodzić:

- Wasza książęca mość zbyt łatwo gotów jesteś narażać na hazard moich rodaków.

- W takim razie poprowadzę Anglików. Wy, Holendrzy, zostaniecie w odwodzie, by nas poprzeć, jeżeli zwyciężymy, lub osłaniać nasz odwrót, jeżeli się okaże konieczny. Nie będziecie narażeni na niebezpieczeństwo w żadnym razie.

Tym razem Slangenberg nie znalazł odpowiedzi.

Nie mógł przeszkodzić księciu, by poprowadził własne oddziały, gdzie zechce.

Plan kampanii na rok 1705 nie przewidywał początkowo ataku na „Linie Brabanckie”. Uzgodniono z Heinsiussem, że holenderski generał Ouwerkerk pozostanie z niewielką siłą, by bronić linii Mozy, a Marlborough na czele Anglików i Holendrów rozpocznie operacje od Mozelli, gdzie miały się do nich przyłączyć kontyngenty obiecane przez Hanower i Badenię. Dostateczne zaopatrzenie dla wojsk alianckich wysłano do Treves.

Z początku wciąż spotykały księcia zawody i rozczarowania. Niemcy zwlekali z nadesłaniem żołnierzy i trzech tysięcy koni pociągowych, które obiecali dostarczyć. Nie chcąc wyczekiwać w nieskończoność, wódz naczelny nakazał w maju ruszyć bez nich w pochód do Treves. Przybywszy tam, przekonał się, że magazyny, które Holendrzy podjęli się zaopatrzyć w prowiant i furaz, świecą pustkami. Komisarz sprzeniewierzył pieniądze i uciekł na stronę Francuzów.

Ale te drobne kłopoty znikły w obliczu większych. Skoro tylko Marlborough wyruszył w pochód, Villeroi, dowodzący Francuzami koło Namuru, posunął swoje wojska w górę rzeki Mozy, wziął szturmem Huy i zaczął oblężenie Liege. Francuzi z siedemdziesięciu ośmioma batalionami piechoty i stu dwudziestu dziewięcioma szwadronami, mieli ogromną przewagę liczebną nad

generałem Ouwerkerkiem i zagrozili całej linii fortec nad Mozą. Marlborough nie miał innej alternatywy, jak tylko przekreślić poprzedni plan i forsownym marszem pośpieszyć do Maastrichtu. Tutaj powrócił do swojej dawniejszej decyzji sforsowania „Linii Brabantu”. Dopóki posiłki niemieckie nie nadejdą, sprzymierzeni mieli mniej wojsk od Francuzów, ale książe liczył, że wyrówna to zręcznymi manewrami taktycznymi.

Gdy wreszcie powiodło się holenderskich generałów „namówić, jak się namawia strachliwe dzieci” według słów kapelana Francisa Hare, dnia 17 lipca książe wysłał Ouwerkerkowi instrukcje, by szedł na zachód, przeciw „Liniom Brabantu” tuż na północ od Namuru, i sam poprowadził resztę armii w tym samym kierunku. Villeroi natychmiast ruszył, by chronić Namur. Ale wódz naczelny znowu użył podstępu. O zmierzchu posłałszy silny oddział angielskiej jazdy na północ, by zaatakowali „Linie” między Leau a Elixem, poszedł z głównymi siłami na południe, potem wykręcił i ruszył prościutko na północ, w ślad za własnym podjazdem. Równocześnie wysłał polecenie do Ouwerkerka:

„Skręcić na północ forsownym marszem do Elixem”.

Wysłany przodem podjazd z trudem przedzierał się w ciemnościach. Gdy wreszcie Anglicy dotarli do mostów na rzece Małej Gheet, dopływie Mozy, przekonali się, że główne siły francuskie odmaszerowały na południe, by odeprzeć przypuszczalne zagrożenie ze strony Ouwerkerka. O świcie Anglicy zdobyli most pod Elixem i zajęli umocnienia „Linii Brabantu” w kilku miejscach na brzegu Małej Gheet. Rankiem Marlborough z głównymi siłami jazdy był już po francuskiej stronie „Linii”. Witając go, hrabia Noyelle, dowódca podjazdu, raportował:

- Wasza książęca mość, o ile mogłem sprawdzić, mamy strat ledwo pół tuzina ludzi.

- A Slangenberg się upierał - mruknął Marlborough - że stracimy sześć tysięcy żołnierza.

Większa część piechoty jeszcze się przeprawiała pontonami i po mostach, ale jazda już była wewnątrz „Linii”. Villeroi, zorientowawszy się poniewczasie, że go wystrychnięto na dudka, na gwałt wysłał przeciw Anglikom pięćdziesiąt szwadronów jazdy, przeważnie Bawarczyków pod wodzą markiza d’AUegre, a za nimi dwadzieścia batalionów piechoty. Reszta jego armii była wciąż jeszcze daleko na południu.

Marlborough, z Cadoganem u boku, stanął osobiście na czele angielskiej jazdy.

- Teraz na nich, chłopcy! - wykrzyknął. - Ta bitwa będzie sprawą angielską! - Wydobył szpadę i spiął ostrogami konia. - Za mną!

Przez dwie godziny szalała zażarta walka. Anglicy dotrzykali placu, później nieco ustąpili. Książe zachęcał ich własną osobą. Oficer bawarski podjechał do niego i zamierzył się szpadą. Marlborough skręcił swego wierzchowca, uniknął ciosu, a napastnik, straciwszy równowagę, zsunął się z siodła na ziemię. Ten incydent rozgniewał Anglików: rzucili się, by stratować wroga, który ośmielił się podnieść szpadę na ich wodza. Kiedy Ouwerkerk i Holendrzy wciąż jeszcze się przeprawiali przez rzekę, nieprzyjacielska jazda została rozgromiona, a ich piechota, sformowawszy się na gwałt w obronne czworoboki, pośpieszyła do odwrotu w ślad za własną jazdą. Wzięto do niewoli trzy tysiące Francuzów, w tym dowódcę, markiza d’AUegre, zdobyto sztandary, działa i nawet wielkie bębny.

Zaniechawszy pościgu, Marlborough wziął szturmem Tirelemont, o parę mil na zachód od „Linii”, a potem podjechał do swoich oddziałów. Oficerowie i żołnierze na jego widok zrywali z głów kapelusze i wiwatowali. Oczekiwali ciężkich strat w walce, tymczasem taktyczny geniusz ich wodza oszczędził żołnierskie życie: straty wyniosły wszystkiego parę tuzinów ludzi. Nawet

holenderscy generałowie gratulowali, acz niechętnie, bo z powodu własnego ociągania nie odegrali prawie żadnej roli w zwycięstwie.

Jeden z wyższych oficerów angielskich, Lord Orkney, zauważył:

- Książę jest rad. Chyba nie mniej niż po Blenheim. Nasz sukces zawdzięczamy wyłącznie jemu.

Według tradycyjnego zwyczaju, angielski monarcha wręczał podarunek oficerowi, który wjeżdżał na dwór z pierwszą wieścią o zwycięstwie. Po Blenheim, królowa Anna dała tysiąc funtów szterlingów. Gdy o tym posłyszał Marlborough, jego oszczędna dusza aż się wzdrygnęła. Toteż donosząc Godolphinowi o sforsowaniu „Linii Brabantu”, napisał:

„Ten dzień sprawił mi największą satysfakcję. Jednakże sądzę, że pięćset funtów najzupełniej wystarczy dla oficera z dobrą wieścią”.

Przez dłuższy czas jeszcze wódz naczelny nie mógł zbierać owoców swego zwycięstwa. Wprawdzie Holendrzy nie mogli się teraz sprzeciwić dalszej ofensywie na Louvain nad rzeką Dyle, gdzie w obawie pochodu na Brukselę Villeroi zebrał resztki swej armii, przechytrzonej sprytnym manewrem i pobitej; jednakże deszcze padały tak ulewne, że uniemożliwiały wszelkie operacje na tych niskich, podmokłych terenach. A gdy się wreszcie wypogodziło, rada wojenna z uporem dowodziła, że Villeroi tak się teraz umocnił i ufortyfikował pod Louvain, iż atak można by przypuścić tylko od strony południowej.

Marlborough gorzko się skarżył w liście do Heinsiusa:

„Wiem doskonale, że skoro tylko ci generałowie zobaczą teren, jaki sami wybrali, dojdą do przekonania, że nie można tamtędy przejść, bo jest prawie w całości pod wodą. To tylko próbka trudności, z którymi się nieustannie zmagam... kłody mi pod nogi rzucają...”

W tym samym duchu książę pisał również do Godolphina.

Wyznaczono ludzi specjalnie do rozebrania i zrównania z ziemią fortyfikacji sławetnych „Linii Brabantu”. Na przyszłość francuska obrona Belgii mogła się opierać jedynie na twierdzeniach i takiej zręczności w manewrowaniu, na jaką mogli się zdobyć marszałkowie króla Ludwika, by uniknąć walnej bitwy - albo też by ją wygrać. Podczas kampanii roku 1705 te umiejętności nie były wystawione na próbę. Generałowie holenderscy skutecznie zastąpili Villeroi w jego robocie. Miejsce, które wybrali na przeprawę rzeki Dyle, okazało się rzeczywiście grzęzawiskiem, a pozycje francuskie po drugiej stronie bardzo silne. Stany Generalne, chcąc ułagodzić naczelnego wodza, wydały instrukcje delegatom polowym, którzy teoretycznie mieli prawo aprobować wydanie bitwy lub zgłosić veto, aby nie wzywać rady wojennej zbyt często, a tylko w wypadkach, kiedy to będzie absolutnie konieczne.

- Te instrukcje nie warte papieru, na którym je napisano - powiedział Marlborough do Cadogana. - Jak delegaci mogą ocenić „absolutną konieczność”, o ile nie zasięgną na radzie opinii tego trzęsącego kolanami Slangenberga i jego kamratów, z których każdy ma dziesięć zastrzeżeń?

Ostatecznie jednak zgodzono się, by zaopatrzyć armię sprzymierzonych w prowiant na sześć dni i maszerować na południowy zachód, dookoła źródeł rzeki Dyle.

- Villeroi będzie wówczas zmuszony do opuszczenia Louvain i pochodu na południe, inaczej go odetniemy od Brukseli - powiedział Marlborough swoim starszym oficerom angielskim. - Holendrom to jeszcze do głowy nie przyszło. Trzymajcie więc języki za zębami. Może nam się uda wciągnąć ich w prawdziwą bitwę.

Pochód odbywał się spokojnie, nikt im nie przeszkadzał, Anglicy i Holendrzy zajęli pozycję wzdłuż linii przebiegającej od Halpen do Braine l'Alleud, naprzeciw rzeki Yssche, małego dopływu

Dyle. Villeroi musiał zatańczyć, jak mu Marlborough zagrał; a ponieważ zostawił część wojsk na obronę Louvain, znalazł się słabszy liczebnie w obliczu nieprzyjaciela.

- Mamy teraz Francuzów zdanych na naszą łaskę i niełaskę - mówił książę na radzie wojennej. - Proponuję zaatakować ich, zanim zdążą się okopać i umocnić swoje pozycje. Zniesiemy ich od jednego zamachu i cała Belgia stanie przed nami otworem.

- Nie zgadzam się - odparł natychmiast Slangenberg. - Ryzyko jest zbyt wielkie. Jeśli nas pobiją, znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia. Regularny odwrót nie będzie możliwy i pozostanie nam jedynie pośpieszna ucieczka bez ładu i składu.

- Niemożliwe, by nas pobili - nalegał Marlborough. - Mamy przewagę liczebną i dogodną, przez nas wybraną pozycję do bitwy.

Ouwerkerk, dobry żołnierz o wielkiej eksperyencji wojennej, a przy tym najbardziej wobec wodza naczelnego lojalny ze wszystkich holenderskich generałów, zabrał głos:

- Jego książęca mość ma bez wątpienia słuszość. Nigdy nie będzie dogodniejszej sposobności, by powtórzyć zwycięstwo spod Blenheim.

- Gdzie nasze straty przekroczyły dwanaście tysięcy ludzi - przerwał mu Slangenberg. - A w tym najwięcej Holendrów, jak zapewne byłoby i teraz, gdybyśmy byli na tyle lekkomyślni, by się zgodzić na atak.

Długo trwała zażarta dyskusja. Ale prócz Ouwerkerka Holendrzy, zorganizowani jak spiskowcy, poparli Slangenberga, który przemawiał coraz gniewniej, coraz bardziej obraźliwie.

- Pańska skłonność do bitew raczej - argumentował - niż do oblężenia i taktycznych manewrów, które mniej krwi kosztują, rodzi się wyłącznie z pańskiej niepohamowanej żądzy osobistej sławy, a odbiera panu wszelkie względy na życie żołnierzy.

Była w tym część prawdy. Mistrzowie oblężeń i taktycznych manewrów zdobywali wśród swoich uznanie za solidność i rozsądek, ale nazwiska wodzów zwycięskich bitew rozbrzmiewały sławą w całej Europie i na kartach dziejów. Jednakże Marlborough nie lekcewał życia żołnierzy. Gotów był poświęcić je na większą skalę tylko wtedy, gdy rzeczywiście uważał, że wymaga tego konieczność militarna i polityczna. Ostatecznie generałowie odradzili delegatom bitwę, więc bitwy nie było. W liście do sekretarza stanu rządu holenderskiego Marlborough pisał w furii:

„Musieliśmy więc wycofać się przed nieprzyjacielem, chociaż mieliśmy co najmniej o jedną trzecią więcej wojska, a to nie może pozostać bez zgubnego wpływu na ogólną sprawę i na honor armii; co do mnie, dotkliwie odczuwam brak mego autorytetu. Taki jest humor generała Slangenberga, iż z całą pewnością nigdy mi nie pozwoli na wygranie bitwy, więc zupełnie mi uniemożliwia oddanie jakichkolwiek usług rządowi i narodom”.

W podobnym duchu do Heinsiusa:

„Niech Bóg przebaczy tym, którzy się sprzeciwili naszemu atakowi na Francuzów nad Yssche, bo ze wszystkiego, co nam donoszą jeńcy i dezercerzy, wnioskuje, że nie mogliśmy nie odnieść zwycięstwa...”

Francuzi na gwałt sprowadzili posiłki znad Renu. Alianci, osłabieni szerzącą się w ich szeregach epidemią, wycofali się do Leau i rozłożyli się na zimowe leże, skąd książę pisał do Godolphina:

„Gdybym miał te upokorzenia cierpieć jeszcze dwa tygodnie dłużej, to byłby koniec ze mną. Krótko mówiąc, jestem znużony życiem”.

Znużenie nie odwiódło go jednak od dalszych podróży po Zachodniej Europie w okresie zimowej przerwy między kampaniami.

Król Ludwik okrężną drogą, dyskretnie próbował, czy by nie dało się zawrzeć pokoju z Holandią. Proponował między innymi, by z Niderlandów hiszpańskich utworzyć niepodległe państwo, które by stanowiło bufor między Francją a Holandią. Dalej jednakże zastrzegał się, że Filip andegaweński pozostanie na tronie Hiszpanii, a arcyksięcia Karola habsburskiego można by wynagrodzić Neapolem i Sycylią. Były to propozycje kuszące dla Holandii, zawsze bardziej zainteresowanej zabezpieczeniem własnych granic niż sukcesją hiszpańską czy też całkowitym pokonaniem Ludwika. Natomiast w Anglii, ekonomicznie silnej i prosperującej, królowa i rząd dążyli do totalnego zwycięstwa. Hasło brzmiało: „Nie ma pokoju bez Hiszpanii”. Marlborough osobiście był zdania, że Ludwika trzeba by jeszcze znacznie osłabić, nim zechciałby pertraktować naprawdę o pokój, a nie tylko o chwilowy rozejm, który by mu pozwolił odetchnąć i zebrać nowe wojska.

Determinacja doprowadzenia wojny do definitywnego zwycięstwa mogła być słuszna, ale upieranie się przy Hiszpanii, jako koniecznym warunku było nonsensem. Z powodu tego hasła, a także pewnych propozycji w sprawie Włoch, nie do przyjęcia dla Habsburgów, pertraktacje pokojowe skończyły się na niczym.

Wódz naczelny wybrał się do Dusseldorfu, gdzie nakłonił elektora Palatynatu do wysłania wojsk do Italii na przyszłą wiosenną kampanię. Stamtąd daleka przeprawa do Wiednia: sześć dni po Dunaju, bo śniegi sypnęły obfite i nie dało się przejechać gościńcem. Leopold zmarł jeszcze w maju, na tron wstąpił po nim jego syn Józef. Nowy cesarz miał pretensję do Holendrów, którzy jak mówił, gotowi byli wydać Hiszpanię Burbonom. Na szczęście, Józef był wielbicielem wodza naczelnego, a ten osobistym czarem więcej niż szczerością przekonał go o tym, w co sam wątpił: o dobrej woli Heinsiusa i Stanów Generalnych wobec cesarstwa. I dalej w drogę do Berlina, gdzie wytargował od króla Fryderyka więcej wojsk dla Italii. Razem wzięwszy, była to bardzo udana podróż dyplomatyczna.

Marlborough wrócił do Hagi, a tu czekały go dobre wiadomości. W wyniku jego własnych postulatów, a także interwencji rządu angielskiego, Stany Generalne podjęły decyzję, że generała Slangenberga nie wyśle się więcej w pole, że na przyszłość rada wojenna będzie miała głos tylko doradczy i że nie będzie mogła przekreślać planów wodza naczelnego. Ów rok upokorzeń i goryczy zakończył się więc nutą optymizmu.

W Anglii po wyborach powszechnych wigowie i torysi uzyskali mniej więcej równowagę sił. Odzwierciedlając tę sytuację, rząd złożono z polityków obu stronnictw. Godolphin pozostał sekretarzem stanu mianowano Roberta Harleya, a ministrem wojny - Henry'ego St. Johna. Ci dwaj ostatni należeli do oportunistycznego ugrupowania w łonie to-rysów. Zwano ich „trymerami”, ponieważ „trymowali”, czyli przystrzygali swoje poglądy, zwłaszcza w sprawie kontynuowania wojny tak, by zyskać dla siebie urzędy i beneficja, a może też odegrać rolę trojańskiego konia między wigami. Harley i St. John, obaj posługiwali się Abigail Hill jako narzędziem, stopniowo uzyskując na królową wpływ, który Sara traciła swą porywczością i dyktatorskimi zapędami.

Parlament uznał, że najpewniejszą drogą szybkiego wygrania wojny będzie rozpoczęcie ofensywy przeciw Hiszpanii. Marlborough zgodził się z tym. Do Heinsiusa pisał:

„Ufamy tutaj, że powodzenie w Hiszpanii da nam nadzieję na korzystny pokój”.

Nie wydaje się, by zdradzał większy entuzjazm. Niektórzy historycy utrzymują, że Marlborough popierał projekt ofensywy hiszpańskiej, ponieważ popierali go torysi. Inni są zdania, że poparcie księcia wywodziło się z jego szerokiej strategicznej koncepcji, nie ograniczającej się jedynie do Niderlandów, ale obejmującej Bawarię, Włochy i Hiszpanię. Trzecia możliwość: Marlborough

wiedział, że w Anglii nie ma zdolnego i doświadczonego wodza do takiej ofensywy, przewidywał więc klęskę, która jeszcze podniesie walory jego własnego zwycięstwa.

Inicjatywa pokojowa skończyła się fiaskiem, więc Ludwik XIV postanowił zacząć operacje ofensywne. Na kampanię roku 1706 zdołał wycisnąć nowych rekrutów do armii we Włoszech i w Hiszpanii, jak również poważne siły dla Villarsa nad Renem i Marsina nad Mozellą. Marszałkowi Villeroi we Flandrii posłał 89 batalionów piechoty i 90 szwadronów jazdy. Chciał uderzyć we Flandrii i w Niemczech, zanim jeszcze alianci będą mieli czas zgromadzić swoje wielonarodowe armie.

W pierwszej kolejności - atak na Ren. Margrabia badeński nie był przygotowany i Villars zmusił go do odwrotu. Następnie Villeroi i Marsin mieli połączonymi siłami odzyskać Leau przy zniszczonych „Liniach Brabantu”, a później ruszyć na Huy i Liege. Nie oczekiwano, aby Marlborough miał już dość żołnierzy pod swoją komendą dla odparcia tego posunięcia. W rzeczywistości książę już zebrał w Tongres, na zachód od Maastrichtu, wszystkie przydzielone mu wojska, oprócz jazdy duńskiej, której nadejścia spodziewano się lada godzina. Pod względem liczebności dorównywał wojskom pod komendą Villeroi, ale ustępowałby znacznie siłom połączonych armii francuskich.

Książę, skoro tylko dowiedział się o marszu na Leau, powiedział:

- Musimy zapobiec połączeniu się Marsina z Villeroi. Jeśli fortuna będzie nam sprzyjała, możemy nawet doprowadzić do bitwy.

Nie czekając dłużej na Duńczyków, ruszył spiesznym pochodem na południowy zachód, w kierunku Małej Gheet. To zagroziło fortecy Na-mur: by ją ratować, Villeroi zaniechał oblężenia Leau i poszedł na południe. Marsin potrzebował jeszcze sporo czasu, by wrócić znad Mo-zelli.

W niedzielę Zielonych Świąt, dnia 23 maja rankiem leżała gęsta mgła, podobna do tej, która skryła ruchy wojsk Marlborougha przed bitwą pod Blenheim. Wojska alianckie ruszyły w pochód o trzeciej rano: generał Cadogan z silnym podjazdem szedł na czele, patrolując okolicę. Około godziny ósmej zatrzymał się; wysiliwszy wzrok, by przeniknąć mgłę, która zaczynała się podnosić, wysłał adiutanta co koń wyskoczy do wodza naczelnego. Po czym pomału, bardzo ostrożnie, kryjąc konie i jeźdźców w zagajniku poprowadził znowu naprzód swój podjazd.

Anglicy i Holendrzy odpoczywali, ale na głos trąbki sformowali szyki natychmiast i zaczęli się przeprawiać przez dawne, zburzone już „Linie Brabantu”. Marlborough pogalopował do Cadogana. Gdy do niego podjechał, mgły już prawie nie było. Patrzył dłuższą chwilę.

- Pan Zastępów wydał ich w nasze ręce - rzekł w końcu.

Cała armia marszałka Villeroi leżała przed nim. Jej pozycje przypominały szyk Tallarda przed Blenheim. Prawe skrzydło Francuzów opierało się o wioskę Taviers nad strumieniem Mehaigne, wpadającym do Mozy. Szyk ich wojsk szedł na północo-wschód, ze sławnym pułkiem gwardii królewskiej Maison du Roi, artylerią i kilku batalionami piechoty rozstawionymi na przełaj gościńca Charleroi-Maastricht, równoległego do rzeki. Dalej wioska Ramilies, silnie umocniona, a za nią piechota, wsparta jazdą, *tworzące linię płytkiego łuku w kierunku północno-wschodnim*” obok wioski Offus, kończąc się na Autre-figlise. To skrzydło osłaniały w pewnej mierze strome skarpy i bagniste dno Małej Gheet. Przed frontem Francuzów, między Taviers a Ramilies, ciągnęła się szeroka przestrzeń otwartej równiny. Ogólnie biorąc, pozycje były dobrze wybrane i umocnione, a jedyną niedogodność stanowiło wygięcie linii frontu na kształt łuku, co sprawiało, że przy przerzucaniu oddziałów rezerwowych z jednego miejsca w drugie żołnierze musieli pokonać większą odległość.

Marlborough zawezwał starszych oficerów, by im oznajmić:

- Milordzie Orkney, w pana ręce powierzam zaszczytny obowiązek zaatakowania nieprzyjaciela z piechotą i regimentem jazdy Scots Grey naprzeciwko Autre-Eglise i Offus; pańska początkowa pozycja będzie oczywiście przed Małą Gheet, ale o ile was znam, szybko znajdziecie się na drugim brzegu. Generale Lumley, zechce pan wesprzeć jego lordowską mość swoją jazdą. Charles, twoja piechota oraz Szkoci pod komendą pańską, milordzie Argyll, utworzą połączenie z generałem Lumleyem. Na ich lewym skrzydle pan, mój zacny przyjacielu Ouwerkerk, z pańską piechotą i holenderską jazdą stanie w obliczu regimentu Maison du Roi. Waszym pierwszym zadaniem będzie zdobycie Taviers. Wspierać was będzie rezerwa złożona z duńskiej jazdy. Milordowie i panowie, ufam, że te dyspozycje są dla was jasne. Oczywiście, będę przyjeżdżał do każdego z was w ciągu bitwy, będę stale gotów do przedyskutowania trudności i niespodzianek, na jakie moglibyście się natknąć. A teraz na stanowiska, panowie, i niech Bóg ma was w swej opiece i ześle nam chlubne zwycięstwo.

Orkney i Lumley zobaczyli wkrótce, że za wyznaczonymi im pozycjami grunt obniżał się aż do niezbyt głębokiego wąwozu. Te nierówności terenu, jak przewidział książę, przydadzą się do osłonięcia przemieszczeń oddziałów do centrum sił lub na skrzydła, jeśli to się okazało potrzebne.

Minęło parę godzin, nim wojska stanęły na pozycjach. Przez ten czas Francuzi nie próbowali atakować. Marlborough najpierw zlustrował dywizje Orkneya i Lumleya, potem Ouwerkerka, wreszcie umieścił tabory na głębokich tyłach i ostatecznie uznał, że wszystko gotowe do ofensywy.

O godzinie pierwszej po południu zagrzmiały salwy artyleryjskie rozpoczynające bitwę. Książę nie ujawnił całego swego planu nikomu, prócz Cadogana. Około godziny trzeciej posłał Lumleyowi i Orkneyowi rozkaz zaatakowania Autre-Eglise i Offus. Generałowie nie wnieśli żadnych obiekcji co do jego planu rozlokowania sił, ale teraz Goslinga, jeden z delegatów Stanów Generalnych, który chociaż nie żołnierz, zawsze uważał własne pomysły taktyczne za lepsze od opinii zawodowców, zaprotestował:

- Przez błotniste podłoże Małej Gheet bardzo trudno przebrnąć. Poniesiecie wielkie straty przy przeprawie, a bez żadnej potrzeby.

Marlborough, uzbrojony w pełnomocnictwa Stanów Generalnych, mógł tym razem spokojnie odpowiedzieć:

- Pozostawmy dyskusję nad pana zastrzeżeniem do chwili, gdy zobaczymy, jak sobie radzą Orkney i Lumley.

Odwrócił się i wysłał rozkaz do Ouwerkerka:

„Atakować Taviers. Życzę Panu sukcesu, o którym jestem głęboko przekonany”.

Piechota Orkneya przypuszczała, że im przypadł honor głównego ataku. Brnęli więc z determinacją przez błota Małej Gheet. Jednak niektórzy zachowali jeszcze nawet dość tchu do gadania:

- ...Chodźcie, chłopcy. Nie ma czego się bać. Żabojady uciekną przed nami. A wy będziecie kiedyś wnukom opowiadać, jacy z was byli bohaterowie...

Pod ostrym ogniem Francuzów przeprawiono się przez błota, wspięto po stromiznach drugiego brzegu. Anglicy wypędzali broniącego się zaciekle nieprzyjaciela zza każdego żywopłotu, każdej kępy zarośli, a w samym już Offus - z każdego domu.

- ...Bij, zabij!

- ...Jak ten mój bagnet gładko wchodzi w cudzy brzuch... Ouwerkerk wypędził z Taviers słynny

królewski regiment gwardzistów Maison du Roi.

- ...Przeklęte żabojady... teraz zrobiłem wdowę z twojej żony...

- ...Bagnet mi się złamał w jego flakach... nie szkodzi, następnego roztrzaskam kolbą...

Villeroi wysłał Bawarczyków i francuską dragonie, „by koniecznie odbili Taviers. Zależało mu na tym; przypuszczał, że tędy idzie główny atak i sam poprowadził w tę stronę znaczną część zarówno swojej jazdy jak i piechoty. Francuscy marszałkowie wciąż jeszcze nie orientowali się, że Marlborough zwykle pozoruje ataki, a następuje z całą siłą gdzie indziej.

Walka wokół dwóch wiosek rozgorzała zażarta - gwałtowne szturmy, zacięta obrona. Adiutant dopadł Orkneya:

- Wasza lordowska mość! Książę życzy sobie, byś się wasza lordowska mość cofał.

- Głupstwa gadasz! Jakaś pomyłka. Toczy się walka krwawa, zażarta, i my zwyciężamy! Nie możemy się wycofać! Ani też książę na pewno sobie tego nie życzy, jeśli zna naszą sytuację!

Drugi adiutant. Ten sam rozkaz wodza naczelnego. Orkney nadal nie chce uwierzyć, twierdzi, że to nieporozumienie.

- Nie mogę! Nie zrobię tego! Te wioski będą nasze za godzinę! Przygalopowało jeszcze paru oficerów sztabowych. Orkney wciąż się kłócił. Wreszcie nadjechał Cadogan:

- Książę nie będzie miał dość jazdy, by ci dopomóc utrzymać te wioski, skoro je weźmiesz. Villeroi rusza na ciebie z wielkimi siłami. Musisz się wycofać, tylko utrzymaj w rękę linię Małej Gheet. I nie pozwól, by cię oskrzydłono.

Po czym Cadogan nachylił się do Orkneya i wszeptał mu w ucho cały, nie ujawniony dotąd plan bitwy. Jego lordowska mość westchnął i burknął:

- A ja sobie wyobrażałem, że to my tutaj wygrywamy bitwę! Ale jeśli mówisz prawdę, to muszę się słuchać. A będzie trudno. Ludzie są rozgrzani, zwycięstwo mają w zasięgu ręki! Nie zechcą wyrzec się triumfu.

- W potrzebie nawet diabła musisz się słuchać - odrzekł Cadogan. - A zwłaszcza gdy temu diabłu na imię Marlborough...

Nie powiódł się Francuzom kontratak na Taviers. Natomiast atak ich jazdy koło Ramilies osiągnął pewien sukces i zagroził przełamaniem frontu aliantów w samym ich centrum. Marlborough, jak zwykle, był w punkcie zagrożenia. Skierował przeciwko nieprzyjacielskiej konnicy cztery regimenty piechoty, której regularny, spokojny ogień muszkietowy zahamował już prawie triumfującą szarżę.

Schwytyany jak w pułapkę, sam wódz naczelny znalazł się między niebezpieczeństwem zagrażającym na prawo Holendrom, a na lewo Szkotom. W wirze bitwy strącono go z konia. Porwał się na nogi i popędził ku swoim, a francuscy jeźdźcy, rozpoznając go, galopowali za nim. Adiutant, kapitan Molesworth, zeskoczył ze swego wierzchowca i rzucił cugle księciu. Drugiemu z adiutantów, kapitanowi Bringfield, gdy przytrzymał mu strzemień, kula armatnia urwała głowę.

Oddziały pod wodzą Orkneya i Lumleya dokonywały wyczynu, na jaki stać jedynie wysoce zdyscyplinowanych i doświadczonych żołnierzy. Oderwali się od nieprzyjaciela w najgorętszym momencie zażartej i bliskiej zwycięstwa walki wręcz. A za wzgórzami górującymi nad Małą Gheet część z nich, poza zasięgiem wzroku Francuzów skierowała się na południe, pozostawiając jedynie pojedynczą, długą linię czerwonych mundurów do obrony bagnistych brzegów rzeczki.

Wioskę Ramilies atakowali Holendrzy pod dowództwem generała Schultza i dawnego przyjaciela króla Williama, hrabiego Albemarle, oraz Anglicy pod Argyllem i Churchillem. Tu od

początku był punkt wybrany przez wodza naczelnego do rozstrzygającego ataku. Pozorowany napór na północy skutecznie odciągnął Villeroi i większość francuskich rezerw. Bitwa rozgorzała, zwycięstwo chyliło się raz na tę, raz na tamtą stronę przez blisko godzinę. Sierżanci nawoływali, żołnierze krzyczeli.

- ...Naprzód, chłopcy! W nich! Musimy ich rozbić z kretesem!

- ...Boże, już sił mi brak... kiedyż oni się wreszcie załamają?

- ...Żabojady dostały mnie, John...

- ...Nie, Bill! Druhu stary, nie! ‘

- ...Johnny, weź mój plecak... już po mnie... tam są rzeczy dla dzieciaków... powiedz im, że mogą się wstydzić ojca... że on umarł... od rany z przodu...

- ...Bill, Bill! Zrobię wszystko... O, Boże, a ledwie przed pół godziną Dawid... sam zostałem z naszej trójki...

Marlborough sprowadzał coraz więcej oddziałów z prawego skrzydła na środek. I wreszcie Francuzi zaczęli ustępować; walcząc wciąż, cofali się jednak krok po kroku. Równocześnie holenderska jazda okrążyła francuskie prawe skrzydło koło Taviers, zapędziła ich w błota, pogalopowała o parę kilometrów za pozycjami Maison du Roi i uformowała nową linię walki na ich tyłach.

W centrum holenderska jazda i posiłki nadesłane przez Orkneya spod Autre-Eglise wdzierały się przez luki we francuskich szeregach, otaczając i niszcząc pojedyncze oddziały jeden po drugim. Zabici i konający, ludzie i konie, padali jedni na drugich, rosły wały trupów. Krzyki rozdarłyby serce każdego, prócz zwycięzców:

- ...de l'eau, ami... que j'ai soif...

- ...sacre chien mort! La bataille... quand ä fin?...

- ...aidez moi...

Villeroi, mając rozbite prawe skrzydło i środek, usiłował sformować nowy sztyk obronny przy pomocy oddziałów, które poprzednio skierował na północ w odpowiedzi na pozorowany atak Marlborougha przez Małą Gheet. Ale zanim zdołał ustawić swoich żołnierzy wokół St. Pierre Geest, już konnica duńska wdarła się w gmatwaninę oddziałów, a tuż za Duńczykami galopowali Anglicy. Francuzi nie mogli stawić im czoła. Zerwał się ostatni, rozpaczliwy okrzyk na polu bitwy:

- Sauve qui peut!

- Nie było już dla nich żadnej nadziei. Wojska sprzymierzonych, z księciem Marlborough na czele, przedarły się przez środek sztyków i rwały naprzód z tętentem kopyt, błyskiem szabel, wznoszonymi do ciosów bagnietami. Panika ogarnęła francuskie szeregi. Bitwa zamieniła się w rzeź.

- Blimey! Ramiona mnie bolą od wpychania bagnietu w te żabojady... jakbym świnie zarzynał...

A na poboju ci, których jeszcze dosięgnął cios uciekających:

- ...podeprzyj mnie... daj rękę...

- ...trzymaj się... spróbuj wstać...

- ...nie mogę...

- ...musisz, ja leżę na czworakach... trzymaj się mnie, jak spadniesz, to niedaleko...

- ...jak strasznie boli, Harry...

- ...jeszcze wytrzymaj... Jack... wyciągnę cię stąd... do jakiegoś medyka...

Duńska i angielska jazda ścigała uciekających przez kilka mil, nie dając pardonu. Tabory francuskie ustawiono za blisko bitwy; teraz wozy, zapasy, bagaże, jaszczce z amunicją, kuchnie

polowe - zagraadzały drogę, przeszkadzały w ucieczce.

Marlborough posłał rozkaz lordowi Orkney:

„Teraz nadeszła Wasza godzina. Atakować!”

Szczupłe resztki, które utrzymywały linię Małej Gheet, po tym, jak ich pozbawiono sukcesu w ostatniej chwili przed zwycięstwem, rzuciły się na Offus. Cały jeden regiment francuskiej piechoty złożył broń. Reszta uciekła lub poszła pod nóż.

- ...j'en ai assez... je meurs...

- ...mon Dieu... dans vos mains..

Zapadł zmierzch, ale pościg trwał dalej. Kilka angielskich pułków jazdy spod komendy Orkneya i Lumleya polowało aż do świtu. Francuzi, uciekając na północ, rzucali broń, ekwipunek, wszystko, co hamowało ucieczkę. Jakoś niektórzy przebrnęli Judoigne, dalej, do Louvain, ku chwilowej osłonie rzeki Dyle. Irlandzki kapitan w służbie Francuzów, Peier Drake, pisał o tej ucieczce:

„Przeprawiliśmy się przez rzekę znużeni na duchu i ciele... byliśmy na nogach w ciągu dwudziestu czterech godzin bez jednej chwili odpoczynku. Był to zaprawdę wstrząsający widok, gdyśmy rankiem ujrzeli żałosne resztki potężnej armii. Jeszcze wczoraj było nas siedemdziesiąt tysięcy doborowego żołnierza, została garść padających ze zmęczenia obszarpańców. Taką katastrofę może spowodzić ambicja książąt...”

Niegdysiejsi „niezwyciężeni” zatrzymali się na drugim brzegu Dyle tylko na parę godzin odpoczynku. Pobici generałowie, zgromadziwszy się na pośpieszną, tragiczną radę wojenną przy łuczywie, zdecydowali schronić się do Brukseli. Nawet i z tego miasta musieli się później wycofać, jak z całej Belgii. Villeroi pozbierał rozproszone szczątki wojsk w Lille, o sto dwadzieścia kilometrów od miejsca klęski.

Osiemdziesiąt sztandarów zdobyli sprzymierzeni; namioty, ekwipunek, góry bagaży. Zginało lub odniosło rany cztery tysiące Holendrów, Brytyjczyków i Duńczyków; piętnaście tysięcy Francuzów i Bawarczyków. Blisko połowa żołnierzy „potężnej armii”, ci, którzy przeżyli pogrom, wcale nie wrócili do swoich regimentów. Zdezertowali. Okoliczni wieśniacy ukrywali ich, dopomagali w ucieczce. Wreszcie biedacy jakoś dobrnęli do własnych domów.

Marlborough towarzyszył pościgowi do późnej nocy. Wraz z paru towarzyszami zbłądził; ostatecznie w oczekiwaniu ranka położył się na gołej ziemi, owinięty w swój płaszcz. Następnego dnia pisał do Sary:

„Najdroższej mojej nie powiadomiłem wprzód, że zamierzam wciągnąć wroga w walną bitwę, bojąc się, by zmartwienia o mnie nie przysporzyć:...walczyliśmy, a Bogu Wszechmogącemu spodobało się zesłać nam wiktoryę. Szczegóły niech Ci opowie oddawca tego listu, pułkownik Richards, bo spędziwszy na koniu całą niedzielę, a po bitwie przez noc maszerując, mam głowę obolałą i pisać mi trudno. Biedny Bringfield, gdy mi pomagał dosiąść konia i strzemię mi przytrzymał, zginął od wrogiej kuli. Podobno zostawił żonę i matkę w niedostatku. Nie zdołam napisać do żadnego z mych dzieci, więc powiedz im ode mnie, że wszystko dobrze i niechaj Bogu podziękują za Jego łaskę...”

Sara zaprzyjaźniła się z wdową i matką kapitana Bringfielda. Królowa przyznała im pensję na prośbę Marlborougha, który w typowy dla niego sposób, zaoszczędził sobie kosztów z własnej szkatuły. Ale to nie jest odpowiednia chwila, by przypominać o słabostkach i mniej podziwu godnych cechach wielkiego bohatera.

Holendrzy i Szwajcarzy, Duńczycy i Brytyjczycy zwyciężyli równe im mniej więcej liczebnie

wojsko Francuzów i Bawarczyków. A księżę upokorzył i wygnał na zawsze z pól bitewnych, w ślad za Tallardem jeszcze jednego francuskiego marszałka.

Rozdział 20

BURZA NIE MIJA

Gdy z Belgii wódz naczelny i wojska sprzymierzone wypędzały Francuzów, przy sposobności obracając wniwecz ambitne plany Króla-Słońce, gdy w Niemczech Villars i elektor bawarski nadaremno usiłowali zachować łączność z bazami - w Anglii Sara przepędzała wiele czasu doglądając budowy pałacu Blenheim. A doglądać trzeba było. Architekt Sir John Vanbrugh trudnił się pisaniem fars dla teatru, nim obrócił uwagę w stronę trwalszych dzieł sztuki. Projektant gmachów monumentalnych, ale niekoniecznie praktycznych, inicjator mnóstwa planów, których nigdy nie miał czasu ani chęci ukończyć, Vanbrugh rzadko kiedy bywał tam, gdzie go właśnie potrzebowano. Budowy, które prowadził, ciągle trzeba było wstrzymywać, ponieważ brakowało decyzji. Gdyby nie ostry wzrok - i jęczyczek - Sary, wielki pałac Blenheim byłby w znacznej części niedbale zbudowany.

Pałac zaplanowano jako największą prywatną siedzibę magnacką w Anglii i zapewne jest nią po dziś dzień. Składa się z trzech części: środkową przeznaczono pierwotnie na komnaty mieszkalne, jedno ze skrzydeł na stajnie i wozownie, drugie na kuchnie i pomieszczenia gospodarcze. Nad główną częścią budynku wznoszą się cztery wieże zakończone złożonymi kulami. Do portyku, wspartego na korynckich kolumnach, prowadzą wysokie i szerokie schody. Vanbrugh budował raczej na efekt niż dla wygody przyszłych mieszkańców. Co prawda, zachęcał go do tego sam Marlborough, który - wieczny „chory z urojenia” - nie sądził, iż osobiście będzie długo w swoim pałacu zamieszkiwał. Wydaje się, że widział w pałacu Blenheim raczej trwały pomnik niż własny dom. Dla Vanbrugha okna stanowiły ornament fasady i nie dbał o to, czy dawały dość światła wewnątrz. O komnatach, o wiele za małych jak na ówczesne pałacowe wymogi, Voltaire pisał, iż gdyby tylko były tak szerokie, jak grube są ściany, to „château” mógłby być dość wygodny.

Wnętrza dekorowano na imponującą skalę, w czym więcej było gustu Sary niż Vanbrugha. Na jednym z plafonów wyobrażono pędzlem symboliczną Wiktorię, wskazującą plan bitwy pod Blenheim i wkładającą wieniec laurowy na głowę księcia, przybranego w togę starożytnych Rzymian! W innych salonach Marlborough jest namalowany w chwili przyjmowania darów od przedstawicieli różnych nacji, a każdy w narodowym stroju. Ponad cztery tysiące metrów jedwabi i adamaszków wybrał w Wenecji dla Sary jej bliski przyjaciel, ambasador hrabia Manchester. Później John zamówił gobeliny w Brukseli, przedstawiające różne bitwy, w których brał udział. Kolekcja obrazów, zbieranych w całej Europie, zawierała między innymi Rubensa „Lota i jego córkę”, prezent od cesarza, i autoportret Rubensa z rodziną, dar rajców miasta Brukseli.

Nie tylko architekci, majstrowie, malarze i tapicerzy przyczyniali się do luksusów pałacu Blenheim. Hrabia Manchester zarekomendował Sarze włoskiego muzyka, który umiał grać na gitarze, klawikordzie, oboju i fagocie. W Anglii muzyka wchodziła w modę. W królewskich apartamentach w Windsorze koncerty dawano dwa razy w tygodniu. Kompozytor Henryk Purcell pisał o kilka lat wcześniej:

„Muzyka w Anglii jest jeszcze w powijakach; nad wiek rozwinięte dziecko, które rokuje dobre

nadzieje na przyszłość, jeśli spotka się z zachętą. Teraz uczy się u Włochów, najwyborniejszych mistrzów, a z Francji czerpie trochę wesołości i elegancji...”

Jednakże na dworze najchętniej słuchano niemieckich kompozytorów i wykonawców. Sara lubiła muzykę i stała się jej protektorką. Nieco później mianuje Giovanniego Battistę Buoninciniego, kompozytora oratoriów i oper, swoim nadwornym muzykiem, kapelmistrzem i dyrygentem chóru, przydzielając mu wygodny dom w majątku niedaleko pałacu i pensję pięciuset funtów rocznie.

Sara doglądała budowy od praktycznej strony, ale i książę, nawet podczas kampanii, wciąż rozważał sprawy związane z jego monumentalnym pałacem i otaczającym go parkiem. Z Flandrii pisał:

„Jeśli pogoda tam podobna do tutejszej, to powinien być piękny urodzaj na owoce tego lata, a jako że to już trzeci rok młodego sadu w Woodstocku, więc życzyłbym sobie, abyś Ty sama, albo ktoś, na kim możesz polegać, spróbowała owocu z każdego drzewa. Sprawdź smak, bo można zmienić, co nie jest dość dobre...”

Dzięki zwycięstwu pod Ramilies Wielkie Przymierze zyskało nie tylko Louvain i Brukselę, ale także Antwerpię, Gandawę, Brugię, Ostendę i Menin. Król pruski i większość niemieckich książąt zdecydowali, że wiadomo z pewnością, na czyją stronę przechyli się ostateczne zwycięstwo. Pośpieszali, nieco spóźnieni, by dotrzymać dawniejszych obietnic wysłania za Alpy dodatkowych wojsk. A te pozwoliły księciu Eugeniuszowi zwyciężyć Francuzów pod Turynem. Nie tylko więc we Flandrii i Bawarii rozwiały się ambitne nadzieje Króla-Słońce. Podpisał z cesarzem konwencję, zgodnie z którą mógł wycofać swe odcięte garnizony z miast lombardzkich i Mediolanu. Ten ostatni przypadł wraz z Neapolem Austrii, a Sabaudia odzyskała niepodległość. We Włoszech wojna się skończyła. Poza granicami Francji tylko w Hiszpanii jeszcze dominowały wpływy francuskie. I już jedno tylko Królowi Ludwikowi chodziło: nie dopuścić, aby kopyta i buty wojsk sprzymierzonych tratowały żyzne pola samej Francji.

Dopóki traktat pokojowy nie rozstrzygnął o przyszłości Belgii, kraj ten nominalnie powrócił do swej pierwotnej sytuacji z XVI wieku - to znaczy, stał się częścią imperium habsburskiego. Po bitwie pod Ramilies, cesarz Józef zaproponował, że mianuje księcia Marlborough wicekrólem, z pensją £ 60 000 funtów rocznie. Marlborough aż się zachłysnął zachwytem. Być wicekrolem! Status prawie monarszy! Gdyby jeszcze mógł zatrzymać stanowisko wodza naczelnego, przewyższyłby o głowę każdego z niemieckich książąt, a i niejednego koronowanego monarchę w Europie. Rząd brytyjski wyraził zgodę, dostrzegając możliwość wywierania za pośrednictwem tego wicekróla ważnego wpływu na cesarstwo. Ale Józef zabrał się do nominacji niezręcznie. Zanim wyraził swoją propozycję, nie skonsultował się z Holendrami, którzy uznali to za zniewagę. Ostatecznie to właśnie w Holandii położono fundament pod Wielkie Przymierze. Więc gdy Stany Generalne zebrały się, by sprawę przedyskutować, panowały nastroje rozdrażnienia i nieprzychylności. Zresztą może w żadnym razie Stany nie zgodziłyby się na tę nominację. Heinsius wyjaśnił Marlboroughowi punkt widzenia Holendrów z całą otwartością:

- Nie można oczekiwać, iżbyśmy chętnie powitali spółkę wielkich mocarstw na naszym własnym podwórku. Bo gdybyś, wasza książęca mość, jako minister angielskiej korony został zarazem wicekrólem Belgii z ramienia cesarza, to powstałoby przymierze, w którym Holandia nie miałaby nic do powiedzenia, a które zagrażałoby naszym interesom. Chcemy, żeby Belgia była dla nas buforem, jako państwo niezależne, którego granice zagwarantowaliby: cesarz, Anglia i my, a może także Francja.

- Ależ wiecie, że Anglia jest wam przychylna - nalegał Marlborough. - A co do mnie, Holandia jest moją drugą ojczyzną!

- Obecny rząd brytyjski jest nam przychylny - poprawił Heinsius. - A kto wie, jak się ustosunkuje inny rząd?

„Pensionarius” nie powiedział wprost tego, co na pewno miał na myśli: że w niedalekiej przeszłości lojalność samego księcia też ulegała wahaniom w zależności od osobistych interesów. Natomiast dorzucił:

- Wiadomo, że cesarz Józef nie darzy mojego kraju szczególną sympatią. - I jeszcze dyskretna przestroga: - Gdybyś wasza książęca mość przyjął tę nominację, Wielkie Przymierze przestałoby istnieć. - To oczywiście oznaczało, że Holandia byłaby w takim wypadku gotowa zawrzeć odrębny pokój z Francją. Na zakończenie Heinsius powiedział: - Proszę tę sprawę przemyśleć bardzo uważnie, milordzie, także w odniesieniu do osobistych interesów waszej książęcej mości.

Marlborough nie potrzebował długo rozmyślać. Jego własna sława i fortuna wzrosły razem z Wielkim Przymierzem. Holandia była tego przymierza głównym członkiem, na którym można było zawsze polegać. Książę dostrzegł, że mógłby pozostać z ceremoniałem, pompą i tytułem wicekróla, ale bez prestiżu i znaczenia wodza naczelnego. Acz z żalem, jednakże odrzucił zaszczytną propozycję cesarza Józefa.

- Wasza książęca mość słusznie postąpiłeś - powiedział Heinsius. - Ta oferta cesarza nie była zaszczytem, lecz pułapką. Jesteś człowiekiem sławnym w Europie i cesarz chciał twoją sławą związać habsburskimi łańcuchami. Król Ludwik usiłował ciebie złamać kosztem tysięcy żołnierzy: cesarz chciał zrobić to samo jednym pociągnięciem pióra.

Marlborough zdał sobie sprawę, że ledwo, ledwo uniknął tej pułapki, a także że Heinsius był mu dobrym przyjacielem i mądrym doradcą. Ale wdzięczność nie zawsze chodzi w parze z zaciągniętym długiem. W maju 1707 roku John pisał z Flandrii do Sary w nastroju żalości:

„Od kiedy Ciebie opuściłem, duszo moja najmilejsza, nie miałem ani chwili dla siebie... Gdybym mógł się ucieszyć Twoją kompanią, wynagrodziłoby mi to samotność... o ile nie dotyczy to wojny, nie mam nikogo, z kim mógłbym rozmawiać otwarcie i szczerze... muszę wciąż gadać z wielu ludźmi, a wśród nich ani jednego, którego bym życzył sobie mieć przyjacielem...”

W Hiszpanii tocząca się wojna przypominała huśtawkę. Siły brytyjskie i portugalskie to wypędzały Hiszpanów i Francuzów z Madrytu, to same musiały się wycofywać. Podobna wojna - choć z innym ostatecznym rezultatem - powtórzy się w sto lat później, gdy Wellington będzie walczył z napoleońskimi marszałkami. Ale wówczas naród hiszpański będzie nienawidził narzuconego im króla, Józefa Bonaparte, i dopomoże Wellingtonowi skuteczną partyzantką; teraz zaś ludność po większej części współdziałała z ich burbońskim suwerenem.

W kwietniu roku 1707 nieślubny syn Arabelli Churchill i Jakuba II, książę Berwick, naczelny wódz króla Ludwika w Hiszpanii, zaatakował wojska angielsko-portugalskie pod Almansa, na południe od Walencji. Portugalczycy, jazda i piechota, uciekli w popłochu, zostawiając około ośmiu tysięcy Anglików i Holendrów w obliczu ponad dwudziestu tysięcy Francuzów i Hiszpanów. Hrabiemu Galway udało się wyprowadzić z pułapki półtora tysiąca piechoty, kilka regimentów jazdy, część artylerii. Trzy tysiące żołnierzy pod generałem Shrimptonem zostało otoczonych i poddało się. Klęska była zupełna i dowiodła szaleństwa i nierozwagi sławetnego hasła: „Nie ma pokoju bez Hiszpanii”, pod którym podpisywał się również Marlborough z rozmaitych powodów. Nie tylko Król-Słońce nie chciał Habsburga na hiszpańskim tronie, nie chcieli go również sami

Hiszpanie, godząc się na Filipa Andegaweńskiego.

Ośrodek aktywności militarnej przeniósł się z powrotem do Flandrii i na wschodnie granice Francji. Cesarz niewiele mógł przysłać wojska, toteż wszystko zależało od Anglików i Holendrów oraz pomocy zawsze niepewnych księstw niemieckich. Ludność małej Holandii długo już z samozaparciem zaopatrywała Wielkie Przymierze w ludzi i pieniądze, ale było im coraz ciężej. Heinsius nalegał na księcia Marlborough, aby większy niż dotąd wkład wносиła Anglia.

„W twoim kraju, mości księżę, ludność jest bogatsza niż w Holandii, która podjęła ciężar wojny od początku, zanim jeszcze wy zaczęliście walczyć. Jeśli teraz Anglia nie będzie walnie dopomagać, to nikt tego nie zrobi. Jeden po drugim alianci zaczną odpadać. Będą do tego zmuszeni. Trzeba działać, i to działać bez zwłoki”.

Ponowna sugestia, że Holandia mogłaby zawrzeć odrębny pokój z królem Ludwikiem, nie uszła uwagi księcia. Żywił też obawy - w pewnej mierze uzasadnione, jak się później okazało - że intrygi i niezgoda wśród angielskich polityków zaciemnią świetny blask jego wojennych zwycięstw, które pozostaną nie wykorzystane. Odpisując Heinsiusowi, starał się zyskać na czasie:

„Wprawdzie Anglia z całą pewnością następnej wiosny (1708) więcej ludzi i pieniędzy nadeśle, jednakże pod warunkiem, że Pański kraj uczyni nie mniej... Jeśli sprawi Pan, że będziemy mieć dość żołnierza, by odnieść dalsze sukcesy we Flandrii, to ufam, iż wygramy Hiszpanię poprzez Francję”.

Jasne, iż marzyło mu się szczytowe osiągnięcie, koronujące jego karierę - marsz na Paryż.

Sytuację skomplikowały polityczne rozgrywki w Londynie. Stosowana przez wigów metoda opłacania kosztów wojny - podatek gruntowy - wzmagała jeszcze niechęć torysów do działań militarnych przeciw Francji, tym bardziej gdy widzieli, jak ich pieniądze wpadały do kieszeni szybko bogacących się dostawców i bankierów angielskich i holenderskich. Prócz tego życzyli sobie powrotu na rolę swoich dzierżawców i parobków rolnych, którzy poszli wojować. I jeszcze chcieli, by europejskie porty i rynki znowu stały otworem dla ich płodów rolnych.

Robert Harley zręcznie manewrował, by wziąć prym w rządzie zamiast Godolphina, torysa, ale bardzo umiarkowanego i przyjaciela Churchillów. Wigowie natomiast dążyli do całkowitego usunięcia Harleya, St. Johna i innych „trymerów”, czyli oportunistów oraz do uformowania rządu jednopartyjnego, w którym poczesne miejsce zajmowałby hrabia Sunderland, zięć księcia Marlborough. Takie posunięcie zmierzało oczywiście do wciągnięcia samego księcia, definitywnie i jawnie, w szeregi wigów, gdzie Sara już odgrywała dość ważną rolę. Godolphin gotów był poczynić dalsze jeszcze koncesje na rzecz wigów, byle tylko utrzymać oportunistycznych „trymerów” u władzy, natomiast Harley sprzeciwiał się, zwłaszcza w sprawie hrabiego Sunderlanda, ponieważ nienawidził Sary, a bał się księcia.

Sara osobiście prowadziła teraz kampanię równie trudną a zaciekłą, jak jej mąż na niejednym polu bitwy. Nieopatrznie dopuściła do tego, że „generał” Harley i „pułkownik” Abigail Hill wdarli się na tereny, którymi do tej pory ona sama władała silną ręką. Wspólnie tym dwojgu udało się prawie całkowicie opanować królową, która zawsze miała skłonności torysowskie. Aby tym skuteczniej wyprzeć Sarę - radykalną stronnice wigów - z serca pani Morley, Abigail sprytnie popierała Harleya, którego niewątpliwe zdolności pani Freeman doceniała, chociaż zarazem widziała lepiej od innych jego dwulicowość i bezwzględny egoizm. Harley był ambitnym karierowiczem, ale ani księżę ani księżna nie mogli brać mu tego za złe. Stosunek ich obojga do królowej zawsze opierał się na ich własnych aspiracjach do bogactw, dostojności i władzy.

Latem roku 1707 Sara odkryła, że Abigail Hill jest potajemnie poślubiona niejakemu Samuelowi

Mashamowi, który tak jak jego żona, księżnej właśnie zawdzięczał rekomendację do służby królewskiej. Generał Freeman najpierw spróbowała zaatakować forpoczty nieprzyjacielskie, czyli pułkownika Abigail Hill.

- Czy to prawda, co słyszałam o twoim zamążpójściu? - spytała. Pułkownik odpowiedziała salwą ostrzegawczą ponad głową podchodzącego nieprzyjaciela:

- Owszem, prawda, i proszę o wybaczenie, że cię o tym nie uwiadomiłam.

Lekceważąc ostrzeżenia, generał Freeman popróbowwała pertraktacji:

- Jeśli królowa nie wie o tym mariażu, użyję mego wpływu, by ci ułatwić poinformowanie jej o tym.

- Och, garderobiane sypialni nie raz już mówiły o tym z najjaśniejszą panią - brzmiała obojętna odpowiedź.

Wymijając tego oponenta, generał Freeman przypuściła atak na główną fortecę:

- Miłościwa pani, czemu nie zechciałaś powiedzieć mnie, twojej przyjaciółce, o mariażu mojej kuzynki? - zapytała bez ogródek. - Sama nieraz cytowałaś Montaigne'a, by dowodzić, że nie byłoby nadużyciem zaufania poinformowanie bliskiego przyjaciela, bo to tyle samo, co poinformowanie samego siebie!

Królowa wycofała się za umocnione fortyfikacje obronne, zza których odparła:

- Chyba ze sto razy mówiłam Abigail Masham, by ci o tym powiedziała, a ona nie i nie!

Generał Freeman po tej pierwszej wymianie salw wycofała się, by rozpatrzyć własne pozycje i siły nieprzyjaciela, a także uplanować, jak najlepiej przypuścić następny atak. Wkrótce Sara odkryła, o czym wszyscy prócz niej wiedzieli już od jakiegoś czasu: że Abigail Masham stała się faworytką królowej, która była obecna na sekretnych zaślubinach i wyposażyła hojnie młodą parę, i że to właśnie niewdzięczna kuzynka popierała interesy Harleya na królewskim dworze.

Marlborough zmuszał nieprzyjaciela do walnej bitwy tylko wtedy, gdy był pewien zwycięstwa. Generał Freeman nie miała takiego zrozumienia taktyki: nie dostrzegała słabości własnej pozycji, a prócz tego przedwcześnie ujawniała swoje intencje artyleryjskim ogniem w formie wojowniczych listów:

„Pamiętam dobrze czasy, kiedy Pani Morley chętnie słuchała rad i miłowała tych, którzy otwarcie do niej mówili, a było to ledwie pięć lat temu; i czy to możliwe, iżby pochlebstwem tak prędko taką moc nad Tobą osiągnąć? Czy też może sądzisz, że lepiej słuchać rad obcych, których nie znasz, których nie doświadczyłaś ani nie wypróbowałaś, niż tych, którzy Twoje imię wynieśli na wyżyny, o jakich sama nie marzyłaś?”

Ostatnie zdanie grzeszyło zarówno impertynencją jak i nietaktem.

Na tę salwę królowa odpowiedziała ogniem lżejszego kalibru:

„Jeśli nie odpisywałam na wszystkie listy, to tylko w obawie, by nie pogorszyć i tak już przykrego mniemania, jakie Pani Freeman o mnie powzięła. Pech chciał, że nie mogę się zgodzić we wszystkim absolutnie, a wówczas to, co powiem, uważa się za pozbawione rozsądku, co skłania mnie do odstąpienia od szczegółowych eksplikacji... Cokolwiek się stanie, ja zawsze do moich ostatnich dni zachowam szczerą i serdeczny sentyment dla mojej drogiej Pani Freeman...”

W rzeczywistości, ów „szczerą i serdeczny sentyment” już przestał istnieć. Ale generał Freeman, choć jasne było, że napotka przeważającą siłę nieprzyjacielską, brnęła naprzód z hukami armatnich salw. Sara osobiście jeszcze raz poszła do królowej, która ją bardzo zimno przyjęła; powróciła więc do nieskutecznego artyleryjskiego ognia korespondencji: narzekała, że jej wizyta „innej nie dała

satisfakcji, jak tylko pozbycia się pani Freeman, aby pani Morley mogła cieszyć się konwersacją z kimś, kto ma szczęście być w jej łaskach”. I znowu zupełnie bez żadnego wycucia taktycznego list kończył się pogrózką szarzy kawaleryjskiej na tyły wojsk królowej: książe Marlborough, Godolphin i sama pani Freeman wypowiedzą swe służby, jeżeli królowa się nie podda, to znaczy jeżeli nie oddali od swej osoby pułkownika Abigail i generała Harleya.

Temu okrażającemu manewrowi przyszedł z pomocą atak frontalny, przypuszczony przez polityków. Marlborough starał się poskromić swą wojowniczą żonę, doradzał jej zaprzestać ognia, by uniknąć zbędnej i jałowej goryczy. Ale Godolphin oznajmił, że nie może współpracować dłużej z Harleym. Ten ostatni, lepszy taktyk od pani Morley i pani Freeman, wycofał się z konfliktu na z góry upatrzoną pozycję, chociaż nawet królowa broniła go uparcie. Podał się do dymisji, a z nim razem Henry St. John i paru innych ministrów. To pozorne zwycięstwo wprędce przemieniło się w zniechęcenie do Godolphina i agresywnej generał Freeman, bo Harley nadal odwiedzał królową późnym wieczorem wpuszczany kuchennymi schodami przez Abigail, a wpływ jego bynajmniej się nie zmniejszył.

Wigowie, którym najbardziej zależało na uzyskaniu sukcesji tronu hiszpańskiego dla Habsburgów, ujęli teraz ster we własne ręce. Z przeciwnego stronnictwa pozostali w rządzie tylko Godolphin i Marlborough. Ale wszyscy prawie posłowie torysowscy - i prawdziwi i ci, których zwano oportunistycznymi „trymerami” - utworzyli formalną opozycję. Większość z nich była przeciwna zarówno wojnie, jak i księciu Marlborough Argumentowano, nie bez podstaw, że kto zwycięża w wojnach, kontynuuje wojny, a zwycięstwo na polu bitwy, jeśli mu nie towarzyszy rozważa polityczna, może w końcu więcej wyrządzić zła, niż dobra.

Marlborough miał dużą praktykę w dostrzeganiu, po której stronie jego chleb będzie masłem posmarowany. Aby ocalić swoje stanowisko wodza naczelnego, a także własne i Godolphina krzesło w gabinecie ministrów, opuścił torysów i przeszedł na stronę wigów, którzy uznali, że im się opłaci przyjąć go na swe łono. Wbrew kłótlivej Sarze, królowa nadal darzyła zaufaniem swego wodza naczelnego, który mógłby przeważyć wpływy Harleya. Co więcej, ludność Anglii wielbiła swego zwycięskiego bohatera, więc jego przynależność do wigów mogła zaważyć na najbliższych wyborach. Godolphin, chociaż torys, zatrzymał swój urząd, ponieważ był nie tyle politykiem, ile doświadczonym urzędnikiem, dostosowującym się do przemian lojalności księcia. Jednakże pozycja Marlborougha wymagała nie lada akrobacji. Wojna pomiędzy królową Morley i generałem Freeman trwała nadal. Anna pisała do księcia o jego żonie:

„Chyba nikogo tak w przyjaźni nie ukrzywdzono, jak ona mnie ukrzywdziła.;. Niczego więcej sobie nie życzę, jak tylko by ona przestała mnie dręczyć, dokuczać mi i zachowywała się tak, jak przystało wobec swojej przyjaciółki i swojej królowej, a ufam, że Ty potrafisz w tym względzie wpłynąć na nią...”

Godolphin również zaklinał swego przyjaciela i mentora, by ten odesłał Sarę na wieś i wzbronił jej dostępu do papieru, piór i inkaustu. Niestety, Marlborough nie miał takiej władzy nad swoją księżną. Mógł tylko powiedzieć, już nie po raz pierwszy:

- Gdy taki humor na nią przyjdzie, nic nie można poradzić: trzeba czekać, aż burza minie.

Tym razem burza nie mijała. A jej huraganowe uderzenia wstrząsnęły aż do fundamentów umiejętnie wzniesionym gmachem kariery księcia, już nadwreżonym niechęcią torysów wobec dezertera z ich szeregów i nieufnością wigów. Aby się utwierdzić na zachwianej pozycji, aby sobie zapewnić dalszą przychylną przynajmniej samej królowej, Marlborough potrzebował koniecznie

jeszcze jednej głośnej wiktorii na polu bitwy. Z początkiem roku 1708 wódz naczelny znalazł się w Hadze, gdzie obmyślał wraz z Heinsiusem i księciem Eugeniuszem najlepsze środki do osiągnięcia tego celu.

Rozdział 21

MASAKRA

Dnia 11 lipca 1708 roku Marlborough znalazł się o krok od realizacji swego upragnionego celu - celu każdego prowadzącego kampanię wodza - a mianowicie całkowitego okrążenia i unicestwienia armii nieprzyjacielskiej. Pole bitwy leżało między rzekami Scheldt i Norken, nieco na północ od Oudenarde, jednego z miast, zdobytych po zwycięstwie pod Ramilies. Ponieważ Francuzi mieli przewagę liczebną, więc książę Eugeniusz Sabaudzki i generał Ouwerkerk odradzali bitwę. Marlborough uparcie obstawał przy swoim, usprawiedliwiając później w liście do Godolphina tę ryzykowną decyzję:

„Nic innego tak ducha nie doda zwolennikom sprawy królowej”.

Miał oczywiście na myśli stronnictwo wigów, które mogło werbować ludzi i gromadzić fundusze na wojnę tylko dopóty, dopóki alianci odnosili głośne zwycięstwa. W dalszym ciągu listu Marlborough pisał:

„Jedynie ta przyczyna kazała mi wczoraj na bitwę się ważyć...”

Walki rozpoczęły się około południa. Książę Eugeniusz, Ouwerkerk, książę Argyll i Cadogan wypełnili wyznaczone im zadania dzielnie i sprawnie. Marlborough kierował całością, baczny na wszystko, konsultując się często z Eugeniuszem i systematycznie wykuwając człony obręczy ze stali i ognia dookoła Francuzów pod dowództwem marszałka Vendome. Została już tylko jedna jedyna luka, wymagająca najwyżej godziny walki, by ją zamknąć - gdy zapadła noc. Marlborough nakazał otrąbić wstrzymanie ognia, aby piechota i dragoni Ouwerkerka oraz jazda pod generałem pruskim Natzmerem, posuwając się ku przodowi z przeciwnych krańców luki, nie razili po ciemku siebie nawzajem. W ciągu tej nocy duża część wojsk marszałka Vendome zdołała się wymknąć. Wzięto jednakże dziewięć tysięcy jeńców, a sześć tysięcy legło na poboju, podczas gdy straty sprzymierzonych wyniosły razem trzy tysiące zabitych i rannych.

Marlborough odniósł trzecie wielkie zwycięstwo. Rzeczywiście zadziwiające, ile do tej pory potrafił już osiągnąć w kampaniach prowadzonych wielonarodowymi wojskami, istną mieszaniną, w której jego rodacy stanowili nieliczną mniejszość. Nie miał możliwości ćwiczyć prawidłowo wojsk, ani nawet skoordynować poszczególnych regimentów, ponieważ wciąż się zdarzało, że Niemcy lub Duńczycy przyłączali się w ostatniej chwili - na tydzień, czasem na dzień przed bitwą, a bywało, że i w trakcie toczącej się walki. Wielu oficerów nie znało innego języka prócz własnego, z trudnością porozumiewali się z oddziałami walczącymi ramię w ramię z nimi. Natomiast żołnierze, przeważnie doświadczeni weterani różnych wojen, walczyli gorliwie i szli z ochotą. Było też sporo zdolnych dowódców, dzielnych i gotowych podejmować ryzyko, jakiego od nich Marlborough wymagał. A nade wszystko i oficerowie, i żołnierze mieli absolutne zaufanie do wodza naczelnego, czuli jego pewną rękę, kierującą nimi na każdym etapie toczącej się bitwy, zagrzewała ich jego stała obecność wśród nich w wirze walki, szybkie wprowadzanie posiłków wszędzie tam, gdzie było potrzeba. Po bitwie pod Blenheim i po sforsowaniu „Linii Brabantu” każdy żołnierz aliancki wiedział, że

nieprzyjaciel stracił ducha, że Francuzi bali się ich, dopóki na ich czele stał Marlborough.

Bitwa pod Oudenarde była poważnym ciosem dla króla Ludwika, który z początkiem roku wysłał był marszałka Vendome do Flandrii z rozkazem podjęcia ofensywy. Marszałek zdobył Gandawę i Brugię, opanował flandryjskimi miastami, do tej pory w posiadaniu sprzymierzonych aliantów. Marlborough rwał się do walnej rozprawy, więc spiesznym pochodem zagroził liniom komunikacyjnym marszałka na rzece Schmidt. Wyścig dwóch wrogich armii do rzeki wygrał Cadogan, który przeprawił się pontonami ułożonymi przez jego saperów. I wówczas wytworzyła się sytuacja wymarzona dla wojsk sprzymierzonych, a z dymem bitwy pod Oudenarde rozwiały się nadzieje Króla-Słońce.

Wódz naczelny powziął z kolei plan, śmiałością i geniuszem podobny do marszu na Dunaj przed czterema laty. Rząd brytyjski zgodził się, a historycy wojskowości orzekli później, że plan był wykonalny, zważywszy, że dowodzić miało dwóch najznakomitszych wodzów epoki. Zachowanie sekretu było konieczne, toteż prócz Godolphina Marlborough wtajemniczył tylko księcia Eugeniusza Sabaudzkiego.

- Z Anglii - objaśniał - wyślemy wojska, które wylądują na północnym wybrzeżu Francji, w ujściu Somy. Nasza flota panuje nad kanałem La Manche, więc nie będzie z tym trudności i tylko musimy Symulować, że zaokrętowane wojska przeznaczone są do Hiszpanii. Dwanaście mil w głąb lądu, w Abbeville, założymy bazę wojskową, którą można zaopatrywać drogą morską i z Anglii, i z Holandii.

- A co mają robić przez ten czas nasze wojska tutaj? - pytał Eugeniusz.

- Zignorujemy francuskie twierdze, ominiemy je i żywiąc się w drodze lokalnym prowiantem i furazem, dotrzemy do Abbeville. Nawiasem mówiąc, odetniemy w ten sposób i obezwładnimy Dunkierkę, Calais i inne francuskie garnizony nadmorskie. Nie będzie można wezwać ich na pomoc, by przeszkodziły w następnym etapie naszego pochodu: na Paryż!

Triumfalne uwieńczenie, połyskująca gwiazda, której blasku nie będą mogli zaćmić nawet torysi; chociaż zasługę za zwycięstwo pod

Oudenarde próbowali oni przypisać raczej Eugeniuszowi niż własnemu rodakowi i wodzowi naczelnemu. Marsz na Paryż! Eugeniusz odrzekł, najwidoczniej oszołomiony:

- Garnizony nadmorskie nie mają znaczenia. Ale przecież zostawilibyśmy za sobą, we Flandrii i we Francji, na drodze naszego powrotu, cały szereg potężnych fortec i silne armie nieprzyjaciela. Mój przyjacielu, porywasz się na rzecz niewykonalną. To nie do pomyślenia. Słuchaj, ani Holendrzy, ani też ja nie zgodzimy się wziąć udziału w takim chimerycznym projekcie.

- Nie będzie wojsk zagradzających nam drogę powrotną - odparł Marlborough. - Nawet gdybyśmy musieli wracać, czego nie przewiduję, król Ludwik będzie musiał jeszcze wcześniej odwołać wszystkie swe armie do obrony Paryża. I napotkamy je pomiędzy Abbeville a Paryżem, które dzieli niewiele ponad sto mil. I tam się z nimi rozprawimy. Chociaż może wcale do walnej bitwy nie dojdzie. Sam nasz pochód, zagrożenie Paryżowi mogą wystarczyć, by król Ludwik wszczął pertraktacje pokojowe. A w takich okolicznościach my będziemy dyktowali warunki. Pochód do Dunaju był bardziej hazardowym przedsięwzięciem od tego, które teraz proponuję. A na Dunaj sam się zgodziłeś.

- Ale wtedy przechytryłeś Holendrów - odparł Eugeniusz. - Teraz oni nigdy ci nie pozwolą zabrać ich wojsk tak daleko od własnych granic! I chcesz polegać na zaopatrzeniu drogą morską, przez francuski port!

- Wiem, że ze Stanami Generalnymi będą kłopoty - przyznał Marlborough. - I niektórzy z ich generałów boją się braku prowiantu więcej niż braku nieprzyjaciela. Ale ufam, że z twoją pomocą mógłbym przekonać Heinsiusa.

- Nigdy nie zdołasz utrafić z nadesłaniem ekspedycji posiłkowej morzem tak, byśmy się na czas spotkali - protestował Eugeniusz. - Za wiele czynników niewiadomych.

Eugeniusz był szczurem lądowym. Marszu przez Alpy mógł się podjąć i podjął się z zaufaniem. Natomiast nie znał się na operacjach mor-sko-lądowych, jak te, które projektowano w związku z marszem na Paryż. Jego jedyne doświadczenie z takiego rodzaju przedsięwzięciem - kiedy w roku 1707 angielska flota śródziemnomorska współdziałała z jego wojskami w próbie zdobycia Tuluzy - zakończyło się fiaskiem, co prawda, głównie z powodu jego własnego braku przekonania i zapału. Jakkolwiek tam było, teraz Eugeniusz uparł się i nic go nie mogło poruszyć.

- Spróbujmy najpierw zdobyć Lille - zaproponował. - Wtedy, mając zabezpieczone linie komunikacyjne z Flandrią na naszych tyłach, możemy tam spokojnie przezimować. A następnego roku poprobujemy tego ziemno-wodnego projektu, ale trochę inaczej: ruszymy na Paryż z dwóch punktów: jedna armia będzie szła z Abbeville, a druga z Lille. Weźmiemy Paryż jak w kleszcze.

Marlborough jeszcze nie rezygnował:

- Oblężenie Lille, jednej z najpotężniejszych francuskich twierdz, będzie długie i trudne. Poniesiemy duże straty w ludziach. Nie mamy ze sobą taborów oblężniczych. Prócz tego wzięcie Oudenarde stworzyło teraz dogodną dla mego planu sytuację. Na przyszły rok Ludwik wydusi od swych poddanych nowe wojska i rozstawi je nie wiadomo gdzie.

Marlborough argumentował słusznie, ale nic nie zdołało przekonać przezornego Eugeniusza. Dalsze naleganie doprowadziłoby tylko do roz-dźwięku między przyjaciółmi. Więc choć z niechęcią, Marlborough zgodził się na obleganie Lille. Księżę Wellington w przeszło sto lat później zauważył:

„Marlborough w swoich kampaniach miał więcej trudności ode mnie ze sprzymierzeńcami, ale ja miałem większe trudności z wydostawaniem żołnierzy i pieniędzy od własnego rządu.”

Ponieważ Gandawa była w rękach francuskich, więc nie można było wykorzystać drogi wodnej, rzeką Scheldt, do przewiezienia artylerii alianckiej: osiemdziesięciu dział i dwakroć tyle wozów z amunicją. Przewycięzenie trudności transportu było prawdziwym majstersztykiem organizacji. Wydostano i żywiono szesnaście tysięcy koni pociągowych, które wlokły owe ciężary przez ponad półtora kilometra po kiepskich wyboistych gościńcach, z Brukseli aż do Lille. Vendome od północy albo dowodzący Francuzami książę Berwick od południa mogli każdej chwili napaść konwoj, więc silne, uzbrojone oddziały towarzyszyły mu po obu stronach traktu.

Oblężeniem dowodził Eugeniusz, a Marlborough ulokował się ze znaczną częścią sił alianckich w Helchin nad rzeką Scheldt powyżej Oudenarde, by nie dopuścić odsieczy do oblężonego miasta. Sprawne przetransportowanie taboru oblężniczego dało księciu duże zadowolenie. Poza tym nie interesował się oblężeniem, ponieważ ta operacja przywracała Francuzom inicjatywę, którą on sam wyrwał z ich rąk dzięki bitwie pod Oudenarde.

Trzeba było aż czterech miesięcy, by zmusić Lille do poddania się: cztery miesiące ataków i szturmów, cztery miesiące bronienia linii komunikacyjnych, odpierania prób wywabienia Marlborougha z jego umocnionych pozycji, cztery miesiące niedojadania, kiedy to codzienne racje chleba były zmniejszone o jedną trzecią.

Ale trudy oblegających były niczym w porównaniu z cierpieniami mieszkańców Lille. Historycy skłonni są opisywać wojny z punktu widzenia armii, roztrząsać i rozważać problemy dowództwa.

Tylko mimochodem zwykle wspominają o gospodarstwach zrównanych z ziemią, o stratowanych zbiorach, o zarzynam bydło, o miastach zbombardowanych, o rodzinach bez dachu nad głową, o mężczyznach, kobietach i dzieciach pokaleczonych, gwałconych, torturowanych za opór, mordowanych. Ile dzieł napisano o wojnach z punktu widzenia mieszkańców objętych wojną ziem?

Wyjątkowo łagodna zima tego roku pozwoliła na kontynuowanie kampanii. Po zdobyciu Lille Marlborough i Eugeniusz wyruszyli, by odzyskać Gandawę i Brugię, a w połowie stycznia roku 1709 wypędzili Francuzów raz jeszcze z całej północnej Flandrii. Sposobność marszu na Paryż była stracona bezpowrotnie, ale mimo to osiągnięto wiele. Tak wiele, że Król-Słońce zaproponował negocjacje pokojowe. Marlborough nadal gryźł się i martwił, ponieważ nie dozwolono mu urzeczywistnić jego ambitnego planu, i teraz życzył sobie jedynie jak najszybciej powrócić do domu, do Sary. Posunął się tak daleko, że w z lekka tylko zawoalowanych słowach, w korespondencji ze swym siostrzeńcem, księciem Berwick, zaofiarował się osobiście dążyć do uzyskania warunków traktatu pokojowego możliwych do przyjęcia przez wszystkich, o ile za swoje starania otrzyma od króla Ludwika dwa miliony lirów. Wielbiciele księcia twierdzili, że nie było to żądanie łapówki, lecz tylko wynagrodzenie za zawarcie pokoju na godziwych warunkach. A więc nie żądanie łapówki, ale „dżentelmeńska” wersja portiera hotelowego, dyskretnie wysuwającego dłoń po napiwek za otwarcie drzwi bogatemu gościowi. Jednakże Król-Słońce jakoś nie kwapił się z rozwiązaniem sakiewki.

Sara odwiedziła męża we Flandrii, ostentacyjnie oznajmiając wszem i wobec, że chce pogratulować sukcesów jemu i księciu Eugeniuszowi. Chciała go również poinformować o postępie budowy następnego pałacu. Nabyła parcelę w pobliżu królewskiego pałacu Św. Jakuba w Londynie i zaangażowała Sir Christophera Wrena, sławnego architekta, twórcę nowej katedry Sw. Pawła. „Marlborough House”, bo tak nazwano nową siedzibę, był budynkiem dwupiętrowym, a dach jego wieńczyła dekoracyjna balustrada. Fasada, o szerokich pięknych schodach prowadzących do głównego wejścia, zwrócona była na park Sw. Jakuba: wgłębione nisze na frontonie ozdabiały rzeźbione postacie. Ten niewątpliwie bardzo piękny budynek miał być w przyszłości włączony do posiadłości królewskich i stał się siedzibą następcy tronu.

Ale Sara miała jeszcze inne nowiny w zanadrzu oprócz informacji o budowach. John pisywał do niej wciąż o swym pragnieniu pokoju, aby mógł na stałe powrócić do kraju i do rodziny.

- Chyba dosyć już uczyniłem - powiedział do niej ze znużeniem w głosie - by zarobić na wdzięczność moich rodaków.

Było to prawdą. Jako minister w rządzie i jako wódz naczelny w polu, niósł na swoich barkach nieproporcjonalnie wielki ciężar odpowiedzialności za wojnę. Brak mu było - a bardzo tego potrzebował - wsparcia takiego na przykład mądrego i entuzjastycznego ministra wojny, jakim był w pół wieku później, podczas wojny siedmioletniej, William Pitt, hrabia Chatham.

- Iz pewnością wdzięczność rodaków masz - odparła - Sara. -

1 dlatego tym bardziej nienawidzą ciebie torysi. Nie powinieneś się jeszcze wycofywać. Tylko dzięki temu, że jesteś na czele sprzymierzonych wojsk i odnosisz zwycięstwa, wigowie mogą się utrzymać przy władzy.

Wiesz, w Anglii odczuwa się pewne zmęczenie wojną. Werbunek przychodzi z coraz większą trudnością...

- Bo rząd powinien się zastosować do mojej rady - przerwał jej John. - Jak w Szwecji: właściciele domów w miastach i majątności na wsiach powinni być zorganizowani w grupy, a każda

z nich odpowiedzialna za dostarczenie i wyekwipowanie określonej ilości żołnierzy. Albo jak we Francji: każda partia ponosi taką odpowiedzialność!

- Szwecja i Francja mają ambicje ekspansjonistyczne, a w najgorszym razie muszą bronić własnych granic - przypomniała Sara. - Ludzie zgadzają się na przymus dla takich celów, ale nie chcą, jak nie chcą Anglicy, być zmuszani do przeprawy przez morza i wojowania na obcych ziemiach za sprawę, której nie rozumieją i która ich nie obchodzi.

- W takim razie im prędzej zawrzemy pokój, tym lepiej - westchnął John. - Bo jak inaczej dostarczymy tyle wojska, ile” Holendrzy?

- Jesteś zmęczony, mój drogi - łagodziała Sara. - I nie rozumiesz, co ci chcę powiedzieć. Trzeba prowadzić wojnę dopóty, dopóki Francja nie zgodzi się oddać Hiszpanii arcyksięciu Karolowi. Jeśli wigowie nie mogą się wykazać rezultatami wojny, toczonej wbrew opozycji torysów, utracą władzę. A wówczas Harley i inni „trymerzy” zemszczą się na tobie, na mnie, na Godolphinie, na naszym zięciu Sunderlandzie i na wszystkich, którzy wojnę popierali. A co do werbunku nowych żołnierzy - tylko twoje nazwisko jako wodza naczelnego może sprawić, że zaciągi pójną jako tako. Ono więcej warte od wszystkich sierżantów werbunkowych w całej Anglii. Jedyna jeszcze rzecz, o którą chcę walczyć, to udział w twoich zwycięstwach, twojej sławie... Wojnę trzeba prowadzić, aż wejdziemy na ziemie francuskie, upokorzymy Ludwika, zawrzemy pokój nie na jego warunkach, lecz naszych.

Jeszcze był jeden czynnik zagrożenia w całej tej sytuacji, o którym Sara nie wspomniała, po części dlatego, że wynikał z jej własnego zaślepienia i zarozumiałości. Robert Harley i Abigail systematycznie zatruwali umysł pani Morley, nastawiając ją nie tylko przeciwko pani Freeman, ale również przeciwko samemu księciu. Jedynym sposobem, który by pozwolił mu zachować nadal łaski królowej, a może też ocalić resztki rozbitej kariery Sary, były dalsze zwycięstwa. Anna pławiła się w chwale tych zwycięstw, jakby były jej własną zasługą.

Marlborough, pozbawiony już nadziei na dwa miliony lirów, zgodził się ostatecznie. Ale zażądał, by mu z Anglii przysłano wigowskiego męża stanu do pomocy w pertraktacjach pokojowych. Francuzów reprezentował zręczny i wytrawny negocjator, minister spraw zagranicznych króla Ludwika, markiz de Torcy. Z Londynu przybył Lord Townshend. W prowadzonych rozmowach Marlborough odgrywał drugoplanową rolę.

Townshend, według instrukcji swego rządu, wysunął niemożliwe warunki - nie tylko utworzenie Belgii jako niepodległego państwa buforowego, ale również oddanie tronu hiszpańskiego arcyksięciu Karolowi, na dokładkę z żądaniem, by Francja sama zajęła się zdetronizowaniem Filipa Andegaweńskiego - siłą, jeśli zajdzie potrzeba. Dalej Townshend żądał przekazania państwom sprzymierzonym wszystkich zamorskich posiadłości hiszpańskich. Holendrzy popierali Townshenda, przekupieni obietnicami otrzymania Belgii we własne ręce, z prawem obsadzenia garnizonami wielkich fortec nadgranicznych - Ypres, Lille, Tournai, Charleroi, Namuru i Gandawy - oraz ściągania z belgijskich ziem podatków i rekrutów według własnego uznania. W zamian alianci nie ofiarowywali nic - nawet Neapolu i Sycylii, które mogły wynagrodzić Filipowi Andegaweńskiemu utratę tronu Hiszpanii.

Nigdy nie było najmniejszej szansy, by Król-Słońce przyjął takie warunki. Marlborough doskonale o tym wiedział, ale pamiętając o przestrożach Sary nie robił nic, by ukrócić wybujałe żądania wigów. Według słów prof. Trevelyana okazał się „niegodzien swego wielkiego stanowiska”. Trudno winić torysów, iż oskarżali księcia o chęć kontynuowania wojny dla większej osobistej sławy. Nieunikniona odmowna odpowiedź nadeszła z Paryża. Nic nie pozostało innego, jak

przygotowywać dalszą kampanię.

Wielkie Przymierze zgromadziło jakoś jeszcze dwadzieścia tysięcy żołnierzy, by zastąpić straty. Francuzi również zdobyli się na najwyższy wysiłek, rozumiejąc, że teraz ich własnej ojczyźnie zagroziła inwazja, wszystkie towarzyszące wojnie okropności, gwałty i rabunek obcego żołdactwa. Villarsa - który jeszcze nie poniósł porażki - mianowano wodzem naczelnym wojsk francuskich, hiszpańskich i bawarskich.

Większość potrzebnych aliantom funduszy dostarczyli angielscy finansisci. Płacąc odsetki w wysokości sześciu procent, zebrali oni tytułem pożyczki od ludności angielskiej sześć milionów funtów szterlingów - sumę znacznie przekraczającą roczny budżet państwowy w owych czasach - i pożyczili te pieniądze rządowi na osiem procent. Zaczęły się pojawiać banknoty zamiast monet i według obserwacji posła cesarskiego w Londynie, przyjmowano je równie chętnie. Finansisci obiecywali na każde żądanie wypłacać złoto za banknoty, ale obliczali, że tylko nieznaczna część posiadaczy banknotów tego zażąda. Toteż wypuszczano banknoty wartości większej od zabezpieczającego je złota.

W ten sposób zrodził się Bank Angielski, który był przedsiębiorstwem prywatnym jeszcze przez ponad dwieście lat. I takie były początki „pożyczki narodowej”, zabezpieczonej bogactwem całego kraju. Rząd na podstawie takiego kredytu będzie budował flotę, werbował i ekwipował armie, subsydiował aliantów. Arystokraci zaciągali długi w Banku Angielskim, by wznosić pałace i wkrótce wiele majątków obciążały długi hipoteczne wobec tych samych finansistów, którzy byli głównymi inwestorami w przemyśle. Bank Angielski stał się potężnym narzędziem, rozszerzającym się i rozgałęziającym, a City of London i magnaci przemysłowi zyskali władzę nad gospodarką kraju, a także, jako wierzyciele rządu, nad polityką państwa. I wszystko to wynikło w rezultacie wojny, w zasadzie słusznej, prowadzonej dla zahamowania ekspansjonistycznych ambicji Ludwika XIV, zaczętej przez Williama III, a kontynuowanej przez królową Annę, angielskich wigów i księcia Marlborough.

Nierówny, ciężki krok... tup, stuk... tup, stuk... Pewnego zimowego dnia roku 1710 młody mężczyzna w łątanej odzieży, z drewnianą nogą, opierając się na mocnym kijku, z tupaniem i stukotem wszedł do piwiarni w Dublinie.

- Zaczny stary Paddy! Więc wróciłeś z wojen! - zerwały się okrzyki. Kilku mężczyzn, siedzących na ławach za długimi stołami z kuflami piwa, podbiegło, by go przywitać. Dym z glinianych fajek, jakie palili, zaciemniał i tak gęstą atmosferę piwiarni. Jeden zawołał do karczmarza:

- Gospodarzu, piwa dla bohatera spod Malplaquet! - I dodał, by poinformować tych, co jeszcze nie wiedzieli: - Paddy stracił nogę walcząc w irlandzkim pułku, który poraził francuskie lewe skrzydło pod koniec bitwy!

Inny mężczyzna narzucił swój obszerny płaszcz na kaftan i spodnie, wpuszczane w wysokie buty, i wyszedł z piwiarni bez słowa. Podniesiono w górę kufle na cześć Paddy'ego. Ale jeden z kompanii siedział w posepnym milczeniu, spoglądał spode łba i nie podniósł swego kufła ani nie wypił za zdrowie nowo przybyłego. Inni patrzyli niespokojnie na niego, potem na drewnianą nogę Paddy'ego i jeszcze raz na pełny, nie wypity kufel. Paddy stał spokojnie na samym środku obszernej izby, do której małe ubrudzone okienka niewiele wpuszczały światła.

- A co ja ci zrobiłem, że nie chcesz wypić mego zdrowia razem z innymi? - spytał.

W odpowiedzi mężczyzna, nadal posepny, wskazał na swój pusty rękaw przypięty do piersi.

- Na flaki świętego Patryka, a cóż ja mam do tego? - zapytał jeszcze raz Paddy.

Bezręki mężczyzna nie odpowiadał. Ale ten, który pierwszy o piwa zawołał, rzekł:

- Musicie się pogodzić, wy dwaj. - I do Paddy'ego: - Słuchaj ten tu Mick bił się po tamtej stronie i stracił ramię w tej samej bitwie, w której ty nogę zostawiłeś. Mick był we francuskim regimencie Royal Irlandais.

Paddy przykuśtykał bliżej i wyciągnął rękę:

- Tośmy obaj ofiarami tej przeklętej wojny.

Mężczyzna, który wyszedł z karczmy przed chwilą, wrócił i stanął w progu, patrząc na nich i kryjąc coś pod swym zbyt obszernym, luźnym płaszczem, o rękawach zsuwających się z przygarbionych ramion.

Odręczając podaną rękę, Mick popatrzył złym okiem na Paddy'ego»

- Ty się biłeś za protestantów i za tę uzurpatorkę, ich królową! Ja walczyłem u boku ludzi mojej wiary, za królów mojej wiary: za króla Ludwika i za syna zanego Jakuba II!

Ten, co chciał pośredniczyć w zgodzie, zwrócił się do Micka i spytał:

- Słuchaj no, dlaczego ty właściwie się zaciągnąłeś?

Mick zawahał się, spuścił z niejakim pomieszaniem wzrok, objął dłonią kufel i powiedział cicho, jakby szeptał księdzu na ucho przy spowiedzi:

- Moja żona i dzieciaki... głodowały. I ja byłem głodny. Jeden taki powiedział mi, że da mojej rodzinie pieniądze, jeśli ja pojedę walczyć we Francji. I mnie też mieli dobrze żywić. - Dziwny dźwięk mu się wydobył z gardła, jakby śmiech, ale niezbyt do śmiechu podobny. - Och, co za dranie z nich wszystkich, oficerów, polityków! Bodaj ich ziemia pochłonęła! Pieniądze dla mojej rodziny? Parę szylingów wszystkiego dostali. A ja, razem z resztą nas, Irlandczyków, w tym regimencie, musieliśmy kraść i rabować gospodarstwa we Flandrii, by mieć co jeść... tak samo, jak zdarzało mi się dawniej tu, w Irlandii. Złapali mnie jak rybę na haczyk... a haczyk to wszystko, co będę miał w miejscu mego ramienia... jeżeli kowal zgodzi się wykuć mi hak za parę dniówek mojej roboty...

Milczenie. Paddy stał nieruchomo, patrząc w brudne okno. Miał twarz zupełnie bez wyrazu. Ktoś z kompanii zawołał z wymuszoną wesołością:

- Na czterolistną koniczynę! Skończyło się to już dla was obu. Teraz musicie zostać kamratami, bo wszyscy jesteśmy jednakowo w biedzie. A ty - zwracając się do Paddy'ego - czemu ty, katolik, poszedłeś bić się pod wielkim księciem? Bo on jest wielki żołnierz, to pewna, chociaż nie Irlandczyk i papieża się wyrzeka.

Paddy spojrział najprzód na swego interlokutora, potem zwrócił wzrok na Micka:

- Wychodziłem z tej właśnie piwiarni. Na ulicy stał sierżant angielski, a z pół tuzina żołnierzy bagnetami poganiało pół tuzina dublińczyków. „Hej - zawołał sierżant - tu jeszcze nie najgorszy chłopak! A te jego zgarbione plecy to mu naprostujemy”. Kiwnął na jednego z żołnierzy, który uklął mnie bagnetem i za kwadrans byliśmy wszyscy w koszarach, gdzie nam włosy przystrzygli i wiadrem wody na każdego chlusnęli. Prawdę rzekłszy, nie narzekałem. Byłem sierotą, żony nie miałem. A teraz, jeśli znajdę taką, której nie zrazi kulas, będę dzieciakom opowiadał, jak to się biłem z księciem Marlborough pod Oudenarde i Malplaquet.

Cisza znowu. Mężczyzna, który wychodził i wrócił znowu do piwiarni, wyszedł na środek izby, wyjął spod płaszcza dwie czarne butelki i postawił je na stole pomiędzy Paddym a Mickiem.

- Wy dwaj pospołu niesiecie ciężar tej podwójnej klątwy, która spadła na nas, Irlandczyków: jesteście ofiarami głodu i przeklętych

Anglików. I zawsze będzie tak samo, dopóki nas będzie gniótł ich but, wszystko jedno, czy

królować będzie Anna czy Jakub Stuart. I dlatego musimy trzymać się razem. Chodźcie tu obaj. Powiedzmy, żeście się na ulicy spotkali, żeście się pokłócili i pobili, jak się dobrym przyjaciołom często trafia. A czy to znaczy, że się nie lubicie? Wcale nie. Każdy mężczyzna, a już na pewno każdy Irlandczyk, potrzebuje czasem pobić się i krwi upuścić, tak samo jak potrzebuje kobiety. A jeśli do bójki tylko przyjaciela ma pod ręką, a do kochania tylko dziwkę - to musi mu wystarczyć to, co dobry Bóg zesłał. Więc napijmy się, by diabli wzięli wszystkich werbowników i Anglików po równi... Gospodarzu, szklanki! Bo ja mam tutaj najszlachetniejszy z trunków. A jeśli nie masz szklanek na twoich nędznych półkach, to przynieś z kuchni...

Gdy nalewano do szklanek bursztynowy płyn, oczy Micka zabłyśły: uśmiechnął się i nieśmiałym ruchem podał rękę Paddy'emu.

Pierwszą butelkę w mig opróżniono. Ktoś zapytał:

- Skąd dostałeś ten boski napitek, Józefie? Ukradłeś?

- Na Matkę Boską, nie! Jestem uczciwym człowiekiem, w każdym razie dopóki mi na ręce patrzą.

O'Connor, handlarz starzyzną z sąsiedniej ulicy, zawsze ma pod ręką parę butelek pędzonej w domu whisky, najlepszej jaka może być. Po dobrym łyku takiej whisky królik gotów jest plunąć w pysk buldogowi... Ja... no cóż, pohandlowałem z nim trochę. Wymieniłem...

Józef rozchylił swój płaszcz. Nie było pod nim teraz ani kaftana, ani spodni - nic, tylko przykrótka koszula, podarta i mocno przybrudzona.

Spotkanie w irlandzkiej piwiarni wydarzyło się oczywiście dużo później niż bitwa, o której wspominało. W roku 1709 pertraktacje pokojowe opóźniły rozpoczęcie wiosennej kampanii. Marlborough i Eugeniusz w czerwcu obiegli Tournai, twierdzę nad rzeką Scheldt. Gdy miasto i garnizon skapitulowały, alianci ruszyli dalej na południe, pod Mons. To sprowadziło na południe w wielkim pośpiechu Villarsa. Między rzekami Haine i Sambre, w pobliżu wioski Malplaquet, nieprzyjacielskie armie stanęły naprzeciw siebie. Przedzierał je niewielki, dość rzadki las.

Po bitwie stoczony dnia 11 września, a trwającej od godziny dziewiątej rano do trzeciej po południu, Marlborough wysłał z zawiadomieniem do Londynu niejakiego pułkownika Lindsaya. Pułkownik zdał relację królowej i członkom rządu, po czym powędrował na kieliszek do swego wigowskiego klubu, gdzie powitano go owacyjnie, jak później Paddy'ego w Dublinie, tylko tym razem toasty za zdrowie bohatera wznoszono szampanem. Pełne podziwu audytorium - parowie, szlachta i finansiści z City - nie potrzebowali długo prosić o opowieść. Lindsay wyciągnął szpadę i jej końcem zaznaczał na podłodze pozycje wojsk:

- Francuzi stanęli, o tu, lewym skrzydłem wsparci o las, zwany Tasnieres, a prawym wychodząc daleko poza drugi las, La Lanieres. - Dwa krzesła ustawiono, by wyobrażały lasy na francuskich flankach.

- Od frontu okopali się, porobili rowy, usypali szańczyki. Naprzeciwko ich lewego skrzydła, koło Tasnieres, zajęli pozycje Irlandczycy z pułku pod dowództwem generała Withersa, dalej Schullenberg i hrabia Lot-tum z Austriakami i Prusakami oraz Orkney z oddziałami brytyjskimi; a tu, na wprost prawego skrzydła Francuzów, Holendrzy pod wodzą młodego księcia Oranii, którego częściowo osłaniał las La Lanieres. Villars miał swoje stanowisko tutaj - koniec szpady wskazał miejsce nieco na lewo od środka linii francuskich - a Bouffier po jego prawej ręce. Książę Marlborough ze swoim sztabem, do którego i ja należę, stanął jak zwykle tuż za frontem naszych wojsk w samym centrum, książę Eugeniusz bliżej La Lanieres...

- Jakie były siły wojsk? - ktoś wtrącił pytanie. - Ilu żołnierzy?...

- Około dziewięćdziesięciu tysięcy po każdej stronie. Myśmy mieli może o kilka więcej batalionów piechoty, natomiast jazdy było dokładnie tyle samo u nas co i u Francuzów. Bitwa zaczęła się atakiem na las Tasnieres - szpada dotknęła krzesła przedstawiającego ten las - ale nie mogliśmy się przebić. Należy pamiętać, że teraz Francuzi walczyli na swojej ziemi. Bili się jak szatany. Książę wysłał mnie z rozkazem sprowadzenia na pomoc trzech batalionów od Orkneya, a sam przywiódł jazdę. W końcu wzięliśmy szturmem okopy francuskie na tym skrzydle i po stronie Tasnieres bitwa rozpadła się na cały szereg mniejszych potyczek, którymi trudno było, jak na razie, pokierować...

- A co się tutaj działo? - pytał pewien młody lord, wskazując krzesło wyobrażające La Lanieres.

- Tutaj księciu orańskiemu wódz naczelny nakazał tylko utrzymać pozycję. Ale nasz młody Orańczyk jest porywczy, no i bardzo odważny. Zaatakował Boufflersa, który go poraził i ludzi mu wiele wytracił. Tyle tylko wynikło z tego, że Bouffiers nie posłał nikogo ze swoich z odsieczą Villarsowi za lasem Tasnieres. Villars osobiście poprowadził swoich Irlandczyków przeciw żołnierzom, którzy mu rozerwali linię frontu. Marlborough i Eugeniusz włączyli się do walki. Eugeniusza raniono, ale nie chciał zejść z pola, chociaż książę nalegał. Villarsa też raniono. Próbował dalej dowodzić, siedząc w krzesle, ale zemdlał i odniesiono go z pola walki.

- Tallarda i Villeroi zapędzono w kozi róg - ktoś zauważył. - A teraz Villarsa. Doprawdy, Marlborough dziesiątkuje francuskich marszałków.

Lindsay kiwnął głową przyznając rację i opowiadał dalej:

- Generał Withers z pułkiem irlandzkim przeszedł wokół lewego skrzydła Francuzów i tam napadł na współrodaków swoich żołnierzy: regiment Royal Irlandais. Ci Irlandczycy walczyli jedni przeciw drugim z zacięciem kogutów, a siłą lwów. Bouffiers, który przejął dowództwo, kiedy odniesiono Villarsa, posłał żołnierzy na swoje lewe skrzydło. To pozwoliło Orkneyowi i księciu Orańskiemu przebić się, do środka. Marlborough wezwał nas, byśmy szli za nim, i poprowadził atak jazdy, wymijając piechotę. Wparliśmy się w konnicę francuską. Zaciekła walka. A rzeź taka była, że nawet mną wstrząsnęła, a przecież przywykłem do widoku potoków krwi, odcinanych członków, stosów trupów, koni z rozdartymi brzuchami. Ale z początku parliśmy naprzód. I nagle kontratak Francuzów. Trochę pola ustąpiliśmy i jeszcze raz do ataku. Tak zmagaliśmy się z godzinę i więcej. Około trzeciej po południu, kiedy po obu stronach mieliśmy chyba dość, Bouffiers widocznie uznał, że czas przerwać tę masakrę. Bardzo umiejętnie odciągnął swoich ludzi; oficerowie sprawowali nad nimi pełną komendę, odwrót odbył się w ładzie i składzie. Do ścigania ich nie mieliśmy sił ani rezerw. Więc daliśmy im spokój.

- Żadnych chytrych podstępów Marlborough tym razem nie użył? - pytał młody lord. - Żadnych pozorowanych ataków, by odciągnąć nieprzyjaciela?

- Nie, nic takiego nie było - odrzekł Lindsay. - Układ terenu i stosunkowo wąski front wojsk nie pozwalały na żadne podstępne manewry, To była walka wręcz, na strzał odpowiadało się strzałem, na atak atakiem, na cios szpadą ciosem szpadą, na bagnet, bagnetem. Dość już późno w trakcie bitwy zdarzyła się ta jedna okazja, którą Withers wykorzystał: zaatakowania odsłoniętego skrzydła nieprzyjaciela.

- A pan byłeś cały czas przy księciu? - dopytywał się inny z członków klubu.

- Tak, z tym, że mnie kilkakrotnie posyłał z rozkazami: przerzucał parę razy bataliony w miejsce zagrożone albo wzywał jazdę naprzód, do ataku. Dzięki temu widziałem cały przebieg bitwy.

- I czy-Marlborough jest naprawdę tak genialny, jak o nim niektórzy powiadają?

- Oczywiście, ja jestem jego wielbicielem, ale moim zdaniem nikt mu jako wodzowi nie

dorówna. Jest lepszy od księcia Eugeniusza. W bitwie ustawia się zawsze blisko linii walki, o ile nie jest na czele, przed linią, prowadząc do ataku jazdę, zagrzewając do walki piechotę. Z tego stałego swego miejsca wciąż przejeżdża galopem z jednego krańca pola bitwy na drugi. I zawsze osobiście prowadzi atak rozstrzygający.

Zasypywano go pytaniami:

- I to się nazywa zwycięstwem aliantów?

- Myśmy ostatecznie wzięli w posiadanie pole bitwy, a także Francuzów[^] pozabijanych i rannych.

Prawdą jest, że ponieśliśmy większe straty: dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Sami tylko Holendrzy, z powodu niesubordynacji i porywczosci księcia orańskiego stracili połowę ze swoich trzydziestu regimentów. Francuzi zostawili na pobojuwisku jakieś dwanaście tysięcy. Pod Blenheim, pod Ramilies, pod Oudenarde wojska francuskie były rozbite i rozproszone. Tym razem Bouffiers przeprowadził odwrót w dobrym porządku.

- I co teraz?

Teraz książę powiada, że może zawrzeć pokój na warunkach, Jakich on zechce. Nie jestem tego taki pewien. Zobaczmy. Ale powiem wam, że w wojskach alianckich nie panuje taki duch jak dawniej. Jeżeli nie zawrzemy teraz traktatu, mogą być kłopoty. Już teraz dezertuje więcej żołnierzy niż kiedykolwiek od czasu, gdy Marlborough objął komendę. Do wojska wkrada się politykierstwo. Książę Argyll - on nie należy do nas, jest torysem, ale cieszy się popularnością w wojsku, nawet Marlborough bywa o niego zazdrosny - rozgłasza, że poświęca się żołnierzy bez żadnego innego powodu, tylko po to, by przyczynić wodzowi naczelnemu więcej sławy. Nie zgodziłbym się z tym osobiście, ale po masakrze pod Malplaquet tego rodzaju pogłoski padną na podatny grunt. W kraju również.

Rzeczywiście, gdy wigowie głosili zwycięstwo, posłowie ze stronnictwa torysów dowodzili że bitwa więcej żołnierzy kosztowała, niż wart był jej niezdecydowany wynik, i żądali coraz energiczniej zawarcia pokoju. Mieli dość silne argumenty po swojej stronie. Pułkownik Lindsay przyznawał, że jest gorącym stronnikiem księcia Marlborough. Żył i walczył u boku swego bohatera, podziwiał jego osobistą odwagę, ulegał jego czarowi. Gdyby nie to, byłby prawdopodobnie stwierdził, co uczyniło później wielu historyków: że atakując w równej liczbie Francuzów na dobrze umocnionych pozycjach, Marlborough i Eugeniusz popełnili największy, a na pewno najkosztowniejszy błąd w swoich militarnych karierach.

Po bitwie między Francuzami rozeszły się pogłoski, że wódz naczelny aliantów poległ w walce. Wtedy jeden z gwardzistów sławnego regimentu Maison du Roi ułożył parodię starej pieśni żołnierskiej, której pierwszą zwrotkę później śpiewano w całej Europie:

Malbrouk s'en va fen guerre, Mironton, mironton, mironton. Malbrouk s'en va t'en guerre, Qui saís quand reviendra.

Książę nie zginął. I nadal był naczelnym wodzem. Nie czekał go Lipsk ani Waterloo. Ale pod Malplaquet tylko o włos uniknął klęski. Znakomity taktycznie, pomysłowy, ufny w siebie „Malbrouk” spod Blenheim, Ramilies, Oudenarde - nie miał nigdy „reviendre”. I nie było mu przeznaczone, jak Nelsonowi i Wellingtonowi, zakończyć wielkiej wojennej kariery w pełnej glorii chwały. Gdyby tak się stało, może ucichliby wrogowie wśród jego własnych rodaków i może potomności łatwiej byłoby pominąć mniej pochwały godne etapy jego życia, różnorakie zdrady i egoistyczną prywatę.

Rozdział 22

„ŁAPAJ ZŁODZIEJA”

Po bitwie pod Malplaquet na pochyłościach intryg politycznych zrobiło się bardzo ślisko, a ścieżki pod stopami księcia coraz były niebezpieczniejsze z powodu poczynań Sary, chociaż miała ona najlepsze intencje. Pani Freeman nieustannymi skargami na sposób jej traktowania rozdrażniała już i tak zniecierpliwioną panią Morley. John stale, acz bezskutecznie, doradzał taktowną powściągliwość:

„Obserwuję to zawsze w dysputach... narzekaniem, wymówkami, chociażby najśluszniejszymi, nie wskórasz niczego, tylko pogłębisz rozłam...”

Księcia niepokoiło również politykierstwo, które jak zauważył pułkownik Lindsay, szerzyło się teraz w wojsku, więc pisał dalej:

„Na dworze rzadko można znaleźć szczęście, równie rzadko jak spo-kojność w wojsku... A ja co dzień modłę się o to, byś była szczęśliwa i bym ja mógł cieszyć się kilku latami spokojności u Twego boku...”

Oczekiwanie „spokojności” u boku impetycznej Sary wydaje się triumfem nadziei nad doświadczeniem.

Lord Aylesbury, przysłany do Brukseli jako ambasador, orientował się dobrze w intrygach i rozgrywkach wokół królowej. Chcąc przestrzec księcia, powiedział:

- Co do naszych praw, są doskonałe, natomiast na naszym dworze można być równie pewnym swego stanowiska jak gdzieś w Konstantynopolu... Wasza książęca mość masz rodzinę, wspaniałą siedzibę... Gdybyś tam się udał i żył sobie spokojnie, mógłbyś śmiać się ze wszystkich twoich osobistych wrogów...

Rozsądna rada, ale sprzeczna z naleganiami Sary. Być może zresztą, że nawet bez podżegań ambitnej żony, Marlborough nie wyrzekłby się tak łatwo swego naczelnego dowództwa, wraz z bogatymi dochodami i z wysokim statusem wśród królów i książąt na kontynencie.

Gdy w roku 1710 Marlborough przyjechał na krótko do Anglii, cała ludność okazywała bohaterowi narodowemu uwielbienie w jedyny dostępny dla niej sposób. Mieszkańcy każdej wsi i miasteczka, przez które przejeżdżał po drodze z portu do stolicy, wylegli na ulice, okrzykami pozdrawiając przejeżdżającą karecę. W Londynie tłumy krzyczały:

„Boże błogosław księcia!”; wreszcie zatarasowano drogę, wyprzęgnięto konie i ludzie sami pociągnęli ekwipaż do Marlborough House.

Poparcie tłumy, jeśli mu nie towarzyszy poparcie stronnictw politycznych, bywa niebezpieczne. Zaraz rozległy się głosy, że Marlborough umyślnie roznieca entuzjazm ludności dla osobistego celu - a celem tym miało być ni mniej, ni więcej, jak objęcie dyktatorskiej władzy w Anglii.

Nie rozstrzygnięta bitwa pod Malplaquet nie wystarczała, by zaspokoić chciwość zwycięstw królowej Anny i przeważać jej mocno teraz zakorzenioną niechęć do pani Freeman; a Abigail stale i

usiłnie niechęć tę podsyciała. Odkąd zmarł w roku 1709 książę małżonek duński, królowa żyła w odosobnieniu, mało kogo widując prócz garderobianej i Roberta Harleya. Tym bardziej nie w porę wypadło żądanie, z jakim zwrócił się do niej Marlborough. Chciał, by królowa zatwierdziła go na stanowisku wodza naczelnego - dożywotnio. Dwoje jego zatwardziałych wrogów bardzo szybko zdołało przekonać królową, że za tym życzeniem kryje się zamiar utrzymania wigów na stałe przy władzy, oparty na popularności „bohatera narodowego”. Anna bezceremonialnie i dość szorstko odrzuciła prośbę księcia.

I zaraz potem królowa zwolniła hrabiego Sunderlanda, zięcia Marlborougha, z zajmowanego w rządzie stanowiska. Gdy mu w formie kompensacji zaproponowała pensję w sumie trzech tysięcy funtów rocznie, Sunderland odparł z pełną szacunku, a rzadko spotykaną godnością:

- Ponieważ nie jest mi dozwolone służyć memu krajowi, najjaśniejsza pani, więc nie zamierzam go obrabowywać.

Mało kto, w jakiegokolwiek epoce, tyle miał względów dla płatników podatków.

Następnie „na zieloną trawkę” poszedł cały rząd, z jego jedynym torysowskim ministrem, lordem Godolphinem, którego Anna mieniła się niegdyś „wierną, niezachwianą przyjaciółką”. Królowa o tyle zmiękła w odniesieniu do Goodolphina, iż napisała do niego, że jeśli chce sobie oszczędzić upokarzającego aktu zwrócenia jej łaski symbolizującej jego urząd, może ją złamać. Rozwścieczony minister zrobił tak, a kawałki wrzucił do ognia. Zmarł w dwa lata później. Może nie zawsze był konsekwentny, może popełniał błędy, ale z pewnością służył królowej i krajowi z prawdziwym oddaniem i najlepiej, jak potrafił.

Nie można było oczekiwać, że Sara uniknie pogromu. Dawniej kilkakroć prosiła królową o pozwolenie na rezygnację z różnych stanowisk, jakie piastowała na dworze. Prawdopodobnie nie oczekiwała, by Anna się zgodziła - i Anna się nie” zgadzała.

Wkrótce po zdymisjonowaniu rządu królowa zażądała od Sary zwrotu złotego klucza, który był symbolem jej urzędu. Oznaczało to dymisję ze wszystkich stanowisk, prócz jednego tylko urzędu strażnika parku Windsorskiego, bo tę godność nadawano dożywotnio. Pani Freeman napisała do Pani Morley żalostny list, przypominając o ich dawnej zażyłości i błagając o przywrócenie do łask. Z tym listem posłała do królewskiego pałacu Johna. Królowa - z Abigail słuchającą za drzwiami - najpierw w ogóle nie chciała listu otworzyć ani przeczytać: wreszcie uczyniła to, ale rzekła tylko:

- Nie mogę zmienić mej decyzji.

Książę prosił o wytłumaczenie, o podanie powodów; usłyszał tylko:

- Muszę mieć klucz w ciągu trzech dni.

Wielki wódz, który przez osiem lat władał rządem Anglii i decydował o losach zachodniej Europy, ukląkł przed swoją nedorzeczną, wstrętne otyłą monarchinią. Tyle tylko wskórał, że Anna skróciła termin do dwóch dni.

Kiedy John wrócił z relacją do Sary, ta wpadła w pasję. Oderwała złoty klucz od swego paska i rzuciła go na podłogę.

- Żadnych dwóch dni! - krzyknęła. - Weź go! Nie będę więcej brudziła sobie rąk dotykaniem tego świństwa! Odnieś go tej wstrętnej babie jeszcze dziś wieczorem!

John, rozpoznając burzę, która musi minąć sama, bo nikt jej nie powstrzyma, zrobił, jak mu kazano.

Nowy rząd sformowali Harley i St. John. Poeta, eseista i mąż stanu sześćdziesięcioletni lord Mulgrave, pisał podówczas:

„Jakich żalonych rządów zaznał ten nieszczęsny kraj za mojej pamięci! Za panowania Karola II rządziły nami francuskie ladacznice; za króla Jakuba papistówscy księża; za Williama barida holenderskich lokajów; a teraz rządzi brudna pokojowa, walijski, kauzyperda (Harley) i nikczemny rozpustnik (St. John); a żadne z trojga nie ma ani honoru, ani uczciwości”.

Wynajęci pamfleciści - między innymi pastor i sławny pisarz Jonathan Swift - wyszukiwali i publikowali, co tylko wynaleźli, by zdyskredytować Johna i Sarę Marlborough. Swift oskarżył Sarę o sprzeniewierzenie dwudziestu dwóch tysięcy funtów z prywatnego skarbu królewskiego. Tego było za wiele nawet dla wrogiej teraz pani Morley, która ostro odtrąciła oskarżenie:

- Każdemu wiadomo, że oszukaństwa nie najeżały do wad księżnej Marlborough.

Swift wykoncypował dla periodyku „Examirier”, którego był redaktorem, dwa fikcyjne rachunki. Najpierw zestawienie wydatków ponoszonych niegdyś z racji triumfalnego powrotu rzymskich cesarów: ogólna suma 994 funtów, 11 szylingów i 10 pensów. W drugim rachunku obliczono koszty „wdzięczności dla księcia Marlborough za jego wiktorie”: 540 000 funtów, z czego prawie połowa odnosiła się do Pałacu Blenheim.

Księżę znowu napomknął, że chce się podać do dymisji, a Sara sprzeciwiała się, jak zwykle:

- Będzie się wydawało, że Wygryzła ciebie rynsztokowa prasa. Rządy sprawują torysi, ale wojna toczy się dalej. Nie możesz zdezerterować, porzucić Wielkiego Przymierza, które rozpadnie się bez ciebie

Tak więc John wrócił na kontynent na następną kampanię. Niewiele osiągnął, za mało, by torysi uznali, że warto wojnę kontynuować. Zdrowie księcia szwankowało tym razem naprawdę. Bóle głowy zdarzały się coraz częściej i występowały z taką siłą, że ledwie mógł je wytrzymać. Odtrącał okazje do bitwy. Jego dawne zamiłowanie do walnych rozgrywek znikło po bitwie pod Malplaquet, jakby straszliwa masakra odmieniła go: zresztą, był teraz głęboko przekonany, że i tak owoce każdego militarnego zwycięstwa zostaną roztrwonione przez polityków. Przeprowadził jeszcze kilka świetnych taktycznie manewrów, zdobył parę fortec, ale sam od dawna utrzymywał, że tymi metodami ani wojny się nie wygra, ani nie podyktuje warunków pokoju.

Przykrościom i upokorzeniom nie było końca. Jakby chcąc podkreślić, że kto inny jest w łaskach zamiast Sary, królowa zażądała, by księżę awansował brata Abigail, Jacka Hill, który był wprawdzie pułkownikiem, ale nigdy prochu nie powąchał. Protestując, iż wywoła to wielkie niezadowolenie pominiętych oficerów, starszych od Hilla i zasłużonych w wielu bojach, wódz naczelny musiał jednak ustąpić i Jack Hill został brygadierem: na szczęście nadal unikał niebezpieczeństw swego zawodu i symulując chorobę, wycofał się na stałe do jakiegoś uzdrowiska. Wkrótce potem mąż Abigail, Samuel Masham, otrzymał parostwo. Do dawnej pokojowej trzeba się było teraz zwracać per „milady”. Upokorzenia spadały na głowy obojga księstwa Marlborough.

Torysi wymyślili sposób ukrócenia autorytetu, jaki posiadał w wojsku księżę Marlborough. Miłościwa pani, oznajmili, potrzebuje grupy ekspertów, którzy by jej mogli doradzać w sprawach militarnych. Myśl była w zasadzie słuszna. Ale jej realizacja dowiodła, iż korzeniami tkwiła w nienawiści. Nie radząc się ani nawet nie informując wodza naczelnego, mianowano komisję, w skład której weszło kilku ministrów oraz członków tajnej rady królewskiej, byłych generałów. Ta komisja, nadal nie zawiadamiając księcia, natychmiast opracowała regulamin, zgodnie z którym wodzowi naczelnemu odebrano prawo awansowania oficerów na stopnie brygadiera i powyżej. Uczyniono wszystko, by jego pozycja stała się niemożliwa. Zamiast od razu podać się do dymisji, Marlborough nadal przebywał na kontynencie, gdzie wciąż podejmowano go z honorami i nadal inkasował

olbrzymią pensję. Zachowanie co najmniej bez godności.

Tymczasem sprawa sprzymierzonych ucierpiała wskutek klęski pod Brihuegą, w Hiszpanii, a. w kwietniu roku 1711 cele wojny o sukcesję hiszpańską zostały nagle odwrócone do góry nogami, z powodu niespodziewanej śmierci cesarza Józefa. Na tron wstąpił po nim arcyksiążę Karol, kandydat aliantów do korony Filipa Andegaweńskiego. Zarysowała się perspektywa wszechpotęgi habsburskiej, zamiast wszechpotęgi burbońskiej. Hasło: „Nie ma pokoju bez Hiszpanii” straciło wszelki sens, jeżeli go w ogóle kiedyś miało. Najwyższy czas było zawrzeć pokój, a ponieważ Ludwik wiedział, że torysi są stronniectwem przeciwnym wojnie, więc ułatwiło to pierwsze kroki.

W tajnych negocjacjach prym wiedli Henry St. John i de Torcy. Na tym etapie rozmów wykluczono ludzi wojny, z pewnością słusznie. Niechaj dyplomacja zastąpi pogoń za sławą. Natomiast czy było właściwe pertraktowanie za plecami cesarza i Stanów Generalnych Holandii - to już inna rzecz. Argumentowano, że gdzie dwóch partnerów pragnących pokoju, dojdzie w układach do rzeczowego kompromisu, tam czterech mężów stanu będzie się targować bez końca i żadnego porozumienia prawdopodobnie nie osiągnie. St. John i de Torcy zabrali się więc do tworzenia faktów dokonanych, które miały być przedstawione innym rządów jako nienaruszalne.

Dwaj ministrowie spraw zagranicznych na przemian: niemiłosiernie się kłócili, to znowu dyplomatycznie sobie ustępowali. A przez ten czas torysi powołali komisję skarbową, która miała skontrolować wydatkowanie pieniędzy państwowych na cele wojenne. Wodza naczelnego bardzo szybko oskarżono o nieprawidłowości w jego wojskowych rachunkach. Komisja wykryła, że przyjmował prezenty, dochodzące wartości sześćdziesięciu tysięcy funtów od dostawców prowiantu i wozów prowiantowych dla armii we Flandrii. Zarzucano mu również, że brał dwa i pół procent od wszystkich pieniędzy wydawanych za granicą przez państwa sprzymierzone na opłacanie najemników szwajcarskich, hugonockich i niemieckich.

To księcia dotknęło do żywego.

- Pieniądze od dostawców - argumentował - są prerogatywą, uświęconą tradycyjnym zwyczajem i wszyscy moi poprzednicy na wysokich stanowiskach w armii angielskiej takie dodatki otrzymywali.

Było w tym sporo prawdy, chociaż książę ignorował fakt, że jego poprzednicy byli o wiele gorzej wynagradzani za swoją służbę. Komisja skarbową słusznie zauważyła, że właśnie tego rodzaju prerogatywy dają pole do nadużyć, są złym przykładem dla innych oficerów i skłaniają dostawców do zaoszczędzania sum na prerogatywy kosztem jakości dostarczanego prowiantu i ekwipunku.

Co do dwóch i pół procent, książę odparł krótko, iż pobierał je:

- Z królewskiego upoważnienia Williama III.

Znowu prawda, ale nie cała prawda. William ustanowił pobieranie tego procentu wówczas, gdy sam był wodzem naczelnym, a parlament skąpił, by w ten sposób stworzyć fundusz na „ekstraordynaryjne wydatki”. Po wstąpieniu na tron królowej Anny pełnomocnictwa nie wznowiono. I mówiąc prawdę, ani Marlborough, ani nikt inny nie mógł twierdzić, że wigowie skąpili pieniądze na wszelkie wojenne koszty.

- Wydawałem te sumy - oznajmił książę - na utrzymywanie mojej siatki szpiegowskiej we Flandrii i we Francji.

Kiepska to była próba zamaskowania kiepskich praktyk. Inni wojskowi uznali, że suma, o jaką chodziło - około £ 175.000 rocznie - znacznie przekraczała zwykłe na ten cel wydatki. Parę setek zaspokoiliby najzupełniej szpiega na dworze króla Ludwika lub w pałacu Stuarta pretendującego do angielskiej korony. A wieśniak albo mieszczanin z oblężonej twierdzy, informujący o poruszeniach

wojsk, siłę fortyfikacji czy zamiarach garnizonu odzyskania wycieczki za wały - z zadowoleniem przyjąłby dziesięć suwerenów.

Oczywiście, komisję skarbową powołano specjalnie po to, by dostarczyła dowodów przeciwko wodzowi naczelnemu: mściwa próba pozbycia się człowieka, którego się obawiano. Jednocześnie komisja rzeczywiście wykryła różne nadużycia w sposobach wydawania pieniędzy państwowych. Kozłem ofiarnym zrobiono księcia Marlborough tym łatwiej, że jego chciwość była ogólnie znana. Nadużycia w wojsku angielskim istniały przed nim i po nim, praktykowano je w tej samej formie jeszcze za czasów wojen napoleońskich.

Wiadomości o dochodzeniach komisji skarbowej nie rozeszły się jeszcze poza ścisły krąg angielskich sfer rządowych. A gdyby nawet się rozeszły, nie umniejszyłyby respektu, jaki w krajach kontynentu żywiono dla księcia Marlborough. Wódz naczelny, podówczas w Hadze, nie zdradzał najmniejszego podenerwowania i ze zwykłym czarem podejmował lorda Chesterfielda, który w ten sposób pisał o nim później:

„Miał piękną postawę, a jego urokowi nie potrafi się oprzeć ani mężczyzna, ani kobieta. Dzięki temu właśnie nieodpartemu urokowi, dzięki taktowi i gładkim manierom - mógł w ciągu długotrwałej wojny jednoczyć wiecznie skłócone mocarstwa Wielkiego Przymierza i nakłaniać je do współdziałania, wbrew ich sprzecznym interesom, zawiściom i uporowi”.

Jednakże niebawem zarzuty stawiane księciu przeciekły do londyńskiej rynsztokowej prasy, która zaczęła o nim pisać jako o malwersancie na wielką skalę, pijawce, żywiącej się krwią narodu. Gdy wrócił do stolicy po zakończeniu mało skutecznej kampanii roku 1711, znowu witały go hałasujące na ulicach tłumy. Ale tym razem nie wołano: „Boże błogosław księcia!”, lecz „Łapaj złodzieja!” A Swift pisał ze złośliwą uciechą:

„Księżę Marlborough przybył dzisiaj na dwór, ale prawie nikt go nie spostrzegł”.

I wciąż Sara sprzeciwiała się jego dymisji:

- Jeśli teraz skapitulujesz, to będzie przyznaniem się do win nie popełnionych! - wołała. - Musisz wystąpić we własnej obronie w Izbie Lordów.

John usłuchał jej, ale w mowie rozwlekłej, nieefektywnej. Przytaczał wciąż te same, słabe argumenty, przypominał parom o zasługach, jakie oddał krajowi i aliantom. Zasługi były niewątpliwe, ale także zdecydowała Izba Lordów, niewątpliwe były spekulacje.

Harley podchwycił sposobność i bez trudu przekonał królową, że księżę powinien odejść. Dnia 31 grudnia Marlborough dostał od Anny list zwalniający go ze wszystkich zajmowanych stanowisk - dowództwa naczelnego, kwatermistrzostwa ordynansowego, dowództwa wojsk we Flandrii a nawet komendy nad pierwszym regimentem gwardii pieszej - „aby śledztwo w sprawie wysuwanych zarzutów mogło być przeprowadzone bezstronnie”. Dochody Marlborougha jednym pociągnięciem królewskiego pióra zostały obcięte o dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, co dziś przedstawia wartość prawdopodobnie jakiegoś pół miliona w sterlingach.

Gdy zalał go potop, Marlborough okazał więcej godności niż wówczas, gdy jeszcze usiłował płynąć na falach. Odpisał królowej:

„Doceniam zaszczyt, jaki mi Wasza Królewska Mość wyrządziła, zwalniając mnie ze swej służby własnoręcznie napisanym listem, choć z jego treści wnioskuję, że moim wrogom się powiodło... Życzę, by Najjaśniejsza Pani nigdy nie odczuła braku tak wiernego sługi, jakim ja zawsze z całego serca byłem...”

Marlborough za długo zwlekał. Przychylny los przeprowadził go szczęśliwie przez

niebezpieczeństwa wątpliwych transakcji z Jakubem II i Williamem III, ale zawiódł go, gdy jako wielka persona o międzynarodowym znaczeniu naraził się swym osobistym wrogom. Człowiek o wygórowanych ambicjach nie może sobie pozwolić na luksus posiadania wrogów - ani jego żona.

Pewien kapral dragonu angielskiej ułożył wiersz o tym, jak to Boga i żołnierza wielbi się w chwili niebezpieczeństwa, ale gdy niebezpieczeństwo minie, „o Bogu się zapomina, a dzielnego żołnierza wzgardą darzy”. Nie on jeden obżałowywał odejście Marlborougha. Generał Cadogan podał się do dymisji z powodu upadku „wielkiego człowieka, któremu tyle zawdzięczam. Byłbym potworem, gdybym postąpił inaczej”.

Cadogan był niezachwianie lojalny i nie miał na swym sumieniu „wątpliwych transakcji”.

Swift, chociaż wyrażał przekonanie, iż Marlborough „żadnej innej cnoty nie posiadał, prócz tego, że był dobrym wodzem”, jednak przyznawał: „Odnosiliśmy stale sukcesy militarne, gdy on dowodził... Francuzi są zdania, że niemożliwością jest zwyciężyć armię, na której czele on stoi, a i nasi żołnierze tak myślą...”

Często, porównując księcia Marlborough z Napoleonem albo Wellingtonem, pomija się fakt, że Marlborough prowadził długie, wyczerpujące kampanie wojenne, gdy liczył ponad pięćdziesiątkę, a ci jego następcy w tym wieku już mieli za sobą aktywne kariery militarne.

Tuż po katastrofalnych upokorzeniach i zwolnieniu księcia ze wszystkich stanowisk, odwiedził go Eugeniusz Sabaudzki, ostentacyjnie okazując upadłemu bohaterowi najwyższą cześć i przyjaźń. Robert Harley, świeżo mianowany hrabią Oksford, zaprosił Eugeniusza do swego domu, schlebiał mu i podejmował z nadzwyczajną gościnnością:

- To najpiękniejszy dzień w moim życiu, ponieważ mam zaszczyt gościć pod moim dachem największego wodza.

Sabaudczyk, dobrze wiedząc o roli, jaką Harley odegrał w ściągnięciu niełaski na głowę Marlborougha, odparł:

- Jeżeli to pochlebne określenie jest w obecnej chwili prawdą, to je zawdzięczam wam milordzie.

Tu również znalazł się człowiek, który choć ustępował Marlboroughowi w geniuszu wojennym, potrafił być prawdziwym przyjacielem i umiał swą lojalność wyrazić. Nie był też jedynym cudzoziemcem, który rozumiał lepiej od wielu Anglików, co Anglia utraciła. Ludwik XIV, gdy go zawiadomiono o dymisji Marlborougha, powiedział:

- Dzięki temu spełnią się wszelkie nasze pragnienia.

Sara nadal nosiła głowę wysoko i nie chciała się poddać. Prowadziła dom otwarty, przyjmowała gości na wielką skalę. Na nic się to nie zdało. Jeden z jej gości zauważył:

- Nie brak jej godności i gdyby tak przed dwoma czy trzema laty postępowała, może by to jakoś zaważyło. Teraz nie ma żadnego znaczenia.

John to rozumiał. Obawiał się też, że sądy pociągną go do odpowiedzialności karnej w związku z zarzutami przywłaszczenia funduszy. Raz już zaznał więzienia w Tower of London, za panowania Williama III i nie miał ochoty narazić się na odnowienie tej znajomości. Razem z Sarą wyjechał z kraju do Holandii, później do Hanoweru, gdzie nikogo nie obchodziły rzekome nadużycia; w upadku księcia widziano wynik politycznego spisku, a jego samego wysoko ceniono, tak jak go cenił Eugeniusz. Marlborough wrócił do dawniejszych praktyk zabezpieczania przyszłości dla siebie i swojej rodziny. Ubiegał się o względy elektora hanowerskiego, który był domniemanym następcą królowej Anny na tronie angielskim. Od niego, a także od innych aliantów uzyskał na piśmie

potwierdzenie, że nie mają żadnych zastrzeżeń co do sposobów wydatkowania owych dwóch i pół procent funduszy przeznaczonych na wojska najemne. Jednocześnie na wszelki wypadek, gdyby jakiś nieoczekiwany obrót fortuny wprowadził na tron angielski pretendenta z dynastii Stuartów Jakuba Edwarda, postarał się uzyskać u niego przebaczenie niewierności' wobec Jakuba II. Lampart nie może zmienić plam na swojej skórze, chociażby nawet przez jakiś czas po lwiemu władał w dżungli.

Razem wzięwszy, świetna kariera wojskowa dobiegła żałosnego końca, służąc za przykład, jak ambicja, rzecz chwalebna w umiarze, jeśli nadmiernie wybuja i złączy się z żądzą władzy i chciwością - fatalną bywa skazą.

Kampania roku 1712 potwierdziła nadzieje króla Ludwika i niechętnie wyznanie Swifta. Eugeniusz Sabaudzki, mianowany wodzem naczelnym sił sprzymierzonych, dał się Villarsowi przechytryć zręcznymi manewrami, poniósł klęskę w bitwie pod Dounain i utracił twierdze Douai i Bouchain. Ale wojna od tak dawna się toczyła, że wreszcie dobiegła końca po prostu z powodu krańcowego wyczerpania obu stron. De Torcy i St. John przedstawili aliantom projekt traktatu pokojowego. Nie bardzo już się targując, podpisano pokój w Utrechcie.

Dwa obsesyjne pragnienia Holendrów - zabezpieczenie przed francuską agresją i zachowanie korzystnych swobód handlowych - zaspokoiono, ustalając barierę fortec we Flandrii i nadając koncesje handlowe. Pozostała część Belgii miała być lennem cesarstwa, któremu przyznano również Neapol i Mediolan. Sabaudia dostała Niceę i Sycylię. Prusom również przydzielono dodatkowe terytoria. Zwycięstwa Marlborougha i operacje Banku Angielskiego wydały piękne owoce dla Anglii: przyłączono Gibraltar i Majorkę oraz ziemie wokół Zatoki Hudsonskiej w Kanadzie wraz z Nową Szkocją i Nową Funlandią.

Król Ludwik, chociaż musiał uznać Jerzego, elektora Hanoweru, prawowitym następcą tronu angielskiego, wygrał jednak to, o co teoretycznie toczyła się wojna: sukcesję hiszpańską. Filip Andegaweński pozostał królem Hiszpanii, tylko zrzekł się praw do korony francuskiej. Ale i tak Burbonowie władali po obu stronach Pirenejów. A zważywszy własną sytuację militarną, zwłaszcza taką jaka była! po bitwie pod Malplaquet, Francuzi mogli być zadowoleni, że po podpisaniu pokoju w Utrechcie wyszli z nienaruszonymi granicami własnego kraju.

Łatwo było przewidzieć, jaki pogląd będzie miał Marlborough na traktat w Utrechcie. Zanim go jeszcze zawarto - chociaż gdy już wiedział, że mu odbiorą jego księstwo Mindelheim, zwracając je Bawarii - książę pisał z wygnania do Heinsiusa:

„Jeżeli w obecnej chwili zgodzisz się na taki pokój| oznacza to klęskę dla Europy”.

Niczego innego nie można było oczekiwać od człowieka', który odniósł świetne zwycięstwa - ale nie odniósł zwycięstwa ostatecznego, który nigdy nie zwyciężony przez nieprzyjaciela na polu bitwy, został wahaniem własnych sprzymierzeńców pozbawiony spełnienia wymarzonego celu: triumfalnego pochodu przez Abbeville na stolicę Francji, by tam przyjąć pokorny hołd Króla-Słońce.

Rozdział 23

POWALONY CEDR

Czerwiec roku 1722. Dochodzi północ. Windsor Lodge.

Przyciemniony pokój. Na szerokim łożu siwowłosa mężczyzna, o twarzy pięknej, lecz porysowanej zmarszczkami, zszarzałej od choroby. Po jednej stronie łóżka tęga postać w długim surducie, jedwabnych obcisłych spodniach i peruce na głowie. Po drugiej kobieta, niemłoda już, lecz sprężyste wyprostowana: twarz pełna napięcia, wargi drżą od hamowanego płaczu.

- Co z moim mężem, doktorze?

- Wciąż coś mówi niezrozumiale. Chwilami zasłania się, jakby od ciosu. To znów się uśmiecha. Jest w malignie.

Doktor wychodzi z niskimi ukłonami. Kobieta pochyla się nad mężem, całuje lekko jego wysokie czoło. Chory porusza się, napina mięśnie ramion, jakby je chciał podnieść, ale opuszcza je z powrotem, jęcząc w proteście. Kobieta siada w fotelu przy łóżku, na całonocne czuwanie.

...Oparty o, balustradę na galerii otaczającej wielką salę balową londyńskiego Whitehali Pałace, piętnastoletni paż książęcy... słuchał i patrzył...

Na sali pod galerią muzykanci kończyli stroić instrumenty: pobrzękiwały struny, popiskiwały flety. Wypolerowane posadzki... stopniowo[^] się zapełniały. Ciemne oczy, szare oczy, błękitne oczy, zerkwały czasem zalotnie, czasem śmiało, przez otwory wycięte w maskach czarnych, czerwonych... szum rozmów, tu i ówdzie głośniejszy wybuch wesołości...

Dźwięk trąb. Po szerokich schodach, bogatymi dywanami wyłożonych schodach zstępują postacie... nie ten jeden król i królowa, ale orszak cały suwerenów, książąt. Szkoccy Stuartowie i holenderscy Orańczycy, francuscy Burbonowie i austriaccy Habsburgowie, elektorowie niemieccy i włoscy książęta...

Bal trwa... pawany, sarabandy i kuranty... paż dostrzega z góry w tłumie tańczących na dole wysoką, przystojną postać męską w mundurze generalskim, medale, gwiazdy, orderzy... wcale go nie dziwi, gdy w postaci rozpoznaje siebie, już dojrzałego. Chłopiec obserwujący i dorosły mężczyzna jakby mieszają się, wnikają w siebie, są już jednym, ale jednak nie jednym i tym samym człowiekiem... Oczy chłopca dostrzegają wokół znajome twarze, uszy generała słyszą urywki rozmów, słowa nie powiązane, wyjęte z dłuższych zdań...

Król Karol II, przystojny, wesoły, rycerski wobec dam:

- Jeśli zajdzie konieczność, zastawimy nasze okręty... ludzi trzeba nakarmić...

Hrabina Castlemaine, bujna piękność-w ludowym kostiumie, ale obwieszona klejnotami, piersi do połowy obnażone:

- Król zabije nas oboje...

Neli Gwynn, w przebraniu nimfy, obok niej Samuel Pepys mówi:

- Jeszcze dwór nie widział królewskiej kochanki tak szczerzej, naturalnej, wdzięcznej...

Król Jakub II, groźnie spoglądając dookoła:

- Żądam posłuchu... i użyj[^] władzy, jaką Bóg mi dał!... Książę Monmouth, makabryczny, krwią ociekający, niesie odciętą własną głowę.

Marszałek Schomberg ze złośliwym uśmiechem:

- Pierwszy to raz dowiaduję się o generale, który zdezerterował w obliczu nieprzyjaciela...

Król William III o stalowych oczach, wąskich, zaciśniętych wargach:

- Nie znam oficera zdolniejszego od lorda Marlborough, któremu by można powierzyć dowództwo...

Sara, piękna i namiętna, jįjmuje ramię generała, zagląda mu czule w oczy, by następnej chwili ukazać się w stroju' sierżanta, gniewnie krzyczącego...

Królowa Anna: nieładna, gruba, siedzi przed stołem zastawionym różnym jadłem:

- Aby wniesione zarzuty mogły zostać rozpatrzone bezstronnie. Heinsius, poważny i surowy; Ouwerkerk z wyrazem solidnego spokoju na obliczu.

Abigail Hill, przyodziana cała w skórę węża: z jej ust wysuwa się co chwila długi cienki języczek, rozdwojony i groźny. Obok Robert Harley niesie latarnię, by oświecić sobie drogę po wąskich, krętych schodach służbowych - do góry.

Jonathan Swift macza pióro w truciźnie: „żadnej pod słońcem cnoty prócz tego, że jest dobrym wodzem”.

Marszałkowie francuscy: Tallard, Villeroi, sparaliżowany Vendome, a na końcu Villars - skrwawiony, ale nieugięty...

Cadogan - wysoki, silnie zbudowany, o twarzy szlachetnej i skromnej - „Wielki człowiek, któremu tyle zawdzięczam”.

Cisza zapada na sali balowej i obaj - paż, który się przygląda i generał - słyszą dwa głosy mówiące po francusku; król [^]Ludwik XIV:

- Gdyby nie on, Burbonowie władaliby teraz od Morza Północnego i Atlantyku aż po wybrzeże śródziemnomorskie, po Adriatyk...”

I książę Eugeniusz:

- Hannibal, Karol Wielki, Gustaw Adolf dowodzili stosunkowo nielicznymi wojskami, a nikt z nich nie dorównał księciu Marlborough, największemu jak dotąd wodzowi Europy...

Scena zamazuje się, niknie. Nie ma już ani pазia, ani generała.

Sarę śmierć męża wprawiła w osłupienie, jak cios obuchem.

Zabalsamowane ciało eskortował do Londynu regiment konnej gwardii królewskiej: złożono je na katafalku pod baldachimem w jednym z obszernych salonów Marlborough House. Niepoliczony tłumy przesuwały się długim pochodem przed trumną. Dla nich płaskie intrygi i wątpliwe transakcje, które cokolwiek zaćmiły wizerunek księcia Marlborough u potomności, nie liczyły się w porównaniu z geniuszem zwycięskiego wodza, z odwagą prawdziwego, z krwi i kości wojownika.

Po śmierci królowej Anny w roku 1714 i upadku rządu torysów, książę wrócił do ojczyzny i doczekał się rehabilitacji. Był jednym z tych” którzy witali w Greenwich elektora Hanoweru, króla Jerzego I angielskiego. Niemiecki monarcha, który nie znał zupełnie języka swych nowych poddanych, powiedział po francusku:

- Mój drogi książę, ufam, że oto nadszedł koniec wszystkich pańskich kłopotów.

Król Jerzy powołał z powrotem księcia Marlborough na jego dawne stanowiska: wodza naczelnego i kwatermistrza generalnego. Obowiązki nie były teraz ciężkie, chociaż w roku 1715 Marlborough zaciągnął i wyekwipował armię, która pod dowództwem Argylla i Cadogana - obecnie

hrabiego - zlikwidowała nieudaną próbę pretendenta odzyskania korony Stuartów przez Szkocję. Wkrótce księżę dostał udaru, który na jakiś czas pozbawił go pamięci i zdolności mowy. Nigdy już całkowicie nie wrócił do zdrowia. Ostatnie lata żył tylko na poły, jak chodząca figura woskowa, czasami w Blenheim, kiedy indziej w Marlborough House albo też w Windsor Lodge, gdzie służba brała sute napiwki od gapiów, ciekawych zerknąć z ukrycia na księcia, spacerującego w roztargnieniu po korytarzach.

Sara pielęgnowała go dniem i nocą, okazując takie współczucie, zrozumienie i cierpliwość, o jakie trudno ją było dawniej posądzać. Ta nowa łagodność jej usposobienia nie rozciągała się jednakowoż tak szeroko, by objąć jednego z lekarzy, nazwiskiem Meade, którego nazywała upartym ignorantem, co zapewne znaczyło, że wolał własną profesjonalną wiedzę od jej znachorskich rad. Pewnego razu doszło do ostrej wymiany zdań. Sara wpadła w pasję, zerwała perukę z głowy doktora Meade, pognąła go po schodach i wypędziła z domu.

W testamencie, przygotowanym już dawniej, John zapisał Sarze dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu. W ostatniej chorobie podczas jednego z okresów przytomności, dodał kodycyl:

„Jako że moja wyżej wymieniona małżonka okazała mi czułą troskliwość i poświęcenie, pielęgnowała mnie z najwyższym oddaniem, a wiele miała przy mnie nieustannej pracy i czuwania... z wdzięczności, respektu i serdecznego przywiązania, jakie mam dla niej... podwyższam zapisany jej dochód roczny o sumę jeszcze pięciu tysięcy funtów”.

Tytuł księżęcy i pałac Blenheim miał odziedziczyć wnuk: syn Anny, hrabiny Sunderland, córki Johna i Sary.

Kondukt pogrzebowy do opactwa westminsterskiego stanowił imponującą kawalkadę. Na trumnie, osłoniętej haftowanym całunem, spoczywał hełm i całkowita zbroja, wraz z mitrą księcia cesarstwa niemieckiego. Po bokach tarcze z herbami miast, pod którymi wódz naczelny stoczył niegdyś zwycięskie bitwy i które zdobył.

W jednym z powozów za trumną jechał razem z księciem Walii król Jerzy; zaofiarował się on ponieść koszty' pogrzebu, ale spotkał się z odmową Sary - uprzejmą, lecz stanowczą.

W mowie nad trumną człowieka, którego geniuszowi militarnemu w swoim czasie hołd złożyli Fryderyk Wielki, Napoleon i Wellington, przypomniano, że Marlborough odnowił prestiż angielskich wojsk na kontynencie, uczynił Anglię arbitrem zachodniej Europy. Parowie w opactwie mniej uwagi zwrócili na pewien czynnik w życiu Johna Churchilla, księcia Marlborough, o którym dzisiaj by nie zapomniano: obdarzał swoją żonę, wbrew jej porywczemu temperamentowi i burzliwym humorom, stałym przywiązaniem i taką wiernością, jaka w jego epoce i w jego sferze była prawdziwym fenomenem.

Chór odśpiewał pieśń pogrzebową, skomponowaną przez Buoninciniego, zaczynającą się i kończącą słowami:

„Płaczcie poszumem; o drzewa, gdyż oto powalony jest cedr”.

EPILOG

Kontynuowała początkowo swoją własną bitwę pod Blenheim - nie bawarską wioską, ale pałacem w hrabstwie Oxford. Jeszcze za życia księcia rząd zwlekał z wypłaceniem przyrzeczonych sum na budowę. Sir John Vanbrugh zwrócił się wówczas do Marlborougha z prośbą o pieniądze potrzebne do kontynuowania prac. Książę odmówił. Robotnicy, gdy im przestano płacić, zastrajkowali. Vanbrugh wszczął proces przeciw księciu, ale udowodniono mu przed sądem krzywoprzysięstwo i sprawcę przegrał. Od tej pory Sara wzbroniła architektowi prawa wstępu do parku Blenheim i wydała rozkazy odźwiernym przy bramie, aby nie wpuszczali ani jego, ani jego żony, nigdy. Budowy ostatecznie dokończył asystent Vanbrugh'a, Hawksmoor. Rząd w końcu zapłacił, ale Sara musiała także głęboko sięgnąć do własnej sakiewki.

W kilka tygodni po śmierci jej męża, o rękę księżnej ubiegało się dwóch konkurentów: dawny przyjaciel rodziny, hrabia Coningsby, oraz książę Somerset. Odrzuciła obie propozycje. Somersetowi powiedziała, że nawet gdyby miała nie więcej jak trzydzieści lat, nie zgodziłaby się, „aby ktokolwiek, choćby cesarz całego świata, odziedziczył serce, które należało i zawsze będzie należało do Johna, księcia Marlborough”.

W okresie wdowieństwa Sara poświęcała dużą część swej wielkiej fortuny na płacenie długów swych przyjaciół i wspomaganie ich w potrzebie. Udzielała się też różnym organizacjom charytatywnym, którym oddała jeszcze za życia blisko trzysta tysięcy funtów. Oprócz tego kazała wybudować swoim kosztem dla osób w podeszłym wieku trzydzieści sześć domków, wszystkie pod jednym dachem. Tworzyły one trzy strony wielkiego kwadratowego dziedzińca. Oddano je mieszkańcom obu płci po równi; każdy lokator musiał liczyć ponad sześćdziesiąt lat i nie mieć dochodu wyższego nad dwadzieścia funtów rocznie, do czego Sara dodawała po dwanaście funtów. Domy miały po cztery pokoje, z oddzielnym wejściem i własnym ogródkiem. Żadnego czynszu nie płacono, a opieka lekarska była darmowa. Ten projekt kosztował księżnę ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zarazem Sara miała opinię osoby z głową do interesów, prowadziła swoje sprawy finansowe twardo, targowała się o każdy szyling, kupując nieruchomości, w które ciągle inwestowała; umiejętnie obracała akcjami i papierami wartościowymi, ze swych kapitałów wyciągała maksimum zysków.

Kłótniowość, która ją cechowała od dzieciństwa, bynajmniej nie złagodniała z wiekiem. Poeta Aleksander Pope pisał, że dla księżny „życie jest jedną wielką batalią”. Procesowała się o różne budowy i nabywanie nieruchomości: kłóciła się z dworem królewskim o prawo wjazdu na tereny parku Św. Jakuba: upominała się o swoje przywileje jako strażnika lasów windsorskich: wojowała z premierem rządu, Robertem Walpole, któremu przy jakiejś sposobności powiedziała:

- Ważni ludzie rzadko słyszą prawdę, bo każdy, kto z nimi rozmawia, zwykle stara się o jakieś fawory; a gdy im ktoś wreszcie prawdę w oczy rąbnie, myślą, że to szaleństwo[^]

Stosunki Sary z córkami układały się niezbyt przyjaźnie, bo obie miały charakter podobny do niej, natomiast wnuki darzyła serdeczną miłością, szczerze odwzajemnianą. Jej faworytem był John Spencer, syn Anny, hrabiny Sunderland, rzeczywiście uroczy młodzik, a chociaż hulaka, to wcale jego babki nie zrażało. Gdy młody John i jego starszy brat Charles - który odziedziczył tytuł księcia Marlborough - pokłócili się o to, komu ma przypaść szpada ofiarowana niegdyś dziadowi przez cesarza, Sara poparła młodszego pretendenta, twierdząc, że starszy chciałby ją mieć tylko po to, by ją sprzedać.

- Miałabym ścierpieć - wykrzyknęła - żeby tę szpadę, którą mój książe chciał zanieść aż do bram Paryża, oddano do lombardu lub wykupywano z niej po jednym diamenty? Nigdy!

Gdy Sara dobiegła osiemdziesiątki, nogi zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa. Po domu chodziła o lasce, a do ogrodów w Blenheim, w Windsor Lodge lub w Holywell House wywożono ją w fotelu na kółkach, a obowiązek ten przypadał jednemu z wnuków. Umysł miała bystry, jak zawsze. Zgromadziła i posegregowała materiały do życiorysu swego męża, a do napisania wynajęła dwóch młodych literatów, spłacać im za to po pięćset funtów. Napisała również przy pomocy historyka Nathaniela Hooke „Relację księżnej Marlborough”, dotyczącą lat, jakie spędziła przy dworze. Te pamiętniki, pełne wigoru, usprawiedliwiające jej poczynania, a często mściwe i dowcipne, po opublikowaniu w roku 1742, wywołały falę gwałtownej dysputy. Co do faktów, „Relacja” rzeczywiście mijala się czasem z prawdą, i traktowano ją na ogół tylko jako temat złośliwych plotek.

Oczywiście swojej ostatniej woli Sara poświęciła wiele drobiazgowej staranności. Przede wszystkim cały szereg zapisów. Zaprzyjaźniła się z obiecującym młodym politykiem Williamem Pittem którego talenty, energia i patriotyzm wywarły na niej wielkie wrażenie, ale którego karierę polityczną utrudniała zwyczajnie bieda. Zostawiła mu dziesięć tysięcy funtów i piękny dom. Pitt miał później być jednym z największych mężów stanu, jakich Anglia wydała, architektem triumfalnego zakończenia wojny siedmioletniej, hrabią Chatham. Drugiemu przyjacielowi i politykowi, hrabiemu Chesterfield, zapisała dwadzieścia tysięcy i pierścień z brylantem. Pamiętała o każdym ze swej licznej służby: „...pokojujowej i przyjaciółce, Gracji Ridley - £15 000 i dochód roczny £ 300; gospodyni... kamerdynerowi... każdemu po £ 200 rocznie; w owych j.ch można było wygodnie żyć za taką kwotę.

Każdemu z członków rodziny, prócz jednego, zapewniła spadek odpowiedni, acz umiarkowany. Wyjątek stanowił ukochany John Spencer, który odziedziczył lwią część fortuny rodu Marlborough. Młody człowiek czekał na spadek nie zawsze cierpliwie. Zwyczajem księżny było raz do roku zapraszanie całej rodziny. Siedząc u szczytu stołu przy jednej z takich okazji, Sara entuzjasmowała się:

- Co za cudowny widok! Tyle gałęzi rozrosło się z jednego korzenia!

Hojna dla obcych, Sara skąpiła pieniędzy własnej rodzinie. Toteż młody John zaszeptał do siedzącego obok kuzyna:

- Niestety, gałęzie rozrastałyby się bujniej, gdyby korzeń był pod ziemią.

Zapis dla Johna Spencera był mniej fortunny od innych w jej testamencie. W /dwa lata po otrzymaniu spadku, złoty młodzieniec zmarł z nadmiaru hulanek.

Prawie do ostatnich dni księżna była czynna, pisała listy i notatki, sortowała dokumenty, doradzała, karciała, czasem wybuchała gniewem. Nagle, w październiku roku. 1744, ta niewyczerpana na pozór energia wygasła. Podwójny pogrzeb odbył się z uroczystymi ceremoniami w Blenheim, ponieważ trumna z doczesnymi szczątkami księcia Marlborough została ekshumowana z opactwa

westminsterskiego i złożona w tym samym grobowcu, obok Sary.

Sarah Jennings zawdzięczała sławę, jaką zyskała, w znacznej mierze człowiekowi, którego wybrała na męża i poślubiła. Ale w epoce, gdy rozpychaniem się i energią więcej można było wskórać, niż skrupulatną sumiennością, sława Johna Churchilla również może nigdy nie osiągnęła szczytu, gdyby nie jego ambitna, pełna wigoru żona. Księżna i książę Marlborough - przez wielu potępiani, przez wielu admifowani, wciąż kontrowersyjni.

BIBLIOGRAFIA

Autor posługiwał się, między innymi, następującymi opracowaniami źródłowymi:

Baxter Stephen: *William III* Beyer A.: *A History of the Reign of Queen Anne* Broderick T.:

Complete History of the War in the Netherlands Burton I. F.: *The Captain General Churchill* Sir Winston: *Marlborough* Colville Olivia: *Duchess Sarah*

Creighton Louise: *Life of John Churchill, Duke of Marlborough* Dictionary of National

Biography Dobree Bonamy: *Sarah Churchill* Eneyclopaedia Britannica Falkus Christopher: *Charles II* Fea Allan: „King” *Monmouth*

Hare Francis: *The Conduct of the Duke of - Marlborough* Lane Jane: *King James the Last*

Lipson E.: *An Economic History of England* Lovel A.: *Military Duties of Officers*

Murray Sir George (Ed.): *The Letters and Despatches of the Duke of Marlborough* Pepys

Samuel: *Diary*

Petrie Sir Charles: *The Marshal Duke of Berwick* Swift Jonathan: *The Conduct of the Allies*

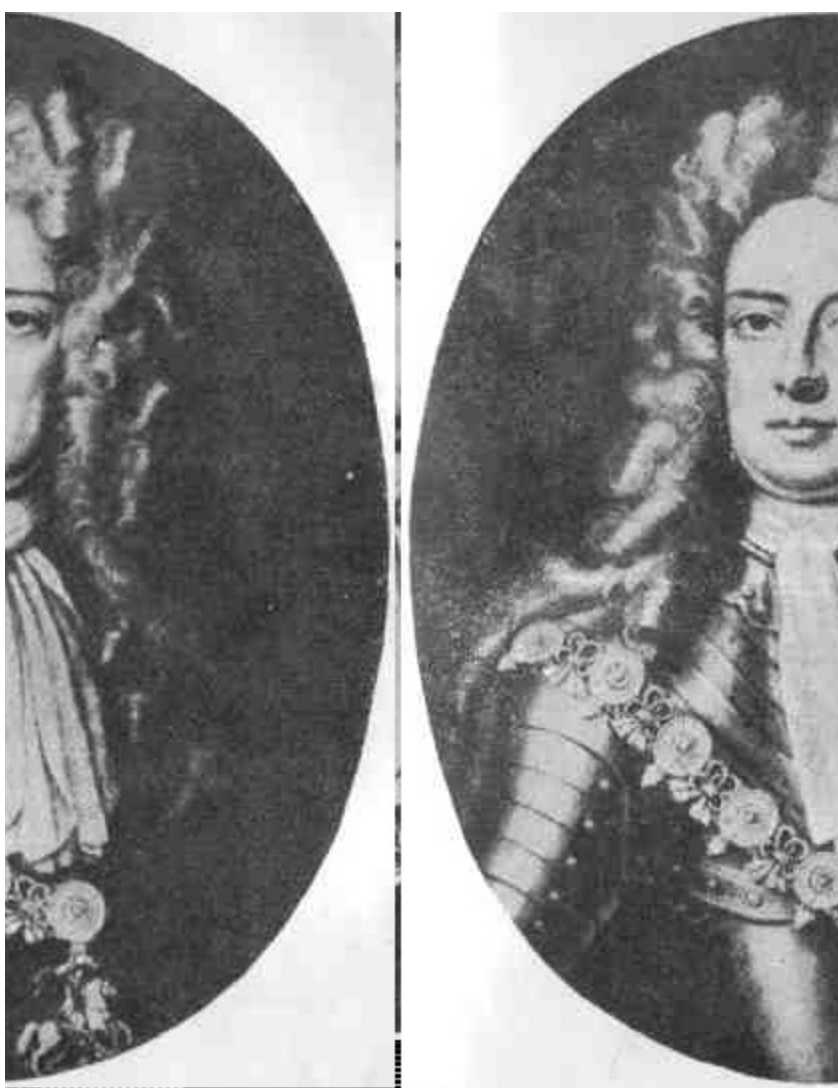
Taylor F.: *The Wars of Marlborough* Traill and Mann (Ed.): *Social England*. Vol IV Trevelyan G.

M.: *England Vnder Queen Anne* Trevelyan G. M.: *England Vnder the Stuarts* Trevelyan G. M.:

English Social History

TurberviUe A. S.: *English Men and Manners in the 18th Century* Wolseley G. J.: *Life of John*

Churchill, Duke of Marlborough



John Churchill książę Marlborough (według Sir G. Knelljera)



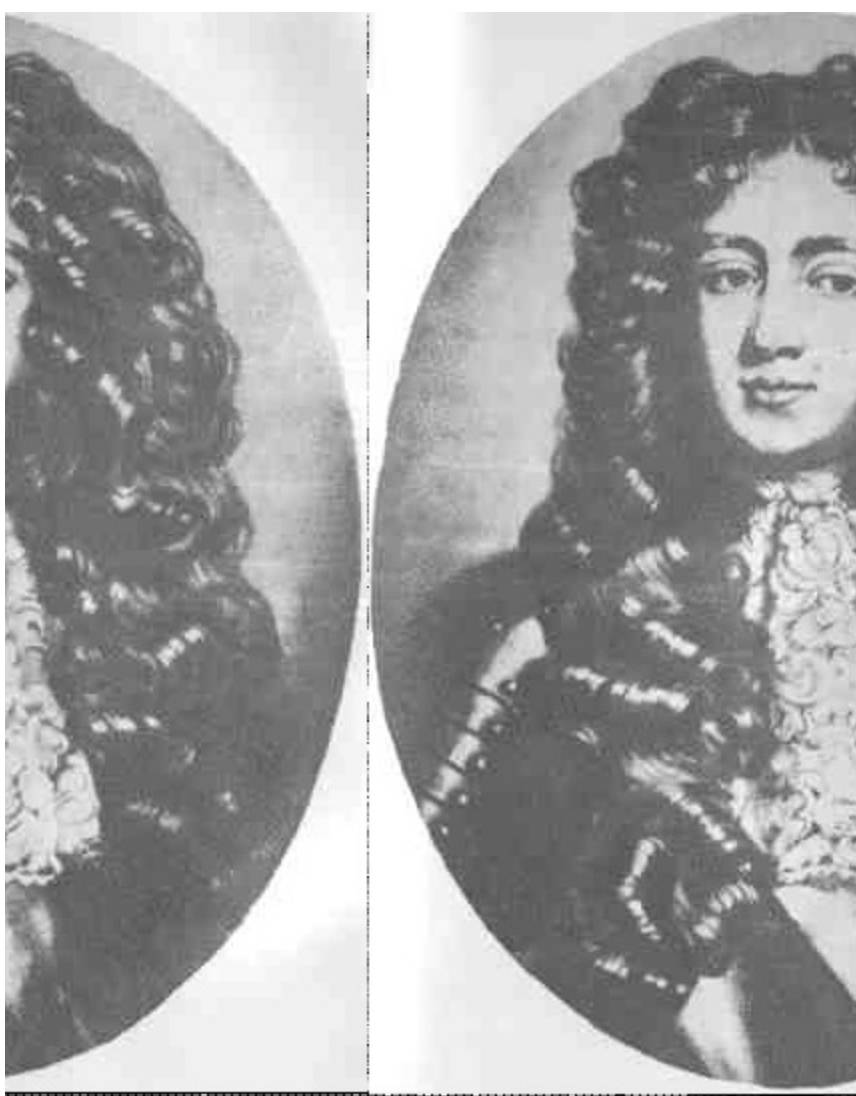
Samuel Pepys



Król Karol II (według Sir G. Knellera)



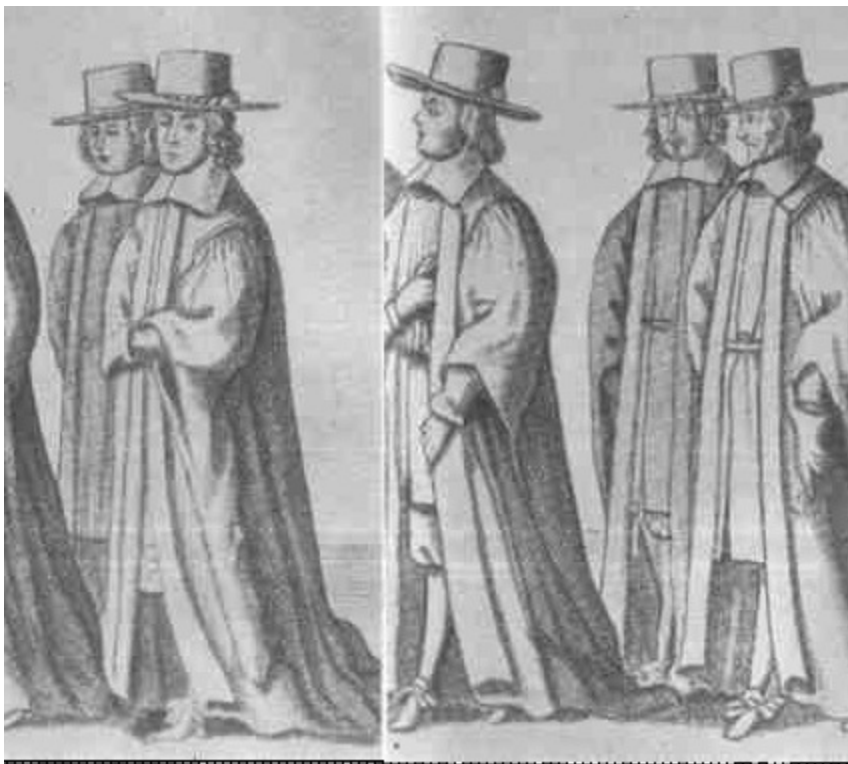
Sara Churchill księżna Marlborough



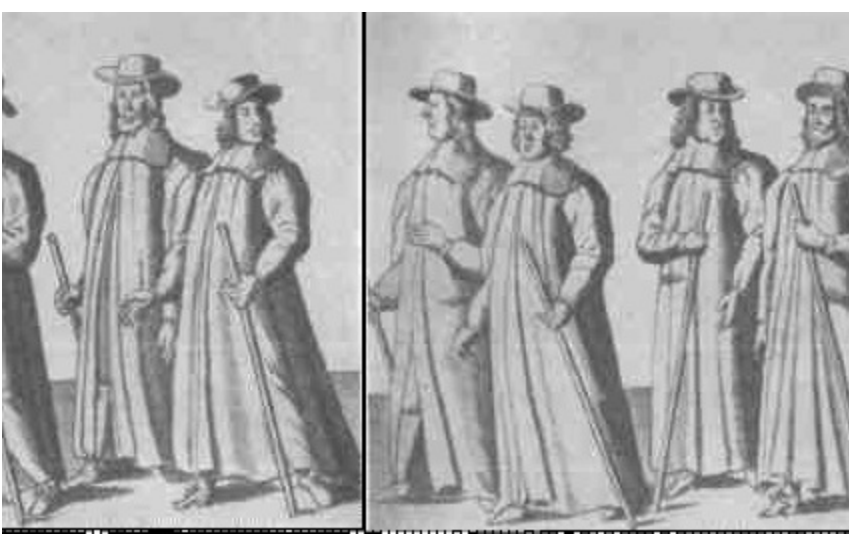
Książę Monmouth



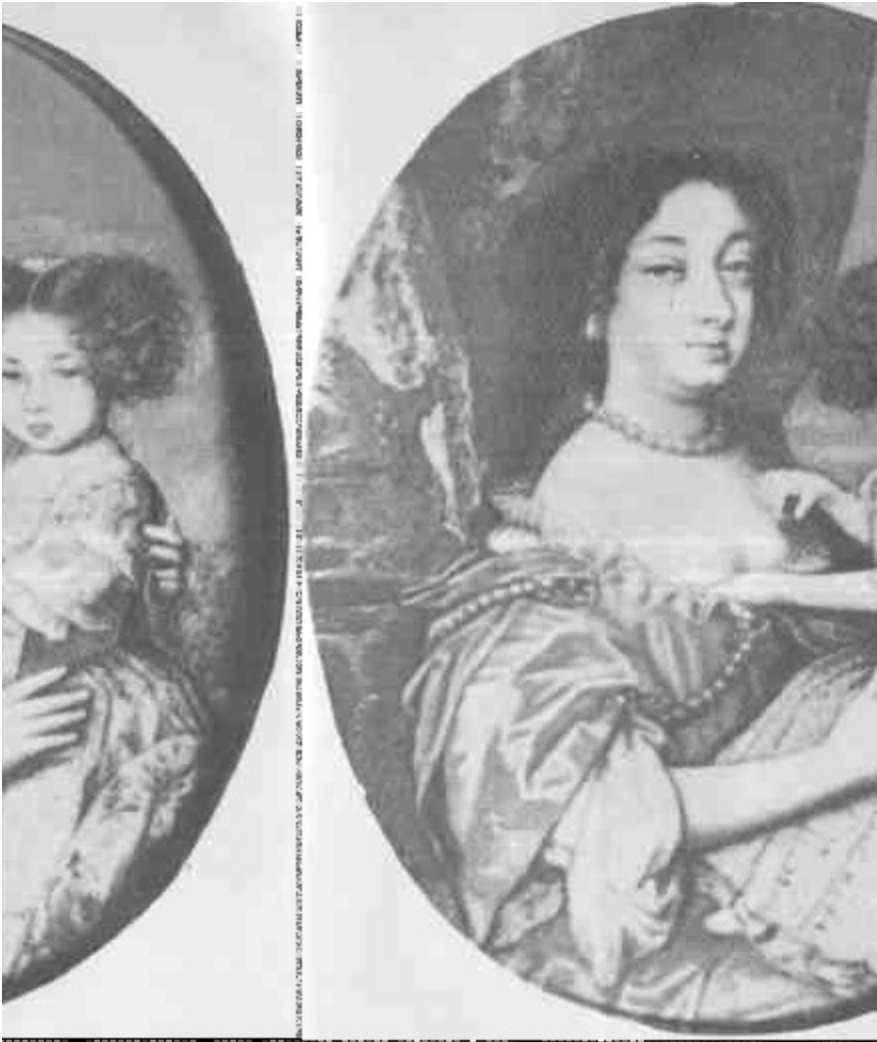
Wiek XVII: Hrabiowie



Wiek XVII: Duchowieństwo



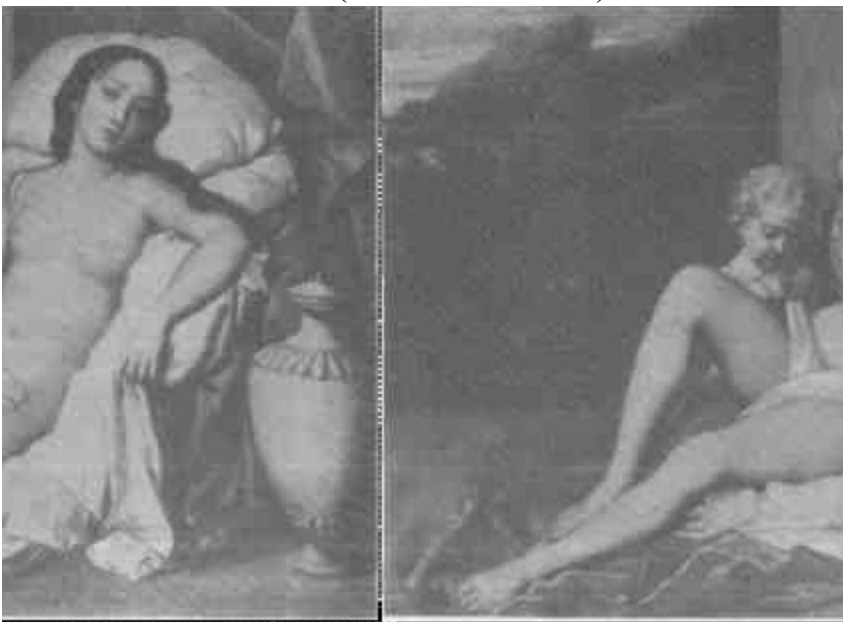
Wiek XVII: Niższe stany (według „Social England”)



Barbara Palmer hrabina Castlemaine (Henry Gascar)



Louise de Keroualle (Nicholas Nixon)



Neil Gwynn (Sir Peter Lely)



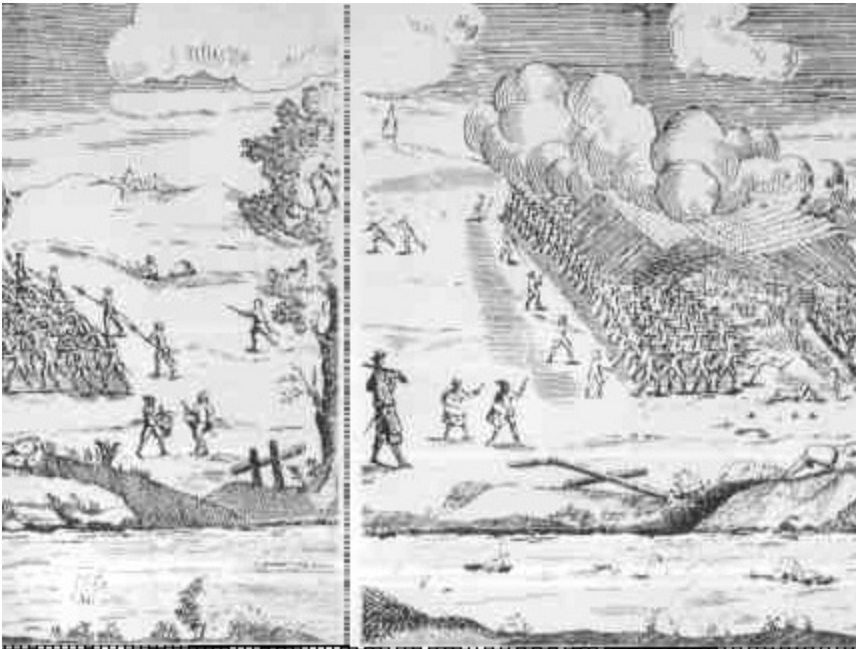
Król Jakub II (Samuel Cooper)



Hrabia Godolphin (Sir G. Kneller)



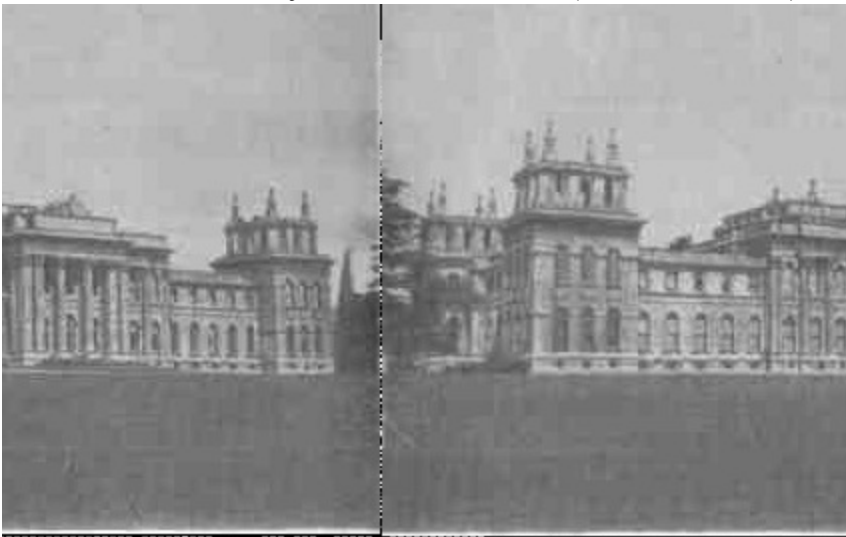
Król William III (van Wyck)



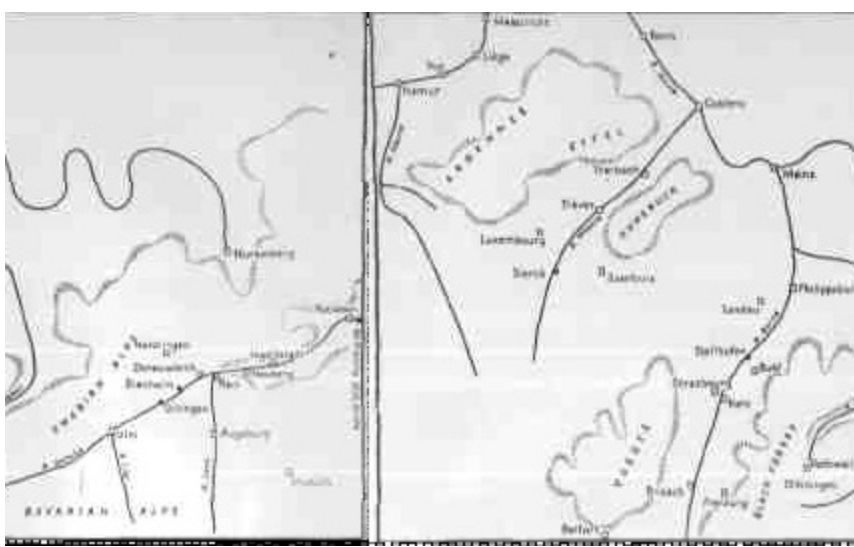
Piechota w bitwie, wiek XVIII (według A. Lovela „Military Duties of Officers”)



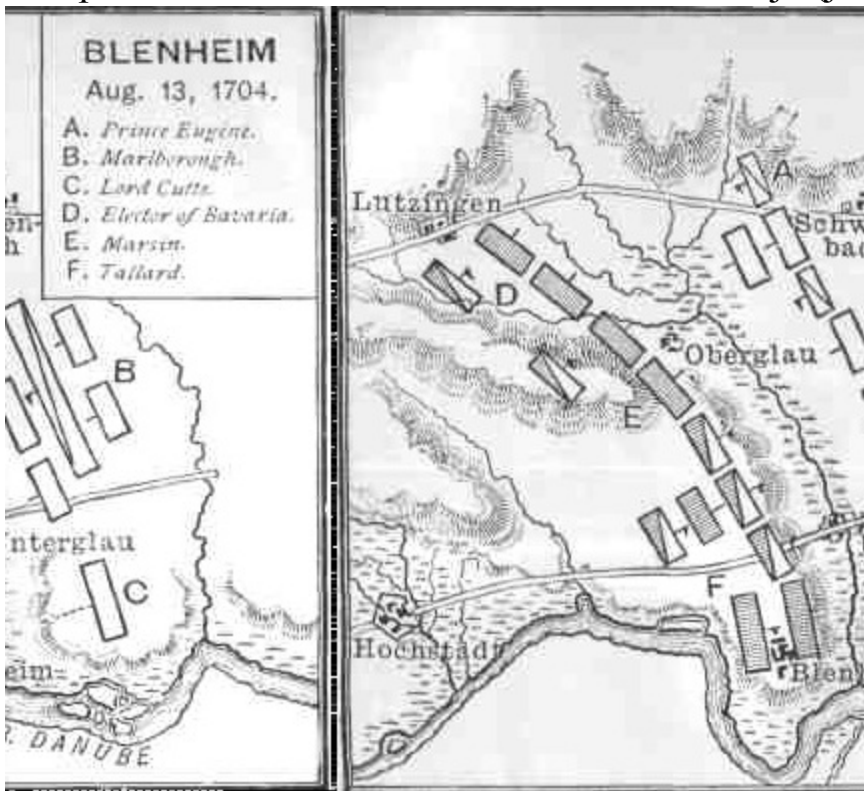
Królowa Anna z synem Williamem (Michael Dail)



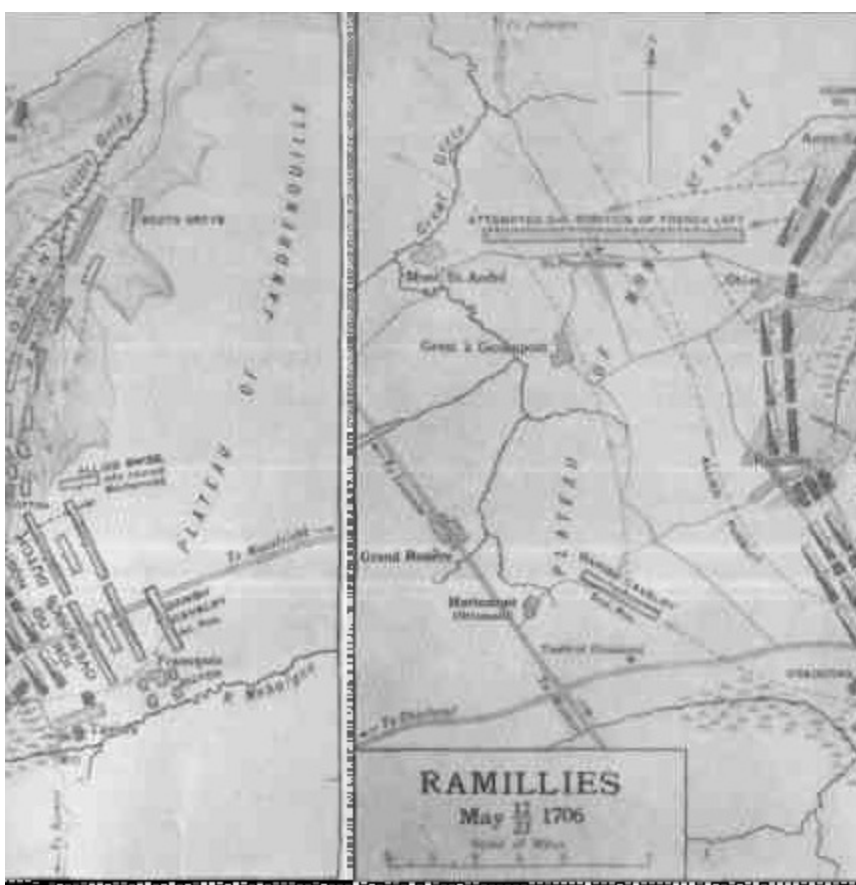
Pałac Blenheim



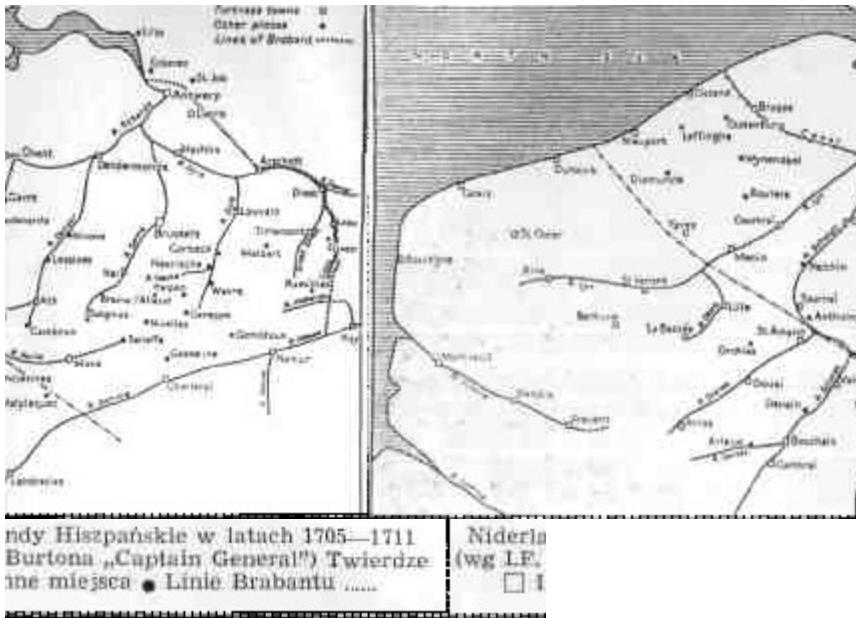
Kampania roku 1702/3. Od Maastrichtu do Dunaju (j.w.)

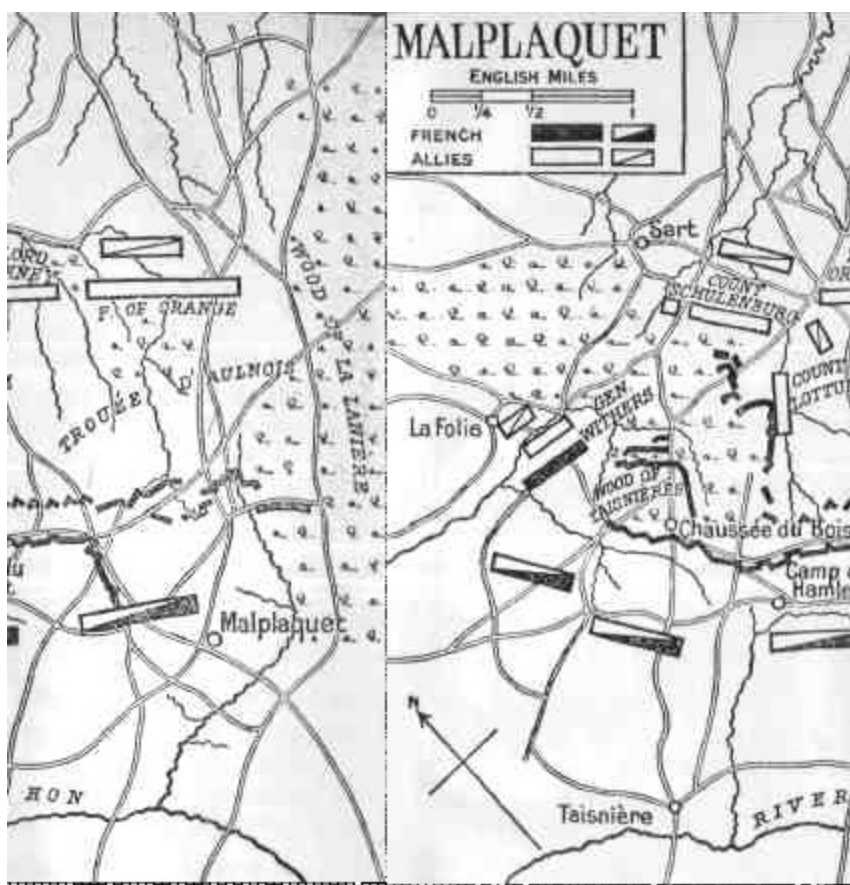


Bitwa pod Blenheim (wg Omana „History of England”) Blenheim 13 VIII 1704. A - Książę Eugeniusz, B - Malborough, C - Lord Cutts, D - Elektor Bawarii, E - Marsin, F - Tallard



Bitwa pod Ramillies (wg Trevelyana „England under Queen Anne”) Ramillies V.1706. Skala w milach





Bitwa pod Malplaquet (wg Encyclopaedia Britannica) Malplaquet. Skala w milach

Spis treści

Część pierwsza MŁODZIEŃCZE AMBICJE 2

Rozdział 1 MONARCHA I JEGO DWÓR 2

Rozdział 2 KŁOPOTY FAMILII CHURCHILLÓW 10

Rozdział 3 DWORZANIN, ŻOŁNIERZ, KOCHANEK 17

Rozdział 4 „URODZIWY ANGLIK” MARSZAŁKA TURENNE 28

Rozdział 5 BURZLIWE ZALOTY 38

Rozdział 6 KATASTROFA NA MORZU 48

Rozdział 7 PANI MORLEY I PANI FREEMAN 56

Rozdział 8 REBELIA I KRÓLEWSKIE SERCE 63

Rozdział 9 PRZEŁOM 75

Rozdział 10 KONTROWERSYJNA DEZERCJĄ 85

Część druga W NIEŁASCE 97

Rozdział 11 „HOLENDRSKI POTWOR” 97

Rozdział 12 PRZEZNACZONY NA WIELKIEGO WODZA 105

Rozdział 13 W WIĘZIENIU 115

Rozdział 14 MĄDROŚĆ W CHOROBIE 124

Część trzecia WÓDZ NACZELNY 135

Rozdział 15 NOWE GODNOŚCI 135

Rozdział 16 PIERWSZA KREW 143

Rozdział 17 ROZPRAWA Z „NIEZWYCIĘŻONYMI” 155

Rozdział 18 KSIĄŻĘ I PRAWDZIWA DAMA 165

Rozdział 19 „AMBICJA KSIĄŻĄT” 172

Rozdział 20 BURZA NIE MIJA 186

Rozdział 21 MASAKRA 194

Rozdział 22 „ŁAPAJ ZŁODZIEJA” 208

Rozdział 23 POWALONY CEDR 217